MROCZNY PRL

NIEWYJAŚNIONE ZABÓJSTWA

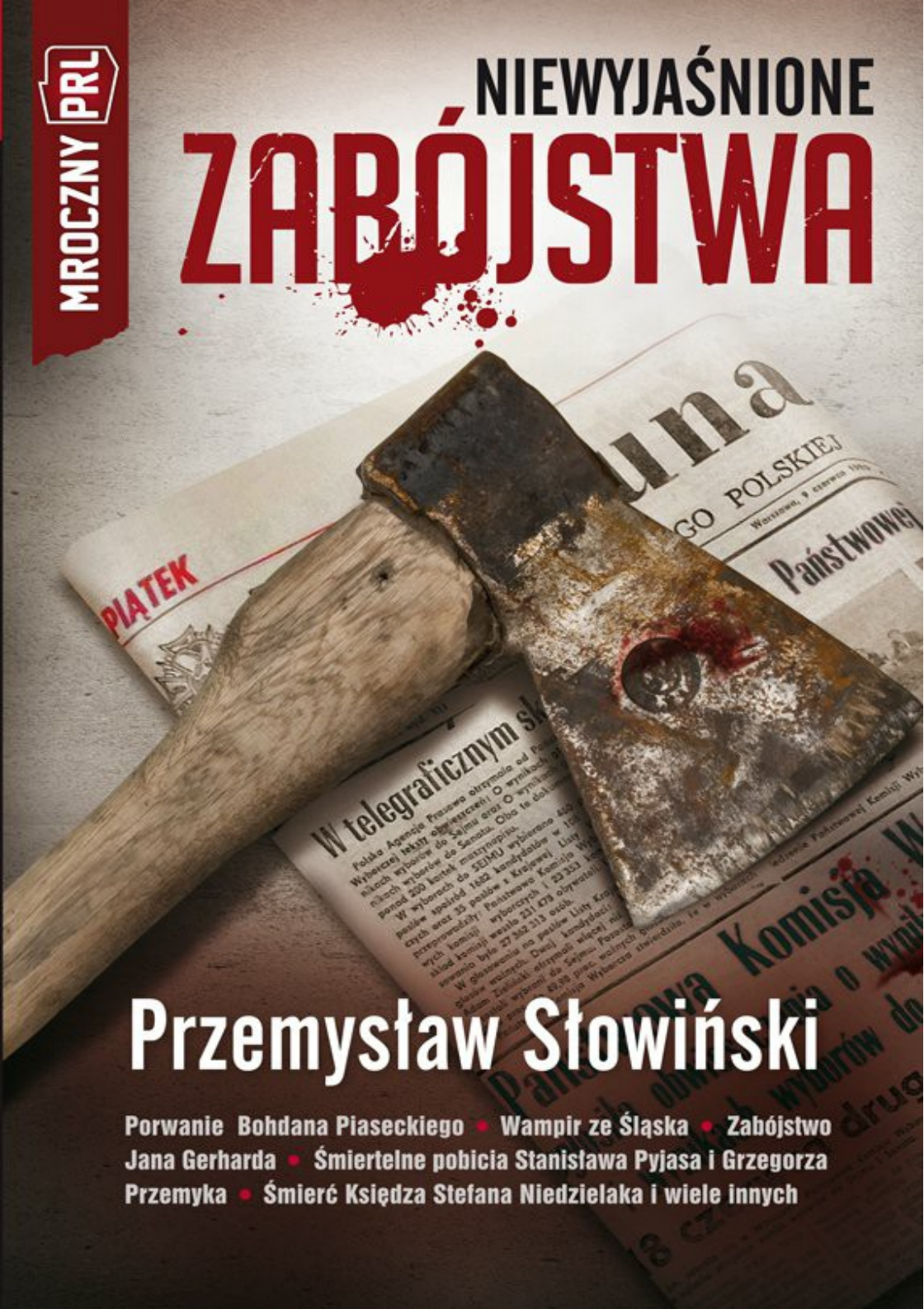

Przemysław Słowiński

Porwanie Bohdana Piaseckiego • Wampir ze Śląska • Zabójstwo Jana Gerharda • Śmiertelne pobicia Stanisława Pyjasa i Grzegorza Przemyka • Śmierć Księdza Stefana Niedzielaka i wiele innych

MROCZNY PRL

NIEWYJAŚNIONE ZBRODNIE

Przemysław Słowiński

FRONDA

Okładka
Robert Kempisty

Korekta i redakcja
Agnieszka Muzyk

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład, łamanie
Honorata Kozon

ISBN 978-83-8079-152-7

© Copyright PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
© Copyright for Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca
Fronda PL, Sp. z o.o.
Ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo
www.twitter.com/Wyd_Fronda

Skład wersji elektronicznej:

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Krakowski upiór
WŁADYSŁAW MAZURKIEWICZ (1940 – 1957)

W styczniowy mroźny dzień
ZABÓJSTWO BOHDANA PIASECKIEGO (1957)

Czas Wampira
ZDZISŁAW MARCHWICKI (1964 – 1977)

Muchy
BOGDAN ARNOLD (1964 – 1968)

Wyznaczysz dzień i godzinę swojej śmierci...
ZABÓJSTWO JANA GERHARDA (1971)

Skorpion
PAWEŁ TUCHLIN (1975 – 1987)

Sam spadł ze schodów...
ZABÓJSTWO STANISŁAWA PYJASA (1977)

Zemsta po latach
ZABÓJSTWA SIERŻANTA ZDZISŁAWA KAROSA I KSIĘDZA SYLWESTRA ZYCHA (1982, 1989)

Bestie
ZABÓJSTWO GRZEGORZA PRZEMYKA (1983)

Śmiertelny upadek z... fotela
ZABÓJSTWO KSIĘDZA STEFANA NIEDZIELAKA (1989)

Bibliografia
Przypisy

KRAKOWSKI UPIÓR

WŁADYSŁAW MAZURKIEWICZ

(1940 – 1957)

Kraków to gród magiczny. Miasto kawiarń o niepowtarzalnej atmosferze, renomowanych restauracji i tanich knajp, miasto jak żadne inne zakochane w tradycji, w szacunku dla przeszłości, w patriotyzmie i politykowaniu, a także w świętowaniu. Kraków ze starówką skupioną wokół najpiękniejszego rynku świata, gdzie wznosi się majestatycznie kościół Mariacki, na którego wieży trębacz od wieków wygrywa co godzinę hejnał. Gdzie stoją ogromne Sukiennice, w których można kupić najprzeróżniejsze cuda...

Kraków naukowców, artystów i studentów. Kraków pełen radczyń, profesorowych, mecenasowych, prezesowych i „państwa pułkownikostwa". Miasto Wyspiańskiego, Matejki, Przerwy-Tetmajera i Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Kraków z tysiącem przepięknych kościołów. Kraków z Piwnicą pod Baranami i teatrem Słowackiego. Kraków z Uniwersytetem Jagiellońskim, z kopcem Kościuszki, Barbakanem, Bramą Floriańską i pałacem Biskupim przy ulicy Franciszkańskiej 3. Zaczarowane miasto, zaczarowana dorożka, zaczarowany koń...

Jak każde wielkie miasto na świecie, ma jednakże bajeczny Kraków i swoje drugie oblicze... Nocą wypływają tu na powierzchnię ryby głębinowe zbrodni i grzechu. Rozwijają swą działalność złodzieje, oszuści, prostytutki, kasiarze, mordercy i agenci policji. Śmierć i życie, nędza i bogactwo, brzydota i piękno istnieją tu obok siebie, połączone w jakiejś dziwnej, niewytłumaczalnej harmonii. Cywilizacja i barbarzyństwo na przemian wpadają sobie w ramiona i razem dosięgają szczytu.

Latem 1956 roku po Krakowie zaczęła krążyć osobliwa ballada „dziadowska":

Posłuchajcie ludzie strasznej opowieści,
Co się wam w głowach nijak nie pomieści,
O strasznym draniu o pięknym obliczu,
Mazurkiewiczu.

Śpiewali ją artyści Teatru na Wozie, nawiązującego do tradycji trup jarmarcznych, występującego na ulicach podczas dorocznych Dni Krakowa. A bohater piosenki rzeczywiście strasznym draniem był, chociaż jego przydomek „morderca - dżentelmen" lub w innym wariancie „morderca-elegant" – nie wziął się znikąd.

Władysław Mazurkiewicz był w mieście postacią dobrze znaną. Zawsze pachnący drogimi perfumami, elegancko ubrany, obracał się w najbardziej wytwornym towarzystwie. Jadał w najdroższych restauracjach i bawił się w popularnych nocnych kawiarniach. Można go było spotkać w „Jamie Michalika" na Floriańskiej, gdzie schodziła się cała tutejsza bohema, w „Noworolskim" – słynnym „Noworolu" odwiedzanym przez mieszczańską elitę Krakowa, w „Wierzynku" i „Mauritzu", okupowanych przez arystokrację i miłośników najlepszej kuchni, a nawet u „Flakowicza" na Stolarskiej, gdzie przesiadywali wielbiciele motoryzacji. Zadawał tam szyku swoim oplem olympią, którym jeździł na wypoczynek do Zakopanego. Prywatny samochód był niezwykle ważnym elementem emploi tamtych czasów, stanowił nie tylko dowód zamożności, ale również świadectwo odpowiednich koneksji. Nikt nie domyślał się, do czego wykorzystywane było to auto.

Chętnie widziało pana Władka na swych salonach tradycyjne mieszczaństwo i przedwojenne ziemiaństwo, które po wywłaszczeniu osiadło w Krakowie i któremu pomagał spieniężać resztki rodowych pamiątek: biżuterię, stare obrazy... Wielu ludziom proponował zresztą różne korzystne transakcje, pośredniczył w kupnie i sprzedaży wszystkiego, co cenne: skóry, obcych walut, kosztowności, antyków. Zajmował się szeroko pojętymi „interesami", ale nikt dokładnie nie wiedział, z czego

tak naprawdę żyje. Uważany był za dżentelmena, którego warto znać, duszę towarzystwa. Kobiety za nim szalały, a mężczyźni zabiegali o przyjaźń i cenne rady. Znajomi i sąsiedzi mówili o nim, że jest dobrze wychowany, uczynny i wrażliwy – często jeździł na grób swego psa, posadził tam nawet kwiaty. Jak zaświadczają ludzie, którzy go znali, miał wrażliwą duszę, umiał docenić urodę architektury, uwielbiał piękne przedmioty i kochał przyrodę, szczególnie szkarłatne róże, dzięki czemu dziennikarze nadali mu później przezwisko „Morderca z kwiatkiem".

Wytworny i zamożny, cieszący się opinią „porządnego obywatela", zajmował luksusowe mieszkanie w centrum Krakowa, w kamienicy przy ulicy Biskupiej 14. Mazurkiewicz miał nienaganne maniery i znakomicie grał w brydża. Nikomu nie przychodziło do głowy, że ten stołujący się w Wierzynku miłośnik kawioru to „krakowski upiór". Na zdjęciach z prokuratorskich akt wygląda jak filmowy amant. Przypominał trochę gwiazdę starego kina Eugeniusza Bodo. Ciemne, zaczesane do tyłu włosy, biała koszula, krawat, idealnie skrojona tweedowa marynarka... Tą wytwornością i szykiem wyraźnie różnił się od współczesnych zapracowanych ludzi, harujących ciężko za grosze. Przez wiele tygodni proces Władysława Mazurkiewicza nie schodził z pierwszych stron gazet, elektryzując opinię publiczną w mieście i w całym kraju.

*

„Bomba pękła" pod koniec września 1955 roku, kiedy do warszawskiego szpitala na Solcu zgłosił się cierpiący od paru dni na dotkliwy ból głowy niejaki Stanisław Łopuszyński. Opowiadał przy tym dosyć niezwykłą historię. Był otóż w Zakopanem, w towarzystwie znajomego inżyniera, z którym załatwiał grubszy interes. Uczciwszy transakcję większą ilością alkoholu, obaj panowie wybrali się samochodem w drogę powrotną do Krakowa. Inżynier zasiadł za kółkiem, zmorzony wypitym trunkiem Łopuszyński zasnął w fotelu obok.

Obudził go głośny huk. Była ciemna noc. Samochód stał w lesie

na poboczu. W otwartych drzwiach pojazdu tkwił inżynier, który wyjaśnił koledze, że odgłos wziął się stąd, że wrzucił do wnętrza auta „żabkę", jak nazywano niewielką petardę hukową. Po co? Dla zabawy, żeby go po prostu wystraszyć. Sprawę obrócono w żart, lecz będące rezultatem wybuchu silne bóle głowy nie dawały Łopuszyńskiemu spokoju. Po powrocie do siebie, do Warszawy, postanowił więc zgłosić się do szpitala.

Dyżurujący w szpitalu na Solcu doktor Witold Szczęśniak zarządził prześwietlenie głowy. Jakież było jego zdumienie, kiedy na zdjęciu rentgenowskim wyszło, że w głowie pacjenta tkwi jakieś obce ciało, przypominające pocisk z pistoletu. Pan Łopuszyński wylądował natychmiast na bloku operacyjnym, gdzie chirurdzy wyciągnęli mu ów przedmiot z czaszki. Zdumienie sięgnęło zenitu, gdy okazało się, że przedmiot wcale nie przypomina pocisku, lecz JEST pociskiem.

Nie trzeba było być wybitnie inteligentnym, żeby skojarzyć wszystkie fakty. Kiedy tylko pacjent doszedł jako tako do siebie, przy jego łóżku pojawiły się organa ścigania, w osobie posterunkowego Józefa Romanowskiego. Przede wszystkim milicjant zainteresował się osobą owego „dowcipnego" inżyniera.

– W zasadzie to niewiele mogę o nim powiedzieć – zeznał Zdzisław Łopuszyński. – Znam go od niedawna. Nazywa się Władysław Mazurkiewicz. Niedaleko cmentarza Rakowickiego w Krakowie, przy ulicy Marchlewskiego ma duży garaż, a w nim żelazne łóżko z materacem we wnęce za kotarą. Nocuje tam czasami, bo z żoną jest po rozwodzie.

„Z całokształtu przesłuchania wywnioskowałem, iż rzeczony Mazurkiewicz zachowuje się dziwnie i kombinuje" – zapisał w przeznaczonym dla przełożonych raporcie posterunkowy Romanowski.

Z Warszawy do Krakowa wysłano natychmiast prośbę o pilne przesłuchanie Władysława Mazurkiewicza. Kiedy milicjanci zapukali do apartamentu na czwartym piętrze przy ulicy Biskupiej 14, gdzie Mazurkiewicz zameldowany był na stałe wraz z byłą żoną, dowiedzieli się od niej, że ten „gdzieś zniknął".

– Od kilku dni nie odzywa się i nie daje żadnego znaku życia – oświadczyła żona, chociaż już była.

W ten sposób Mazurkiewicz stał się czwartym już z kolei mieszkańcem kamienicy, który w ostatnich latach zniknął bez śladu. Pierwszym był sąsiad Władysława z naprzeciwka, Jerzy de Laveaux. Po nim dosłownie rozpłynęły się we mgle jego żona, Jadwiga de Laveaux oraz siostra żony – Zofia Suchowa.

Milicjanci nabrali jednak podejrzeń, że pan Mazurkiewicz niekoniecznie zniknął, lecz – co bardziej prawdopodobne – ukrywa się przed nimi. Od tego momentu wypadki potoczyły się lawinowo. Następnego dnia rozesłali za nim listy gończe, jako za podejrzanym o usiłowania dokonania zabójstwa Stanisława Łopuszyńskiego. I tak 3 października 1955 roku rozpoczęło się śledztwo, którego początkowo nikt nie brał poważnie. Pan Władysław mordercą? To było nie do uwierzenia. Z zeznań ofiary wynikało jednak niezbicie, że niedoszłym zabójcą nie może być nikt inny, jak tylko szanowany powszechnie i lubiany w towarzystwie pan Władysław Mazurkiewicz. Początkowo śledczy pochodzili z dystansem do tych rewelacji. Trudno było im uwierzyć, że znany krakowski przedsiębiorca, cechujący się tak wysoką kulturą osobistą i znakomitą prezencją, mógł zdobyć się na „coś takiego".

Pierwszym miejscem, któremu śledczy postanowili się uważniej przyjrzeć, był wspomniany przez niedoszłą ofiarę garaż przy ulicy Marchlewskiego (dziś Beliny-Prażmowskiego). Podczas przeszukania pomieszczenia uwagę milicji zwrócił jaśniejszy fragment podłogi. Rozkuto więc w tym miejscu beton i oto oczom zgromadzonych ukazały się dwa trupy w stanie daleko posuniętego rozkładu. Żarty się skończyły.

Właściciela garażu znaleziono dopiero 1 listopada w kawiarni hotelu Orbis w Zakopanem. Jak gdyby nigdy nic raczył się właśnie aromatyczną kawą ze śmietanką. Przewieziony do komendy Wojewódzkiej MO w Krakowie, początkowo zaprzeczał wszystkim faktom. Twierdził, że Łopuszyńskiego ktoś musiał napaść w Zakopanem, gdy po pijanemu wracał do hotelu. Wkrótce jednak, pod naporem dowodów, zmiękł. Na jaw

wychodzić zaczęła powoli straszliwa prawda...

*

Władysław Mazurkiewicz urodził się 31 stycznia 1911 roku w Krakowie, w niezbyt zamożnej rodzinie. Ojciec, Leon, pracował w drukarni jako zecer, matka, Helena z domu Zur, snuła plany o lepszym życiu. Okazja do tego nadarzyła się wraz z poznaniem bogatego lekarza z Warszawy, Mariana K. Kilkuletni romans zaowocował porzuceniem przez Helenę męża i dziecka oraz wyjazdem z doktorem K. do stolicy. Nie znalazła jednak z nim wspólnego szczęścia, a być może społeczny awans nie zagłuszył w niej wyrzutów sumienia, bowiem 29 listopada 1920 roku popełniła samobójstwo w swoim pięknym apartamencie przy ulicy Chmielnej 10.

Opiekę nad dziewięcioletnim chłopcem przejął ojciec, wspomagany przez babkę. Władek nie sprawiał większych trudności wychowawczych, dobrze się uczył, podobnie jednak jak matka, wolał bujać w obłokach niż twardo stąpać po ziemi. Zaczytywał się w kryminałach i często uciekał do wyimaginowanego świata.

Po zdaniu matury, Mazurkiewicz dostał się na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, na którym wykładali najwybitniejsi wówczas profesorowie, tacy jak między innymi: Adam Krzyżanowski, Juliusz Makarewicz, Rafał Taubenschlag, Adam Vetulani czy Władysław Wolter. Jednak praca w palestrze najwyraźniej nie była mu pisana. Przeszkodziło mu w tym jego gorące zamiłowanie do życia towarzyskiego. Zdecydowanie częściej niż na wykładach bywał w kawiarniach. Żeby znaleźć na to odpowiednie środki finansowe, po dwóch latach porzucił studia. Ukończył trzyletnią szkołę poligraficzną i – podobnie jak ojciec – został drukarzem. Pracując od 1934 roku w Drukarni Narodowej, znajdował czas na nocne wojaże po krakowskich knajpach, kobiety i hazard.

A potem przyszła wojna. Władysław został powołany do wojska, wziął udział w kampanii wrześniowej, a po jej zakończeniu wrócił pod Wawel, na którym zasiadł tymczasem

swoim tłustym tyłkiem generalny gubernator Hans Frank. Lata okupacji były dla „Pięknego Władka" prawdziwym eldorado, chociaż spora ilość wiadomości z tego okresu polega na zwykłych plotkach. To wtedy w każdym razie zaczął zbijać majątek. Handlował złotem, galanterią skórzaną, brylantami i sacharyną.

Jak zeznawali na późniejszym procesie świadkowie, posługiwał się dokumentami zaświadczającymi, iż jest... fryzjerem w krakowskim gestapo. On sam twierdził, że załatwiła mu je za łapówkę Barbara Gunderlach, volksdeutschka i kochanka szefa wydziału personalnego Geheime Staatspolizei (Tajnej Policji Państwowej) Arnolda Rudolfa, z którym dość blisko się zaprzyjaźniła. Barbara załatwiła mu również przepustkę upoważniającą do wyjazdów poza granice Generalnego Gubernatorstwa. Wspólnie podróżowali do Warszawy, Lwowa, Pragi i Berlina, gdzie handlowali czym się tylko dało, i co przynosiło odpowiedni zysk.

Mazurkiewicz podkreślał potem uparcie, że nigdy nie był konfidentem gestapo, a z Niemcami utrzymywał wyłącznie stosunki handlowe. Widząc go szusującego po ulicach dobrymi samochodami, mieszkańcy grodu Kraka nie mieli wątpliwości, że takie parady musiały zyskać akceptację hitlerowców. Tym niemniej wciąż zapraszali go na salony i traktowali z wielkim szacunkiem. Pan Władek przecież „dużo mógł"... Szeptali za jego plecami, że owszem, „ma koneksje", ale przecież właśnie dzięki temu, tak wiele ważnych spraw można w tych trudnych czasach załatwić... Wspominano o burzliwych historiach miłosnych Mazurkiewicza, wystawnych przyjęciach, pijaństwach i orgietkach.

Z murów Wawelu tymczasem spływały czerwone flagi ze swastyką. Kraków stał się miastem zielonych mundurów i szarych myszy, jak nazwano członkinie niemieckich formacji kobiecych. Miastem swastyk łopoczących na publicznych gmachach i hotelach, siedzibie komendantury i Gestapo. Miastem kolejek, kartek żywnościowych i godziny policyjnej. Miastem niemieckich patroli, żółtych gwiazd, alarmów, łapanek,

aresztowań, obwieszczeń o egzekucjach i ausweissów ze złowrogą pieczęcią „kruka z pedałami", jak nazywano hitlerowskiego orła. Kartkowe przydziały były bardzo skąpe. Najczęściej udawało się kupić kapustę lub brukiew.

A pan Władek podróżował, bawił się, żył pełną piersią. Zbratał się z zawodowymi szulerami, aferzystami i konfidentami. Coraz bardziej wciągał go wir nielegalnych interesów. Wkrótce kupił luksusowy apartament przy dzisiejszej ulicy Władysława Beliny-Prażmowskiego, na Osiedlu Oficerskim (po „wyzwoleniu" ulicy Juliana Marchlewskiego). Przez jego ręce przeszedł majątek niejednej rodziny żydowskiej. Mocno zaangażował się w interesy z Żydami z utworzonego przez Niemców w 1941 roku getta, którzy zbywali dobra w nadziei na ocalenie życia. Regularnie bywał za zwieńczonym łukami murem, w efekcie czego na przełomie lat 1942 i 1943 jego stan posiadania znów niesłychanie się zwiększył. Nade wszystko kochał pieniądze. Dla nich byłby w stanie zrobić dosłownie wszystko. Także zabić...

*

Kilka osób, z którymi zawierał transakcje handlowe, zamordował najprawdopodobniej jeszcze podczas okupacji. Tu jednak, prócz plotek, trudno znaleźć konkretną informację. Widać szybko uzmysłowił sobie, że handel staje się dużo bardziej opłacalny, gdy kontrahenci i wspólnicy umierają przed odebraniem pieniędzy, które się im obiecało.

Pierwszego zabójstwa dokonał podobno już w 1940 roku. Co najmniej dwóm niedoszłym ofiarom, które usiłował otruć cyjankiem potasu, udało się uniknąć śmierci, ale konsekwentnie milczały, w obawie o swoje życie. Jak doskonale wiedzą wszyscy czytelnicy powieści kryminalnych, cyjanek ma niezwykle charakterystyczny zapach gorzkich migdałów. (Czy ktoś kiedyś wąchał gorzkie migdały i wie jak pachną?). Jest uniwersalnym lekarstwem na wszystkie choroby, likwiduje je skutecznie razem z chorym. Tam częstował zatrutą wymienionym specyfikiem herbatą lub przyprawioną nim kanapką, z deficytową wówczas wędliną. Kiedy ofiara wyzionęła już ducha, okradał ją, a

obciążone kamieniami ciało wrzucał do Wisły. Później zapewniał sobie alibi, odwiedzając rodzinę zamordowanego i dopytując się o niego pod pozorem planowanej transakcji.

W 1943 roku Mazurkiewiczowi po raz pierwszy powinęła się noga. Albo raczej, mówiąc ściśle: prawie się powinęła.

Żyd Tadeusz Bommer był ukrywającym się w Krakowie oficerem Wojska Polskiego. Legitymował się dokumentami na nazwisko Ryszard Staniecki, co pozwoliło mu oficjalnie zameldować się w mieście. Zarabiał na życie, handlując złotem i dolarami. Pozyskane precjoza trzymał w skrytce u pani Dobrzańskiej na ulicy Kanonicznej, gdzie spotykali się handlarze i kolekcjonerzy. Któregoś dnia poznał tam Władysława Mazurkiewicza, któremu zaproponował sprzedaż dziesięciu złotych dolarówek i czterech austriackich dukatów.

16 marca wsiedli w samochód Mazurkiewicza, wiśniowego fiata, którym udali się za miasto, aby tam spokojnie, bez świadków, sfinalizować interes. Po pewnym czasie zatrzymali się, a Mazurkiewicz poczęstował swego kontrahenta kanapką z prawdziwą szynką i masłem, które w owych czasach widywało się równie często, co Eskimosów na pustyni. Bommer wbił zęby w aromatyczny miąższ, ale już po pierwszym kęsie poczuł dziwny zapach, który porównał później do aromatu gorzkich migdałów. Jednocześnie doznał drętwienia mięśni, zaczęły mu sztywnieć ręce i nogi. Zrozumiał, że został otruty. Przerażony wsunął machinalnie kanapkę do kieszeni i pozostawiwszy w samochodzie monety, rzucił się do ucieczki.

Udało mu się jakoś dowlec do najbliższych zabudowań, gdzie poprosił gospodarzy o mleko, słyszał gdzieś bowiem, że może ono pełnić rolę odtrutki. Poczuwszy się trochę lepiej, wrócił do domu. Wieczorem jednak znów dopadły go mdłości. Wezwał więc pogotowie i pojechał sanitarką do szpitala. Nadgryziona kanapka trafiła do krakowskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych, gdzie doktor Jan Zygmunt Robel znalazł pod plastrem szynki biały proszek, który bez cienia wątpliwości zidentyfikował jako sól potasową kwasu cyjanowodorowego, zwaną powszechnie cyjankiem. (W trakcie późniejszego śledztwa Mazurkiewicz

ujawnił, że truciznę ukradł z Urzędu Probierczego w Krakowie).

Panu Bommerowi udało się jakoś ubłagać lekarzy, żeby nie zawiadamiali policji. Obawiał się, że ta mogłaby odkryć, iż nie jest tym, za kogo się podaje. Monet i tak by nie odzyskał, wylądowałby natomiast w Auschwitz. Sam osobiście udał się do Mazurkiewicza, żeby odzyskać należność za skradzione mienie. Pan Władek próbował najpierw kręcić, tłumaczył, że przecież przekazał mu pieniądze, które pan Tadeusz zapewne zgubił, oddalając się niespodziewanie, bez uprzedzenia i uzasadnionej przyczyny, od samochodu. Naciskany, długo się jednak nie opierał i w końcu rozliczył z niedoszłą ofiarą.

Odzyskawszy pieniądze, Bommer ukrył się gdzieś w mysiej dziurze i do końca okupacji nie podzielił z nikim informacjami na temat tego, kim w rzeczywistości jest Władysław Mazurkiewicz. Przekonany był, że jego kontrahent pracuje dla gestapo. Po wojnie widział go kilka razy na ulicy, ale słysząc o jego znakomitych kontaktach z bezpieką, również schodził mu z drogi. Bommer, były akowiec, znów był na bakier z władzą, Mazurkiewicz – przeciwnie. Odwagi nabrał dopiero gdy w 1956 roku „Piękny Władzio" został aresztowany. Zgłosił się wtedy dobrowolnie jako świadek podczas toczącego się procesu.

Po tak łatwym uniknięciu większych kłopotów, związanych z nieudanym otruciem Tadeusza Bommera, pan Władek poczuł się już całkowicie bezkarny. Jeszcze w tym samym, 1943 roku, w podobny sposób rozprawił się z innym partnerem w interesach, Wiktorem Zarzeckim. Tym razem skutecznie. Nauczony poprzednią wpadką, wsypał cyjanek nie do kanapki, lecz do zakropionej solidnie wódką gorącej herbaty. (Trucizna łatwo rozpuszcza się w wodzie, ulegając przy tym częściowej hydrolizie z wydzieleniem cyjanowodoru nadającego jej charakterystyczny zapach gorzkich migdałów). Ukradł ofierze 1200 dolarów, które przegrał jeszcze tej samej nocy w pokera. Zwłoki przeniósł na łódkę i zatopił w Wiśle. Wyciągnął również wnioski z nieudanej próby morderstwa i przyjął nową taktykę. Zamiast zatrutych kanapek czy herbaty postanowił w przyszłości sięgnąć po zdecydowanie pewniejszy sposób zabijania – broń

palną.

13 marca 1943 roku nad ranem, do otoczonego oddziałami Sonderdienstu krakowskiego getta wkroczyły oddziały SS dowodzone przez Sturmbannführera Wilhelma von Haase. Osiem tysięcy Żydów uznanych za zdolnych do pracy zostało przeniesionych do obozu w Płaszowie. Dzieci do czternastego roku życia miały pozostać w getcie. Amon Göth, komendant obozu, obiecywał, że zostaną sprowadzone, kiedy tylko będą gotowe przeznaczone dla nich baraki. Nie wszyscy rodzice mu uwierzyli. Wielu próbowało przemycić dzieci ukryte w walizkach i tobołkach. By udaremnić te zamiary, Niemcy dźgali bagaże bagnetami. Około godziny szesnastej z getta wyruszył pochód ustawionych piątkami Żydów. Popychani i bici przez esesmanów, przeszli ulicami Limanowskiego i Wielicką do Płaszowa.

Następnego dnia, pozostałym mieszkańcom getta kazano się zebrać na placu Zgody. Niemcy przeszukiwali domy. Ukrywających się mordowali na miejscu. Zgromadzonych załadowano do aut ciężarowych, które – eskortowane przez esesmanów na motocyklach – pojechały do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Około godziny piętnastej na placu Zgody zostało jeszcze kilkaset osób, które nie zmieściły się do ciężarówek. Wszystkich pognano do obozu w Płaszowie, gdzie zostali tego samego dnia rozstrzelani. Z niemal siedemdziesięciotysięcznej społeczności żydowskiej w Krakowie wojnę przeżyło około tysiąc osób.

Znalazły się i takie osoby, które podczas deportacji Żydów do Auschwitz zbiły fortunę, grabiąc na potęgę ich mienie. Czy był wśród nich Władysław Mazurkiewicz? Wskazują na to liczne poszlaki, ale twardych dowodów brak. Kilkoro zeznających później na procesie mordercy świadków pamiętało, że po likwidacji krakowskiego getta u „Pięknego Władzia" pojawiła się spora ilość wartościowych precjozów ze złota, platynowe bransoletki i kilka pierścionków z diamentami. Sam zainteresowany, siedząc już na ławie oskarżonych, zapytany o kontakty z Niemcami, odpowiedział: „Nie każdy mógł brać udział w zamachu na dowódcę SS w Generalnej Guberni, generała

Wilhelma Koppego, podkładać bomby i malować mury". Po czym z rozbrajającą szczerością dodał: „Ja się do tego nie nadawałem".

*

18 stycznia 1945 roku dowodzone przez marszałka Iwana Stiepanowicza Koniewa wojska 1 Frontu Ukraińskiego zajęły Kraków. Nagle powietrze zaczęło drżeć, przechodnie rozpierzchli się po bramach, z niepokojem spoglądając w górę. Szyby brzęczały coraz głośniej, chociaż na gładkim niebie nie było widać żadnego samolotu. Wtem, w ulice wjechały motocykle żandarmerii. Huk zbliżył się na tyle, że dało się rozróżnić ryk motorów, jazgot i szczęk żelaza. Od wschodu nadjechała kolumna wozów pancernych, dział samochodowych i zmotoryzowanej piechoty. Huk przenikał ciała, zmuszał je do poddania się ogłuszającemu rytmowi łoskotu. Ludzie z przerażeniem patrzyli na ten przepływ żelaza i stali z czerwonymi gwiazdami oraz na żołnierzy, jakby z tej samej materii, co sprzęt, nieludzko nieruchomych. Jeden okupant zmieniał drugiego. Boże zlituj się nad Rzeczpospolitą!

W nowej, powojennej rzeczywistości Mazurkiewicz rozpoczął pracę jako instruktor jazdy, został również... ekspertem sądowym. Przygotowywał dla wymiaru sprawiedliwości orzeczenia z zakresu motoryzacji, jeździł wraz z milicjantami na miejsca wypadków drogowych. Powszechnie tytułowano go w związku z tym „panem inżynierem", czemu – przez grzeczność zapewne – nie zaprzeczał. Pod koniec 1947 roku ożenił się z Heleną Żyłą i zamieszkał w przestronnym mieszkaniu przy placu Biskupim.

Morderca doskonale rozumiał, że kluczem do bezkarności są dobre relacje z władzami. Współpraca ze służbami, podobnie jak w czasach okupacji, nie zaciążyła na jego reputacji. Przeciwnie, kolejny raz przyczyniła się tylko do umocnienia jego pozycji. Do dziś przypuszcza się, że Mazurkiewicz utrzymywał bliskie kontakty z UB, a może nawet z NKWD, mówiono nawet, że był informatorem bezpieki. Plotka była prawdopodobnie fałszywa (próbujący zweryfikować ją historycy IPN nie natrafili na żadne

dokumenty, które jakkolwiek by ją potwierdzały) i nie można wykluczyć, że pochodziła od samego Mazurkiewicza. Wielu traktowało ją jednak bardzo poważnie i w rezultacie nawet jeśli ktoś wiedział coś niecoś o jego „brzydkiej tajemnicy", bał się dzielić tą wiedzą z organami ścigania. W tamtych czasach ludzie często znikali bez śladu i lepiej było się tym nie interesować. Niektórzy podejrzewali później, że lista ofiar „krakowskiego upiora" nie była przypadkowa i zabijał z polecenia władz.

Latem 1945 roku zamordował kolejnego człowieka...

Z Władysławem Brylskim umówił się na transakcję handlową w centrum Krakowa. Stamtąd pojechali jego samochodem na Bielany, w stronę ulicy Konarowej, gdzie wznosi się kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i erem kamedułów. Zabójca zdołał przekonać kontrahenta, że jeden z zakonników ma do sprzedaży większą ilość dolarów. Wjeżdżali na szczyt Srebrnej Góry w południowo-zachodniej części Lasu Wolskiego, nad doliną Wisły, kiedy Mazurkiewicz odwrócił się do pasażera i powiedział:

- Niech pan spojrzy w prawo i zobaczy, jak pięknie wyglądają w słońcu nasze Tatry.

Kiedy zagadnięty odwrócił się, Mazurkiewicz sięgnął do kieszeni po pistolet i strzelił mu w skroń. Następnie zatrzymał pojazd na poboczu i przeszukał ubranie zabitego. Znalazł jedynie sto złotych. Ciało przewiózł na brzeg Wisły, lecz nie mógł się go pozbyć, bowiem wokół kręciło się pełno korzystających z pięknego dnia amatorów słońca i kąpieli. Postanowił więc poczekać. Rozebrał się, wyciągnął z bagażnika koc i ułożywszy na nim czekał spokojnie, aż zrobi się ciemno. Dopiero wtedy wsadził zwłoki do przygotowanego wcześniej worka, obciążył kamieniami i zatopił.

Trzy miesiące później uderzył ponownie. Tym razem na ofiarę upatrzył sobie handlarza walutą, Józefa Tomaszewskiego. Tego zastrzelił w swoim garażu przy ulicy Beliny-Prażmowskiego, obrabował z pieniędzy i rozebrał. Nagie zwłoki wyrzucił z samochodu pod Alwernią. Używał pistoletu Walther PPK kalibru 7,65 mm, przy ostatnich dwóch zabójstwach natomiast (o

których będzie jeszcze mowa) oraz przy próbie pozbawienia życia Stanisława Łopuszyńskiego posługiwał się Waltherem PP kalibru 9 mm.

Przy okazji zabójstwa waluciarza znowu otarł się o wpadkę. Nieszczęśliwie zakopał auto w przydrożnym rowie. Ściągnięci na szybko chłopi pomogli mu wydobyć pojazd, ale zobaczyli przy okazji, jak wyrzuca poplamione krwią ubranie. Któryś zapamiętał nawet numer rejestracyjny samochodu. Milicja nie miała najmniejszych problemów z ustaleniem właściciela. Mazurkiewicz kręcił i plątał się w zeznaniach, podjęto więc decyzję o jego zatrzymaniu. Trafił za kratki, lecz wypuszczono go po kilku dniach. Śledztwo nadzorował jego dobry kumpel, prokurator Edward Jaśko, więc szybko je umorzono, przyjmując, że świadkowie pomylili się, podając którego dokładnie dnia widzieli podejrzany pojazd. Zrabowane Józefowi Tomaszewskiemu 220 tysięcy złotych morderca wydał na grę w karty, resztę na honoraria dla adwokatów.

*

Pod koniec lat czterdziestych Mazurkiewicz znalazł pracę w Polskim Czerwonym Krzyżu. W ramach tego zatrudnienia zaczął podróżować po Europie i wyszukiwać w różnych krajach Polaków rozważających powrót do kraju. Umacniał ich w tym przekonaniu, pomagał załatwiać niezbędne formalności, a następnie organizował drogę do ojczyzny. Przy okazji handlował na wielką skalę walutą, przemycał przez granicę kosztowności i nawiązywał romanse.

Zapewne to właśnie te przygodne związki stały się przyczyną rozwodu z żoną, o który wniosła pani Helena Mazurkiewicz na początku lat pięćdziesiątych. Do tej pory, jak twierdzili na procesie sąsiedzi: „małżeństwo było bardzo zgodne, nigdy się nawet nie kłócili". Jednak nawet po orzeczeniu rozwodu pozostawali w jak najlepszych stosunkach. Pani Helena robiła z byłym już małżonkiem różne interesy i przyjaźniła się z jego kochankami. Do końca zachowała też dobre zdanie o swoim Władku i nawet przed obliczem sprawiedliwości nie powiedziała

o nim ani jednego złego słowa. Chyba dlatego właśnie aktorzy Teatru na Wozie wyśpiewywali po Krakowie niezbyt zgodnie ze stanem faktycznym:

(...) A jeśli która dać mu nie chciała,
Korali, pereł, czy innej mamony,
Wracał do żony.
Ona go zawsze czule przyjmowała,
Różne cukierki wnet jemu dawała,
A kto skosztował z tej ich apteki,
Zasnął na wieki.[1]

Współczesny Kraków różni się od tego miasta z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Przede wszystkim atmosferą. To były czasy terroru bezpieki, politycznych procesów i wszechobecnego strachu. Powstawał jak mgła: kłębił się, rozpływał, potem ginął. Przeważnie ze świtem. W zatrutym powietrzu wisiały wściekłość i nienawiść. Były to lata, kiedy dojrzewało się szybko, a dzieci, które ledwo odrosły od ziemi, miały już spojrzenie starych ludzi. Był to jednak również okres ciemnych interesów, pokątnego handlu i bujnego życia towarzyskiego. Przy odrobinie bezwzględności i dobrych kontaktach, łatwo można było się wzbogacić.

Na rogu Poselskiej i Grodzkiej znajduje się do dzisiaj kamienica, w której można było w opisywanym czasie spędzić miły wieczór przy kartach i wódce oraz liczyć na towarzystwo atrakcyjnych, młodych kobiet. Spotykali się tam panowie z towarzystwa, by pod osłoną nocy oddawać się zakazanym przyjemnościom. Bywali tam lekarze, prawnicy, ale też agenci UB i wszelaka inna swołocz. Pojawiał się również Władysław Mazurkiewicz – zawsze jak spod igły, zawsze szarmancki, czujący się w tej atmosferze jak ryba w wodzie. Brylował, stawiał kolejki i załatwiał różne interesy, zazwyczaj szemrane.

1 Helena Mazurkiewicz pracowała w aptece przy ulicy Retoryka. Śledczy podejrzewali, że to ona dostarczyła Mazurkiewiczowi cyjanek i kobieta przesiedziała niewinnie kilka miesięcy za kratkami.

Trudne lata początków komunistycznej Polski wzmogły jeszcze krakowski spleen i ci spośród mieszkańców królewskiego grodu, którym udało się zachować jakiś kapitalik, na potęgę szukali rozrywki.

„Domy publiczne, kabarety czy nocne kluby miały stałe i liczne grono bywalców, ale istniały lokale, które cieszyły się jeszcze większą estymą, budząc przy tym znacznie silniejsze emocje – piszą Marta Panas-Goworska i Andrzej Goworski w *Balladzie o mordercy z kwiatkiem*. – Były to owe barwnie opisane przez Boya-Żeleńskiego domy gry. Nie zginęły one w czasie drugiej wojny światowej, jak i tuż po niej, i mimo że oficjalnie zakazane, nigdy nie świeciły pustkami. Mało tego, hazard okazał się najbardziej egalitarną z rozrywek i gromadził ludzi, którzy na co dzień nie podaliby sobie ręki. Byli więc wśród graczy zarówno pozbawieni majątków ziemianie, jak i krakowskie mieszczuchy. Naprzeciw bogatych reprezentantów palestry czy lekarzy do kart zasiadali dorobkiewicze, szmalcownicy, a bywało, że i niemieccy oficerowie. Tych po latach okupacji zastąpili ubecy, którzy również lubili się zabawić.

I tak oto w nastrojowych wnętrzach mieszczańskiego salonu czy też w obskurnej piwnicy spotykali się miłośnicy życia i z kartami w jednej ręce i kieliszkiem wódki w drugiej rozgrywali pojedynki. Nagrodą dla zwycięzcy był piętrzący się stos młynarek (tak potocznie nazywało się pieniądz funkcjonujący w Generalnym Gubernatorstwie) bądź polskich złotych. Za plecami rozemocjonowanych mężczyzn gromadziły się zaś sprzedajne damy, albo – w przypadku, gdy gościny udzielali nobliwi prokuratorzy czy lekarze – ich eleganckie żony serwujące drobne przekąski.

Gracze pojawiali się i znikali. Po wielu pozostały tylko historie ich roztrwonionych majątków, jednak prawdziwymi królami owych zakazanych przybytków byli ludzie, którzy hazard mieli we krwi. Ich niekwestionowanym przywódcą był pan w średnim wieku o urodzie amerykańskiego amanta, zawsze w doskonale skrojonym garniturze i z manierami światowca. W latach 40. i 50. jego nazwisko znali wszyscy co bardziej znaczący ludzie w

Krakowie i każdy wiedział, że większego bon vivanta niż on, Władysław Mazurkiewicz, zwany w towarzystwie «pięknym Władziem», próżno by szukać".

Ale na karty, luksus, dziwki, kochanki i obiadki w Wierzynku potrzebne były pieniądze. Pan Władek zmuszony był kontynuować swoją morderczą działalność z czasów nazistowskiej okupacji.

*

Francuski ród de Laveaux osiadł w Polsce w XVIII wieku. Dostarczył nowej ojczyźnie tak wybitnych postaci jak malarz Stanisław Ludwik de Laveaux (1868-1894), jeden z ciekawszych artystów Młodej Polski – którego narzeczoną, Marię Mikołajczykównę, Stanisław Wyspiański przedstawił w *Weselu* jako Marysię, jego samego zaś jako Widmo, czy też generał Ludwik de Laveaux (1891-1969) – dowódca I batalionu 4 Pułku Piechoty Legionów. Władysławowi Mazurkiewiczowi rodzina dostarczyła natomiast aż kilku ofiar do obrabowania.

Jerzy de Laveaux dorobił się majątku na dostawach dla niemieckiej armii. Teraz układał się z młodą komunistyczną władzą, robiąc pod jej okiem grube interesy. Zwano go „Królem czarnego rynku". Jego pechem było to, że mieszkał przy ulicy Biskupiej 14, vis-à-vis Mazurkiewiczów. (Budynek stoi do dziś – na dole znajduje się zakład fryzjerski, na balkonach rosną kwiaty. Nic nie wskazuje na mroczną przeszłość tego miejsca).

Wiosną 1945 roku odwiedził pana Jerzego pewien sowiecki oficer, ofiarując sprzedaż kolekcji znaczków pocztowych, diabli wiedzą komu zrabowanych. De Laveaux nie miał zielonego pojęcia, ile coś takiego może być warte. Wtedy wpadł mu do głowy brzemienny w skutkach pomysł. Postanowił mianowicie zapukać do drzwi sąsiada, pana Władka, o którym mówiono, że zna się na interesach jak mało kto i że z niejednego pieca chleb jadał.

– Na znaczkach się nie znam, handluję czym innym – odrzekł Mazurkiewicz.

– To znaczy czym? – dociekał pan Jerzy.

– Czym się da – usłyszał odpowiedź. – Niech pan wpadnie, jeśli będzie pan potrzebował sprzedać walutę, złoto czy antyki.

– A skórę? – zapytał de Laveaux.

– Jaką skórę?

– Skórę do produkcji butów.

– Z tym to do szewca, drogi panie.

– Który szewc ma dziś skórę, szanowny sąsiedzie? – westchnął ciężko Jerzy. – To deficytowy towar. A z pewnością to już nie całą ciężarówkę...

– Pan chce kupić, czy sprzedać? – w oku pana Władka pojawił się błysk zainteresowania.

– Kupić, miły panie, kupić. Kroi mi się taki jeden większy interes.

– No to jak się panu już wykroi, to niech pan da znać. Spróbujemy coś znaleźć.

Kilka dni później, 29 maja Jerzy de Laveaux zgłosił się do Mazurkiewicza z konkretną propozycją nabycia większej ilości skóry.

– Znam pewnego zakonnika na Bielanach, który dysponuje odpowiednimi zapasami – zapewnił go „Piękny Władek".

W ustalonym dniu zajechał po króla czarnego rynku swoim oplem. Ruszyli w stronę klasztoru Kamedułów.

– Pieniądze pan ma, oczywiście – upewnił się Mazurkiewicz.

De Laveaux nie odpowiedział. Sięgnął tylko do kieszeni marynarki i wyciągnął stamtąd banknot o nominale tysiąca dolarów.

– Tyle powinno chyba wystarczyć.

– Rzadki widok – mruknął Władysław, przyglądając się uważnie banknotowi.

Rzeczywiście, był to niezwykle rzadki okaz, z emisji dokonanej przez skarb USA w 1890 roku. Na awersie widniał portret generała wojsk Północy w wojnie secesyjnej George'a Meade. Na rewersie umieszczono nominał wypisany dużymi grubymi zielonymi cyframi – w tym trzema zerami, które zapewniły banknotowi popularną nazwę „wielkiego arbuza" (Grand Watermelon).

Mazurkiewicz zatrzymał auto na wzniesieniu.

– Silnik nierówno pracuje – wyjaśnił na pytające spojrzenie swego pasażera. – Może trzeba dolać oleju.

Okrążył pojazd i będąc za plecami pana de Laveaux, strzelił mu w tył głowy. Ciało włożył do bagażnika i pojechał nad Wisłę. Musiał trochę poczekać, aż odpłyną barki wydobywające piach z dna rzeki. Potem zapakował trupa w przygotowany wcześniej worek, dodał solidną porcję kamieni i wrzucił do wody.

Żona ofiary, pani Jadwiga de Laveaux, przedwojenna fordanserka, zachodziła w głowę, gdzie też podział się jej małżonek. Z pytaniem tym zwróciła się również do sąsiada z naprzeciwka, sympatycznego pana Władka. Mazurkiewicz zdołał wmówić jej, że Jerzy uciekł najprawdopodobniej na Zachód. Podobno nosił się z tym zamiarem już od dłuższego czasu. Wmówił tak skutecznie, że któregoś wieczoru kobieta nie wróciła już do swego mieszkania, oddając sąsiadowi – jak to mówiono dawniej – swoje wdzięki.

Upłynęło kilka lat. Starzejąca się nieuchronnie pani Jadwiga mieszkała dalej w swym apartamencie przy ulicy Biskupiej, wiodąc życie bogatej rentierki. Opuszczając ją, małżonek zostawił jednak sporo poukrywanej tu i ówdzie gotówki i wiele cennej biżuterii, żeby nie musiała martwić się o przyszłość. Dołączyła do niej przybyła z ZSRS owdowiała siostra, Zofia Suchowa. Potrzebujący wciąż pieniędzy Mazurkiewicz bezbłędnie wyczuł, gdzie są konfitury.

Po dłuższych namowach zdołał przekonać swą kochankę, że w tak niespokojnych czasach, w których przyszło im żyć, niebezpiecznie jest trzymać kosztowności w mieszkaniu. Przede wszystkim było to nielegalne i w razie ewentualnego przeszukania groziło konfiskatą. Sympatyczny pan Władek zaproponował więc, żeby zdeponowała precjoza w jego tajnym schowku. Po konsultacji z siostrą pani de Laveaux uznała to za dobry pomysł.

A czasy rzeczywiście były niespokojne. 5 marca 1953 roku o godzinie 21.50 przestało bić serce Józefa Stalina. Okazało się, że Wielki Językoznawca, Wódz i Nauczyciel ludzi pracy z całego

świata, Koryfeusz Nauki, Największy Geniusz Wszystkich Czasów, etc. etc., wcale nie był – jak sądzili niektórzy – nieśmiertelny. W Związku Sowieckim rozpoczęły się krwawe walki o schedę po nim. Ludzie w Polsce liczyli na zmiany, ale te dopiero miały nadejść. Jak na razie ubecy wciąż rozbijali się po ulicach miast czarnymi „Cytrynkami”[2]. Nadal o świcie do drzwi wielu mieszkań rozlegało się głośne pukanie. Skazani „za politykę” dalej gnili w więzieniach.

*

Cenna biżuteria trafiła wkrótce w ręce Mazurkiewicza, który spieniężył ją natychmiast i starym zwyczajem przehulał w karty. W sumie przejął nie tylko sporą ilość biżuterii, ale także 470 dolarów w banknotach, 160 dolarów w złocie, trzy futra, dywany i srebrną zastawę stołową. Niebawem jednak kobieta zaczęła się domagać zwrotu depozytu. Pan Władek umówił się z nią na 16 maja 1955 roku w swoim garażu przy ulicy Marchlewskiego, gdzie jakoby mieściła się skrytka. Wcześniej, rozkuł betonową podłogę pomieszczenia i wykopał głęboki na metr dół.

Pięćdziesięcioletnia Jadwiga de Laveaux zjawiła się tam około godziny osiemnastej. Gospodarz przyjął ją z wielką galanterią, poczęstował kawą i ciastkiem. Potem poprosił, żeby wsiadła do samochodu, gdyż musi go wyprowadzić z garażu, aby odsłonić skrytkę w podłodze. Kiedy tylko pani de Laveaux zajęła miejsce, obszedł samochód i od tyłu wypalił jej w głowę. Badacze dziejów „krakowskiego upiora” twierdzą, że Mazurkiewicz miał słaby charakter, był zbyt nerwowy i wrażliwy, by podczas zadawania śmieci stanąć twarzą w twarz z ofiarą. Ciało zawinął w dywan i wrzucił do przygotowanego wcześniej dołu. Ponieważ obawiał się, że o wyprawie Jadwigi po depozyt mogła zostać

2 Citroën Traction Avant, zwany popularnie „Cytrynką”, produkowany był przez firmę Citroën w latach 1934-1957. Samochód chętnie wykorzystywany był przez gangsterów (stąd znany był w Europie jako „Gangstalimuzine”), potem także policję i Służby Państwowe, w tym po II wojnie światowej przez polskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Cechą charakterystyczną tego modelu Citroëna był wielki emblemat marki umieszczony na całej szerokości kraty chłodnicy.

poinformowana jej siostra, postanowił również pozbyć się niewygodnego świadka. Zadzwonił więc do Zofii Suchowej.

– Pani siostra źle się poczuła – powiedział. – Prosi, aby pani przyszła.

Posprzątał pomieszczenie i czekał. Suchowa przyszła tuż po dwudziestej drugiej.

– Jak ona się czuje, biedaczka? – załamała ręce.

– Na szczęście już lepiej – uspokoił ją. – Leży tam, w alkowie, za kotarą.

Gdy kobieta odwróciła się, by odsłonić kotarę, zaszedł ją od tyłu i strzałem w potylicę pozbawił życia. Ciało również wrzucił do dołu i zalał betonem.

Zapewne zabijałby dalej, gdyby nie opisana wcześniej, nieudana próba pozbawienia życia Stanisława Łopuszyńskiego 26 września 1955 roku, od którego przyjął pieniądze za kilka cennych zegarków. Kiedy jednak Łopuszyński zjawił się w Krakowie po towar, Mazurkiewicz zaczął piętrzyć problemy. A to musiał wymienić złotówki na dolary, a to dostawca nie dotarł lub na jakiś czas przepadł bez wieści. Prosił o wyrozumiałość, mówił, że nie ma już gotówki, i na poczet przyszłego rozliczenia przekazał handlarzowi złotą omegę (zrabowaną innej ofierze) oraz swego mocno sfatygowanego już opla.

Remedium na te „chwilowe kłopoty" był niekończący się karnawał. „Piękny Władzio" po przejęciu pieniędzy na zegarki zabierał warszawiaka do najlepszych krakowskich lokali, a następnie zawiózł do Zakopanego. W drodze powrotnej strzelił mu od tyłu w głowę z pistoletu. Szczęśliwie dla ofiary, kula zatrzymała się na czaszce. Huk i nagły ból obudziły pana Stanisława. Mazurkiewicz momentalnie ukrył pistolet i wytłumaczył, że chciał tylko zrobić dowcip, więc rzucił w pobliżu petardę, Przedsiębiorę ogarnęła złość, ale nie zorientował się, co się przed chwilą wydarzyło! Ból głowy sprawił, że postanowił udać się do szpitala...

Wszędobylscy dziennikarze odkryli, że ten przedsiębiorczy człowiek pozbierał się po traumatycznym spotkaniu z „krakowskim upiorem" i dwie dekady później przyodział całą

Polskę w produkowane przez siebie najmodniejsze okulary przeciwsłoneczne z obowiązkową naklejką „Italy" lub „France".

Władysław Mazurkiewicz trafił w końcu tam, gdzie jego miejsce, to znaczy do więzienia. Zabijał w Krakowie przez piętnaście lat. Życie straciło sześć osób, dwie cudem przeżyły. Wiadomo, że w postępowaniu przygotowawczym sformułowano przeciwko niemu aż trzydzieści zarzutów, ale z większości musiano się później wycofać, ponieważ nie zdołano zebrać wystarczająco silnych dowodów na ich poparcie. Ostatecznie więc w akcie oskarżenia znalazło się ich tylko osiem. Sześć dotyczyło zabójstwa, dwa – usiłowania zabójstwa.

*

Proces Mazurkiewicza rozpoczął się 6 sierpnia 1956 roku przed Sądem Wojewódzkim w Krakowie. Odbywał się w wielkiej sali oznaczonej numerem 14, zwanej kolumnową. Przewodniczył sędzia Tadeusz Migdał. Dwadzieścia trzy lata wcześniej, w najgłośniejszym procesie II Rzeczypospolitej została tu skazana za zabicie swojej wychowanki Rita Gorgonowa.

Choć był dopiero sierpień, w powietrzu już czuć było zapach tego, co potem nazwano „Polskim Październikiem" – zapowiedź wypuszczenie na wolność głębokiej liberalizacji systemu politycznego, której efektem stało się między innymi wypuszczenie na wolność części więźniów politycznych i duchowieństwa, w tym kardynała Stefana Wyszyńskiego. Odwilż była następstwem śmieci Stalina i związanych z nią zmian w Związku Sowieckim, ujawnieniem tajnego referatu Nikity Chruszczowa na temat stalinowskich zbrodni, wygłoszonego 25 lutego 1956 na XX Zjeździe KPZR, tajemniczej śmierci Bolesława Bieruta 12 marca tego roku w Moskwie, wydarzeń poznańskich w czerwcu i dojścia w Polsce do władzy nowej ekipy rządowej pod przywództwem Władysława Gomułki.

W Chorzowie trwały w tym czasie ostatnie przygotowania do otwarcia gigantycznego Stadionu Śląskiego, w Krakowie Tadeusz Kantor uruchomił awangardowy Teatr Cricot 2, a Piotr Skrzynecki Piwnicę pod Baranami. W Warszawie otwarto klub

studencki Stodoła, Telewizja Polska wyemitowała premierowe wydanie pierwszego polskiego talk-show Tele-Echo. 15 kwietnia władze ogłosiły amnestię (lecz nie dla Mazurkiewicza), skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności pilot myśliwski Stanisław Skalski został uwolniony i zrehabilitowany, aresztowano pierwszych funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, wiceministra Romana Romkowskiego i dyrektora X Departamentu Anatola Fejgina. W Sopocie odbył się I Festiwal zakazanej dotąd muzyki jazzowej. Zapewne tylko ze względu na tę odwilż, artyści Teatru na Wozie ośmielali się śpiewać dalszą część *Ballady o strasznym draniu:*

Nie działo się to, za czasów sanacji
Ale w ludowej naszej demokracji
I władzy w ręku nie dzierżyły pany
Lecz świeckie organy.
Dzisiaj milicję wybieramy z ludu,
Nie szczędzi ona ni pracy ni trudu,
Zlikwidujemy przy niej wszystkie nasze troski
I kult jednostki.

Wtórowały im w Krakowie autentyczne dziady, brzdąkając na mandolinach i zawodząc:

Posłujajcież ludzie, o tem draniu okrutnem
Co niewinne swe zgładził kohankie
A jej siostrę zastrzelił, trupy zalał betonem
W Krakowie jednym letniem porankiem
Mazurkiewicz mu było, a Władysław na imię
Dolarami handlował w kawiarni
Piękną miał lemuzynę, życie lekko mu płynie
W Zakopanem czy innej Jastarni.
Kobiet pełno jest przy niem, w każdym mieście ma lube,
On je kocha a potem morduje
I nie czepia się jego prokurator czy UB
Za sędziego on nawet pracuje.

Aby dotrzeć do gmachu Sądu Wojewódzkiego przy ulicy Poselskiej, trzeba było wcześniej przedrzeć się przez tłumy zgromadzone przy Grodzkiej. Ludzie przyszli zobaczyć na własne oczy tego, o którym przez ostatnich kilka miesięcy czytali we wszystkich gazetach i słuchali w radiu. Atmosfera była napięta, tłum złorzeczył mordercy, złościł się też, że milicja zajmowała się polowaniem na akowców, zamiast chronić społeczeństwo przed „takimi bydlakami".

*

Stały adwokat Mazurkiewicza, pięćdziesięciopięcioletni Henryk Wallisch zrezygnował z jego obrony po odnalezieniu zwłok Jadwigi de Laveaux i jej siostry. Argumentował, że nie pozwala mu na to sumienie. Zadania podjął się prawie osiemdziesięciotrzyletni (ur. 6 grudnia 1873 roku) mecenas Zygmunt Hofmokl-Ostrowski. Wcześniej zyskał sobie sławę jako obrońca karny obdarzony niezwykłym talentem oratorskim, ale także wybuchowym temperamentem.

Jeszcze przed wojną, w procesie przed Sądem Okręgowym w Warszawie, obrażony przez będącego świadkiem w sprawie funkcjonariusza policji, sześciokrotnie wypalił do niego z rewolweru. Sąd, uznając, że nastąpiło to pod wpływem silnych emocji, skazał go na tydzień aresztu.

Mecenas walczył o swojego klienta z gorliwością godną lepszej sprawy, argumentując między innymi, że Mazurkiewicz zabijał obywateli nieprzydatnych państwu, jednostki „drugiej kategorii":

„Jego ofiary (...) to dawni ziemianie, przedsiębiorcy oraz ludzie zajmujący się nielegalnym handlem złotem i dewizami, czyli zgodnie z doktryną humanizmu socjalistycznego, jednostki społecznie niepełnowartościowe. Pozbawienie takiej jednostki życia (...) wypada uznać za czyn mniej szkodliwy niż zabójstwo robotnika i nie godzi się orzekać za nie najwyższej kary".

Twierdził też, że jako urodzony morderca, oskarżony po prostu nie mógł postąpić inaczej. Odwoływał się do popularnej przed wojną antropologicznej teorii przestępstwa, której twórcą był

słynny włoski psychiatra, kryminolog i antropolog Cesare Lombroso. Dowodził, że cechy fizjologiczne jego klienta czynią go zabójcą z urodzenia, który musi zabijać i że nie jest w stanie powściągnąć swoich zbrodniczych instynktów, co z kolei powinno być uznane za okoliczność umniejszającą jego winę.

Niewiele jednak mógł zdziałać. Dowody były dosłownie miażdżące: przedstawiono broń, z której zabójca strzelał, rozpoznali go pokrzywdzeni, którzy przeżyli atak, a on sam przyznał się do winy, choć potem to odwołał. Nie pomogły też Mazurkiewiczowi perfekcyjnie skrojone garnitury i nienaganne maniery. Na nic zdały się koneksje w MO i UB. Co więcej, w trakcie procesu skarżył się nawet, że był bity przez śledczych, zastraszany i szantażowany, iż za kratki trafią jego bliscy. Nie krył, że tylko dlatego przyznał się do winy.

Najważniejszymi świadkami byli Tadeusz Bommer, niedoszły konsument bułki z szynką zaprawionej cyjankiem oraz Stanisław Łopuszyński, pan z kulą w głowie. Można było wyczuć, że ze względu na domniemane koneksje sprawcy, wielu ludzi jeszcze i wtedy bało się mówić. Marek Hłasko, który był sprawozdawcą sądowym z procesu Mazurkiewicza i który również wierzył w jego układy z UB, pisał po latach w Pięknych dwudziestoletnich:

„Proces był jedyny w swoim rodzaju. Mazurkiewicz był szpiclem i prowokatorem UB i świadkowie bali się otworzyć mordę na procesie. Wszyscy wiedzieli, że pan Władzio jest mordercą, ale wszyscy myśleli, że wykonuje wyroki swych mocodawców z UB".

– Z takimi, co ma takie stosunki jak Mazurkiewicz, że będąc zbrodniarzem chodzi po wolności, to lepiej nie zaczynać – stwierdził świadek Franciszek Grabowski.

„Cyniczny gracz życiem ludzkim" – określił Mazurkiewicza w swej mowie końcowej prokurator Zygmunt Piątkiewicz, który jedenaście lat później oskarżał również innego głośnego mordercę spod Wawelu, Karola Kota. Wypełniona po brzegi sala zamilkła, kiedy mówił: „Wysoki Sądzie! Wielki pisarz powiedział kiedyś: nie umiera nigdy zbrodnia, kiedykolwiek była dokonana. Czyż proces ten, straszliwy, ponury proces wielokrotnego

mordercy Władysława Mazurkiewicza nie był ilustracją tych słów? Ujawnił on całą grozę i potworność czynów zbrodniczych oskarżonego. Stanęły przed nami w jaskrawym świetle przewodu sądowego, w świetle nagiej i brutalnej prawdy krwawe widma mordowanych skrytobójczo ofiar. Jawiły się nieubłaganie jak duch Banka przed oczyma całej opinii publicznej, wołając wielkim głosem o pomstę i sprawiedliwość. Jawiły się też przed oczyma Mazurkiewicza, który może po raz pierwszy w życiu ugiął się przed straszliwym widokiem i zamilkł na sali sądowej. (...)

Nie tylko ja, nie tylko cienie mordowanych ofiar, nie tylko wdowy i sieroty po nich, nie tylko rodziny, ale cała opinia publiczna, cały świat pracy miasta Krakowa, zebrany tu, na sali, i tam, na ulicy, piętnuje z obrzydzeniem zbrodniarza i domaga się najwyższego wymiaru kary. Niech krwawe widmo Mazurkiewicza opuści raz na zawsze nasze miasto i jego piękne okolice, wybrzeża Wisły, wały Rudawy, wzgórza bielańskie, miejsca wypoczynku i radości ludzi pracy, które on wypełniał morderstwem i grozą. Niech krwawe widmo Mazurkiewicza opuści raz na zawsze nasze miasto i przejdzie do niesławnej pamięci jako najbardziej zwyrodniały twór tego środowiska, które podeptało godność i cześć człowieka pracy".

Taki też wyrok otrzymał „krakowski upiór". Sędzia Tadeusz Migdał ogłosił go 30 sierpnia 1956 roku. Za zabójstwo każdej ze swych ofiar i oba usiłowania skazany został odrębnie na karę śmierci przez powieszenie. Osiem razy. Pozostałe kary, wymierzone za handel walutą, posiadanie broni bez pozwolenia czy fałszowanie dokumentów, nie miały już właściwie znaczenia. Liczyła się tylko kara łączna: szubienica. Kiedy ogłaszano wyrok, tłumy zgromadzone na ulicach klaskały, wierząc, że oto wraz z wielokrotnym mordercą symbolicznie odchodzi w przeszłość epoka stalinowskiego terroru.

Dokładnie dwa miesiące później, 30 października, Sąd Najwyższy, do którego obrońca skierował apelację, utrzymał wyrok w mocy. Rada Państwa odmówiła prawa łaski.

31 stycznia 1957 roku Władysław Mazurkiewicz miał

obchodzić swe czterdzieste szóste urodziny. Kilka dni wcześniej do jego celi w więzieniu przy ulicy Montelupich zawitał jeden z klawiszy.

– Ile ma pan lat? – zapytał.

– Za parę dni skończę czterdzieści sześć – zameldował skazany.

– No... nie wiem – uśmiechnął się strażnik.

Widać miał jakiś „cynk", bo rzeczywiście, 29 stycznia o godzinie 16.30 kat pociągnął za dźwignię szubienicy i morderca zawisł na sznurze. Jego też do końca nie opuścił odpowiedni fason i dobry humor. Nie omieszkał mianowicie zadbać o to, by legenda „zabójcy-dżentelmena" miała odpowiednio barwne zakończenie. Zapytany o ostatnie słowa, miał podobno powiedzieć:

- Do widzenia, panowie! Niedługo spotkamy się tam wszyscy!

W STYCZNIOWY MROŹNY DZIEŃ

ZABÓJSTWO BOHDANA PIASECKIEGO (1957)

W styczniowy mroźny dzień, wtorek 22 stycznia 1957 roku, piętnastoletni Bogdan Piasecki (ur. 12 sierpnia 1941 r.), wyszedł ze szkoły do domu w towarzystwie trzech kolegów. Wszyscy byli uczniami X klasy należącego do stowarzyszenia PAX katolickiego Liceum Św. Augustyna, mieszczącego się pod numerem drugim przy ulicy Naruszewicza, w warszawskiej dzielnicy Mokotów. – „W czasach »gierkowskich« była to elitarna szkoła, nazywana nieoficjalnie »najlepszym liceum za Żelazną Kurtyną« – wspomina jeden z dawnych uczniów, Piotr Chrościel. – Mieliśmy własny teatr, zespół rockowy, basen, pracownie językowe, siedem godzin języka angielskiego w tygodniu i obserwatorium astronomiczne. Odwiedzała nas młodzież z Wielkiej Brytanii, a na lekcje zapraszani byli zaciekawieni naszą szkołą Amerykanie". W czasach „gomułkowskich", w których właśnie jesteśmy, nie było wprawdzie żadnej angielskiej ani amerykańskiej młodzieży, czy tym podobnych „bezeceństw", ale i tak szkoła była już elitarna.

Minęła właśnie godzina 13.30. Ciężkie, ołowiane chmury wisiały nisko nad Warszawą, przepuszczając tylko niewielką ilość światła. Ogołocone z liści drzewa chwiały się żałośnie, miotane podmuchami ostrego wiatru, który dyszał śmiertelnym zimnem w ciemne okna domów, wpadał do opustoszałych sieni i wydmuchując stamtąd widma minionej chwały miasta, pędził po trotuarach kupy śmieci.

Ludzie palili w piecach, więc wyciekający z kominów brudnoszary dym snuł się po ulicach stolicy, pozostawiając w powietrzu ostry swąd. Przechodnie podnosili kołnierze i przyspieszali kroku, broniąc się przed przenikliwym zimnem. Zwały odgarniętego śniegu zalegały na jezdniach i chodnikach.

Całą Warszawę pokrywało zimowe błoto, takie, z jakim nie może się równać żadne inne błoto na całym świecie. Oklejało ją smutną i odrażającą mazią, wywołując otępienie, skorupiejąc na obuwiu. Jak co roku o tej porze, miasto zamieniło się w bryłę brudnego błota, tonącą w ciemnościach i zimnie źle opalanych wnętrz, w słotnej udręce i w szlamowatej mazi ubóstwa. Tramwaje, autobusy, teatry, kina, ulice, kawiarnie, urzędy, szpitale, wiecznie okutane postacie, przypominające bezkształtne toboły – wszystko to było jakąś karykaturą istnienia, dla której lepsza przyszłość nabierała cech idiotycznego żartu.

Chłopcy poszli ulicą Naruszewicza w kierunku Puławskiej. Na rogu Wejnerta, podszedł do nich jakiś mężczyzna w długim szarym płaszczu z podniesionym kołnierzem i nasuniętym głęboko na oczy kapeluszu.

– Który z was to Piasecki? – zapytał. Jego głos był równie twardy jak wznoszące się wokół kamienne ściany.

– To ja – odpowiedział Bogdan.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni płaszcza legitymację.

– Milicja Obywatelska – rzucił krótko. – Odejdźmy trochę na bok, mam z tobą do pogadania.

Bohdan nie wydawał się wystraszony. Miał raczej wzrok człowieka zdziwionego, myślącego coś w rodzaju: „kurcze, nie wiem, co się dzieje". Obaj skierowali się na ulicę Wejnerta, gdzie czekał drugi mężczyzna, wyglądający jak bliźniak tego pierwszego. Na głowie miał dokładnie taki sam kapelusz, zakrywający połowę czoła, na ramionach identyczny szary płaszcz z podniesionym kołnierzem.

– Patrzcie panowie, typowi tajniacy – powiedział do pozostałych chłopców jeden z kolegów Bohdana, Wojtek Szczęsny.

Janusz Świątkowski i Rysiek Karwański pokiwali tylko ze zrozumieniem głowami. Po chwili Bohdan i dwaj towarzyszący mu mężczyźni wsiedli do czekającej obok taksówki, czarnej Warszawy, która ruszyła z Wejnerta, wjeżdżając w ulicę Malczewskiego. W prowadzonym później śledztwie ustalono (a był to jeden z nielicznych faktów, jakie ponad wszelką

wątpliwość w tym śledztwie w ogóle ustalono), że bocznymi ulicami dojechała do gmachu sądów na ulicy Świerczewskiego 82 A (dziś Solidarności).

Świadkiem opisywanego zdarzenia był również pracownik pobliskiego kiosku, nazwiskiem Henryk Rysak. Człowiek ów próbował potem opisać prowadzącym śledztwo wygląd obydwu mężczyzn w kapeluszach, za co został pobity przez „nieznanych sprawców", w związku z czym odechciało mu się zeznawać. Trzej koledzy Bohdana cofnęli się za podejrzanie zachowującymi się osobnikami i zanotowali numer rejestracyjny taksówki: T-75-222.

Wojciech Szczęsny był najbliższym przyjacielem Bohdana Piaseckiego, w szkole siedzieli w jednej ławce. Tego dnia, 22 stycznia 1957 roku widział go po raz ostatni.

– Bohdan z pewnością zostałby artystą, może kompozytorem – opowiadał po latach. – Jego pierwszy utwór mieścił się na jednej stronie zeszytu nutowego i miał tytuł Marsz żałobny. Był żarliwym katolikiem.

Wojtek wrócił do szkoły, gdzie czekał prawie 45 minut, aż skończy zajęcia młodszy brat Bohdana, Jarek, którego zamierzał zawiadomić o zaistniałym zdarzeniu. Bohdan i Jarosław byli bardzo zżyci ze sobą. W Powstaniu Warszawskim stracili matkę, Halinę, łączniczkę podpułkownika Jana Mazurkiewicza – „Radosława", dowódcy zgrupowania, w skład którego wchodziły największą chwałą okryte bataliony: „Broda 53", „Zośka", „Parasol", „Miotła", „Pięść" i „Czata 49".

Dopóki ojciec nie wrócił z partyzantki, a potem z aresztu, braci wychowywała babcia, Pelagia Piasecka. Bohdan był chłopcem bardzo spokojnym, inteligentnym, należącym do najlepszych uczniów szkoły. Lubił muzykę i naukę języków obcych, był głęboko religijny, zdradzał nawet chęć wstąpienia do seminarium duchownego. Poza bratem Jarosławem i Wojtkiem Szczęsnym nie miał żadnych bliższych przyjaciół.

W rozmowie z Jarkiem, Wojtek nie dał jednak jasno do zrozumienia, że Bohdan mógł zostać porwany. W ten sposób, została stracona pierwsza, cenna godzina, najważniejsza do

wszczęcia poszukiwań. Następnie Wojtek i Jarek udali się do domu Piaseckich przy ulicy Krasickiego 7, gdzie zastali jedynie babcię Bohdana. Ta dopiero poinformowała ojca chłopaka, Bolesława Piaseckiego, który przebywał w tym czasie w swoim biurze. Niezwłocznie po otrzymaniu wiadomości, Bolesław zawiadomił Ministerstwo Spraw Wewnętrznych o porwaniu syna, prosząc o natychmiastowe wszczęcie poszukiwań.

Dwie godziny później, dyrektor Liceum Św. Stanisława, pan Henryk Pacuła otrzymał dziwny telefon:

– Czy uczeń waszej szkoły, Bohdan Piasecki, jest synem Bolesława Piaseckiego? – chciał wiedzieć rozmówca.

– A kto mówi? – zainteresował się dyrektor.

– Ministerstwo Oświaty – padła odpowiedź.

Prawie w tym samym czasie, telefon otrzymał też Bolesław Piasecki:

– W Urzędzie Pocztowym Nr 1, na poste restante znajduje się list do pana – poinformował męski głos po drugiej stronie sznurka, po czym połączenie przerwano.

Piasecki wysłał po list swoich pracowników, którym towarzyszył jeden z dyrektorów departamentu w MSW, wraz z kilkoma oficerami. Autor listu zawiadamiał o uprowadzeniu Bohdana, żądając okupu w wysokości czterech tysięcy dolarów oraz stu tysięcy złotych, po otrzymaniu którego obiecywał zwolnienie chłopca.

*

Porwanie odbiło się szerokim echem w całym kraju, głównie ze względu na osobę ojca uprowadzonego, Bolesława Piaseckiego, o którym z całą pewnością można było powiedzieć jedno, a mianowicie że nie był on przeciętnym zjadaczem chleba. Śledztwem, które było na bieżąco relacjonowane w gazetach, żyła cała Polska.

O Bolesławie Piaseckim wypowiadano się w ówczesnej Polsce bądź to z nienawiścią, bądź z ogromną z czcią. Nigdy obojętnie. „Kiedyś będę rządził Polską” – powiedział podobno kolegom, jeszcze jako uczeń Liceum im. Zamoyskiego w Warszawie. Miał

ambicje. Miał wielką umiejętność kierowania ludźmi. Mówiono nawet o zdolnościach parapsychologicznych...

Bolesław Piasecki, używający w późniejszym czasie pseudonimów „Leon", „Całka" i „Sablewski", urodził się 18 lutego 1915 roku w Łodzi. W 1935 roku ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Jeszcze podczas studiów został kierownikiem Oddziału Akademickiego Obozu Wielkiej Polski oraz działaczem Sekcji Młodych Stronnictwa Narodowego. Był również jednym z założycieli Obozu Narodowo-Radykalnego, a następnie, po rozłamie, przywódcą Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga", głoszącego jawnie poglądy antykomunistyczne i antysemickie. W nocy z 15 na 16 czerwca 1934 roku został roku został internowany w obozie w Berezie Kartuskiej.

Utworzony dopiero co, na mocy rozporządzenia z mocą ustawy prezydenta Ignacego Mościckiego obóz, był „miejscem odosobnienia" przeznaczonym dla osób, „których działalność lub postępowanie daje podstawę do przypuszczenia, że grozi z ich strony naruszenie bezpieczeństwa, spokoju, lub porządku publicznego". Osadzano w nim na podstawie decyzji administracyjnej bez prawa apelacji na okres trzech miesięcy. Osadzenie mogło być przedłużone na kolejne trzy miesiące, aczkolwiek znane są przypadki osadzenia trwającego nawet rok. Oprócz podejrzanych o działalność wywrotową i przeciwników politycznych sanacji, w Berezie Kartuskiej więziono także przestępców gospodarczych lub podejrzanych o takie przestępstwa, pospolitych przestępców – zwłaszcza recydywistów, a w końcowej fazie istnienia także podejrzewanych o dywersję i szpiegostwo na rzecz III Rzeszy.

Zwolniony z obozu po trzech miesiącach, Bolesław Piasecki nadal kierował zdelegalizowanym RNR-Falanga, lansującym program budowy na gruzach ZSRR i Niemiec imperium słowiańskiego, w którym Polska odgrywałaby kluczową rolę. Przemawiając podczas wielkiego wiecu RNR-u, (28 listopada 1937 roku w cyrku braci Staniewskich przy ulicy Ordynackiej w Warszawie) uczynił interesującą dygresję na temat totalizmu:

„Przeciwnicy nasi nazywają nas totalistami – powiedział. – Czynią to przez płytkość, bo nas nie rozumieją, czynią tak świadomie, licząc, że totalizm jest podobno w Polsce niepopularny. Totalizm to pojęcie bardzo ogólne. Totalizmem jest faszyzm, jest hitleryzm i bolszewizm, totalistyczny jest wreszcie ustrój Kościoła Katolickiego. Totalizm może być zły i dobry. Wartość zaś ustroju hierarchicznego państwa zależy od tego, czy potrafi połączyć organizację mas Narodu z życiem organizmu narodowego".

We wrześniu 1939 roku wziął udział w wojnie obronnej jako dowódca plutonu w Warszawskiej Brygadzie Pancerno-Motorowej. Uwięziony przez Gestapo, odzyskał wolność po interwencji kilku wpływowych włoskich rodzin, które znały go jeszcze sprzed wojny.

W czasie okupacji był szefem tajnej organizacji o nazwie Konfederacja Narodu, a także dowódcą Uderzeniowych Batalionów Kadrowych, które stoczyły 32 potyczki z Niemcami. Wcześniej jeszcze, gdy Hitler zaczął realizować zagładę Żydów, Piasecki oświadczył oficjalnie, że zrewidował swoje polityczne stanowisko i porzucił czynny antysemityzm. Działalność przedwojennych organizacji narodowych do dziś uchodzi jednak za jeden z najbardziej mrocznych elementów historii naszego kraju. A trzeba pamiętać, że to właśnie narodowcy, odsądzani od czci i wiary za antysemityzm, w czasie II wojny światowej zapisali również piękną kartę w dziejach stosunków polsko-żydowskich...

Po scaleniu w roku 1943 UBK z Armią Krajową, w stopniu porucznika Piasecki został dowódcą 3 batalionu w 77 Pułku Piechoty AK, walczącym na Nowogródczyźnie. Uniknąwszy szczęśliwie internowania przez Sowietów podczas akcji „Burza" wyjechał do Polski centralnej, gdzie kontynuował działalność konspiracyjną zwróconą przeciwko nowym okupantom kraju i ich czerwonym pachołkom. 12 listopada 1944 roku został aresztowany w Otwocku przez NKWD. Mając w perspektywie niemalże pewny krawat z konopnego sznura, podjął desperacką grę o życie...

Napisał mianowicie list do osławionego generała NKWD Iwana Aleksandrowicza Sierowa, późniejszego (1954-1958) szefa KGB i szefa Wywiadu Wojskowego GRU (1958-1963), jednego z największych zbrodniarzy stalinowskich, odpowiedzialnego między innymi za mord oficerów polskich w Katyniu w 1940 roku. W liście tym Piasecki zadeklarował wsparcie dla reform społecznych wprowadzanych przez komunistyczne władze – reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu oraz chęć wyprowadzania ludzi z podziemia zbrojnego. Opisał także szczegółowo całą swoją drogę życiową – działalność antysanacyjną, obóz w Berezie, aresztowanie przez Gestapo, konspirację i antyhitlerowską partyzantkę.

Młody, charyzmatyczny, narodowy polityk, pozbawiony złudzeń co do celowości walki z ZSRR, wzbudził zainteresowanie sowieckiego generała-mordercy do tego stopnia, że ten raczył pofatygować się osobiście do więzienia na zamku w Lublinie na rozmowę z Piaseckim. Czego dotyczyła ta dyskusja, można się tylko domyślać. Leopold Tyrmand skomentował ją w sposób następujący:

„Odbywała się na pewno w atmosferze owej szczególnej, zaprawionej z lekka brutalnością, kurtuazji, cechującej chwile, w których doniosłość decyzji, maestria politycznych graczy, sumienie, honor i dialektyka splatają się w specyfikę głęboko ukrytego nurtu wydarzeń. Wartość moralna tego nurtu jest jednak w oczach współczesności równa zeru".

Nie wiadomo, jak się dogadali, polski narodowiec z radzieckim generałem od bezpieczeństwa, ale faktem jest, że latem 1945 roku Piasecki odzyskał po siedmiu miesiącach wolność i został jednocześnie polecony nowej władzy PRL. Wkrótce zaczął budować organizację tak zwanych postępowych katolików, której zasadą miała być współpraca z komunistycznym reżymem. Od 1945 roku grupa ta wydawała pismo „Dziś i Jutro", a w 1947 została zarejestrowana jako Stowarzyszenie „PAX" (po łacinie Pokój), otrzymując przy okazji szereg przywilejów od komunistycznej władzy. PAX posiadał prawie monopolistyczne prawo na wydawanie „katolickiej" prasy – tygodniki: „WTK",

„Zorza", „Kierunki" i „Słowo Powszechne", a także wydawnictw książkowych (Instytut Wydawniczy PAX).

W latach stalinowskiej „nocy" PAX zmierzał do uzyskania pozycji jedynego pośrednika pomiędzy władzą a Kościołem oraz zmonopolizowania pod swoją egidą środowisk katolickich. Współpracował z ruchem „księży patriotów", atakował polski episkopat za rzekome dążenie do przywrócenia kapitalizmu, popierał łajdacką parodię procesu kieleckiego biskupa diecezjalnego Czesława Kaczmarka i uwięzienie prymasa Stefana Wyszyńskiego.

W 1953 roku przejął i wydawał „Tygodnik Powszechny" po tym, jak poprzednia redakcja odmówiła zamieszczenia nekrologu pewnego dobrodusznego fajczarza nazwiskiem Józef Stalin. Jednym słowem, w porównaniu z innymi środowiskami katolickimi PAX najściślej realizował politykę kolejnych ekip rządzących Ludową Polską, co prowadziło często do jego konfliktów z hierarchią Kościoła Katolickiego i odejścia z organizacji działaczy przeciwnych takiej działalności. (W 1955 roku część działaczy ugrupowania utworzyła tzw. frondę, która zarzuciła ówczesnemu kierownictwu brak demokracji wewnętrznej, jednoosobowy sposób sprawowania władzy, niewłaściwy system nominacji). W wyniku konfliktu z kierownictwem PAX opuścili między innymi Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Wielowiejski i Janusz Zabłocki.

Naród, przynajmniej wedle Piaseckiego, miał jednak od środka przesiąkać katolicyzmem, co w czasie kilku dziesięcioleci – nie wcześniej – doprowadziłoby do wyzwolenia, a twórcę koncepcji do władzy.

Po przełomie w 1956 roku PAX przybrał bardziej kompromisowe stanowisko. Pozostając częścią systemu władzy (uczestniczył we Froncie Jedności Narodu, a następnie w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego) i popierając posunięcia władz, próbował jednocześnie prezentować katolickie stanowisko, zwłaszcza w takich kwestiach jak nauka społeczna Kościoła i kwestia przerywania ciąży. Współdziałało z nim wielu byłych żołnierzy i oficerów AK. Stowarzyszenie

prowadziło własną spółdzielnię mieszkaniową, działalność wydawniczą – publikując książki, które gdzie indziej nie mogły się legalnie ukazać, utrzymywało jedyne w Polsce świeckie katolickie Liceum Ogólnokształcące pod wezwaniem świętego Augustyna w Warszawie, wspierało materialnie byłych żołnierzy AK i produkowało dewocjonalia, zatrudniając setki osób. O PAX-ie mówiono już wtedy, że jest państwem w państwie; jedynym prywatnym przedsięwzięciem od Władywostoku po Łabę, o Piaseckim zaś, że jest jego królem. W 1965 roku został posłem na Sejm PRL, a w latach 1971-1979 członkiem Rady Państwa. W marcu 1968 roku – wraz z całym PAXem – poparł antyinteligencką i antysemicką nagonkę zorganizowaną przez partyjną frakcję Mieczysława Moczara.

„Wysoki blondyn o oczach niebieskich, otwartych, dobrze zbudowany, o ujmującej twarzy i pełnych godności ruchach wodza Gallów – napisał o nim Leopold Tyrmand w miesięczniku »Świat« w 1956 roku. – Ostatni prasłowiański kniaź polityczny podejmujący swych wasali wśród scenerii z niedźwiedzich skór".

Ojciec Bohdana nie wierzył w wielką siłę sprawczą polskiego Października '56. Dla reformatorów okazał się wrogiem publicznym numer 1, betonowym stalinistą. Dla konserwatywnej frakcji w PZPR – mimo wszystko wrogim, katolickim elementem. Nie ufano mu ani po jednej, ani po drugiej stronie. Zarzucano związek z wywiadem sowieckim, chęć rozbicia Kościoła, totalizm, nacjonalizm, antysemityzm. Krytykom trudno było zracjonalizować fakt, że jednocześnie pomaga uniknąć więzienia kilkuset byłym żołnierzom AK, a uczniowie PAX-owskiego liceum dowiadują się prawdy o wojnie polsko-bolszewickiej lub napaści ZSRR na Polskę w 1939 roku. Dziennikarze oskarżyli PAX i samego Piaseckiego o „uprawianie metod mafii" i „ślepy kult wodza".

Hasła „politycznego realizmu" i osiągania wielkich celów malutkimi kroczkami okazały się jednak z czasem niezwykle skutecznym rozgrzeszeniem dla zwykłego oportunizmu. PAX, szczególnie w latach po stanie wojennym, stał się organizacją katolicką odrzucaną zdecydowanie przez Kościół i organizacją

narodową podejrzliwą wobec narodu, zajadle zwalczającą jego aspiracje, najwierniejszym kolaborantem Jaruzelskiego. Ale Bolesława Piaseckiego nie było już wtedy wśród żyjących...

Bolesław Piasecki był dwukrotnie żonaty. Po raz pierwszy z Haliną Kopeć – żołnierzem Armii Krajowej, dwukrotnie odznaczoną Krzyżem Walecznych. Zginęła 14 sierpnia 1944 roku na Starym Mieście, podczas Powstania Warszawskiego. Miał z nią dwóch synów: Bohdana i Jarosława.

Po raz drugi ożenił się w roku 1948 z Barbarą Kolendo, łączniczką KN, z którą miał pięcioro dzieci: Zdzisława, Ładysława, Bożenę, Marzennę i Halinę.

7 sierpnia 1944 roku zginął podczas walk powstańczych jedyny, młodszy brat Bolesława, Zdzisław.

Poza tym, co w owym mroźnym styczniu 1957 roku wydawało się najistotniejsze, Piasecki był jednym z najbogatszych Polaków...

Jeszcze w grudniu poprzedniego roku, Bohdan zwierzył się kolegom:

– Zdarzyło mi się coś strasznego, ale nie mogę o niczym powiedzieć.

Dwa tygodnie później został porwany.

*

Wspomniany list porywaczy – jak się później okazało – czekał na adresata już od czterech dni. Zgodnie z wyrażoną w nim zapowiedzią, ale dopiero po dwóch dniach, przestępcy zlecili telefonicznie ojcu Bohdana, aby skierował swojego wysłannika z żądaną kwotą do restauracji „Kameralna" przy Foksal, gdzie miał otrzymać dalsze instrukcje. Piasecki przystał oczywiście na warunki okupu. Pieniądze na ten cel zostały uzyskane z kredytu Spółdzielni Wydawniczej PAX, na mocy uchwały Zarządu Stowarzyszenia z 22 stycznia. Dzięki temu w ciągu 24 godzin udało się zebrać całą kwotę, jakiej żądali porywacze. Rozpoczęła się gra rodem z amerykańskich thrillerów.

Wyznaczony wysłannik, ksiądz Mieczysław Suwała, prefekt Liceum św. Augustyna, a wcześniej kapelan Uderzeniowych

Batalionów Kadrowych AK o pseudonimie „Oro", został w restauracji wezwany do telefonu. Poinformowano go, że ma udać się do domu oznaczonego numerem 65 w alei Na Skarpie, gdzie na strychu w pudełku po zapałkach oczekują na niego dalsze instrukcje. Tam znalazł karteczkę z kolejnym adresem: Jakubowska 16. Na Jakubowskiej czekał już na niego następny list, z kolejnymi instrukcjami. Zgodnie z nimi podążył na prawy brzeg Wisły, na Wał Miedzeszyński, gdzie przy ostatnim moście kolejowym miały spoczywać dalsze informacje, a także pantofel Bohdana. Gdy dotarł pod most, znalazł tylko sam pantofel, bez obiecanych wskazówek. I na tym ślad się urwał.

Tego samego dnia wieczorem Bolesław Piasecki otrzymał telefon, w którym porywacze zawiadomili go, że w drzwiach kościoła św. Krzyża zatknięty jest list do niego.

Gdy przewodniczący PAX-u przeczytał go, dowiedział się, iż kwota okupu została podwyższona ze stu do dwustu tysięcy złotych, jako kara za poinformowanie milicji o porwaniu. Jak wynikało z treści listu, porywacze doskonale wiedzieli o towarzyszących księdzu Suwale siedmiu nieoznakowanych radiowozach. Podano też dalsze instrukcje.

Drugi wysłannik Piaseckiego, Ryszard Reiff, prawnik, publicysta oraz działacz Stowarzyszenia PAX, udał się na wyznaczone przez porywaczy miejsce przy słupie milowym na ulicy Marszałkowskiej. W jednej ręce trzymał walizkę z okupem, w drugiej olbrzymie rogi jelenie – zażądany przez sprawców znak rozpoznawczy. (A może kidnaperzy zadbali przy okazji również o to, by biegły w strzelaniu Reiff miał zajęte obie ręce?). Jako obstawę wziął więc ukrytego w bagażniku strzelca wyborowego, Mieczysława Lipkę, kolegę z partyzantki.

Ponieważ nic się nie wydarzyło, żaden kontakt nie został nawiązany, a w okolicach słupa nie było żadnej wiadomości, Reiff poinformował telefonicznie MSW. Otrzymał stamtąd polecenie, by ponownie udał się na umówione miejsce. Tym razem znalazł list, lecz z przerobioną w nim godziną wykonania dalszych czynności. Okazało się później, że w tym czasie pracownicy MSW przejęli list przeznaczony dla Bolesława

Piaseckiego. Następna, podjęta przez Reiffa instrukcja, skierowała go do punktu, gdzie żądający okupu nie zostawili żadnej informacji. Kontakt urwał się.

Upłynęły kolejne trzy dni, podczas których rodzina Bohdana dosłownie odchodziła od zmysłów. Porywacze odezwali się dopiero wieczorem 27 stycznia. Pisarz i publicysta Jan Dobraczyński został telefonicznie poinformowany, że jeżeli Bolesław Piasecki pragnie odzyskać syna, to powinien stawić się u niego w dniu następnym o godzinie 12.00 wraz z okupem. O wyznaczonej porze zjawili się u Dobraczyńskiego przedstawiciele przewodniczącego PAX-u, ale przez sześć godzin nie otrzymali żadnej wiadomości od porywaczy. To był ostatni sygnał od przestępców...

Nagrana na taśmę, wspomniana wyżej pierwsza rozmowa z nimi, przechowywana w archiwach MSW, została z niewyjaśnionych przyczyn wymazana. Koperta z Urzędu Pocztowego nr 1 oraz znalezione przez księdza Suwałę listy zostały przesłane do Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO celem przeprowadzenia badań. Pracujący tam eksperci ujawnili na nich kilka odcisków palców, jednak dowody te w tajemniczy sposób zaginęły.

Dopiero 28 stycznia należące do PAX-u „Słowo Powszechne" uzyskało od cenzury zgodę na codzienne drukowanie ogłoszenia, w którym zwracano się do czytelników z prośbą o pomoc w odzyskaniu Bohdana. Podawano zdjęcie i rysopis.

„Wzrost 183 cm, włosy – szatyn, oczy niebieskie, rzęsy ciemne, nos lekko zadarty. Przedni ząb górnej szczęki jest doprawiony nylonem (ukośna linia, sztukowanie widoczne), palce długie, chód prosty. Ubrany w palto jasnopopielate z paskiem (samodział), czapka uczniowska nowa, rękawiczki ciemnozielone z jednym palcem, spodnie narciarskie granatowe, buty duże narciarskie ciemnobrązowe, na ręku zegarek marki Thiell z ciemnym paskiem, teczka brązowa skórzana, czarny worek z pantoflami, pantofle płócienne popielate, rozmiar 44–45".

Redakcja przypominała o nagrodzie w wysokości 200 tysięcy

złotych. Podawano telefony redakcji: 81985 i 86011 wew. 30, czynny całą dobę.

Na początku lutego rodziną Piaseckich wstrząsnęła publikacja w tygodniku „Dookoła świata". W artykule *Zagadka cichej uliczki* autorzy sugerowali, że porwanie zostało sfingowane przez mataczącego ojca, a Bohdan przebywa za granicą razem z matką:

„Po Warszawie krążą plotki, iż przed trzema laty, Bohdan miał w poszukiwaniu przygód próbować ucieczki na szwedzkim statku za granicę – twierdzili trzej wyżej wymienieni panowie – (...) Dlaczego [porywacze] żądali dolarów? Czyżby chcieli uciec za granicę? Jeżeli tak, to dlaczego podali tak niską (jak na stosunki zagraniczne) sumę? (...) Gdzie jest Bohdan Piasecki? W Warszawie, poza Warszawą, za granicą?"

Było wszak jasne, że wszystkie artykuły podlegają centralnej cenzurze, a władza doskonale wiedziała, że Halina Piasecka (Kopeć) zginęła w powstaniu, zaś ojciec z rozpaczy odchodzi od zmysłów. Wyglądało to na celową dezinformację. Autorami artykułu byli Zdzisław Szakiewicz i Leszek Moczulski. Kiedy w latach siedemdziesiątych Romuald Szeremietiew organizował na wniosek Bolesława Piaseckiego lokalną strukturę PAX w Poznańskiem, Piasecki odrzucił jakąkolwiek możliwość współpracy z Moczulskim, późniejszym twórcą KPN.

W tę dezinformującą kampanię włączyło się także – zapewne również „wpuszczone przez kogoś w maliny" – Radio Wolna Europa, twierdząc w jednej ze swoich audycji, że Bohdana porwała... matka i wywiozła cichcem do Ameryki.

Do siedziby PAX-u zaczęli się również zgłaszać różni „dziwni" ludzie, utrzymujący, iż są w kontakcie z przestępcami i mogą odpłatnie pomóc ojcu w odzyskaniu dziecka. Część z nich przedstawiała nawet rzekome listy od uprowadzonego chłopca. Na przykład niejaka Maria Chrapowicka przekazała pracownikom Stowarzyszenia datowany 9 marca 1958 roku list następującej treści:

„Drogi Tatusiu!

Bardzo tęsknię i chciałbym żebyśmy jak najprędzej byli znowu razem. Zawdzięczając Pani Chrapowickiej, mogę skreślić tych

kilka słów. Chcę zawiadomić, że mimo ciężkich przejść, jakich doświadczyłem, czuję się ze zdrowiem nieźle. Stale żyję nadzieją powrotu do domu. Wierzę, że już się niedługo zobaczymy. Proszę uważać na swoje otoczenie – tam przyjaciół nie ma! Proszę ucałować Babcię. Uściskam Tatusia. Bogdan" [zgodnie z oryginałem, tak właśnie: nie Bohdan, lecz Bogdan].

Oczywiście większość z utrzymujących, iż mogą pomóc w odnalezieniu chłopca, okazała się zwykłymi oszustami, starającymi się wykorzystać rozpacz rodziny uprowadzonego dziecka. Inni zapewne zostali tam przysłani przez sprawców, z zadaniem spowodowania jeszcze większego chaosu w prowadzonym śledztwie.

*

Równocześnie z zawiadomieniem milicji i próbami wykupienia Bohdana, ludzie Bolesława Piaseckiego rozpoczęli poszukiwania sprawców na własną rękę. Jedynym śladem, jakim dysponowali, był numer taksówki, którą posłużyli się porywacze, a który zapamiętali koledzy Bohdana. Jednakże na pytanie skierowane do władz bezpieczeństwa o personalia dysponenta taksówki nadeszła odpowiedź, iż podany numer jest nieaktualny. Wtedy pracownicy PAX-u wyruszyli na miasto w poszukiwaniu samochodu, użytego przez porywaczy. Jeden z pracowników Stowarzyszenia, Gustaw Kitzman, na polecenie Bolesława Piaseckiego udał się do Wydziału Komunikacji, gdzie dowiedział się, że auto należy do Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówkowego. To jednak również nie wystarczyło milicjantom do ustalenia nazwiska kierowcy...

22 stycznia, późnym wieczorem, inny pracownik PAX-u, Tadeusz Anderszewski, znalazł po krótkich poszukiwaniach samochód o rejestracji T-75-222 na ulicy Nowy Świat. Kierowca został zatrzymany przez MO na ulicy Wilczej i przewieziony na komendę. Okazało się jednak, że za kierownicą nie siedział dysponent, lecz jego zmiennik. W wyniku dalszych czynności ustalono w końcu nazwisko dysponenta, którym okazał się niejaki Ignacy Ekerling – jeżeli nie uczestnik, to w każdym razie

koronny i jedyny znany świadek porwania.

Następnego dnia został on przesłuchany w charakterze świadka. Zeznał, że krótko po godzinie 13 taksówkę wynajął nieznany mu mężczyzna, który najpierw kazał zawieźć się z ulicy Żelaznej do budynku sądów przy Alei Świerczewskiego. Tam do pojazdu miał wsiąść drugi pasażer, niższy od pierwszego. Ten, który znalazł się w samochodzie pierwszy, nakazał jazdę w kierunku Mokotowa, na ulicę Naruszewicza, a potem na ulicę Wejnerta. Następnie – jak zeznał Ekerling – pasażer, który wynajął taksówkę, wysiadł z niej, a drugi stanął tuż za tylnym światłem samochodu. Po około pięciu minutach ten pierwszy wrócił z młodym człowiekiem. Wszyscy wsiedli do auta, po czym Ekerling zawiózł ich z powrotem przed gmach sądu w Alei Świerczewskiego. Tam wszyscy wysiedli i udali się w kierunku budynku.

Wynajmujący pasażer zapłacił za kurs 35 złotych, a w drodze powrotnej rozmawiał ze swoim kolegą o wysokich cenach biletów na występy zagranicznych piosenkarzy oraz o księdzu, który miał sprawę o alimenty. Chłopiec w czasie jazdy nie odzywał się.

Łatwo dało się zauważyć, iż zeznania kierowcy są pełne sprzeczności, w wielu punktach nie zgadzają się z wersjami przedstawionymi przez innych świadków. Dotyczyło to między innymi miejsca i czasu postoju auta na ulicy Wejnerta oraz tego, kto i w jakiej konfiguracji siedział w taksówce. Ekerling nie był także w stanie podać dokładnego rysopisu obu mężczyzn, co było zastanawiające, zważywszy, iż z jednym z nich rozmawiał i spędził w samochodzie co najmniej 40 minut. Twierdził również, że w dniu porwania jechał taksówką o rejestracji T-75-222 po raz pierwszy, jako kierowca rezerwowy. Jak później udowodniono, twierdzenie to nie odpowiadało prawdzie, wymieniony pojazd otrzymał bowiem już 21 stycznia, a 22 stycznia jeździł nim po raz drugi.

W konfrontacji z innymi świadkami Ekerling zmieniał swoje zeznania co trochę, w zależności od przedstawianych mu dowodów. Podczas któregoś z przesłuchań wypalił: „Bardziej niż

was boję się tych, którzy użyli mojej taksówki".

Wątpliwości budziła także trasa, jaką wybrał, dowożąc porywaczy i Bohdana Piaseckiego do gmachu sądów. Wyglądała ona następująco: ul. Wejnerta – Malczewskiego – Puławska – Polna – Plater – Świętokrzyska – Trasa NS – Al. Świerczewskiego. Była to droga niezwykle uciążliwa i niewygodna dla kierowcy, ale wykorzystując ją, Ignacy Ekerling mógł ominąć sygnalizację świetlną oraz posterunki milicji.

Pod koniec stycznia, w miejscu porwania odbyła się z udziałem Ekerlinga wizja lokalna. Protokół z tego wydarzenia zaginął i nie został dołączony do akt sprawy. Wiadomo jednak, że nie został on przekazany Ekerlingowi do podpisu, dzięki czemu mógł on później zaprzeczyć złożonym przez siebie zeznaniom. 2 lutego przeprowadzono drugą wizję lokalną z udziałem kolegów Bohdana, Szczęsnego, Świątkowskiego i Karwańskiego. Zarówno chłopcy, jak również inni świadkowie porwania – kioskarz Henryk Rysak oraz przechodzień Andrzej Nowakowski – nie rozpoznali w Ekerlingu kierowcy taksówki. Twierdzili z całą pewnością, że w momencie uprowadzenia nie było go w aucie.

Pomimo faktów jednoznacznie wskazujących na współpracę taksówkarza z porywaczami, władze nie zdecydowały się na jego aresztowanie. Najmniejszych podejrzeń nie wzbudził także fakt, że wysłał on bagaże za granicę i sprzedał mieszkanie. Otrzymawszy bez przeszkód zgodę na wyjazd emigracyjny, w marcu 1957 roku odebrał paszport. Następnie 4 kwietnia wyjechał z Warszawy, udając się spokojnie do Zebrzydowic z zamiarem opuszczenia kraju.

Dopiero wskutek interwencji Bolesława Piaseckiego (którego początkowo poinformowano, że jest to tylko plotka, później zaś, że Ekerling jedzie do Szczecina), Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uniemożliwiło taksówkarzowi przekroczenie granicy. Wcale nie został jednak aresztowany. Zawrócony z przejścia granicznego powrócił do Warszawy, gdzie przez prawie rok (do 1 kwietnia 1958) przebywał na wolności. Dalej pracował w Miejskim Przedsiębiorstwie Taksówkowym, otrzymał nawet większe i nowocześniejsze mieszkanie

służbowe. Co było szczególnie zaskakujące, wniosek o przydział lokum zgłosił nie do zakładu, w którym był zatrudniony, lecz... do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Świadkowie zaczęli mieć kłopoty. Matka Wojtka Szczęsnego odebrała telefon z pogróżkami: Jeśli syn powie, co widział, spotka go dotkliwa krzywda. Wkrótce nieznani sprawcy pobili chłopca pod drzwiami domu, w którym mieszkał. Szczęsny próbował popełnić samobójstwo, ale został odratowany. Rodzice, ciężko doświadczeni w latach stalinizmu, przenieśli go do innego liceum. Inny świadek, kioskarz Henryk Rysak, jak zeznał, był w tym czasie śledzony przez nieznaną mu osobę.

W październiku 1957 roku, widząc brak postępów w śledztwie grupa działaczy społecznych (w sumie 64 osoby), wystosowała list otwarty do ówczesnego prokuratora generalnego PRL Andrzeja Burdy. Pod listem podpisali się między innymi Roman Brandstaetter, Ludwik Chmaj, Jan Dobraczyński, Pola Gojawiczyńska, Jarosław Iwaszkiewicz, Alfons Klafkowski, Witold Lutosławski, Stanisław Mackiewicz, Gustaw Morcinek, Antoni Pajdak, Wilhelm Szewczyk i Jerzy Zawieyski. Kopie listu przesłano I Sekretarzowi KC PZPR Władysławowi Gomułce oraz premierowi Józefowi Cyrankiewiczowi. Wysłano ją również do kilku wiodących gazet, z prośbą o publikację, czemu – oczywiście – sprzeciwili się urzędnicy cenzury z ulicy Mysiej.

Kolejne listy: do Władysława Gomułki, zastępcy prokuratora generalnego Jana Wasilewskiego, przewodniczącego Rady Państwa Aleksandra Zawadzkiego, premiera Józefa Cyrankiewicza i wiceministra spraw wewnętrznych Mieczysława Moczara, słał również sam Bolesław Piasecki. Skarżył się w nich na działalność MSW i wnosił o ponowne sprawdzenie dowodów rzeczowych. Wszystko na próżno, żaden z wymienionych panów nie tylko, że nie kiwnął w sprawie palcem, ale nie raczył nawet udzielić odpowiedzi.

Wiosną 1958 roku ktoś widać czegoś nie dopatrzył dokładnie i śledztwo w sprawie uprowadzenia Bohdana Piaseckiego przejął inny prokurator. Natychmiast zaczęło ono przynosić pewne efekty. 1 kwietnia aresztowano Ignacego Ekerlinga, czego

skutkiem było uzyskanie dalszych obciążających go dowodów. W trakcie rewizji w jego mieszkaniu odkryto szereg zapisków, zawierających między innymi dane osób zamieszkałych w domach, w których porywacze pozostawiali wskazówki dla współpracowników Bolesława Piaseckiego na temat miejsca przetrzymywania jego syna. Okazało się, że dziwnym trafem z wszystkimi tymi osobami Ekerling utrzymywał bliską znajomość. Byli to: Zygmunt Rodziewicz, ówczesny dyrektor MPT, zamieszkały przy ulicy Na Skarpie 65 oraz Bernard Szewc, mieszkający przy ul. Jakubowskiej 16, znajomy kierowca.

W notatniku Ekerlinga znaleziono także odręczny rysunek przedstawiający róg ulic Wejnerta i Naruszewicza oraz dane znajomych mu pracowników SB: Jana Toruńczyka i Józefa Kostańskiego, a także numery telefonów innych „esbeków: płk. Dorozdzieckiego, który mieszkał przy Naruszewicza, blisko miejsca porwania oraz Jana Kossowskiego. Znaczenie tego numeru wyjaśniło się, gdy 8 grudnia 1958 roku, przy okazji remontu piwnic domu nr 82 A przy al. Świerczewskiego,

Wymienionych funkcjonariuszy oraz obydwu lokatorów nie udało się jednakże przesłuchać, gdyż wszyscy dziwnym trafem wyjechali wcześniej do Izraela.

W zapiskach Ekerlinga odnaleziono również numer telefonu: 4-03-68, należący do lekarki Bożeny Błażewicz, zamieszkałej przy ul. Naruszewicza 24 B, w bezpośrednim sąsiedztwie skrzyżowania, na którym dokonano porwania.

Przez cały czas wszyscy zadawali sobie jedno podstawowe i najważniejsze pytanie: czy uprowadzony Bohdan Piasecki ciągle jeszcze żyje? Odpowiedź na nie przyszła 8 grudnia 1958 roku...

*

Tego dnia dwaj hydraulicy dokonywali przeglądu stanu sanitarnego budynku przy ulicy Świerczewskiego 82 A. Gdy zauważyli zabite gwoździami drzwi, wiodące do pomieszczeń sanitarnych – umywalni i dwóch ubikacji, postanowili sprawdzić, co się za nimi kryje. Po ich wyważeniu ukazał się wstrząsający widok: w ubikacji leżały zmumifikowane na skutek panujących

warunków zwłoki młodego chłopca. Ułożone były w pozycji siedzącej, oparte o miskę klozetową. Obok niego leżały książki i zeszyty szkolne oznaczone nazwiskiem Bohdana Piaseckiego. W lewej części klatki piersiowej tkwiło szesnastocenymetrowe ostrze sztyletu o drewnianej rękojeści.

Sprowadzona na miejsce milicja od razu rozpoznała ubranie nieżyjącego: jesionkę w jodełkę i charakterystyczne zimowe buty z białymi sznurowadłami. Ciało zostało zidentyfikowane przez rodzinę, przebadał je także stomatolog chłopca, który rozpoznał wstawione przez siebie plomby.

Jak ustalono podczas sekcji zwłok, chłopiec został ogłuszony silnym uderzeniem nieokreślonego bliżej, tępego narzędzia w głowę. „Jego efektem było szczelinowate pęknięcie kości ciemieniowej lewej, przechodzące przez łuskę kości skroniowej lewej na podstawę czaszki oraz szczelinowate pęknięcie w obrębie siodełka tureckiego i rozluźnienie szwu wieńcowego lewego". Klinga sztyletu ominęła serce, ale przebiła lewe płuco. Ponieważ nie udało się ustalić bezpośredniej przyczyny zgonu, dlatego też przyjęto, że śmierć nastąpiła zarówno na skutek ciosów zadanych tępym narzędziem, jak i rany kłutej.

Bohdan Piasecki został zamordowany najprawdopodobniej w dniu uprowadzenia. Wskazywał na to brak śladów potu na bieliźnie, kołnierzyku i mankietach koszuli ofiary. Dokonana przez biegłych rekonstrukcja wydarzeń pozwoliła ustalić następujący przebieg wypadków:

Chłopca zawieziono do budynku oznaczonego numerem 82A przy ul. Świerczewskiego i prawdopodobnie przetrzymano w jednym z mieszkań. Tam też ogłuszony został ciosem zadanym jakimś tępym narzędziem w głowę, a następnie zniesiony do ubikacji w piwnicy i ugodzony sztyletem w lewą część klatki piersiowej. Na podstawie oględzin ubrania ustalono, że czas od momentu porwania do zgonu był krótki (najprawdopodobniej Bohdan został zamordowany jeszcze w dniu uprowadzenia); ubranie nie miało charakterystycznych śladów świadczących o dłuższym noszeniu. „Trudno przyjąć założenie – opisywali biegli – że ofiara została rozebrana z garderoby i dopiero tuż przed

śmiercią ubrana na powrót (...) W tym kontekście pozorowanie uprowadzenia na tle rabunkowym dowodzi, iż było to przemyślane działanie sprawców mające na celu zmylenie tropu, gdyż porywacze nie próbowali nawet podjąć żądanej sumy pieniędzy".

Przesłuchania mieszkańców budynku nie przyniosły żadnych efektów. Ustalono jednak, że mieszkanie nr 120 było własnością działu gospodarczego Komendy Miejskiej MO, podlegającego wspomnianemu wcześniej Janowi Kossowskiemu, którego nazwisko znajdowało się w notatkach Ekerlinga. Jak stwierdzono, z lokalu tego można było w łatwy sposób przejść klatką schodową do korytarza piwnicznego. Jana Kossowskiego nie udało się jednakże przesłuchać, ponieważ w niedługim czasie po porwaniu Bohdana Bohdana Piaseckiego odszedł ze służby w organach milicji, zaś jesienią 1957 roku... wyjechał do Izraela.

W sierpniu 1957 roku zamordowano w nigdy niewyjaśnionych okolicznościach Franciszka Goca, mieszkającego naprzeciw gmachu Sądów tj. w pobliżu miejsca, gdzie zakończyła swoją trasę taksówka i gdzie w półtora roku później znaleziono zwłoki chłopca.

Pod ciśnieniem wszystkich zgromadzonych w sprawie dowodów, Prokuratura Wojewódzka w Warszawie zdecydowała się wnieść akt oskarżenia przeciwko Ignacemu Ekerlingowi. Do Sądu Powiatowego dla m. st. Warszawy (Wydział IX Karny) wpłynął on 30 września 1959 roku. Taksówkarz został w nim oskarżony o to, że: „Dnia 22 stycznia 1957 r. w Warszawie udzielił pomocy w pozbawieniu wolności Bohdana Piaseckiego w szczególności przez to, że dostarczył sprawcom obsługiwany przez siebie samochód osobowy Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówkowego, oznaczony numerem rejestracyjnym T-75-222 , dla uprowadzenia Bohdana Piaseckiego, tj. o przestępstwo z art. 27 i 248 §1 KK".

Rozprawa została wyznaczona na 20 i 21 listopada 1959. Tuż przed nią, prokuratura zwróciła się do sądu z prośbą o zwrócenie akt śledztwa w celu ich uzupełnienia. Prośbę motywowała tym, że w sprawie wyszły na jaw nowe

okoliczności, które należy rozpracować w trybie śledczym. Wobec tego Sąd Powiatowy skierował sprawę na posiedzenie niejawne, podczas którego uwzględnił wniosek prokuratury. Sąd wskazał, że odkryto powiązania Ekerlinga ze światem przestępczym, przestępstwa dewizowe oraz znajomość z osobami mieszkającymi w budynkach, w których porywacze pozostawiali wskazówki ludziom Piaseckiego.

Interwencję w sprawie wycofania aktu oskarżenia podjął Jerzy Albrecht, sekretarz KC PZPR, któremu podlegał nadzór nad pracą organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości. Jego decyzję wykonał Antoni Alster, wiceminister spraw wewnętrznych. Jak twierdzi brat Bohdana Piaseckiego, Jarosław, śledztwo zostało umorzone na polecenie premiera Józefa Cyrankiewicza. Zgodę na odstąpienie od ścigania Ignacego Ekerlinga wyraził sam Władysław Gomułka, I sekretarz KC PZPR, po interwencji Romana Zambrowskiego, członka Biura Politycznego Komitetu Centralnego. Potwierdza to relacja Zenona Kliszki, członka Biura Politycznego KC PZPR:

„Faktycznie przyszedł Zambrowski z tym do Wiesława, że jak odbędzie się rozprawa sądowa powstanie fala antysemityzmu, ale myśmy się wspólnie zgodzili, że sprawy nie powinno być" [Zygmunt Przetakiewicz – Od ONR-u do PAX-u, Wydawnictwo Książka Polska, Warszawa 1994].

I właściwie na tym sprawa się skończyła. Kilka tygodni później Ignacy Ekerling został zwolniony z aresztu i chociaż do swej śmierci w latach siedemdziesiątych pozostawał – jak należy przypuszczać – pod ścisłą kontrolą Służby Bezpieczeństwa, nie był już w sprawie Bohdana Piaseckiego poważniej niepokojony. Również ludzie, którzy w taki czy inny sposób przewinęli się przez sprawę, opuścili z reguły Polskę na fali emigracji przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Odpowiedzialni za tę zbrodnię nigdy nie zostali odnalezieni i ukarani mimo intensywnych wysiłków Bolesława Piaseckiego. Sprawców nie udało się ustalić do dziś.

Dotknięty tragedią ojciec zachowywał przez cały czas kamienną twarz pokerowego gracza. Ten zadziwiający spokój

widać również na zdjęciach z pogrzebu Bohdana na warszawskich Powązkach. Otoczona tłumami, zapłakana najbliższa rodzina i posągowy Bolesław. Tylko stenogramy z podsłuchów, dostępne historykom po pięćdziesięciu latach, pokazują, jak nieracjonalnych rozwiązań chwytał się, by odzyskać syna i z jaką obojętnością najwyższe władze dawały odpór jego prośbom o interwencję.

Porwanie i zabójstwo Bohdana Piaseckiego jest jedną z najbardziej tajemniczych i mrocznych, niewyjaśnionych zbrodni w najnowszej historii Polski. Jest to tym bardziej ciekawa sprawa, że miesza się w niej przestępstwo kryminalne z wielką polityką i wpływami służby bezpieczeństwa. Przez wiele lat był to temat tabu. Nie chcieli o niej mówić zarówno zamieszani w zbrodnię komuniści, jak i środowiska kształtujące opinię publiczną w III RP, związani głównie z filosemicką filozofią Unii Wolności.

„Piasecki i jego działalność jest dla tych ludzi złem absolutnym – powiedział historyk i działacz społeczny, Jan Krzysztof Żaryn. – Nie zależy im więc specjalnie na tym, żeby robić z niego męczennika".

*

Na temat tego, kto porwał i zamordował Bohdana Piaseckiego, pojawiły się na przestrzeni lat najrozmaitsze, mniej lub bardziej głupie teorie. Wysuwano na przykład hipotezy, iż dziecko porwali byli żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych, rozłamowcy z PAX-u na czele z Tadeuszem Mazowieckim, zwykli przestępcy z myślą o okupie, agenci obcego wywiadu, a nawet sam ojciec, który wypowiadał się na temat domniemanych motywów i sprawców zabójstwa swego syna w sposób następujący:

„Zasadnicza moja hipoteza, która według mojego przekonania jest prawdopodobna w 90%, wyraża się w przekonaniu, że porwania mego syna dokonali ci, w których interesie ideowo-politycznym leżało zniszczenie PAX-u i którzy zorientowali się, że atmosfera polityczna zimy 56 roku na 57 rok daje im szanse próby wykonania swojego planu. Zwrócić należy tu jednocześnie

uwagę, że w dniu 2 stycznia 1957 roku nastąpił fakt polityczny, który przesądził o nie udaniu się zniszczenia PAX-u metodami administracyjnymi. Ludzie, którzy dokonali porwania, musieli o tym fakcie wiedzieć, co nie było zresztą trudne i dlatego zdecydowali się zastosować środek zbrodniczy".

Żadna z tych hipotez nie ma jednak pokrycia w faktach. Żadnej nie udało się jednoznacznie odrzucić lub potwierdzić.

Jak ustalono podczas śledztwa, przyjacielem szwagra Ignacego Ekerlinga – Mieczysława Katza, był zamieszkały w Łodzi przestępca Michał Barkowski (vel Robert Kalman). Według jednej z wersji wydarzeń, to właśnie on, razem z byłym funkcjonariuszem SB Stefanem Łazorczykiem, uprowadził i zamordował Bohdana Piaseckiego.

Aby zrozumieć tło polityczne porwania Bohdana Piaseckiego, należy przypomnieć sobie atmosferę, jaka panowała w Polsce z końcem 1956 roku. W wymienionym okresie istniały dwa potężne środowiska atakujące dotychczasową działalność Bolesława Piaseckiego i Stowarzyszenia PAX. Pierwszym było środowisko liberalizujących intelektualistów i dziennikarzy, którzy w okresie październikowej odwilży rozpętali szeroką kampanię prasową wymierzoną przeciw ideologii, a przede wszystkim działalności Stowarzyszenia. Drugim – część wysoko postawionych działaczy partyjnych, określanych jako frakcja puławska, którzy dążyli do likwidacji PAX-u. „Przebieg porwania, podobnie jak śledztwo dowiodły, że sprawcy, jeżeli wywodzili się czy też byli powiązani z którymś z dwóch wymienionych wyżej środowisk, to raczej z frakcją puławian" – napisali Antoni Dudek i Grzegorz Pytel w artykule *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej.*

Motywem porwania i zabójstwa była zapewne zemsta na Bolesławie Piaseckim, za jego przedwojenną, antysemicką działalność. Podejrzewano także osoby zamieszane w próbę wyłudzenia okupu zatrudnione wcześniej w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (tzw. żydowska frakcja w MSW, na czele której stał wiceminister Antoni Alster, obarczany zresztą odpowiedzialnością za zbrodnie na wielu Polakach). Według

jednej z hipotez, zabójstwa dokonała grupa funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa pochodzenia żydowskiego. Mogło też chodzić o rozgrywki frakcyjne w aparacie bezpieczeństwa, a zabójstwo mogło nie być planowane.

Peter Raina, autor książki *Sprawa zabójstwa Bohdana Piaseckiego* [PAX, Warszawa 1989], zastanawia się, czy w sprawę zamordowania Bohdana nie była zaangażowana organizacja „Nekama" (hebr. Zemsta), założona rzekomo przez Szymona Wiesentahla. Jej zadaniem było ściganie byłych nazistów, za jednego z których niestrudzony łowca hitlerowskich zbrodniarzy wojennych uznawał między innymi Bolesława Piaseckiego. O fakcie istnienia „Nekamy" poinformował publicznie w 1960 roku Bernard Mark, dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego.

„Kluczem do zrozumienia tego faktu jest narodowość sprawców – powiedział Raina. – To, że byli Żydami, nie pasuje do pewnej wizji świata. Kiedy napisałem pierwszą książkę o Bohdanie, mnie też, chociaż jestem Hindusem, oskarżono o »polski antysemityzm«. Zbrodnia, niezależnie czy popełnił ją Polak, Chińczyk, Żyd czy Niemiec, pozostaje jednak zbrodnią".

Jan Krzysztof Żaryn stwierdził, że porwania bez wątpienia dokonały osoby pochodzenia żydowskiego, a motywem zabójstwa mogła być chęć zemsty za działalność Bolesława Piaseckiego w okresie międzywojennym i podczas II wojny światowej. W 1937 roku, w wyniku starcia pomiędzy Falangą a Bundem podczas pierwszomajowej manifestacji na ulicy Smoczej w Warszawie, zginęła podobno ośmioletnia żydowska dziewczynka... Dowodzone przez Piaseckiego Uderzeniowe Bataliony Kadrowe miały się jakoby dopuszczać podczas wojny zbrodni na Żydach w lasach Podlasia. Jak utrzymuje jednak Kazimierz Krajewski, autor monografii UBK, nic takiego nie miało miejsca: „Jeżeli z ręki żołnierzy UBK zginęli Żydzi, to nie dlatego, że byli członkami określonego narodu, ale dlatego, że walczyli w sowieckich oddziałach partyzanckich".

Tak, czy inaczej, według Żaryna komunistyczna Służba Bezpieczeństwa prowadziła śledztwo w sposób, który nie mógł doprowadzić do wyjaśnienia całej sprawy. Wykorzystywała je

raczej do inwigilacji środowisk związanych z Bolesławem Piaseckim. W trakcie dochodzenia nagminne było zacieranie śladów, pomyłki w zapisywaniu nazwisk i ginięcie dowodów:

„Co do tego nie ma wątpliwości. Ludzie ci nie bez powodu czekali aż do 1957 roku. Wcześniej uważali, że Piasecki jest poza ich zasięgiem, że ma tak silne poparcie w Moskwie. Po 1956 roku uznali, że powiązania te osłabły. Był to również okres, gdy się wydawało, że Piasecki utraci kontrolę nad PAX. Mordercy postanowili go dobić. Nie zdecydowali się jednak na zamordowanie samego Piaseckiego. Uznali, że dużo bardziej bolesnym ciosem będzie zabicie jego pierworodnego syna. I jasno dali do zrozumienia, kto zabił chłopca, nadając zabójstwu charakter mordu rytualnego: pozostawiony w ciele nóż, tajemnicze znaki wypalone we wnętrzu ubikacji. (...) Bez odpowiedzi pozostaje jednak podstawowe pytanie: czy było to działanie oddolne szajki żydowskich ubeków i pospolitych przestępców, czy też rozkaz zapadł wyżej? Czy za zabójstwem stała tak zwana żydowska frakcja w MSW, na czele której stał wiceminister Antoni Alster?"

Jak z kolei dowodzi Andrzej Garlicki, polski historyk, publicysta, były redaktor „Polityki", „Kultury" i „Przeglądu Historycznego", członek Komisji Ideologicznej Komitetu Uczelnianego PZPR na Uniwersytecie Warszawskim oraz tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Pedagog", zabójstwo Bohdana Piaseckiego mogło być rezultatem rozgrywek w aparacie bezpieczeństwa. Wskazuje on jednak na to, że mordowanie dziecka wroga „nie mieści się w polskiej kulturze politycznej". Zdaniem Garlickiego, „być może porywacze nie planowali zabójstwa, tylko pragnęli szantażować ojca, a wystraszeni konsekwencjami zabili w końcu syna".

Jerzy Ślaski, w latach 1990-1994 redaktor naczelny dziennika „Polska Zbrojna", przyczyn swoistej zmowy milczenia upatrywał w fakcie, iż wszyscy wskazani przez Petera Rainę sprawcy zbrodni, a także ich pomocnicy i obrońcy to ludzie pochodzenia żydowskiego. W recenzji książki Petera Rainy napisał:

„Ciągle mamy w Polsce do czynienia z przejawami

antysemityzmu. Jest to zjawisko irracjonalne – bo – praktycznie biorąc, Żydów już w Polsce nie ma, niemniej groźne i kompromitujące nas w oczach cywilizowanego świata. Czyż trzeba dodawać, że pomijanie milczeniem takich faktów, jak te, które ujawniają przytoczone przez Petera Rainę akta MSW, antysemityzm ten podsyca i stanowi jego pożywkę?"

Za najbardziej prawdopodobną teorią, że Bohdana Piaseckiego zamordowali funkcjonariusze SB żydowskiego pochodzenia, wypowiada się również Antoni Dudek, politolog, profesor nauk humanistycznych i członek Rady IPN. Zbrodnia nie została ukarana, żeby nie skompromitować jej protektorów, zajmujących wysokie stanowiska w Polsce:

„Porwanie Bohdana i »śledztwo« w tej sprawie przypadło na okres w którym w MSW trwała ostra walka między dwoma grupami. Pierwszej przewodził wiceminister Antoni Alster, należący do frakcji puławskiej. Jemu właśnie podlegał III Departament prowadzący śledztwo w sprawie Bohdana. Liderem drugiej grupy był wiceminister Mieczysław Moczar i, jak można przypuszczać, to od jego ludzi czerpał Piasecki liczne informacje. Walka w MSW zakończyła się w 1961 r. usunięciem Alstera. Rodzi się w związku z tym pytanie, dlaczego ani wówczas, ani w latach następnych (np. w czasie antysemickiej kampanii w 1968 r.), Piasecki nie zdołał skłonić Moczara, który stał się jego politycznym sojusznikiem do wznowienia sprawy Bohdana. Odpowiedź może być, w świetle przedstawionych faktów, tylko jedna: o pogrzebaniu śledztwa zadecydowała obawa przed skandalem i kompromitacją MSW jako instytucji. Kompromitacją porównywalną z tą, jaka nastąpiła w latach osiemdziesiątych za sprawą śmierci ks. Jerzego Popiełuszki".

13 marca 1966 roku w izraelskim tygodniku „Maariv" ukazał się artykuł pt. *Zabójcy syna polityka polskiego żyją w Izraelu.* Jego autor pisał, iż Bolesław Piasecki za swą przedwojenną działalność polityczną był znienawidzony przez polskich Żydów. Śmierć jego syna była zatem „pomszczeniem żydowskich ofiar", które zostały rzekomo zamordowane przez partyzantów pod wodzą polityka:

„Sensacja w sprawie zabójstwa politycznego. Kilka lat temu Warszawa zaalarmowana była wiadomością o zaginięciu syna Bolesława Piaseckiego, osobistości znanej w Polsce i różnie ocenianej. Przed wojną osobistość ta była kandydatem na polskiego Hitlera. Działalność z czasów wojny owiana jest mgłą. Walczyła ona przeciwko ruchowi komunistycznemu (...). Aresztowana przez NKWD, odbyła rozmowę z wysokim funkcjonariuszem bezpieki. Zaraz po wojnie stworzyła organizację postępowych katolików, która miała współpracować z reżymem. Kilka tygodni temu Bolesław Piasecki otrzymał pismo od Moczara, polskiego ministra [SW], że śledztwo w sprawie zamordowania jego syna zostanie wznowione. Z informacji tej wynika, że Bohdan Piasecki został zamordowany przez dwóch Żydów, którzy pracowali dawniej jako kierowcy w polskiej służbie bezpieczeństwa. Uważa się, że znali oni przeszłość Piaseckiego i jego zachowanie się wobec Żydów podczas wojny, ale nie mogli wystąpić przeciwko niemu ze względu na więzy, jakie łączyły go z polską służbą bezpieczeństwa (...)”

Jak można było przeczytać w tygodniku: „Tuż po zabójstwie mordercy opuścili Polskę udając się do Izraela. Nie należy spodziewać się ekstradycji, bo wedle prawa międzynarodowego nie przewiduje się takowej w związku z przestępstwami politycznymi”.

W połowie lat sześćdziesiątych XX wieku Stanisław Cichocki, syn jednego z przedwojennych przywódców Komunistycznej Partii Polski miał spotkać w Tel Awiwie dwóch mężczyzn, byłych pracowników SB, którzy w rozmowie z nim przyznali się do uprowadzenia Bohdana Piaseckiego. Podkreślali też rzekomo, że porwanie nie było planowane.

Historyk i publicysta Jan Engelgard napisał:

„Dokonali go [zabójstwa] niższej rangi funkcjonariusze MBP żydowskiego pochodzenia, zwolnieni z pracy po przełomie październikowym 1956 roku. Po dziś dzień nie ujawniono wyników śledztwa i nie wskazano, kto był inspiratorem zbrodni. Jest pewne, że nienawiść do szefa PAX-u była jednostronna,

Piasecki był od niej wolny. Rozumieli to ci Żydzi, którzy go lepiej poznali".

Jarosław Kurski z kolei, stwierdził na łamach „Gazety Wyborczej":

„Do dziś jednak nie znalazły się żadne materialne dowody świadczące, że śmierci Bohdana winne są osoby pochodzenia żydowskiego. Jedna z niepotwierdzonych tez głosi, iż zabójstwa dokonano na zlecenie Moskwy, by w ten sposób uczynić Piaseckiego więźniem antysemickiej emocji i przez to bardziej go ubezwłasnowolnić i mocniej ze sobą związać".

*

Bolesław Piasecki do końca życia starał się doprowadzić do ujęcia sprawców porwania i zamordowania swego syna, co jakiś czas zwracając się do władz z prośbą o doprowadzenie śledztwa do końca. 10 czerwca 1961 roku napisał kolejny list z prośbą o wzmożenie śledztwa, który skierował do prokuratora generalnego PRL. Wyrażał w nim nadzieję na postawienie Ekerlinga przed sądem, jak również wskazywał na kilkanaście kwestii, które nie zostały w trakcie całej procedury poprawnie przeanalizowane przez śledczych. Pisał także o możliwości udziału Jana Kossowskiego w morderstwie swego syna. Wspominał również o sprawie zaginięcia kluczowych w całej sprawie dowodów rzeczowych (m.in. zatarciu taśmy magnetofonowej z nagranym głosem dzwoniącego do niego jednego z porywaczy dzwoniących).

List pozostał bez odpowiedzi. Władze PRL nigdy Piaseckiemu nie ufały, był pod stałą opieką III Departamentu MSW, jego wszystkie rozmowy były podsłuchiwane, listy kontrolowane...

W pamiętnym roku 1968, w przemówieniu sejmowym apelował o wznowienie śledztwa jego współpracownik Ryszard Reiff, a w 1977 roku Piasecki rozmawiał w tej sprawie z samym Edwardem Gierkiem. Wszystko na próżno.

Wobec powyższego sam rozpoczął prywatne śledztwo, którym kierował Ryszard Sienkiewicz – działacz Stowarzyszenia. W jego toku, w roku 1973 udało mu się nawiązać kontakt z

funkcjonariuszem MSW, który obiecał dostarczyć przekonywających dowodów, kto zamordował Bohdana. Jednakowoż Piasecki, obawiając się prowokacji – i zapewne wierząc ciągle naiwnie w skuteczność oficjalnego śledztwa – poinformował o tym władze. Skutkiem tego nikt z PAX-owców nie ujrzał więcej wspomnianego funkcjonariusza.

Na początku grudnia 1976 szef PAX-u wystosował pismo do sekretarza KC PZPR Stanisława Kani, w którym wnosił o ponowne postawienie Ignacego Ekerlinga w stan oskarżenia. List pozostał bez odpowiedzi.

W październiku 1977 roku zmarł Ignacy Ekerling, a śledztwo w sprawie zabójstwa Bohdana Piaseckiego umorzono 22 grudnia 1978.

Bolesław Piasecki zmarł po ciężkiej chorobie 1 stycznia 1979 roku. Trzy dni później trumna z jego zwłokami została wystawiona w Pałacu Prymasowskim w Warszawie. Uroczystości pogrzebowe odbyły się tego samego dnia na Cmentarzu na Powązkach w Warszawie. W pogrzebie uczestniczyły między innymi delegacje Czechosłowackiej Partii Ludowej i Unii Chrześcijańsko Demokratycznej z bratniej NRD oraz przedstawiciele władz partyjno-państwowych.

„Jakie szczęście, że nie można tego dożyć,
kiedy pomnik ci wystawią bohaterze
i morderca na nagrobkach kwiaty złoży”.

K.K. Baczyński – „Pożegnanie żałosnego strzelca”.

*

Tuż przed śmiercią Bolesław Piasecki polecił kontynuowanie starań o wyjaśnienie sprawy bratu Bohdana, Jarosławowi. 25 listopada 1981 wysłał on pismo do prokuratury generalnej PRL, w którym domagał się intensyfikacji śledztwa. Odpowiedział na nie już 29 stycznia następnego roku prokurator Józef Gurgul, przesyłając przy okazji postanowienie o umorzeniu śledztwa:

„W czasie śledztwa, które powierzono do przeprowadzenia w

całości organom MO, sprawdzono i wyeliminowano definitywnie mnóstwo podejrzeń sprawstwa. Na ślad przestępców – sprawców zabójstwa nie natrafiono. Niezależnie od innych uwarunkowań niemałą przeszkodę w poznaniu prawdy stanowiła wspomniana już postawa Ignacego Ekerlinga, który nie złożył szczerych wyjaśnień. Od chwili popełnienia tej haniebnej zbrodni minęło już 25 lat. Kontynuowanie śledztwa nie jest zatem dopuszczalne (art. 11 pkt 6 kpk)".

W listopadzie 1984 roku Jarosław Piasecki wysłał list w sprawie morderstwa swego brata do ówczesnego premiera Wojciecha Jaruzelskiego, porównując je do porwania i zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki. W styczniu 1985 roku odpowiedział mu płk Jerzy Chomętowski z gabinetu ministra spraw wewnętrznych i była to pierwsza listowna odpowiedź po prawie trzydziestoletnich usiłowaniach rodziny Piaseckich zwrócenia uwagi władz na sprawę zabójstwa Bohdana. Poza wyrazami współczucia nie zawierała jednak żadnych konkretnych decyzji o wznowieniu śledztwa, właściwie nawet nie poruszała tego tematu. Dawała w dość grzecznej formie do zrozumienia, że sprawa jest dla władz od dawna zamknięta.

W roku 1991 ówczesny minister spraw wewnętrznych Antoni Macierewicz przekazał Jarosławowi Piaseckiemu część dokumentów dotyczących sprawy zabójstwa jego brata. Rodzina wciąż oczekuje jednak na komplet dokumentów z Instytutu Pamięci Narodowej.

– Mój ojciec usiłował to zrobić do końca życia – stwierdził Jarosław Piasecki. – Potem ja przejąłem to zadanie. Niestety, mimo że po 1989 roku w naszym kraju dokonało się tyle wspaniałych zmian, nadal nie otrzymałem kluczowych dokumentów. Dokumentów, które mogą nas zbliżyć do wyjaśnienia zagadki. Już półtora roku temu zwróciłem się do IPN o te akta, ale nadal mi ich nie udostępniono.

Pracownicy Instytutu mówią jednak, że dokumenty te jeszcze do niedawna znajdowały się w zbiorach zastrzeżonych i zapewniają, że niedługo trafią do rodziny.

– Aż trudno uwierzyć, że przez tyle czasu były utajnione! –

skomentował ten fakt brat zamordowanego. – Pół wieku po dokonaniu zbrodni wielu ludziom najwyraźniej nadal zależy, żeby jej sprawcy nie zostali ujawnieni!

Przypuszczalnie już nigdy nie uda się w sposób ostateczny ustalić motywów działania zabójców. Niezależnie jednak od tego, jak surowo oceniać będziemy działalność polityczną Piaseckiego, jedno nie ulega wątpliwości – zapłacił za nią bardzo wysoką cenę.

CZAS WAMPIRA

ZDZISŁAW MARCHWICKI (1964 – 1977)

---

7 listopada 1964 roku w Dąbrówce Małej na terenie Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego znaleziono zwłoki zamordowanej Anny Mycek, lat 58. Sposób działania sprawcy wskazywał na tak zwane zabójstwo z lubieżności, czyli skrajną postać sadyzmu, w której zaspokojenie popędu płciowego następuje podczas mordowania ofiary, satysfakcji z widoku jej cierpienia i agonii, choć zazwyczaj nie dochodzi do typowego stosunku seksualnego. Kobieta zginęła od siedmiu ran tłuczonych, zadanych w głowę. Znaleziono ją unurzaną we krwi, z podciągnięta do piersi spódnicą i ściągniętą do kolan bielizną. Obok potwornych okoliczności zbrodni, przerażający był jeszcze jeden fakt, z którego dobrze zdawali sobie sprawę niektórzy bardziej doświadczeni funkcjonariusze milicji – tego rodzaju sprawca nie poprzestaje zwykle na jednym czynie...

Póki co jednak, organa ścigania zaczęły prowadzić śledztwo tak, jak każde inne postępowanie w sprawie tego rodzaju zabójstwa. Początkowo podejrzewano nawet męża ofiary, który na trzy miesiące trafił do aresztu.

20 stycznia następnego roku w Czeladzi-Piaskach zamordowana została w podobnych okolicznościach Ewa Pakuła. 17 marca w Będzinie znaleziono ciało kolejnej ofiary, 34-letniej Lidii Nowackiej. Schemat postępowania sprawcy był w każdym z tych wypadków podobny. Atakował późnym wieczorem kobiety wracające z pracy z drugiej zmiany, które, spiesząc się do domów, wybrały drogę na skróty, przez odludne tereny. Szedł za upatrzoną ofiarą, podbiegał do niej z tyłu i uderzał w głowę ciężkim, tępym przedmiotem. Potem jeszcze wielokrotnie bił ją w głowę, doprowadzając zwykle do zgonu. Następnie odbywał swój przerażający seksualny rytuał, polegający na zabawie

narządami płciowymi napadniętej – większość zwłok znaleziono z rozchylonymi udami, zdjętą lub rozcięta bielizną. Nigdy natomiast nie stwierdzono gwałtu. Przeszukiwał torebki napadniętych kobiet, rozrzucał ich zawartość, czasami okradał z osobistych drobiazgów.

Na pracowników organów ścigania padł blady strach. Podsumowując wszystko, co było wiadome o powyższych zabójstwach, nie mieli już najmniejszych wątpliwości, że wszystkie napady są dziełem jednego człowieka. Sprawca zawsze zadawał ciosy w skroniowo-potyliczną część głowy. Działał na otwartym terenie, potem odciągał ofiary w ukryte miejsca (wszystkie znajdywano dopiero po kilku godzinach – najwcześniej po dwóch, najpóźniej po trzydziestu). Nie zostawiał żadnych śladów.

W tym samym roku, 1965, „wampir" – jak go nazwano – uderzył jeszcze dziewięciokrotnie. Jego ofiarami zostawały kolejno:

– Irena Szymańska, lat 16 (Będzin-Grodziec, 14 maja);
– Jadwiga Zygmunt, lat 45 (Sosnowiec, 22 lipca);
– Eleonora Gąsiorowska, lat 38 (Będzin-Łagisza, 26 lipca);
– Zofia Wiśniewska, lat 22 (Będzin-Łagisza, 4 sierpnia);
– Maria Błaszczyk, lat 22 (Czeladź, 15 sierpnia);
– Genowefa Łebek, lat 28 (Będzin, 25 sierpnia);
– Teresa Tosza, lat 24 (Będzin, 25 października);
– Alicja Dubiel (Sławków, 28 października);
– Irena Szarek, lat 57 (Czeladź, 12 grudnia);

Trzem z wymienionych kobiet, Irenie Szymańskiej, Eleonorze Gąsiorowskiej oraz Zofii Wiśniewskiej, cudem udało się ujść z życiem z rąk zboczeńca.

Chociaż fakt grasowania „wampira" był z początku starannie ukrywany przez media, wieści o kolejno znajdywanych zwłokach kobiet szerzyły się wśród ludzi pocztą pantoflową. Przekazywane z ust do ust spowodowały prawdziwą psychozę strachu. Ponad trzymilionowa ludność Górnego Śląska została kompletnie sterroryzowana. Po godzinie osiemnastej ulice śląskich i zagłębiowskich miast i miasteczek całkowicie

zamierały. Kobiety, które musiały po zapadnięciu zmroku iść do pracy (bądź z niej wracać), eskortowali mężowie i bracia. Na podwórkach „familoków" panowała grobowa cisza. Matki nie pozwalały dorosłym córkom wychodzić z domu. Wiele zakładów pracy zaczęła organizować odwożenie swych pracownic do domu autobusami.

Na Śląsk i Zagłębie skierowano wzmocnione siły milicyjne z innych województw. Prawie na każdym rogu stał mundurowy funkcjonariusz, a krążących wokół tajniaków było dziesięciokrotnie więcej. Szerzyła się plotka, że celem „wampira" było zabicie tysiąca kobiet na tysiąclecie państwa polskiego, co miało dodatkowo unaocznić społeczeństwu nieudolność władz, niezdolnych do schwytania sprawcy. A wszystko za sprawą nieuchwytnego mordercy, który jakby sobie kpił z tego, przez długie lata wymykając się wszelkim obławom. Po dokonaniu zabójstwa natychmiast „roztapiał" się w tłumie. Milicyjne psy szybko gubiły ślad na ruchliwych drogach. Wszelkie rutynowo stosowane w takich przypadkach metody zawodziły.

Zabójca nie miał określonego typu ofiary, co również utrudniało postępowanie. Ginęły kobiety starsze i młode, brunetki i blondynki, grube i szczupłe... 15 czerwca 1966 roku „wampir" zaatakował dwukrotnie w ciągu jednego dnia. O godzinie 21.00 zabił w Sosnowcu-Zagórzu Marię Gomułkę, lat 55. Półtorej godziny później był już w Będzinie, gdzie napadł na trzydziestoletnią Julię Kozierską. Tym razem niewiele zabrakło, żeby wreszcie ująć mordercę...

Pierwszy cios nie był śmiertelny, kobieta zdążyła krzyknąć i chwycić w ciemności narzędzie zbrodni, ale „wampir" wyszarpał je i zaczął uciekać. Krzyk usłyszeli jednak przechodzący w pobliżu milicjanci. Oddali w górę kilka ostrzegawczych strzałów. Gdy odnaleźli ofiarę, ta pokazała im, w którą stronę uciekł napastnik. Wszczęli za nim pogoń wzdłuż kolejowego nasypu. Traf chciał, że tą samą drogą szedł akurat podchmielony mężczyzna. Usłyszał strzały i zobaczył, że ktoś biegnie w jego kierunku. Na wszelki wypadek zaczął więc uciekać. Pogoń dopadła właśnie jego. Doprowadzono go do półprzytomnej

kobiety, która skinęła głową. Następnego dnia rano przeprowadzono oficjalne okazanie. Wtedy Julia Kozierska oświadczyła z całą stanowczością, że to nie ten, co ją napadł.

*

W Komendzie Wojewódzkiej MO w Katowicach powołano specjalną grupę o kryptonimie „Anna" (od imienia pierwszej ofiary), której zadaniem było wykrycie potwora. Jej naczelnikiem został nieżyjący już dzisiaj Jerzy Gruba. W pracach zespołu (obok milicjantów), uczestniczyło na różnych etapach kilkuset fachowców z najrozmaitszych dziedzin: psychologów, seksuologów, psychiatrów, kryminologów, itp. Milicja stawała wprost na głowie, aby go schwytać, szczególnie, kiedy kolejną z ofiar, siedemnastą już – niestety – stała się zamordowana w Będzinie osiemnastoletnia Jolanta Gierek, siostrzenica ówczesnego I Sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. Jej zwłoki wyłowiono z Przemszy 11 października 1966 roku.

Morderca musiał się znaleźć! Za wszelką cenę...

Zarządzeniem Komendanta Głównego Milicji Obywatelskiej nr 22/66 z 13 października 1966 roku został powołany zespół koordynacyjny, któremu zlecono nadzór i kontrolę działań zmierzających do ujęcia sprawcy morderstw na kobietach z Zagłębia. Jego szefem został dowódca Oddziału Służby Kryminalnej KG MO Stanisław Górnicki. Główne kierunki pracy zespołu ustalone zostały 17 października na specjalnej naradzie, w której uczestniczyli między innymi prokurator generalny PRL Kazimierz Kosztirko, wiceminister spraw wewnętrznych Franciszek Szlachcic i komendant główny MO Tadeusz Pietrzak.

Milicja zaangażowała w śledztwo swoich najlepszych i najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy. Zajmujący się nim ludzie nie spali po nocach, nie mieli czasu zjeść obiadu, wychodzili z domów o świcie i wracali późną nocą. Wiadomości o szalejącym zwyrodnialcu trafiły do mediów. Za pomoc w jego ujęciu wyznaczono nagrodę w wysokości miliona złotych (przeciętna pensja wynosiła w tym okresie dwa do trzech tysięcy

zł). Wydrukowano ulotki ostrzegające kobiety przed samotnym chodzeniem po ustronnych miejscach. W miastach Zagłębia organizowano wystawy szkoleniowe, celem zapoznania ludności z modus operandi[3] sprawcy.

Zaapelowano do społeczeństwa o zgłaszanie „wszelkich podejrzanych zachowań". Udostępniony powszechnie w Komendzie Wojewódzkiej telefon „wampirowski" – 25-55 – działał przez całą dobę. Milicyjni wywiadowcy odwiedzili niemalże każde mieszkanie w Zagłębiu Dąbrowskim. W poszukiwanie zabójcy włączyła się Służba Bezpieczeństwa... Wszystko na nic. Sprawca pozostawał nieuchwytny, mordując wciąż nowe kobiety i to w sposób wyjątkowo bestialski.

Ktoś wpadł na pomysł, aby wystawić funkcjonariuszy „na wabia". Po różnych podejrzanych miejscach zaczęli się kręcić przebrani za kobiety milicjanci – w damskich sukienkach i perukach. „Nie chwytało". Faceci „poruszali się dziwnie", budząc niezdrową sensację, ludzie się za nimi oglądali. Zaangażowano więc prawie setkę milicjantek z różnych jednostek. Nauczono je chwytów judo, wyposażono w miniaturowe radiostacje oraz specjalne pancerze pod chustkami, chroniące tył i lewą część głowy, w pobliżu ucha – miejsce, w okolicę którego „wampir" zwykł był zadawać pierwszy cios. Z pistoletami w torebkach dzielnie wychodziły wieczorami na odludne ścieżki. Wszystko bez rezultatu.

15 czerwca 1967 roku w Będzinie-Grodźcu ginie czterdziestoletnia Zofia Kawka. 3 października w Wojkowicach – dwudziestosiedmioletnia Zofia Garbacz. Potem następuje cisza. Trwa równo rok. 3 października 1968, dokładnie w rocznicę poprzedniego mordu, w Cieślach-Maczkach zostaje zamordowana przez tego samego sprawcę trzydziestopięcioletnia Jadwiga Sąsiek. 30 sierpnia 1969 roku o godzinie 21.30 „wampir" atakuje w Katowicach trzydziestoczteroletnią Irenę W. Kobieta ma dużo szczęścia, pomimo odniesionych obrażeń udaje jej się uratować

3 Modus operandi (łac. sposób działania) – charakterystyczny sposób zachowania się sprawcy czynu zabronionego, który kształtują jego indywidualne cechy.

życie.

Wreszcie 4 marca 1970 roku, w pobliżu stacji telewizyjnej w Siemianowicach-Bytkowie życie traci czterdziestopięcioletnia Jadwiga Kucia, doktor filologii polskiej, wykładowca literatury na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. W tym momencie nikt jeszcze nie wie, że jest to ostatnia już ofiara „wampira".

Do 4 marca 1970 roku „wampirowi" przypisano zamordowanie czternastu kobiet. Sześć cudem przeżyło.

Tydzień później do komendy wojewódzkiej MO w Katowicach dotarł wysłany z Tarnowskich Gór list od kogoś, kto przedstawił się jako sprawca wszystkich wymienionych zabójstw. Autor informował, że morderstwo, które niedawno popełnił, będzie jego ostatnią zbrodnią.:

„Droga milicjo!

To morderstwo, które popełniłem niedawno, było moim ostatnim morderstwem. Zawsze czułem niechęć do kobiet, nie cierpiałem i nie lubiłem ich. Nie wiem, dlaczego je mordowałem i nie wiem, dlaczego posyłam do was list. Myślę, że niedługo spotka mnie coś, co mnie wyśle na tamten świat.

Z poważaniem Wampir".

*

Do Milicji Obywatelskiej zaczęły tymczasem napływać masowo donosy, sporządzane głównie przez żony maltretowane przez swych mężów. Wszystkie sumiennie sprawdzano, chodząc od domu do domu i przepytując świadków. Każdą informację, telefoniczną czy listowną, badano z całą sumiennością. Skrzętnie odnotowywano każdy najmniejszy nawet szczegół, który mógłby się okazać przydatny w schwytaniu sprawcy. Czynności te angażowały ogromną liczbę ludzi i zaprzątały czas. Ale nie zaniedbywano niczego.

W końcu prowadzących śledztwo zalała prawdziwa powódź donosów, wszyscy donosili na wszystkich – żony chcące się pozbyć swoich mężów, osoby pragnące pozbyć się swych wrogów... Były setki fałszywych alarmów, a także... kawały –

choć nikomu naprawdę nie było do śmiechu. Poza tym inni sprawcy próbowali dokonywać morderstw upozorowanych na „wampira". Tego rodzaju przypadków w okresie działania grupy specjalnej „Anna" odnotowano aż sześć.

Zdarzały się przypadki, że kobiety, które nie wróciły na noc do domu, szarpały na sobie odzież, nawet lekko się raniły i opowiadały mężom, że nieprzytomne przeleżały do rana w rowie. Mężowie przybiegali na posterunki, meldując, że „wampir" napadł na żonę. Potem okazywało się, że to zwyczajna zdrada małżeńska. Tylko że każdy zgłoszony przypadek trzeba było sprawdzać.

Działające pod olbrzymią presją „czynników politycznych" oraz przerażonego społeczeństwa organy ścigania stały przed nie lada wyzwaniem, sprawa nie miała precedensu w całej powojennej historii polskiej kryminalistyki. Zdecydowano się nawet poprosić o pomoc fachowców ze Stanów Zjednoczonych. Dr James A. Brussel, który przed laty pomógł amerykańskiej policji schwytać osławionego „Dusiciela z Bostonu" (Alberta de Salvo)[4], napisał w sporządzonym przez siebie raporcie, że „przestępca jest ponad wszelką wątpliwość schizofrenikiem paranoidalnym. (...) Jako typ paranoidalny jest on w swoich poczynaniach precyzyjny, jest ostrożny, planuje starannie swoje działania, jest schludny, lubi porządek, jest czysty. Trzyma się z dala od ludzi (...) Jego jedynym sposobem osiągania zadowolenia seksualnego jest masturbacja – lub symbolicznie, jak ze swymi

4 W latach 1962-1964 de Salvo zamordował w Bostonie 13 kobiet. Wszystkie były gwałcone, a następnie duszone, przeważnie rajstopami. W celu uzyskania dostępu do ofiar, podszywał się pod osobę upoważnioną do załatwienia rozmaitych spraw w ich domach. Schwytany, wprawdzie przyznał się do wszystkich przypisywanych mu zbrodni, lecz do dzisiaj wcale nie ma pewności, czy naprawdę ich dokonał, ze względu na brak koronnych dowodów. 24 listopada 1973 roku de Salvo zadzwonił do swojego adwokata, informując go, że musi się z nim jak najszybciej spotkać. Miał do przekazania, jak twierdził, ważną wiadomość. Nie dożył poranka, ponieważ w noc z 24 na 25 listopada nieznany sprawca zasztyletował go w więzieniu Walpole. Śledztwo na temat jego śmierci zostało umorzone, a sprawa „Dusiciela z Bostonu" jest nadal otwarta.

ofiarami – pewna kombinacja fetyszyzmu i zemsty na matce oraz całym rodzaju żeńskim (...) Ma wykształcenie średnie lub wyższe, być może o charakterze technicznym".

Jak by nie patrzeć, większość podanych w raporcie amerykańskiego specjalisty cech zdecydowanie nie pasuje do tej osoby, którą już niedługo miano ująć jako „wampira"...

Praca śledcza grupy „Anna" nie ustawała ani na moment. Setki ludzi starały się skwapliwie wyłowić każdą informację, przeanalizować ją i poddać ocenie ekspertów. Prześwietlano najrozmaitsze grupy ludzi i środowiska. Pod obserwacją znaleźli się praktycznie wszyscy mężczyźni zamieszkali na terenie, na którym działał morderca. Zebrano dane osobowe o tysiącach mężczyzn – w pewnym momencie w kręgu podejrzanych znalazło się ich sto tysięcy!

Wykorzystując te dane, współpracujący z grupą „Anna" naukowcy stworzyli hipotetyczny model 485 cech fizycznych i psychicznych, które powinien posiadać potencjalny sprawca. Wiadomo było, że na początku swej działalności „wampir" nie mógł mieć mniej niż 25 lat, że ma najwyżej 170 centymetrów wzrostu, ciemne włosy, że jest bardzo sprawny fizycznie i nie nosi okularów, że pracuje w systemie trójzmianowym lub na stanowisku, które może opuszczać bez specjalnej kontroli (prywaciarz?), że jest człowiekiem faktycznie (aczkolwiek niekoniecznie formalnie) samotnym...

To była gigantyczna wprost praca. Najtrudniej było ustalić cechy psychiczne. Ustalono jednak, że sprawcą musi być człowiek małomówny, uważający się za skrzywdzonego przez kobietę, psychicznie zrównoważony, brutalny w stosunku do rodziny, cieszący się dobrą opinią w miejscu pracy...

Na podstawie tego modelu, posługując się zebranymi w trakcie śledztwa informacjami oraz donosami, wyłoniono grupę 267 podejrzanych. Wśród nich, z jedną z największych ilości posiadanych cech, znajdował się pewien czterdziestojednoletni (ur. 18.10.1927) konwojent z kopalni „Siemianowice", zamieszkały w Siemianowicach Śląskich przy ulicy Krupanki 36. Nazywał się Zdzisław Marchwicki.

6 stycznia 1972 roku Marchwicki został aresztowany, miesiąc po tym jak jego żona, Maria, złożyła na milicji zawiadomienie, że znęca się nad nią oraz nad dziećmi i domagając się obiecanej nagrody. Nastąpiło to po siedmiu latach i dwóch miesiącach od chwili pierwszego mordu. Przez cały ten czas szukano igły w stogu siana. Sprawca dokonywał morderstw na terenie o łącznej powierzchni 590 km2, zamieszkałym przez 725 tysięcy ludzi...

Zgodnie z relacją majora Wiesława Tomaszka – technika policyjnego z grupy „Anna", w trakcie aresztowania Marchwicki miał powiedzieć do asystującego osobiście przy tej czynności kapitana Jerzego Gruby:

– Dwa samochody marki Wołga?... I to po jednego człowieka, takiego jak ja? Ilu was tu jest? Jakbyście co najmniej tego wampira ujęli.

Słowa te zostały później przeinaczone, a do akt trafił zapis: „No proszę, nareszcieście wampira ujęli".

Trzy dni później, 9 stycznia wszystkie gazety zamieściły zdjęcie „wampira", tryumfalnie obwieszczając o jego schwytaniu: „Ujęto osobnika podejrzanego o dokonanie serii potwornych zbrodni". Społeczeństwo odetchnęło z ulgą...

Kilka miesięcy później, w wyniku prowadzonych dalej czynności śledczych, aresztowani zostali bracia Zdzisława Marchwickiego: Jan i Henryk, jego siostra Halina Flak wraz ze swym synem Zdzisławem oraz przyjaciel Jana – Józef Klimczak.

*

Maszyna śledcza ruszyła teraz pełną parą, trzeba było przecież zebrać jeszcze odpowiednią ilość dowodów, koniecznych do sporządzenia aktu oskarżenia. Śledztwo trwało więc przez kolejne dwa lata, a zebrane w jego trakcie dokumenty zajęły 166 tomów akt.

Rozpoczęła się intensywna „obróbka" podejrzanych.

Jana Marchwickiego odwiedzali w celi regularnie mundurowi.

– Siedzisz tutaj, człowieku, i nic nie robisz, żeby pomóc rozwiązać sprawę i wyjść na wolność – przekonywali. – A tam twoja żona co rusz to ma nowego gacha. Twój dom okradziono, a

dzieci poszły do domu dziecka.

Coraz bardziej zdesperowany Jan postanowił w końcu zeznawać. Przyznał, że razem z braćmi zamordował Jadwigę Kucię. Podczas osiemdziesięciu przesłuchań podał jednak dwadzieścia różnych wersji tego wydarzenia. W końcu podpisał protokół, który zgadzał się z dowodami zebranymi przez śledczych...

Henryk, najmłodszy, przyrodni brat Zdzisława, urodzony w roku 1930, był żonaty dwukrotnie. Kiedy odbywał wyrok dwunastu miesięcy pozbawienia wolności za kradzież, Zdzisław sprowadził się do jego pierwszej żony, Marii i... pozostał z nią nawet po wyjściu Henryka na wolność. W 1956 roku Maria Marchwicka rozwiodła się z nim i poślubiła Zdzisława. Nawet nie musiała zmieniać nazwiska...

Po ośmiu latach pożycia Maria miała już dość Zdzisława, opuściła go więc jesienią 1964 roku, wiążąc się z innym mężczyzną i wyjechała do Lęborka. Pierwszy raz „wampir" uderzył 7 listopada 1964 roku... Pod koniec roku 1966 Zdzisław poprosił ją, aby do niego wróciła. Znów zaczęli się spotykać. Maria miała już dzieci z tym nowym mężczyzną, mimo to, w grudniu następnego roku zdecydowała się na powrót do męża. To, co działo się pomiędzy Marchwickimi w opisywanym czasie, jest jednym z koronnych argumentów zwolenników teorii, że Zdzisław był jednak „wampirem", bowiem ściśle nakłada się na daty morderstw. Ich zdaniem, kiedy Zdzisław miał nadzieję na powrót żony – „wampir" nie mordował. Gdy Maria do niego wróciła, zabójca nie uderzał przez cały rok. Jesienią 1968 roku znowu odeszła do tamtego mężczyzny i... w październiku w Cieślach-Maczkach znaleziono zwłoki zamordowanej kobiety...

Reszta rodziny też była zdesperowana (zastraszona?). Zaczęli opowiadać, ale w ich zeznaniach nic się nie zgadzało. W końcu poprosili śledczych, żeby napisali „co trzeba", a oni to podpiszą. Za obietnicę otrzymania łagodnego wyroku, możliwość ukończenia technikum i wyjazdu do Szwecji, kochanek Jana Marchwickiego– Józef Klimczak przyznał się, że razem z Janem, Henrykiem i Zdzisławem brał udział w zabójstwie Jadwigi Kuci.

Od samego początku wśród zajmujących się nim funkcjonariuszy powstały dwa przeciwstawne obozy: tych, którzy wierzyli w winę Zdzisława Marchwickiego (z Jerzym Grubą na czele) oraz tych, którzy przekonani byli, że złapano niewłaściwego człowieka. Do tej drugiej należeli między innymi doświadczeni oficerowie śledczy, zajmujący się od lat wykrywaniem sprawców zabójstw: płk Zygmunt Kalisz, porucznik Zbigniew Gątarz i płk Stefan Tokarz. Z czasem nazwano ich „kaliszanami". Także prokurator Leszek Polański, który początkowo miał oskarżać Marchwickiego, zrezygnował z udziału w procesie, ponieważ nie był przekonany o jego winie. Mówił, że „chyba nieszczęśliwy człowiek padł ofiarą".

Z wielu powodów sprawa była trudna i skomplikowana, przykładowo działający dokładnie i systematycznie „wampir" nigdzie nie zostawił odcisków palców. Na rowerze jednej z ofiar znaleziono wprawdzie odciski palców, tyle, że nie pasowały ani do Zdzisława Marchwickiego, ani do nikogo z pozostałych podejrzanych.

Na przesłuchujących go oficerach śledczych, Zdzisław Marchwicki robił wrażenie człowieka bardzo silnego psychicznie. Jest raczej regułą, że schwytani mordercy z lubieżności szybko przyznają się do winy i opowiadają ze szczegółami przebieg wydarzeń, czerpiąc z tego – rzec można – dodatkową satysfakcję. Tymczasem Marchwicki od początku do końca wszystkiemu zaprzeczał. Kiedy zmęczony długimi przesłuchaniami zaczynał opowiadać o rzekomych zbrodniach, podawał szczegóły napaści, które nigdy nie miały miejsca. Czasem, zrezygnowany podpisywał takie protokoły przesłuchań, na koniec jednak dodawał dopisek: „ale to wszystko nieprawda". Któregoś dnia, zdesperowany rzucił się na podpisany już protokół, podarł go i próbował połknąć.

Przez wiele miesięcy śledztwa Zdzisław nie przyznawał się do tego, że jest „wampirem", chociaż do przesłuchań zaangażowano sztab najlepszych w Polsce oficerów śledczych. Do jego celi wsadzano udających więźniów milicjantów, z zadaniem wyciągnięcia obciążających zeznań. Wszystko na próżno. W

końcu przyznał się do zbrodni, lecz nie potrafił podać dokładnej liczby ofiar, ani opisać szczegółów kolejnych morderstw.

Wiele lat później, w trakcie dziennikarskiego śledztwa, Grażyna Starzak dotarła do protokołu przesłuchania Marchwickiego z dnia 10 maja 1972 roku, uznanego za pierwsze przyznanie się „wampira" do winy. Między innymi, znajduje się tak takie oto zdanie, wypowiedziane przez podejrzanego:

– Panie poruczniku, pomóżcie mi, co ja mam mówić? No to ile ja tych zabójstw mam właściwie?

Wiele dowodów tworzonych było „na siłę" (wrócimy jeszcze do tego wątku). Chociażby znaleziony u dziadka Zdzisława pejcz, którym to podobno miał mordować swoje ofiary... Jeden z najważniejszych dowodów materialnych na późniejszej rozprawie sądowej. Nigdy nie znaleziono na nim śladów krwi, które przecież musiałby się w takim wypadku na nim znaleźć. Zdaniem wielu specjalistów był to również przedmiot zbyt giętki i za miękki, żeby można było nim zadać takie obrażenia, jakich doznały ofiary „wampira".

Od samego początku uwaga śledczych koncentrowała się na udowodnieniu Zdzisławowi morderstwa doktor Jadwigi Kuci, a jego bratu Janowi zlecenia dokonania tej zbrodni. Jan Marchwicki (ur. w 1929 r.), kierownik sekretariatu Wydziału Prawa i Administracji UŚ, homoseksualista, aż do początku lat sześćdziesiątych nie utrzymywał bliższych kontaktów z rodziną, która nazywała go kpiąco, a jednocześnie z lekką nuta podziwu – „profesorkiem". Zamieszany był w handel lewymi dyplomami śląskiej Alma Mater, które otrzymało wiele prominentnych w tym czasie postaci życia politycznego. Pani doktor miała jakoby wiedzieć o tym procederze i szantażować Jana. Konstrukcja ta budziła wątpliwości wielu doświadczonych śledczych, nie tylko ze względu na nieposzlakowaną opinię zmarłej Jadwigi Kuci, lecz również – a nawet przede wszystkim – na fakt zlecenia zabójstwa mordercy-lubieżnikowi. To po prostu nie trzymało się kupy.

Zgodnie jednak z tym, co zeznał Henryk Marchwicki, o pozbycie się Jadwigi Kuci Jan poprosił Zdzisława. Do pomocy wzięli Józefa

Klimczaka i jego (Henryka), który miał stać na czatach.

– Kiedy do aresztu trafił Zdzichu, Jan Marchwicki uruchomił cały sztab swoich znajomości, aby zorientować się, za co aresztowano jego brata – wspomina Wiesław Tomaszek. – Dotarł nawet do Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie dowiedział się od dawnego studenta, że Zdzisław ma postawiony zarzut zabójstwa kobiety. Odwiedził więc całą rodzinę i kazał zniszczyć wszystko, co jest związane z bratem, każdy kawałek papieru, buty i ubrania.

Śledczych zastanawiało również, dlaczego rodzina „wampira", która podobno wiedziała od lat, że Zdzisław jest seryjnym zabójcą, nie doniosła na niego, mimo wyznaczonej horrendalnej nagrody.

Ale wątpiących Gruba nie zamierzał tolerować. Odsunięto ich od sprawy, kierując do pracy w innych wydziałach, „wierzący" zaś dalej pracowali nad zbieraniem dowodów winy „wampira".

*

18 września 1974 roku w Klubie Fabrycznym Zakładów Cynkowych „Silesia" w Katowicach rozpoczął się proces Zdzisława Marchwickiego i pozostałych. Decyzja o miejscu procesu (i jak niektórzy sądzą – wyroku) zapadła w Komitecie Wojewódzkim PZPR.

Zdzisława oskarżono o dokonanie czternastu zabójstw na tle seksualnym oraz sześciu usiłowań. Prócz tego o popełnienie dwudziestu trzech innych przestępstw (znęcanie się nad rodziną, zabór mienia społecznego, znieważenie milicjanta na służbie itp.).

Janowi Marchwickiemu zarzucono kierowniczą rolę w zabójstwie Jadwigi Kuci, nakłanianie Józefa Klimczaka do zabójstwa młodej dziewczyny, która miała z nim dziecko oraz o czyn nierządny wobec nieletniego. Henrykowi Marchwickiemu i Józefowi Klimczakowi współudział w zamordowaniu Jadwigi Kuci, poprzez obserwowanie jej na trasie powrotu z pracy do domu. Henrykowi ponadto przypisano kradzież zamordowanej zegarka oraz znęcanie się nad rodziną, paserstwo i pomoc w

oszustwie. Halinie Flak – przyjmowanie od brata rzeczy zrabowanych ofiarom oraz bezprawne wyłudzenie zasiłku chorobowego z miejsca pracy. Zdzisławowi Flakowi – iż mając wiarygodną wiadomość o dokonaniu zabójstwa Jadwigi Kuci, nie zawiadomił o tym organów ścigania oraz kradzież części samochodowych.

Co zrozumiałe, proces cieszył się wśród społeczeństwa olbrzymim zainteresowaniem. Na mogącą pomieścić osiemset osób salę można było dostać się jedynie ze specjalnymi „wejściówkami", które rozdawano w zakładach pracy niczym bilety do teatru. Wszyscy chcieli zobaczyć „wampira" na własne oczy. Socjalistyczna władza chciała jak najszerszego nagłośnienia swojego sukcesu.

Propaganda „gierkowskiej prosperity" trwała w najlepsze, śląski węgiel stanowił największe dobro ludowej Polski, a piłkarze – prawdziwy skarb.

Rozprawie przewodniczył sędzia Władysław Ochman, drugim sędzią był Andrzej Rembisz (w sprawach dotyczących zabójstw przepisy wymagały – obok oczywiście ławników – udziału dwóch sędziów zawodowych). W charakterze ławników wystąpili: Franciszek Tatarczuk, Ryszard Kukwa i Eryk Skiba. Protokołowały na zmianę Wiesława Starek i Maria Gnacik.

Oskarżali: dr Józef Gurgul z warszawskiej Prokuratury Generalnej, który nadzorował postępowanie przygotowawcze oraz wiceprokurator prokuratury rejonowej w Katowicach Zenon Kopiński. Obrony oskarżonych podjął się kwiat śląskiej palestry, interesy Zdzisława Marchwickiego reprezentowali mecenasi Bolesław Andrysiak i Mieczysław Frelich. Ten ostatni został skierowany do sprawy na miesiąc przed rozprawą. Taki też czas miał na zapoznanie się z liczącymi ponad sto sześćdziesiąt tomów aktami, ponad dwustustronicowym aktem oskarżenia i zeznaniami czterystu dziewięćdziesięciu siedmiu świadków. (Zeznania dziewięciuset sześćdziesięciu dalszych zakwalifikowano do odczytania).

Oskarżenie opierało się głównie na wyjaśnieniach samych oskarżonych, pełnych notabene niekonsekwencji i niezgodnych

ze stanem faktycznym. Przedstawiono protokoły z wizji lokalnych, taśmy z przesłuchań oskarżonych i świadków, protokoły z ekshumacji (były i takie), ekspertyzy i opinie biegłych. Same opinie biegłych psychiatrów zajęły ponad sto stron. Na podstawie przeprowadzonych badań lekarze uznali Zdzisława Marchwickiego za osobnika „o cechach psychopatycznych", wykluczając jednocześnie chorobę psychiczną. Opinię profesora Brussela, która nie pasowała do oskarżonego, utajniono.

Opinię z zakresu seksuologii dotyczącą Zdzisława Marchwickiego wydali prof. dr hab. Edmund Chróścielewski oraz doc. dr hab. Władysław Nasiłowski, orzekając między innymi, co następuje:

– W szeregu przypadków stwierdzono cechy manipulacyjnego działania wokół narządów rodnych, lecz brakuje danych o ewentualnym odbywaniu stosunków płciowych z ofiarami.

– Nie było wybiórczego działania (ofiarami były różne kobiety).

– Sprawcę cechuje psychopatologiczna struktura osobowości.

– Stwierdzono sadyzm – tyranizm.

– W realizacji działania popędowego zasadniczym celem było dokonanie morderstwa, reszta (np. zabieranie drobnych przedmiotów) to działanie uzupełniające.

– U sprawcy istniały nieprawidłowości w realizowaniu popędu seksualnego: bicie i znęcanie się nad żoną, ekshibicjonizm, kazirodztwo, odbywanie stosunków z żoną w czasie menstruacji, w czasie ataków epileptycznych, z półprzytomną.

Po trwającej od 30 lipca do 5 grudnia 1973 roku obserwacji lekarsko-psychiatrycznej, przeprowadzonej w Szpitalu Psychiatrii Sądowej w Grodzisku Mazowieckim, swoją opinię wydali lekarze Andrzej Różycki i Józef Milczarek, stwierdzając między innymi:

– Niemal wszystkie zabójstwa lub usiłowania noszą w sobie cechy zabójstw na tle seksualnym.

– Sprawca zawsze działał jednakowo.

– W żadnym wypadku nie stwierdzono, by odbył stosunek z ofiarą.

– U Zdzisława Marchwickiego nie stwierdzamy choroby psychicznej ani też niedorozwoju umysłowego.

– Stwierdzamy nieprawidłowe cechy osobowości typu psychopatycznego oraz sadystyczne zboczenie popędu seksualnego.

– Brak jest danych, by w okresie dokonania zarzucanych mu czynów posiadał zmienioną lub ograniczoną zdolność rozumienia ich znaczenia i kierowania postępowaniem.

– Życie seksualne jest czynem popędowym, ale wychodzimy z założenia, że popęd seksualny nie dominuje nad wolą człowieka (...) W przypadku podsądnego zabójstwo z lubieżności nie uległo takiemu utrwaleniu, by dominowało nad jego intelektem.

– Jest zdolny do stawania przed sądem.

Biegli podkreślili w swych opiniach, że „wampir" działał z pobudek seksualnych, lecz najprawdopodobniej nie był zdolny do współżycia i miał problemy z erekcją. Satysfakcję osiągał tylko w momencie zabijania lub bawienia się narządami ofiary: „potrzebował silnych bodźców zewnętrznych w formie wynaturzonej, w postaci widoku krwi, konwulsji ofiary i jej agonii".

W trakcie przewodu sąd nie zgodził się z opinią biegłych w zakresie odbywania stosunków płciowych z ofiarami. (W swoim pamiętniku, o którym będzie jeszcze mowa, uznawanym przez wielu za przyznanie się do winy, Zdzisław Marchwicki zawsze utrzymywał, że w przeważającej większości przypadków z ofiarami swymi takie stosunki odbył). Również zeznania kochanek i żony Marchwickiego przedstawiają go jako w pełni zdolnego do kontaktów seksualnych mężczyznę...

Swoją opinię przedstawił również na rozprawie mgr Jerzy Jaworski, biegły psycholog:

– Intelekt badanego funkcjonuje prawidłowo.

– W wypowiedziach badanego przejawia się poczucie winy za dotychczasowy styl życia i własne postępowanie w przeszłości.

– Wyraźna jest tendencja do panowania nad sytuacją w sensie dawania kontrolowanych wypowiedzi.

– Badania psychologiczne nie wykazują aktualnie choroby

psychicznej.

Badaniom psychiatrycznym i psychologicznym poddani zostali także pozostali oskarżeni. W stosunku do Jana Marchwickiego (przebywającego na obserwacji w Gnieźnie, w okresie od 18.02 do 25.03. 1974 roku), doktorzy Marian Jaska i Marian Drogowski stwierdzili między innymi: „Jest to psychopata o zboczeniu seksualnym pod postacią homoseksualizmu. Nadto cechuje go dążenie do zaspokojenia własnych potrzeb bez liczenia się z konsekwencjami i normami społecznymi; jest to egocentryk przerzucający winę na innych; usiłuje wykazać, iż padł ofiarą walki ideologicznej. Cechują go skłonności pieniacze, a cel swój stara się osiągnąć wszelkimi metodami".

Opinia samego sądu, którą po kilkunastu miesiącach obserwowania podsądnego na sali zdecydował się przedstawić w uzasadnieniu wyroku, była dużo ostrzejsza niż biegłych: „To, co powiedzieli o nim biegli, jest zbyt łagodne. Sąd uważa, że Jan Marchwicki to człowiek wulgarny, zdemoralizowany, zdeprawowany i zdegenerowany, typ sadysty psychicznego, który chce zdeptać i zniszczyć każdego, kto odważa się występować przeciwko niemu".

W stosunku do Henryka Marchwickiego, ci sami biegli, którzy opiniowali jego brata Zdzisława, stwierdzili, że: „jest to psychopata nałogowo nadużywający alkoholu, a dostrzeżone cechy charakterologiczne należy uznać za psychopatyczne, a nie pochodzenia organicznego uszkodzenia mózgowego". Biegli nie stwierdzili objawów psychodegeneracji występującej w alkoholizmie przewlekłym, zaś biegły psycholog dodał: „Prymitywizm środowiskowy, zaniedbania wychowawcze, brak właściwej stymulacji pewnych funkcji intelektualnych. Kłamie, ale to cecha nałogowych alkoholików".

W stosunku do Haliny Flak stwierdzono: „Intelekt ma ociężały, na dolnej granicy prawidłowego rozwoju. Zdradza nieprawidłowości charakterologiczne, jest nieszczera, nieprawdomówna, łączy ją solidarność z rodziną, szczególnie z bratem Zdzisławem. Nie chorowała i nie choruje psychicznie z wyjątkiem krótkotrwałego okresu depresji reaktywnej (pobyt w

szpitalu psychiatrycznym w Lublińcu w 1969). Zdradza jedynie odchylenia charakterologiczne, endogeniczne, częściowo pogłębione zaniedbaniem wychowawczym".

W stosunku do Józefa Klimczaka: „Jest to osobnik psychopatyczny, homoseksualista bierny, uprawiający homoseksualizm w celu osiągnięcia korzyści majątkowych przy jednoczesnym utrzymywaniu normalnych stosunków seksualnych z kobietami". O Zdzisławie Flaku zaś powiedziano tylko, że: „ma nieprawidłowo wykształconą strukturę osobowości".

Ze względu na sposób zadawania ciosów swym ofiarom biegli stwierdzili dużo wcześniej, że sprawca zbrodni jest mańkutem. Zdzisław Marchwicki był praworęczny... Ich wcześniejsza opinia została utajniona i nie znalazła się wśród dowodów na procesie...

*

Podczas procesu zaprezentowano szereg dowodów rzeczowych, między innymi zrabowany jednej z ofiar koral z kolczyka, znaleziony u Zdzisława podczas przeszukania.

– Tamten [skradziony], miał inny kolor i kształt – zeznał świadek. – Pod spodem był całkiem płaski, jak ołówek.

Scyzoryk, odnaleziony blisko miejsca jednej ze zbrodni.

– To własność Zdzisława – stwierdziła Maria Marchwicka. – Chociaż mąż miał taki z uszczerbionym szpicem, a ten tylko podobnie się otwiera.

Wróciła kwestia wspomnianego już wcześniej stalowego pejcza, zostawiającego po ciosach ślady całkowicie inne niż te, od których ginęły zamordowane kobiety. Zdzisław Marchwicki tłumaczył, że dorabiał sobie jako stróż na budowach i że pejcz służył mu do odganiania dzikich psów. Był giętki, elastyczny i zbyt lekki. Trudno byłoby czymś takim pogruchotać kości. Rozpruto nawet na nim skórę, lecz także i wewnątrz nie znaleziono śladów krwi.

Portmonetka jednej z ofiar... Znalazł ją na śmietniku upośledzony umysłowo chłopiec. Nie było na niej żadnych odcisków palców ani innych śladów świadczących o tym, kto ją

tam wyrzucił. Ale skoro Zdzisław był konwojentem, mógł to przecież zrobić...

Wreszcie dowód koronny – radziecki zegarek marki „Wiesna", z wybitym na nim numerem identyfikacyjnym 85319. Nie było najmniejszych wątpliwości, iż należał do Jolanty Gierek, rodzice zamordowanej dziewczyny posiadali jeszcze kartę gwarancyjną... Niejaki Aleksy Muzyczko oddał go do naprawy w punkcie usługowym w Będzinie. Milicja wiedziała, że zegarek Joli był zepsuty i spodziewała się, że trafi do zegarmistrza, obstawiła więc wszystkie zakłady zegarmistrzowskie, wszystkie punkty usługowe „Jubilera" i wszystkie warsztaty nielegalnych rzemieślników. Aleksy Muzyczko rozpoznał w Zdzisławie Marchwickim osobę, od której nabył go na będzińskim bazarze.

Zdzisław Marchwicki upierał się, że nigdy nie był na wspomnianym targowisku, ale w aktach jest jego fotografia wykonana ukrytą kamerą, zrobiona właśnie na tym bazarze. Tyle, że w zupełnie innym czasie i nie ma na niej oczywiście Aleksego Muzyczki.

W trakcie trwania procesu ujawniono, że pierwsza ofiara (Anna Mycek) była sąsiadką teściowej Zdzisława Marchwickiego, Florentyny Król. Kobiety nienawidziły się wzajemnie i wiecznie kłóciły. Czy Zdzisław Marchwicki – jak sugerowano – chciał się w ten sposób przysłużyć teściowej, aby wsparła go w staraniach o powrót żony z dziećmi na Śląsk? Czy Florentyna Król wiedziała, kto zamordował jej sąsiadkę? Czy Zdzisław przeciągając trupa w krzaki, doznał orgazmu i przypadkowo zorientował się w ten sposób, że zabójstwo może być sposobem zaspokojenia popędu seksualnego? Na te pytania proces nie dostarczył odpowiedzi.

Zdzisława w poważny sposób obciążyły zeznania żony. Maria Marchwicka twierdziła, że jej mąż jest sadystycznym awanturnikiem, znęcającym się nad nią i nad dziećmi, a nawet molestującym swoje pociechy poprzez dotykanie ich w miejscach intymnych.

– Był zboczony, bo wykorzystywał mnie, gdy miałam atak padaczki – stwierdziła.

Podczas śledztwa przyznała, że to ona sama biła Zdzisława,

kiedy wracał pijany do domu. Ważyła wtedy sto dwadzieścia kilogramów, jej małżonek około sześćdziesięciu.

Bracia oskarżali się wzajemnie. Najbardziej jednak obciążył ich kochanek Jana Marchwickiego – Józef Klimczak, który jako jedyny przyznał się do winy (Henryk odwołał swe wcześniejsze wyjaśnienia), i który szczegółowo opowiedział na sali jak pomagał przy zabójstwie ostatniej ofiary, Jadwigi Kuci.

Od początku starano się zohydzić w oczach społeczeństwa całą rodzinę Marchwickich, przedstawiając ich jako złodziei, kombinatorów, degeneratów i alkoholików, słowem ludzi z marginesu, których nie należy żałować.

Zdzisław Marchwicki konsekwentnie nie przyznawał się do niczego. Któregoś dnia stwierdził nawet:

– Postąpiłem trochę brawurowo w Warszawie, przez co narobiłem bałaganu, przyznając się.

Innym razem zaś:

– Nie wiem od czego zacząć, bo czego się dotknąć, to kłamstwo.

Podczas rozprawy zachowywał kamienny spokój, całkowicie inaczej niż Jan Marchwicki. Ten rzucał się i krzyczał, usiłując zwrócić na siebie uwagę wysokiego sądu. Pod adresem świadków i prokuratora padały z jego ust najgorsze epitety. Nawet obrońcom zarzucił, że nie wypełniają właściwie swych obowiązków, a więc on, Jan Marchwicki, musi być rzecznikiem obrony swej rodziny, sądzonej tu w charakterze „kozła ofiarnego".

*

Cały przewód sądowy trwał jedenaście miesięcy, wypełniając dokładnie sto dwadzieścia pięć dni procesowych (posiedzenia odbywały się tylko w środy, czwartki i piątki). Przez tyle dni najbliżsi ofiar, rodzice, mężowie i dzieci patrzyli na twarz bestii, która podeptała ich miłość, zabrała szczęście i sprowadziła ból.

Po zamknięciu przewodu sądowego przyszła kolej na przemówienia stron. Zgodnie z procedurą zaczął prokurator Józef Gurgul, domagając się wymierzenia Zdzisławowi i Janowi Marchwickim najwyższego wymiaru kary. Mówił w sumie przez

dwanaście i pół godziny, rozciągnięte na cztery dni. W późniejszym czasie, już po procesie, oświadczył:

„Cały czas w trakcie przewodu dowodowego zastanawiałem się, jak dotrzeć do głównego oskarżonego. Którędy prowadzi do niego droga. Czytałem wtedy masę rozpraw z dziedziny psychiki zbrodniarzy, literaturę fachową, literaturę piękną. Zastanawiałem się, jaką argumentację on może przyjąć za swoją? Dlaczego raz się przyznaje, raz odwołuje przyznanie? Co w nim siedzi naprawdę, tam gdzieś, potwornie głęboko, na dziesiątym dnie? Wiedziałem ze swojego prokuratorskiego doświadczenia: anioły przestępstw nie popełniają. A ci ludzie siedzący na ławie oskarżonych byli szczególnie agresywni, niebezpieczni".

Kary śmierci dla dwóch braci Marchwickich domagał się również prokurator Zenon Kopiński. Zdenerwowany Jan Marchwicki krzyknął w jego stronę:

– Za dwa lata i ciebie powieszą!

Kiedy jednak przyszła jego kolej na wygłoszenie ostatniego słowa, był już dużo łagodniejszy.

– Wzywam tutaj ducha swojej matki i mojej ciotki. Błagam was, żebyście nie pozwoliły... – w tym miejscu się rozpłakał.

– Tu jest sąd ludzki, a nie niebiański – upomniał go sędzia Ochman. – Duchy są nam niepotrzebne.

– Swoje myśli i serce kieruję do rodziców doktor Kuci – kontynuował oskarżony, uspokoiwszy się nieco. – Chcę państwa zapewnić, że śmierć waszej córki nie obciąża mojego sumienia. Jestem niewinny.

Przyszła kolej na Zdzisława Marchwickiego. I wtedy właśnie, wypowiedział on pamiętne słowa, które przez wielu uznane zostały za przyznanie się do winy.

Sędzia Ochman: Co oskarżony chce powiedzieć sądowi w swoim ostatnim słowie?

Zdzisław Marchwicki: Cóż ja mogę powiedzieć... Trzeba w końcu zakończyć ten proces. Zrobiono ze mnie ofiarę. Tam, gdzie mam iść, pójdę. Żałuję, że tak się stało

Sędzia: Co oskarżony chce przez to powiedzieć.

Marchwicki: W końcu zaprowadziliście mnie tam, gdzie moje

miejsce, bo ani tak, ani siak. Najwyższy sądzie, ja za głupi jestem na takie rzeczy. Trzeba to kończyć, po co męczyć wysoki sąd. Zawieźcie mnie tam, gdzie mam iść.

Sędzia: Ale dlaczego?

Marchwicki: Tam, gdzie mam odpocząć.

Sędzia: Ale dlaczego?

Marchwicki: Co wysoki sąd ma się ze mną męczyć. Boję się, ale co zrobić...

Sędzia: Czego oskarżony się boi, co wewnętrznie odczuwa?

Marchwicki: Ja na to nie umiem odpowiedzieć. Z tego, co tu mówiliście, wynika, że stałem się mordercą. Z tego splotu mojego życia...

Sędzia: To znaczy, że oskarżony przyznaje się do zabójstw kobiet?

Marchwicki: Wysoki, najwyższy sądzie, w zasadzie przyznaję się...

Sędzia: No, to do czego oskarżony się przyznaje?

Marchwicki: No, do zabójstwa kobiet.

Sędzia: A ile ich było?

Marchwicki: Może dwadzieścia, może dwadzieścia sześć, ja tam nie wiem. Ja jestem tylko marnym prochem. Byłem człowiekiem prostym...

Sędzia: Ale co z tymi zabójstwami, o których oskarżony mówił? Kto jest w końcu sprawcą?

Marchwicki: No ja, najwyższy sądzie. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Sędzia: A ostatnie zabójstwo które było?

Marchwicki: Ja nie wiem. Bardzo dziękuję najwyższemu sądowi. Ja nie umiem na takie pytania odpowiadać. Prosiłbym, aby mnie zaprowadzono tam, gdzie mam iść. Z tego, co słyszałem na tej sali, to jestem winny...

28 lipca 1975 roku, w wypełnionej do ostatniego miejsca sali Klubu Fabrycznego Zakładów Cynkowych „Silesia" sąd ogłosił wyrok. Uroczysty ten moment filmowała ekipa telewizji polskiej, na specjalnie sprowadzonej w tym celu z Zachodu kolorowej taśmie.

Zdzisław Marchwicki został uznany za winnego zabójstwa czternastu kobiet i usiłowania pozbawienia życia dalszych czterech. Za każde z dokonanych morderstw i usiłowań sąd wymierzył mu na zasadzie art. 148 § 1 kodeksu karnego karę śmierci.

Najwyższy wymiar kary otrzymał także Jan Marchwicki. Henryk Marchwicki został skazany na 25 lat pozbawienia wolności, Józef Klimczak na 12, Halina Flak i Zdzisław Flak dostali po 4 lata.

Adwokaci natychmiast złożyli w Sądzie Najwyższym apelacje.

10 lipca 1975 roku do Sądu Najwyższego wpłynął napisany przez Zdzisława Marchwickiego list: „Wobec tego że sam i dobrowolnie wyjaśniłem przestępstwa nie objęte aktem oskarżenia bardzo proszę o wzięcie pod uwagę moich dobrych chęci i szczere przyznanie się przed wykonaniem wyroku to znaczy, że proszę o przedłużenie tego jak najdłużej (...) Następnie o wszystkich swoich przestępstwach i całym swoim życiu opisałem w pamiętniku koledze lecz nie wiem co się z nim stało. Prawdopodobnie uległ on zniszczeniu... Trudno, popełniłem przestępstwo i muszę być ukarany. Tylko proszę o przedłużenie tego wszystkiego”...

*

Żądając wymierzenia Zdzisławowi Marchwickiemu kary śmierci, prokurator Gurgul uzasadnił to między innymi tym, że „nie ma go na wolności i nie ma mordów seksualnych. A jeśli były, to na dwanaście takich przestępstw wykryto jedenaście. Ten nie wykryty zaś jest inny od dokonywanych przez »Wampira z Zagłębia«”.

To było kłamstwo...

We wszystkich niemal rozprawach Zdzisława Marchwickiego i pozostałych oskarżonych, jedno z miejsc dla publiczności zajmował młody, dwudziestokilkuletni – na oko – człowiek. Wysoki, szczupły, o skudłaconych ciemnych włosach i wąskich, wiecznie zaciśniętych wargach. Był aktywistą Związku Młodzieży Socjalistycznej i nazywał się Joachim Knychała...

Kiedy skazany już na karę śmierci Zdzisław oczekiwał w swej celi na wykonanie wyroku, 6 maja 1976 roku w Chorzowie zamordowana została Maria Sarnowska, główny świadek zabójstwa Jadwigi Kuci, ostatniej ofiary przypisanej „Wampirowi z Zagłębia". Pani Sarnowska rozpoznała Zdzisława Marchwickiego jako sprawcę podczas okazania w dniu 2 marca 1974 roku oraz podczas wizji lokalnej, która miała miejsce na kilka tygodni przed jej śmiercią. Została zamordowana w identyczny sposób jak ofiary, o zabójstwo których oskarżono Marchwickiego (śmierć w wyniku uderzenia tępym narzędziem w głowę, zbrodnia dokonana blisko miejsca zamieszkania ofiary, dolne partie ciała obnażone, wyraźne tło seksualne zabójstwa).

W maju 1982 roku milicja ujęła sprawcę tego zabójstwa. Nazwano go „Wampirem z Bytomia", a był nim... wymieniony wyżej Joachim Knychała.

Po raz pierwszy spróbował dokonać zabójstwa na tle seksualnym już 3 listopada 1974 roku. Napadł wówczas w Bytomiu na klatce schodowej jednego z domów na dwudziestojednoletnią Marię Borucką, zadając jej od tyłu potężne uderzenie w głowę. Kolejnego napadu, również w Bytomiu, dokonał 20 września 1975 roku, tym razem ofiara przeżyła. W listopadzie 1975 roku w Piekarach Śląskich zamordował Elżbietę Mikułową, masakrując jej głowę siekierą...

Na komendzie milicji w Katowicach i w samej Warszawie zapanowała panika. Jak to określił jeden z funkcjonariuszy: „Zdzichu czeka na wykonanie wyroku, a wampir działa dalej..."

W czasie swojego własnego procesu, kilka lat później, Knychała zeznał, że sprawa Marchwickiego zainspirowała go do własnej działalności. W 1984 roku został skazany przez sąd wojewódzki w Katowicach na karę śmierci za sześć zabójstw (czterech kobiet i dwóch dziewczynek) oraz siedem usiłowań dokonania zabójstwa. Wyrok wykonano przez powieszenie 28 października 1985 roku w więzieniu przy ulicy Montelupich 7 w Krakowie. Zawisł na tej samej szubienicy, co jego „bohater", Zdzisław Marchwicki.

Tajemnicą poliszynela wśród katowickich policjantów jest fakt,

że co najmniej jedna ofiara, przypisana Marchwickiemu, obciąża w rzeczywistości konto Knychały.

*

Rozprawę apelacyjną wyznaczono na dzień 29 czerwca. O udział w niej prosił Jan Marchwicki, ale jego wniosek został odrzucony. Zebrali się natomiast wszyscy adwokaci skazanych, z wyjątkiem obrońców Józefa Klimczaka, który napisał do sądu: „Proszę cofnąć rewizję złożoną przez obrońców. Są to niepotrzebne korowody, nie zamierzam wnosić rewizji".

Rozprawa nie odbyła się, z powodu przedłożenia przez prokuratora nowych dowodów: wspomnianego pamiętnika Zdzisława Marchwickiego, jego listu do córki Barbary oraz pisma Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach.

Sąd postanowił:

„Zaliczyć dokumenty w poczet dowodów, a w związku z treścią przedłożonego pamiętnika i koniecznością uzyskania od autora dodatkowych wyjaśnień uzupełnić postępowanie poprzez:

a) przesłuchanie w Katowicach Zdzisława Marchwickiego (z udziałem biegłych psychiatrów) co do okoliczności czynów zawartych w tym pamiętniku i celu napisania pamiętnika,

b) przesłuchanie współwięźnia Zygmunta Alany, któremu autor pamiętnik wręczył, na okoliczność, jak długo przebywał w celi z oskarżonym i w jakich okolicznościach Marchwicki pisał pamiętnik;

c) przesłuchanie płk Jerzego Gruby na okoliczność sporządzonych przez niego notatek służbowych.

*

Zwykły zeszyt w brązowej okładce z rysunkiem wrocławskiego ratusza i wydrukowaną ceną: 4 zł 50 gr. Na rewersie okładki stempel zachęcający do składania datków na Centrum Zdrowia Dziecka. Na pierwszej stronie dedykacja: „Ten oto pamiętnik dedykuję koledze, z którym siedzę w jednej celi, Marchwicki Z. - wampir Zagłębia". 38 stron zapisanych kulfoniastym, ale równym pismem, do których dołączono ekspertyzę

poświadczającą, że jest to pismo Zdzisława Marchwickiego. Jeden z koronnych dowodów winy, który domniemany „wampir" stworzył w więziennej celi.

Marchwicki napisał ten swoisty „pamiętnik" już po ogłoszeniu wyroku w I instancji, za namową współwięźnia, który opowiadał później, że obiecano mu skrócenie wyroku, jeśli tylko uda mu się namówić Zdzisława do napisania czegoś takiego. Przyznał również, że „wmówił Zdziśkowi, że jak będzie pisać, to dłużej pożyje". Zwolennicy poglądu, że Marchwicki był „wampirem", powołują się do dzisiaj na ten pamiętnik jako dowód przyznania się do winy. Przeciwnicy tego poglądu kwestionują natomiast jego autentyczność. Nie samej „ręki Marchwickiego", ponieważ bez wątpienia to on jest autorem, ale użytych w nim zwrotów, żywcem wyjętych z policyjnych raportów: „dokonałem zabójstwa", „oddaliłem się" itp. Ich zdaniem, sam Marchwicki, który ukończył zaledwie kilka klas szkoły powszechnej, gdyby pisał to spontanicznie, nigdy nie użyłby tego rodzaju sformułowań.

(Zachowano oryginalną pisownię):

*

„Ja Marchwicki Zdzisław opisuję swoje życie i zaczne od tego że urodziłem się w Dąbrowie Górniczej dnia 18.10.1927 a więc, jako młody chłopiec chodziłem do szkoły podstawowej w Będzinie, nauka nieszła mi dobrze, a właściwie to uczyłem się bardzo słabo i chyba dlatego że chodziłem na wagary i oglądałem się za dziewczynkami za nie posłuszeństwo ucznia, dla zawstydzenia go nauczyciel czy nauczycielka stosowali taką karę że sadzali nas z dziewczynkami. Ja nie uważałem tego za karę, raczej byłem zadowolony z tego. Gdy siedziałem z dziewczynką nie byłem zainteresowany lekcjami a tą z którą siedziałem. Często zdarzało mi się że na przerwie chodziłem do ubikacji bawiłem się członkiem. Kiedy zaczęła się wojna wywieziono mnie do Niemiec na prace przymusowe. Tam pierwszy raz miałem stosunek z kobietą starszą odemnie – mężatką, miała ona na imię Ema.

Jej mąż w tamtym czasie przebywał w wojsku a że niemiał robić kto w polu mnie przedzielono do tego gospodarstwa. Któregoś dnia, podczas pracy Ema zaproponowała mi abym poszedł z nią na góre domu którego mieszkałem. – Zaproponowała mi z tosunek, odbył on się tak że Ema sama wyjęła mi członka i sama sobie włożyła a dalej to odbywało się tak jak, wdalszym, wkażdym z tosunku. W puźniejszym dniach miałem parę z tosunków z nią. Po półrocznej pracy na tym gospodarstwie przeniesiony zostałem do innego gospodarza. Dlatego że ojciec Emy wrócił z wojska przeniesiono mnie do innego gospodarza. Zapomniałem napisać że moja praca u Emy była drugą pracą. Zaraz po wywiezieniu mnie do prudnika pracowałem u gospodarza Tinczer Tedor u niego pracowałem 4-5 miesięcy. Od tego gospodarza uciekłem ponieważ była tam ciężka praca a ja potrzebowałem więcej swobody. Po miesiącu czasu sam z głosiłem się sam do arbajcantu który mieścił się w Sosnowcu z wróciłem się z prośbą aby zatrudniono mnie na miejscu jednak prośba moja z pełzła na niczym i kazali mi jechać z powrotem. Pojechałem, ale do innej wsi tam miałem kolegę po przyjeździe do Prudnika udałem się do niego i prosiłem go aby mi załatwił prace u wdowej. Kolega tą pracę mi załatwił ale długo tam nie mogłem tam pracować ponieważ syn gospodyni z wolniony został ze szkoły a było tam małe gospodarstwo następnie przeniesiono mnie do innego gospodarza w Celinach gdzie pracowałem u Gaborki. U niej zdarzył mi się taki przypadek. Pewnego dnia podczas pracy w chlewie przyszła mi do głowy myśl żeby odbyć z tosunek z krową wyjołem członka podstawiłem stołek i tyle co miałem włożyć członka do pochwy naszła mnie gospodyni i nie załatwiłem się. Gospodyni nie widziała tego co chciałem zrobić bo szybko zeskoczyłem ze stołka i z chowałem członka. W dalszym ciągu byłem przy tym zamiarze aby z prubować z tosunku z krową okazja taka natrafiła się i odbyłem z tosunek z krową. Wyglądało to tak jakby z kobietą, tyle że musiałem stać na ztołku i było mi trochę nie wygodnie. Odbywało to się

tak. Weszłem na stołek ogon wziołem na bok wyjołem sobie członka i włożyłem członka do pochwy i ruszałem tyłkiem dotąd dopuki się nie z puściłem. Do następnego z tosunku doszło na łące. Pamiętam zbierałem w tym czasie siano i odczułem potrzebe z tosunku. Więc rozejżałem się do okoła czy nikogo niema i wziołem krowe za łańcuch i ustawiłem ją w takim miejscu żeby była niżej a ja stałem na wzniesieniu odbywałem z stosunek jak uprzednio ale w połowie tego z tosunku przyłapała mnie Gaborka podeszła do mnie bliżej i wyzywała mnie Ty świnio. Ja ją wyzywałem ty ztara kurwo ty szmato. Za te słowa którym ją obrzuciłem Gaborka wyzywała mnie wdalszym ciągu ty świński łbie, ty ślepy komandorze. Po tej kłutni uciekłem z pola i udałem się z pola i udałem się do domu.

A Gaborka udała się na żandarmerie zgłosić o wspomnianym prze zemnie wypadku. Jeszcze tego samego dnia przyszedł policjant i zaprowadził mnie na policje a na wstępnie przewieziono mnie na gestapo gdzie wyzywano mnie i zbito, a następnie przewieziono mnie do więzienia. W więzieniu siedziałem miesiąc a potem wywieziono mnie do obozu w Kędzieżynie. W obozie pracowałem przy nasypie. Była to firma niemiecka, pracowałem przy budowie basenów. Wobozie wstawaliśmy gdzieś o godz. piątej potem był apel, dyżurny szedł po kawę który był co dziennie inny wyznaczony i po zrobieniu porządku wychodziliśmy do pracy, pracowaliśmy do godz. 15 nieraz były jak ktoś tam coś zawinił to nas wszystkich zagoniono i ganiono nas, w obozie w Kedzieżynie przebywałem tam półtora miesiąca kara mi się z kończyła, przyjechał gospodarz i wzioł mnie na swoje gospodarstwo do miejscowości Prudnik gdzie pracowałem kilka miesięcy, po jakimś czasie przeniesiono mnie do innej wsi gdzie też pracowałem u gospodarza do jesieni i wysłano nas pozbierano nas z pobliskich wsi i wywieziono nas do żywca do kopania okopów, mniej więcej po trzech czy czterech tygodniach uciekłem z tamtąd i udałem się do domu, wiedziałem że wojna się kończy i front się zbliża i dlatego i

dlatego nie ukrywałem się. Po przyjściu do domu zauważyłem że rodzice byli dosyć zadowoleni z mojego powrotu a za kilka miesięcy i siostra wróciła z obozu i wszyscy razem byliśmy w domu siostra zamąż wyszła w 1948 r zamieszkała w jednym pokoju u wójka który miał dom ja się do siostry przeprowadziłem i mieszkałem razem znią kiedy mąż siostry wrócił z wojska otrzymali nowe mieszkanie i mieszkali w blokach w Dąbrowie. W tym czasie ja trudniłem się chandlem i zato dostałem się do więzienia siedziałem dwa miesiące w Mysłowicach a po wyjściu z więzienia podjołem prace w kop. Gen. Zawadzki w Dąbrowie miałem w tedy dwadzieścia lat w 1954 zamieszkałem z żoną w tysiąc dziewieńset 56 w ziołem ślub cywilny w dwa lata później kościelny, życie z żioną układało mi się nie pomyślnie żona i ja byliśmy nerwowi i zbyle czego wybuchały kłutnie, naprzykład z braku pieniędzy że mało mówiłem do niej, i wreszcie że słaby byłem w sprawach seksualnych z tego ostatniego powodu żona puszczała się z tej przyczyny wybuchała granda. Po kłutni z żoną odchodziłem i mieszkałem u siostry lub z ojcem wtedy żona przyprowadzała kochanka i żyła znim przez dłuższy czas. Po takiej rozłące wracałem do żony ponieważ na uwadze miałem dzieci, często bywało tak że odbywałem stosunki z żoną miałem w czasie miesiączki lubiałem w tym czasie lizać nażądy rodcze. Kiedy byłem u ojca poznałem tam kobiete która u ojca naprawiała buty ta kobieta miała na imię Helena w tym czasie pokłuciem się z żoną i żyłem z Heleną z nią również odbywałem z tosunki w czasie miesiączki i również jej próbowałem lizać narządy rodcze robiliśmy to w zajemnością, Chelena kocha się we mnie była ogromnie zadowolona z mojej miłości ja ją też kochałem i mimo tego jakaś siła ciągnęła mnie do żony widocznie żone więcej kochałem jak Helene. jak już nadmieniłem że lizałem narządy rodcze wczasie miesiączki to pragnę dodać że i żona moja próbowała zakazanej miłości ale było to pare razy a na więcej jej nie zezwoliłem ponieważ nie zprawiało nadzwyczajnej przyjemności. Między innymi z tego powodu dochodziło do

sprzeczek.

Również chciałem wspomnieć o swoim dzieciństwie kiedy miałem dwa lata zmarła mi matka wjakiś czas po urodzeniu młodszego brata Jana. Ponieważ nie mieliśmy opieki ojciec ożenił się jeszcze raz. z małżeństwa drugiego urodził się jeszcze jeden brat Henryk z drugą matką przeżył ojciec kilkanaście lat z pierwszego małżeństwa było nas troje dzieci, ojciec żenił się jeszcze pare razy, jednak nie długo żył ztymi żonami po paru latach rozchodził się znimi, pragnę również dodać że często zmnienialiśmy miejsca zamieszkania najpierw mieszkaliśmy w Dąbrowie potem przeprowadziliśmy się do Będzina i mieszkaliśm w domku jedno rodzinnym po dwuch latach znowu przeprowadziliśmy się do innej dzielnicy mieszkaliśmy u prywatnego gospodarza.

Ojciec mój pracował w kopalni aż do czasu śmierci i to by było tyle na temat dzieciństwa. A teraz powracam do starszych lat ja rzeczywiście nie byłem dobrym ojcem i mężem dla żony. Bo przecież dziećmi nie interesowałem. Mało przebywałem w domu dlatego że pracowałem, że jeździłem na przeztępstwa to piłem zkolegami tak że w domu byłem gościem a na dodatek lubiałem jej robić na złość. I tak któregoś dnia żona podała mi rosół z kury wyniosem go kurą kiedy żona nawoływała do porządku uśmiechnołem się w duchu i wywołałem awanturę i w ten sposób dokuczałem jej zato że mnie zdradzała bo się kłóciła zemną że piłem że późno do domu przychodziłem czasami żona mnie prosiła abym jej pomógł jej zprzątać to pozprzątałem byle jak a kiedy prosiła abym umył jej podłoge to umyłem ale co drugą deskę a też nie dokładnie, żona ztym mi się podobała, że lubiała się awanturować a ja lubiłem i lubię zpokuj i mało sie odzywałem do żony i dzieci. dzieci mam pięcioro najstarszy syn to Marek, Zbigniew, Barbara, Bogdan i Iwona. Dwoje dzieci żona przyniosła mi z kurestwa to jest Czesław i Jolanta, do żony nie odzywałem się nawet kiedy zabierałem się za nią wczasie odbywania z tosunku oraz po z tosunku jak już nadmieniłem bardzo mało odzywałem się do żony jak mnie

ocoś pytała to tylko mruknołem albo kiwnołem głową robiłem to z pecjalnie chociaż wiem że nie powinienem tego robić ale robiłem przezto ją złościłem i cieszyłem się z tego.

W 1951 w miejscowości Przeczów napadłem na kobietę było to w lesie zawiózł mnie tam kolega zkturym pracowałem pojechałem tam w celu napadnięcia na jakąś kobietę ponieważ chciałem zpróbować innej miłości jak dotychczas prubowałem i tak zrobiłem.

Po napadnięciu jej i obezwładnieniu jej odbyłem z nią z tosunek przyczym zabrałem jej pieniądze i zegarek i oddaliłem się po dokonaniu tego przestępstwa pojechałem do domu w domu rozmyślałem nad tym i co mi to dało doszłem do wniosku że czułem lepsze zadowolenie niż z żoną i Emą i ztego powodu to pierwsze przestępstwo dało początek innym.

Na następne przeztępstwo odważyłem się w 1952 r dokonałem go w Wysokiej. Pamiętam byłem tam po cement w cementowni oddaliłem się od kierowcy ponieważ miałem zamiar napaść jaką kobietę w pewnym momęcie ujrzałem kobietę za którą udałem się wpewnym momęcie gdy nikogo nie było wokół nas uderzyłem ją kilka razy prętem metalowym w głowe kiedy kobieta przewróciła się zdjołem jej majtki i pobawiłem się jej przyrodzeniem następnie zabrałem jej pieniądze z torebki w wysokości około 400 zł i szybko oddaliłem się udałem się do kierowcy następnie załadowaliśmy cement i przyjechaliśmy do kop. Po pracy udałem się do domu.

W roku 1954 dokonałem przeztępstwa w Dąbrowu małej na kobiecie w wieku 30 lat przeztępstwo to miało miejsce koło cmentarza. Napadłem tam kobietę bijąc ją prętem metalowym po głowie jak zawsze zdjołem jej majtki pobawiłem się jej przyrodzeniem i zabrałem jej pieniądze i wydaje mi się zegarek poczem szybko oddaliłem się do domu.

Następnego przeztępstwa dokonałem w r 1956 w Michałkowicach koło stawu i fort. Byłem tam z bratem Heńkiem. Pod koniec lata zpotkaliśmy się na mieście z Heńkiem i wówczas zaproponowałem mu aby zemną jechał

do Michałkowic powiedziałem bratu że razem dokona jakiegoś napadu na kobietę, brat zgodził sie na moją propozycje i udaliśmy sie do wymienionej miejscowości w strone stawu gdzie napotkaliśmy kobietę. W pewnym momencie uderzyłem tą kobietę parę razy w głowe prętem metalowym. Razem z Heńkiem przenieśliśmy ją w inne miejsce gdzie odbyłem stosunek i zabrałem jej 500 zł po przeztępstwie udaliśmy się z bratem w drogę powrotną. Już na miejscu zaproponował mi brat abyśmy wstąpili do resteuracji wyraziłem zgodę i weszliśmy do Popularnej zamówiliśmy sobie litra podzieliliśmy sie pieniędzmi porozmawialiśmy na temat zabujstwa i opuściliśmy udając się do domu za kilka dni zpotkaliśmy się ponownie i w krutkiej rozmowie powiedziałem mu że przydało by się jechać do Strumieszyc brat równierz wyraził z godę i pojechaliśmy do niego do domu, brat ubrał się i po południu udaliśmy się do wymienionej miejscowości po przyjeździe na miejsce napotkaliśmy tam kobietę na którą napadłem bijąc ją łomę po głowie Heniek pomugł mi w ciągnąć w krzaki i oczekiwał na mnie na boku, ja obnarzyłem ją do połowy pobawiłem się jej przyrodzeniem popatrzylem na to zabrałem jej pieniądze szybko oddaliliśmy się po przyjeździe do domu wstąpiliśmy do resteuracji gdzie wypiliśmy pół litra wódki i rozeszliśmy się.

Następne przeztępstwo dokonałem w Dąbrówce Małej koło torów w r 1959. Po przyjeździe do Dąbrówki napotkałem kobietę którą zaatakowałem. Uderzyłem ją kilka razy wgłowe łomę odbyłem z nią stosunek zabrałem pierścionek i pieniądze po zajściu poszedłem na ałtobus i poszedłem do domu.

Następnego dokonałem w Łagiszy w 1965 r pojechałem tam samochodem po wyjściu udałem się pieszo na teren gdzie nie było zabudowań z potkałem tam kobiete która szła przedemną liczyła ona gdzieś około 40 lat napadłem ją uderzyłem ją kilka razy odbyłem z nią stosunek zabrałem jej pierścionek i oddaliłem się, siadłem w ałtobus i pojechałem do domu w parę dni potem zprzedałem obrączkę pierścionek

nieznajomemu na jarmarku.

Następnego przeztępstwa dokonałem Dąbrówka Mała w r 1964 pojechałem tam do tej miejscowości kobietę którą napadłem uderzyłem ją kilka razy pejczem kiedy kobieta się przewróciła to obnarzyłem ją do puł pobawiłem się jej przyrodzeniem zabrałem jej pieniądze i uciekłem.

Następnego przeztępstwa dokonałem w Będzinie w 1964 r koło kolei, udałem się tramwajem wcelu aby dokonać zabujstwa jakiej kobiety idąc pieszo zpotkałem kobiete przed sobą ja z tyłu uderzyłem ją kilka razy wgłowe upadła ona na ziemię ja zaczołem ją rewidować zabrałem jej pieniądze zabrałem jej obrączke i oddaliłem się kobieta ta liczyła około 40 lat.

Następnego przeztępstwa dokonałem w Dąbrówce Małej w parku wracając od teściowej z potkałem kobietę która wracała przedemną ja ztyłu uderzyłem ją parę razy w głowe pejczem zabrałem jej pieniądze zabrałem jej również pierścionek pozostawiłem ją i oddaliłem się zprzedałem to na targu nieznajomemu tak jak obrączke tak zegarek pominołem że było to wroku 1964.

Następnego dokonałem w tym samym roku w miejscowości Rogożnik na miejsce zajechałem ałtobusem pojechałem wcelu aby napaść jaką kobietę po przyjeździe na miejsce udałem się w kierunku lasu było już dość ciemno poza zabudowaniami napotkałem kobietę ja idąc za nią z tyłu uderzyłem ją kilka razy w głowe upadła na ziemie ja zaczołem ją rewidować znalazłem przy niej pieniądze zabrałem jej również pierścionek który zprzedałem w puźniejszym (terminie) czasie kobieta ta liczyła ponad 40 lat po zajściu odeszedłem pojechałem do domu w jakiś czas potem zprzedałem zabrane przedmioty.

W rok później dokonałem zabujstwo na łąkach w Łagiszy byłem tam sam poszedłem z zamiarem aby napaść jaką kobiete kiedy zajechałem na miejsce było już ciemno z potkałem kobiete była już nie młoda napadłem ją zabrałem jej pieniądze zabrałem jej też i inne przedmioty jak

pierścionek oraz obrączkę przedmioty odsprzedałem jednemu nieznajomemu na jarmaku nadmieniam iż z kobietą tą odbyłem stosunek.

Następnego przeztępstwa dokonałem w 1956 r. W Wojkowicach dokonałem tam zabujstwa na kobiecie w wieku trzydziestu lat do Wojkowic zajechałem ałtobusem wieczorem po wyjściu z ałtobusu przed sobą z potkałem kobietę napadłem ją uderzyłem ją pare razy w głowe pejczem kiedy kobieta się przewróciła obnarzyłem ją do pół pobawiłem się jej przyrodzeniem zabrałem jej pieniądze i oddaliłem się.

W roku 1966 w Łagiszy napadłem na kobietę w wieku trzydziestu lat a więc po przyjeździe do Łagiszy udałem się w kierunku zagajnika gdzie napotkałem kobietę po upewnieniu że mnie już nikt nie widzi uderzyłem tą kobiete prętem wgłowe potem rozebrałem ją do pół pobawiłem się jej przyrodzeniem zabrałem jej pieniądze obrączkę złotą i udałem sie wstronę ałtobusu zabrane przedmioty zprzedałem.

1957 r dokonałem przeztępstwa w Strumieszycach w godz wieczornych.

Po przyjeździe do tej miejscowości z potkałem kobietę szłem za nią w pewnym momęcie znaleźliśmy się w miejscu nie zabudowanym bijąc ją prętem po głowie kiedy kobieta upadła obnażyłem ją do pół pobawiłem się jej przyrodzeniem poczem zabrałem jej pieniądze i pierścionek pragnę nadmienić że w trakcie bawienia się jej przyrodzeniem i najpodobniej chciała się rzucić bo mi wymachiwała łapami i w tenczas musiałem ją dobić nadmnieniam że tej kobiecie zabrałem torebkę potem wszystkim pozostawiłem ją i uciekłem przedmioty z torebki dałem swojej siostrze natomiast torebkę i pierścionek zprzedałem nieznajomemu osobnikowi.

Następnego przestępstwa...

Następnego przestępstwa...

Następnego przestępstwa...

(…)

Opisałem całe swoje życie i wydaje mi się że wszystkie, zostałem aresztowany w tej zprawie aresztowano mnie kiedy szedłem do pracy w godz. rannych i zawieziono mnie do komendy w Katowicach przedstawiono mi zarzut o zabujstwa, przedtym przewieziony byłem jeszcze do komendy w Siemianowicach gdzie przedstawiono mi zarzut o znęcanie się nad rodziną żona obciążyła mnie że bije ją że nie oddaje pieniędzy posądzała mnie, że córkę łapałem za przyrodzenie, że nie byłem dobrym ojcem ale właśnie to jest prawda ale zaprzeczałem. Przestawiono mi zarzut o zabujstwa kobiet które opisywałem do zabujstw tych się nie przyznawałem dlatego że się bałem nie przyznałem się również na zprawie.

Potem jak już nadmieniłem znalazłem się na komendzie wojewódzkiej a dlatego że się nie przyznałem przewieziono mnie na komendę Główną do Warszawy i tam również nie przyznawałem się trzy miesiące a potem się załamałem i zaczołem wyjaśniać następnie byłem badany przez kilka zpecjalistów poczem przewieziono mnie do szpitala psychiatrycznego do Grodziska i tam przebywałem kilka miesięcy a następnie zakończono mi śledztwo. Po kilku miesiącach odbyła się pierwsza zprawa i Jako pierwszy zeznawał brat Janek nie przyznawał się do winy często kłócił się z prokuratorem a świadkom ubliżał również wszystkim ludzią na sali, prokuratora wyzywał od czerwonego ukraińca, druga zeznawała siostra, zarzucano jej że dostawała przedmioty z zabujstw siostra przyznawała się do jakichś rzeczy ale nie wiedziała z kąd pochodzą a właściwie to wiedziała bo jej mówiłem, następnie zeznawał J.K. przyznał się do zajścia koło telewizji jako następny zeznawał Flak Zdzisław syn siostry zarzucono mu że słyszał otym że mówiliśmy o zabujstwie i nie przyznał się do tego a słyszał na pewno jako następny zeznawał brat Heniek do zajścia koło telewizji i przyznał się do tego zajścia jako by i ostatni zeznawałem ja nie przyznawałem się do zabójstw dopiero przy samym końcu nie wytrzymałem nerwowo i podniosłem się i powiedziałem przyznaje się do zabójstw jestem mordercą

i to wielkim zabiłem 20 a może 26 dokładnie nie pamiętam i prosze mnie tam posłać gdzie mam iść chociaż bardzo tego się boje po przesłuchaniu wszystkich świadków wymierzono wszystkim wyroki i siostra odtrzymała 4 lata jej syn również 4 Józef Klimczak 12 lat dostał dlatego tak mało że zgłosił o przeztępstwie koło telewizji Heniek mój brat dostał 25 lat, brat Janek i ja zostaliśmy zkazani na kare śmierci i wstosunku do tego myślałem że dostane 25 lat a w najgorszym wypadku jakąś tam karę śmierci w stosunku do tego myślałem że napisze do rady państwa i ułaskawią mnie i że kiedyś jeszcze wyjde, zaraz po zprawie nie pisałem do rady państwa ponieważ nie wiedziałem jak to umotywować i jak to ułożyć mimo że koledzy mnie pocieszali to jednak nie mogłem przezwyciężyć swojego załamania i wygłupiam się ztego powodu kilka razy wstawałem do drzwi i podchodziłem i dzwoniłem do odziałowych i prosiłem żeby mnie zaprowadzili tam gdzie mam iść to znaczy żeby mnie powiesili jednak prośby moje nie dochodziły do skutku a każdym razem po moim wygłupianiu się drzwi się otwierały inspekcyjny z odziałowym kazali mi się spać położyć żebym nie zakłucał ciszy nocnej i mimo tłumaczeniom nadal się wygłupiałem a robiłem to dlatego że chciałem i nie chciałem żeby mnie powiesili przed takim zdecydowaniem na śmierć zawsze myślałem ile jest warte moje życie i ile krzywdy ludziom i rodzinie narobiłem wtak paskudny zposub mam odejść z tego świata kiedy doszłem do tej myśli działo się coś nie zrozumiałego i nie umie tego opisać wtenczas wstawałem klękałem wten z posub żegnałem się ze światem pacieża nie mówiłem bo nie umie, kiedy klęczałem coś mi mówiło do ucha żebym się zdecydował iść na duł i mimo że się bałem to jednak ta dziwna siła zmuszała mnie do tego przypominam sobie że kiedyś w nocy prosiłem aby mnie wyprowadzono tego dnia samego. Ale nie tylko to było powodem bo przecież byłem i jestem zboczony. Już wmłodym wieku odczuwałem pociąg do zpraw seksualnych wiadome jest z mojego pamiętnika ż jestem nie śmiały i zaspakajałem zwoje potrzeby poprzez

onanizowanie się swojego zaspokojenia seksualnego szukałem w stosunku z krową oraz z kurą. Do z tosunku z kurą nie doszło bo mi się to nie udawało poprostu.

Opisałem całe zwoje życie i wydaje mi się że i wszystkie przeztępstwa. Trudno mi było opisywać to ale jakoś sobie poradziłem i natym pragne zakończyć takimi oto słowami i wszyscy ci kturzy będą czytali ten pamiętnik niech wiedzą że nie warto jest zabijać te cierpienia które ja przechodze uniknie jedynie ten kto będzie przestrzegał piątego przykazania Bożego.

Marchwicki Zdzisław wampir Zagłębia".

*

W związku ze wspomnianym wyżej postanowieniem sądu z dnia 29 czerwca, 13 lipca pojawili się w Katowicach delegowani ze składu orzekającego SN trzej sędziowie: Jerzy Bratoszewski[5], Wacław Sutkowski oraz Zbigniew Kwiecień. Przyjechali aby przesłuchać wymienione we wniosku prokuratora Gurgula trzy osoby.

Przesłuchanie odbyło się w godzinach od 10.30 do 12.00. w sali nr 219 Sądu Wojewódzkiego w Katowicach przy ulicy Andrzeja 16-18.

Zdzisław Marchwicki powiedział:

– Pamiętnik pisałem dobrowolnie (...). W okresie kiedy go pisałem, oprócz mnie w celi było jeszcze dwóch więźniów (...). Pisałem go od razu na czysto, nie robiąc wcześniej żadnych notatek. Pisałem kilka godzin dziennie (...). W pamiętniku, który napisałem, część jest prawdą, a część nie (...). Prawdą jest to, co napisałem na temat zabójstw opisanych w wyroku, natomiast to, co pisałem na temat innych zabójstw, jest zmyślone przeze mnie (...) Nie wiem, jak mam wytłumaczyć, że pewne fakty wymyślone przeze mnie nie mają pokrycia w rzeczywistości. Nie wiem, co mam mówić, nie spodziewałem się, że będę doprowadzony dzisiaj na przesłuchanie (...). Wszystko pisałem samodzielnie, nikt mi nic nie podpowiadał".

5 Członek Trybunału Stanu w latach 1982-1985 i 1985-1989.

Po okazaniu mu rzeczonego pamiętnika, wyjaśnił:

– Tak, to jest ten pamiętnik, który pisałem.

Na pytanie swojego obrońcy odpowiedział:

– Pisałem ten pamiętnik, bo chciałem sobie przedłużyć trochę okres wykonania wyroku. Kiedy pisałem pamiętnik, byłem załamany, w chwili obecnej czuję się tak samo.

Na pytanie obrońcy Haliny Flak:

– (..) Nie żyłem fizycznie z siostrą. Ona nie wiedziała nic na temat faktów, do których się przyznałem.

Na pytanie sądu:

– Udział brata Henryka Marchwickiego w tych niewykrytych zabójstwach należy uznać za fakt wymyślony przez mnie (...) Wszystko co pisałem na temat pomocy członków mojej rodziny w zabójstwach, jest zmyślone. Prawdą jest to, co podałem o współudziale braci, jeśli idzie o zarzuty opisane w wyroku.

Na pytanie obrońcy Jana Marchwickiego:

– Jan nie miał żadnego udziału w zabójstwie dr Jadwigi Kuci.

Ponownie na pytanie sądu:

– Prawda jest zupełnie inna. Raczej nie chciałbym na temat tej prawdy wyjaśniać.

Na pytanie obecnych przy przesłuchaniu biegłych:

– Sam już nie wiem, co mam mówić, tyle się wszystkiego narobiło...

Na pytanie sądu:

- Pisałem do pana Gruby, bo chciałem z nim jeszcze porozmawiać.

Zygmunt Alana, lat 27, z zawodu stolarz, odbywający karę pozbawienia wolności za rozbój, stwierdził, co następuje:

– Przez 10 miesięcy przebywałem w celi ze Zdzisławem Marchwickim. On się nudził, zaczął się wygłupiać, zaproponowałem mu, żeby przepisywał książkę. Ale go to nudziło, bo miał słaby wzrok. Powiedział, że mi napisze coś od siebie. Napisał mi »dyplom dla wampira młodszego«. Zaproponowałem, by napisał coś o sobie. Kupiłem mu zeszyt z wypiski. Pisał po dwie, trzy godziny dziennie. Nie rozmawiałem z nim wtedy. Pisał powoli, od razu na czysto, kilka miesięcy. On nie

wiedział, że pamiętnik dałem władzom.

*

Aby rozpatrzeć złożone przez obrońców skazanych apelacje, Sąd Najwyższy w składzie pięciu sędziów zebrał się 22 września 1976 roku o godzinie 10:00 rano. Najpierw poinformował o nieuwzględnieniu szeregu wniosków, złożonych przez Jana Marchwickiego, jako zbyt odległych od przedmiotu rozprawy (Jan zarzucał między innymi sądowi pierwszej instancji oszustwo procesowe, którego ofiarą padł jego brat Zdzisław oraz to, że z całej rodziny Marchwickich „zrobiono zakładników". „Skarżę się na brak humanizmu socjalistycznego w postępowaniu ze mną" – pisał).

Obrońcy Zdzisława Marchwickiego wnosili o uniewinnienie, zarzucając zapadłemu wyrokowi obrazę prawa procesowego, polegającą na niewłaściwej ocenie zeznań świadków, kwestionując większość sporządzonych przez biegłych opinii. Przyznanie się oskarżonego do winy, najpierw w śledztwie, a potem na rozprawie, określili jako „akt załamania i bezradności, powstały w wyniku depresji reaktywnej".

W ciągu dwóch kolejnych dni, adwokaci usiłowali przekonać sąd, że w odbytym niedawno procesie wszystko „kręciło się wokół prawdopodobieństw, rozpoznań, którym nie można przypisać wiarygodności oraz domniemań i wątpliwości, które powinny być interpretowane na korzyść oskarżonych, a nie były". Następnie prokurator punkt po punkcie starał się zbijać ich argumenty, powołując się na dowody zebrane „w drodze działań tak żmudnych i drobiazgowych, że czasem aż nie chciało się wierzyć, iż mogły być przedsięwzięte".

25 września Sąd Najwyższy zebrał się po raz ostatni w sprawie, którą w rejestrze zapisano pod sygnaturą II Kr 171/76. Jednogłośnie postanowił nie uwzględniać wniesionej przez obrońców Zdzisława, Jana i Henryka Marchwickich rewizji, a zasądzony w I instancji wyrok utrzymać w mocy. Halinie Flak natomiast zmniejszył wyrok do 3 lat pozbawienia wolności, Józefowi Flakowi zaś do 2 lat i 8 miesięcy, uznając przestępstwo,

jakiego ten ostatni się dopuścił za jednorazowe, nie ciągłe oraz fakt, że w dniu zabójstwa Jadwigi Kuci nie miał jeszcze ukończonych 18 lat.

W ustnym uzasadnieniu wyroku podniósł, że „sprawa, w której musiał orzekać, należy do niecodziennych nie tylko ze względu na długość działań sprawcy, ogrom zbrodni, jakich się główny oskarżony dopuścił i pobudek, jakie go do tych działań popchnęły, ale i ze względu na stopień demoralizacji rodziny Marchwickich, która niemal w całości zasiadła na ławie oskarżonych".

Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski.

26 kwietnia 1977 roku o świcie otwarły się drzwi celi śmierci, w której przebywał Zdzisław Marchwicki. Kilkadziesiąt minut później, w garażu katowickiego Aresztu Śledczego przy Ulicy Mikołowskiej orzeczony wyrok został wykonany. W odstępie godziny, na szubienicy zawisł również Jan Marchwicki. Podobno Zdzisław już pod stryczkiem krzyczał, że jest niewinny, a Jan przeklinał pułkownika Grubę.

Gdzie ich pochowano? Tego nie wie nikt. Mówi się o cmentarzu na Podlesiu, gdzie zakopywano zwłoki innych, skazanych na śmierć. Istnieje także wersja o przekazaniu ciał do Akademii Medycznej w charakterze preparatów dla studentów...

Zaraz po wykonaniu egzekucji na obu Marchwickich, do akcji wkroczył tryumfujący pułkownik Jerzy Gruba, każąc technikowi Wiesławowi Tomaszkowi wykonać maskę pośmiertną „wampira". Później kazał ją pozłocić, a z oryginału zrobić kilka modeli dla współpracowników...

„Ciało było jeszcze ciepłe – wspominał potem pan Tomaszek. – To bardzo nieprzyjemne uczucie, dotykać twarzy, która stygnie. Ale ja musiałem oddać rysy tej twarzy zanim śmierć nie wyciśnie na niej swego piętna. Długo mieszałem masę plastyczną (...) Kiedy już ją nałożyłem, to ona nie chciała zejść, mimo że z całej siły darłem. W końcu musiałem tę maskę obciąć scyzorykiem..."

*

Proces „Wampira z Zagłębia" był procesem poszlakowym.

Pomimo tytanicznej pracy, wykonanej przez organa ścigania, nie przedstawiono w nim żadnych mocnych dowodów świadczących o winie Zdzisława i Jana Marchwickich. Można właściwie powiedzieć, że niczego im nie udowodniono, a o sposobie zbierania materiałów obciążających było już wcześniej (i będzie jeszcze za chwilę).

Po upadku systemu komunistycznego w Polsce, na początku lat dziewięćdziesiątych zaczęły krążyć wieści, że Zdzisław Marchwicki wcale nie był „wampirem", a powieszenie Jana zaczęto wprost nazywać „morderstwem w majestacie prawa", twierdząc, że dostał „czapę" za okazywaną na procesie wyjątkową bezczelność oraz za to, że wiedział zbyt dużo o przekrętach z dyplomami, w które zamieszanych było wiele prominentnych postaci ówczesnego Śląska i Zagłębia. Co najciekawsze, wiadomości te kolportowali nie żądni zawsze taniej sensacji dziennikarze, lecz członkowie tropiącej „wampira" policyjnej grupy „Anna".

Na jaw wyszły zadziwiające fakty preparowania dowodów. Jak wspomniano wcześniej, jednym z koronnych dowodów świadczących o winie Zdzisława Marchwickiego był zegarek marki „Wiesna", o numerze 85319... Otóż okazało się, że handlarz Muzyczko długo nie mógł zdecydować się, czy człowiek, od którego go kupił, przypominał Marchwickiego. Najpierw, tuż po zatrzymaniu, powiedział że tak, później, opisując sprzedającego, opisał go inaczej.

Na wszelki wypadek, naczelnik Gruba polecił napisać list do radzieckiego producenta z zapytaniem, czy zegarek o wymienionym numerze był tylko jeden, czy też wyprodukowano ich więcej. Odpowiedź nadeszła na wymiętej, potłuszczonej kartce papieru i stwierdzała, że taki zegarek wyprodukowano tylko jeden.

Naczelnik rozzłościł się, że z tak potężnego kraju i z tak renomowanej firmy przysyłają marny karteluszek, który w żaden sposób nie może być dowodem dla sądu. Wysłał więc do Rosji umyślnego, który tym razem przywiózł już ze sobą firmowy papier z fabryki. Tyle, że napisano na nim, iż zegarków o tym

numerze wyprodukowano nie jeden, lecz wiele. Przywieziony ze Związku Sowieckiego dokument poszedł do kosza, a jako dowód Gruba kazał dołączyć do akt pierwszy list...

Schorowanego Henryka Marchwickiego, który wyszedł na wolność po dwudziestu latach, odwiedził w domu pomocy społecznej dziennikarz Jan Dziadul.

– Bracia byli niewinni, zostali zamordowani w majestacie prawa – usłyszał.

– Ale przecież pan ich obciążał, czym też przyczynił się do zaprowadzenia na szubienicę! – przypomniał mu żurnalista

– Bo mnie zmuszono, bito, psychicznie szykanowano – padła odpowiedź. – Potem wszystko odwołałem[6].

– W toku tamtego śledztwa do zbrodni, do zabicia jednej z ofiar wampira, przyznał się też jej mąż, oficer wojska – uzupełnił potem tę wypowiedź mecenas Mieczysław Frelich. – W śledztwie pokazał gdzie zabił, jak zabił, co zrobił z narzędziem zbrodni… Pytany w sądzie, dlaczego przyznał się do czynu, którego nie popełnił, odpowiedział: »Panie mecenasie, gdyby pan był w areszcie na moim miejscu, to też by się pan przyznał«… W lipcu 1976 roku w rewizji do Sądu Najwyższego wnosiłem o uniewinnienie Zdzisława Marchwickiego i do dziś podtrzymuję to stanowisko. Choć nie twierdziłem i nie twierdzę, że nie był on wampirem. Uważam tylko, że w tym poszlakowym procesie nie udowodniono mu ani jednej zbrodni, ani jednego usiłowania. (...) Gdybym był sędzią, nigdy nie podpisałbym wyroku skazującego w tym procesie.

– Różne chwyty stosowali: długie przesłuchania o różnych porach, szpicle w celi, rygor – wspominał Zdzisław Flak, ostatni z żyjących oskarżonych z rodziny Marchwickich. – Wobec mnie śledczy byli grzeczni, bo wiedzieli, że byłem porywczy i mogłem

6 Po odbyciu zasądzonej kary więzienia, Henryk Marchwicki rozpoczął starania o wniesienie kasacji od wyroku wydanego w 1975 roku. Twierdził, że Zdzisław był kozłem ofiarnym. Niedługo potem Henryk Marchwicki umarł w – jak wielu twierdzi – w niewyjaśnionych okolicznościach. Oficjalną przyczynę jego śmierci podaje się upadek ze schodów. W marcu 2002 roku biuro Rzecznika Praw Obywatelskich wydało oświadczenie, w którym stwierdzono, że nie zachodzą przesłanki do wniesienia kasacji w sprawie Marchwickich.

coś sobie zrobić. Nie ze wszystkimi byli tak delikatni. Mama mówiła mi, że ją śledczy kpt. Zamkowski przykuwał do kaloryfera, bił i wymuszał zeznania.

Drugi z obrońców Zdzisława, Bolesław Andrysiak, wypowiedział się po latach na temat zapadłego wyroku w sposób następujący:

– Marchwiccy, to byli osobnicy zdemoralizowani do szpiku kości, społeczne dno. Większość brudów życia była ich udziałem. Tylko czy za to się wiesza?

– Za co stracono Jana? – powiedział z kolei Wiesław Tomaszek. – A za dużą gębę, bo on wszystkich na procesie poobrażał, ciągle pyskował.

W rozmowach z Grażyną Starzak, autorką książki Powrót wampira, wiele osób związanych niegdyś blisko z grupą „Anna" twierdziło, że „funkcjonariuszom kierującym śledztwem zależało na jak najszybszym zakończeniu dochodzenia. Milicji potrzebny był sukces. Mówiono, że na przyspieszenie śledztwa wpływ miała ówczesna katowicka władza.

„Gdy złapano Marchwickiego już nie było mowy o tym, żeby szukać kogoś innego" – twierdził prokurator Leszek Polański, który przez pięć lat zaangażowany był w śledztwo, a później dobrowolnie zrezygnował z udziału w sprawie. Dwadzieścia lat później powiedział, że „stracenie Marchwickiego było mordem w majestacie prawa".

– Ja pani nie powiem, czy Marchwicki był wampirem – stwierdził w wywiadzie przeprowadzanym przez Grażynę Starzak Zbigniew Gątarz. – Twierdzę tylko, że nie było żadnych dowodów, nawet najmniejszych, a poszlaki były głupie, sztuczne i nie nosiły znamion uczciwych poszlak śledczych.

Żadnych wątpliwości co do tego, czy Marchwicki był winny przypisywanym mu zbrodniom, nie mieli sędziowie wydający wyrok w sprawie „Wampira z Zagłębia" oraz główny oskarżyciel. Sędzia Władysław Ochman powiedział między innymi, że sprawa „wampira" wystąpiła w zderzeniu z opinią publiczną: „gdybyśmy wydali inny wyrok, ludzie na sali by nas roznieśli".

*

Choć od tamtych wydarzeń minęło kilkadziesiąt lat, sprawa „wampira z Zagłębia" wciąż wywołuje emocje. Czy rzeczywiście był nim Zdzisław Marchwicki? Czy jego brat Jan skończył na stryczku, bo posiadał wiedzę kompromitującą bezpiekę i ówczesne władze? Interesujące światło na kwestię skazania Jana Marchwickiego rzuciło otwarcie akt zgromadzonych przez IPN. Pisał o tym między innymi Tomasz Szymborski w miesięczniku „Focus" (Tajemnice Marchwickiego): „Z dokumentów znalezionych w archiwum IPN w Katowicach wynika, że od 1962 roku Jan Marchwicki był agentem SB ps. Janusz. Został zwerbowany przez kapitana Stanisława Wowrę z SB w Sosnowcu. Donosił przez kilka lat na księży z parafii św. Jacka w Sosnowcu. W 1963 roku przekazał sześć informacji dotyczących księży z Sosnowca: Grunwalda, Krawca i Czajora. To bezpieka załatwiła mu później pracę kierownika sekretariatu na wydziale prawa. Z jego gabinetu korzystał często oficer SB, który »zabezpieczał« uczelnię.

»Jasiu, jak na niego mówili studenci, był znanym homoseksualistą, notowanym przez milicję i SB. Bardzo inteligentny, przebiegły. Uczył się w Niższym Seminarium Duchownym w Poznaniu, a potem przez prawie trzy lata w Wyższym Seminarium w Krakowie. Wyrzucono go stamtąd z powodu jego skłonności. Marchwicki był zarazem szarą eminencją Uniwersytetu Śląskiego. Żył ze swoim młodym partnerem Józefem Klimczakiem w Katowicach we własnym mieszkaniu, nieopodal uczelni. Demoralizował studentów, brał łapówki. Miał ku temu wiele okazji, bo był przecież kierownikiem dziekanatu Wydziału Prawa i Administracji na Uniwersytecie Śląskim« – wspomina Wiesław Tomaszek.

We wrześniu 1970 roku porucznik Cilecki z gr. IV Wydziału III SB spisał notatkę służbową z rozmowy z TW „Lech". Agent streszczał rozmowę Ewy Stankiewicz (ówczesnej asystentki na Wydziale Prawa i Administracji) z Janem Marchwickim, dotyczącą mechanizmu brania łapówek za przyjęcia na studia. Z donosu wynika, że Marchwicki kompletował listę tych

kandydatów na studia, którzy szukali protekcji. Wybierał dzieci osób zamożnych. Lista była przekazywana dyrektor Karpińskiej, która doręczała ją rektorowi. Protegowany zdawał egzamin pisemny ze wszystkimi. Gdy poszło mu źle, Marchwicki wymieniał w jego teczce pracę złą na dobrą. Gdy z kolei protegowanemu poszło źle na egzaminach ustnych, Marchwicki polecał mu pisać odwołanie do rektora i taka osoba trafiała na studia z listy rektorskiej. Marchwicki żalił się, że z tego zyskownego interesu dostawał resztki. Nieprawidłowości w przyjęciach kandydatów na studia prawnicze nie stanowiły tajemnicy dla SB co najmniej od 1969 r. Sprawa korupcji nigdy nie została wyjaśniona.

Podczas śledztwa Jan Marchwicki opowiadał o udziale w gigantycznej aferze korupcyjnej na uczelni i jej głównych autorach:

»Ob. Aleksander Chmielewski – pracownik SB – pozostawił mi kartkę z nazwiskami swoich protegowanych, nie tylko z KW MO. Oczywiście wszyscy zostali przyjęci, ale przez to musiałem dwa nazwiska skreślić z listy Wojewódzkiej Rady Narodowej, a ci kandydaci mieli pierwszeństwo. Wiem, że w tej sprawie wezwał mnie ob. rektor Popiołek, który był u siebie w gabinecie z I sekretarzem KU PZPR, i pytał się, co się stało. Odpowiedziałem, że chodzi o ludzi ob. Chmielewskiego. Rektor nic się nie odezwał i kazał mi iść. […] Jeżeli chodzi o Aleksandra Chmielewskiego, to tutaj muszę dodać, o czym nie chciał pisać w protokole por. Jan Kowalski, że właśnie w czasie, kiedy byłem zabierany na rozmowy do KW MO, pouczał mnie, abym nie poruszał sprawy łapówek i uważał na podpis protokołów – chodziło o to, aby między ostatnim zdaniem protokołu a podpisem nie było miejsca, gdyż przesłuchujący mogą coś niekorzystnego tam dopisać. Tak samo wspominałem, że Aleksander Chmielewski pobrał od syna organisty Skibińskiego 1000 zł na załatwienie węgla i nie załatwił ani nie oddał pieniędzy. Por. Kowalski odparł, że to sprawa prywatna i w protokole tego pisać nie będzie«.

Za przyjęcia na studia Marchwicki wziął w sumie 1,2 mln złotych! Istnieją teorie, według których SB zależało na tym, aby go uciszyć. Aby przestał kompromitować bezpiekę, zaangażowaną w niezwykle wstydliwy i paskudny proceder.

(…)

Służba Bezpieczeństwa niezbyt przykładała się do śledztwa w sprawie wielokrotnego zabójcy kobiet. I interesowało ją co innego niż milicję.

– Bardziej nam przeszkadzali niż pomagali. Tak naprawdę, to chyba SB nie chodziło o złapanie „wampira", ale o zbieranie „haków" na ludzi – tłumaczy jeden z milicjantów, który szukał »wampira«. Zachowały się setki meldunków operacyjnych, w których sprawdzano informacje z donosów obywateli. Pisały zdradzane kobiety i opisywały – prawdziwe bądź zmyślone – szczegóły ich pożycia, świadczące o tym, że miały kontakt z potencjalnym „wampirem". SB sprawdzała także osoby, które pełniły funkcje w obozach koncentracyjnych, służyły w hitlerowskich jednostkach likwidacyjnych. W „Analizie motywu działania sprawcy na podstawie ustaleń śledczych i operacyjnych w sprawie krypt. Anna" z 8 listopada 1968 r. kpt. Jerzy Gruba napisał:

»Dlaczego za rejon działania sprawca wybrał Zagłębie? […] W porównaniu do innych regionów kraju, w tym także Śląska, społeczeństwo Zagłębia jest najmniej podatne na propagandę kleru, potępia otwarcie jego polityczne aspiracje. W tej sytuacji czynnikiem, który mógłby podważyć zaufanie tego społeczeństwa do władz, jest wykazanie ich bezsilności«.

*

Minęło już wiele lat od tamtej pory i nie da się udzielić odpowiedzi na pytanie, czy Zdzisław Marchwicki był prawdziwym „Wampirem z Zagłębia", czy tylko niewinną ofiarą, „zmieloną" przez żądną sukcesu i karier socjalistyczną machinę

policyjno-prawną, która przez prawie osiem lat nie potrafiła złapać sprawcy i wszelkimi sposobami starała się „wrobić" kogoś w te zabójstwa.

Być może jednak, odpowiedź na pytanie, kto był wampirem, leży w całkowicie zbagatelizowanym „śladzie Piotra Olszowego".

Piotr Olszowy, właściciel zakładu rzemieślniczego z Sosnowca, chory psychicznie alkoholik, jak później udowodniono, znęcał się nad żoną i nad dziećmi. Miał samochód i znakomicie znał teren. A co najważniejsze, 4 marca 1970 roku, w dniu zabójstwa Jadwigi Kuci, był na imieninach przy ulicy Gliwickiej, trzy kilometry od miejsca przestępstwa i jak zeznali świadkowie „na pewien czas opuścił przyjęcie".

Przesłuchiwano go nawet jako jednego z podejrzanych w tej sprawie. Powiedział nawet, że to on jest „wampirem" i podał całą masę szczegółów dotyczących innych zabójstw, które znać mógł tylko prawdziwy morderca. Przesłuchanie prowadził jednak jakiś młody oficer, niemający o nich pojęcia, który uznał, że ma do czynienia z jeszcze jednym wariatem. (Jak zwykle w tego rodzaju wypadkach, na policję zgłaszało się wielu „świrów", którzy przyznawali, że to oni są „wampirami"). Poza tym eliminował go wysłany do Komendy list, który jak stwierdził biegły grafolog, nie był pisany ręką Olszowego. (Ale nie był też pisany przez żadnego z Marchwickich!). Kazano mu wracać do domu.

Dziesięć dni później protokół z jego zeznaniami wpadł w ręce jednego z bardziej doświadczonych pracowników grupy „Anna". Kiedy funkcjonariusz ów zapoznał się z zeznaniami Olszowego, włosy dosłownie stanęły mu na głowie dęba. Niektóre podane przez przesłuchiwanego szczegóły znane były tylko milicji i sprawcy...

Do miejsca zamieszkania sosnowieckiego rzemieślnika, willi przy ulicy Odrodzenia 8 wysłano natychmiast radiowóz. Funkcjonariusze zastali tam jednak już tylko pogorzelisko. Piotr Olszowy zabił nożem żonę, dzieci i teściową zgładził za pomocą młotka, a sam polał się benzyną i spalił z całym domem oraz zamordowaną rodziną.

– Trup Olszowego miał tak bardzo zaciśnięte pięści, że nie sposób było pobrać jakichkolwiek odcisków palców – opowiada Wiesław Tomaszek. – Gdyby to się udało, być może nie powieszono by Marchwickiego, ale to jest oczywiście tylko gdybanie.

A może i tak zawiśliby na szubienicy? Ludowa sprawiedliwość domagała się żywego „wampira", którego można by osądzić, przykładnie ukarać oraz rzucić na żer społeczeństwu i Edwardowi Gierkowi, który niedługo wcześniej został najważniejszą osobą w państwie – I sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR. Sprawca, który sam wymierzył sobie sprawiedliwość, nikomu nie był potrzebny. To też tylko gdybanie...

Nie jest już jednak gdybaniem fakt, że Olszowy dużo bliższy był nakreślonemu przez wcześniej biegłych portretowi psychologicznemu „wampira". Wątek Olszowego został całkowicie usunięty ze śledztwa i z akt. Ponieważ doktor Kucia była związana z duchowieństwem i tworzącą się opozycją, milicję odsunięto od sprawy Olszowego. Zajęli się nią funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa.

MUCHY
BOGDAN ARNOLD (1964 – 1968)

Było wczesne popołudnie, dnia 8 czerwca 1967 roku. Oficer dyżurny Komendy Dzielnicowej Katowice-Śródmieście, mieszczącej się przy ulicy Pocztowej, odłożył słuchawkę telefonu. Najpierw wysłał radiowóz na ulicę Graniczną, gdzie awanturował się jakiś pijak, potem dopiero spojrzał na stojącego po drugiej stronie okienka mężczyznę. Facet miał na sobie wyświechtany szary garnitur i niebieską, brudną koszulę. Jeden Bóg znał prawdę o jego bieliźnie, ale o tym lepiej było nie myśleć.

– No więc co tam się stało, przy Dąbrowskiego? – podjął przerwany wcześniej dialog.

– Co sie stoło, to jo niy wiym – powiedział z wyraźnym śląskim akcentem mężczyzna. – Godołeh już, łod tydni capi tom jakby sie kto zesroł.

– No bo może się i zesrał. Idźcie z tym do administracji i nie zawracajcie głowy milicji takimi sprawami.

– Jużeh buł. Ino łune nic nie mogom. Dźwi zawarte, a na klupanie nikt nie łodpowiodo. Łokna cajtungami łoblepione, co w środku nic łoboczyć niy można. Flyje po gipsdekli łożą i do szolek dżistajom.

– Co takiego?

– No te... muchy. U somsiadów tyż paskustwa różnego w pizdu. Z tego miszonga france przełożom. Może tam trup jaki sie rozkłodo.

– Eee, tam, zaraz trup. Kto tam mieszka?

– A taki leber jedyn, łożyrok. Ajnfachowy. Zróbcie coś z tym, godom, bo już źdźiyrżyć nie idzie. Jedzie jak z haźla.

– No dobrze – zgodził się oficer dyżurny. – Zero dziewięć, zgłoś się na jeden jeden – rzucił do mikrofonu radiostacji.

– Zero dziewięć, zgłaszam się.

– Pojedziecie na... – jaki to dokładnie adres?

– Dąbrowskiygo cztyrnoście, mieszkanio dźiwiyńć – podpowiedział mężczyzna. – Na somym wiyrhu.

– Pojedziecie na Dąbrowskiego czternaście, mieszkania dziewięć. Mam zgłoszenie, że tam fetor jakiś straszny z lokalu się wydobywa. Okna oblepione gazetami. Lokatorzy się skarżą, że robactwo stamtąd im do mieszkań przełazi. Proszą, żeby sprawdzić, czy przypadkiem coś nie stało się z najemcą.

– Przyjąłem, jeden jeden. Udaję się.

Czteropiętrowa kamienica przy ulicy Dąbrowskiego 14 była stara i wyjątkowo ponura, o czarnych ścianach i wąskich, nigdy niemytych oknach. Na górę wchodziło się po schodach krętych i ciemnych, ozdobionych żelazną poręczą, powyginaną w secesyjne wzory, chwiała się zresztą mocno, gdy było się jej trzymać. Nie dawało to poczucia równowagi, do tego mroczna czeluść po drugiej stronie dziwnie ciągnęła ku sobie.

Z tych drewnianych, brudnych i skrzypiących schodów o szarych wgiętych stopniach, cuchnących kocimi odchodami, wchodziło się przez wiecznie otwarte drzwi do ciemnego korytarza. Tynk odchodził ze ścian całymi płatami, odsłaniając wyszczerbione, czerwone cegły. W nocy nie widać tu było niczego prócz prostokątów źle oświetlonych okien w górze i pustej czerni ulicznych wąwozów. Po obu stronach ciągnęły się ciemne korytarze, na których migotały wieczorami ogniki zapałek i ogarki świec. Labirynty rozbrzmiewały nieustannym śpiewem, toastami, czasem złorzeczeniami i jękiem krwawych rozpraw, czasem zaś zdyszanym szeptem szybkiej miłości. Czarne sylwetki przyciskały dziewczęta w zaułkach murów, piły tanie wino, siedząc na potrzaskanych przepierzeniach z desek i wyrzucały przez okna na ulicę puste butelki.

W takich kamienicach mieszkały zwykle tanie kobiety, upadli mężczyźni, alkoholicy i tym podobne szemrane typy, gotowe w każdej chwili wbić ci nóż w bebechy, zanim zdążysz powiedzieć dzień dobry. Sznurki przecinały podwórko wzdłuż i wszerz, a susząca się na nich bielizna łopotała nad głową przechodzących niczym postrzępione chorągiewki.

Gromady wygłodniałych kotów grzebały w odpadkach porozrzucanych wokół kontenerów na śmieci, łapczywie pożerając rozrzucone wokół „dziwne" mięso. I właśnie widok tego „ścierwa" już na samym początku zaniepokoił wezwanych funkcjonariuszy.

Małe pomieszczenie na strychu, oznaczone numerem dziewiątym, było kiedyś pralnią, potem przerobiono je na lokal zastępczy. Zza drzwi mieszkania rzeczywiście bił smród nie do zniesienia.

„Drzwi do mieszkania (...) zastałem zamknięte, na pukanie nikt nie odpowiadał – czytamy w tekście notatki służbowej sporządzonej przez jednego z przybyłych na miejsce milicjantów, plutonowego Zygmunta Sikorę. – Zza drzwi czuć było zapach zgnilizny, upewniło mnie to w podejrzeniu, że w mieszkaniu znajdują się chyba jakieś zwłoki w silnym rozkładzie.

W tym stanie rzeczy powiadomiłem o tym dyżurnego komisariatu i zażądałem, aby przybył na miejsce technik dochodzeniowy oraz żeby zawiadomić prokuraturę. Jednocześnie wezwałem Zawodową Straż Pożarną. Porucznik ZSP Mieczysław Piekarz i strażak Ryszard Sienkiewicz dostali się przez dymnik na strych, weszli na dach, skąd po wybiciu szyby w oknie znaleźli się w mieszkaniu i otworzyli drzwi wejściowe. Wszedłem tam z technikiem dochodzeniowym i zauważyliśmy, że pod oknem leżą przykryte szmatami, znajdujące się w rozkładzie zwłoki. Nie musiałem się domyślać, że mamy do czynienia z morderstwem, więc nic w mieszkaniu nie ruszając, poleciłem koledze, aby zawiadomił o naszym makabrycznym odkryciu kierownictwo Komendy Dzielnicowej oraz Komendę Miasta MO w Katowicach".

*

O czym – zapewne przez delikatność – nie wspomniał plutonowy Sikora, to o fakcie, że po wybiciu toporkiem okna do mieszkania, strażacy mogli dostać się do wnętrza dopiero po założeniu masek gazowych. Bijący stamtąd odór był tak przenikliwy, że mógł pozbawić przytomności. Dopiero wtedy, po

otwarciu od wewnątrz drzwi od mieszkania, funkcjonariusze zobaczyli widok, którego zapewne nie zapomną do końca życia.

Fragment milicyjnego sprawozdania: „Pod parapetem leżały ludzkie zwłoki w stanie daleko posuniętego rozkładu. W łazience stała duża drewniana skrzynia murarska, obita cynkową blachą, służąca jako wanna. Przykryta była szczelnie ceratą, dodatkowo jeszcze stała na niej skrzynia od tapczanu. We wnętrzu ujawniono kilka ciał. Nie mogliśmy określić płci, ani nawet liczby zwłok. W cuchnącej, rozkładającej się ludzkiej tkance ruszały się tysiące larw, poczwarek, owadów. Spod skrzyni wystawało owinięte w gazetę podudzie. Weszliśmy do kuchni. Na piecu stał garnek. (...) Na powierzchni gara pływała rozgotowana ludzka głowa. Na stole tykał budzik. Obok niego leżał mokry pędzel do golenia".

Szczegółowe oględziny małego mieszkania, składającego się z pokoju i schowka (łazienki), wykazały, że na kręgach szyjnych jednego ze szkieletów znajdowała się pętla wykonana z przewodu elektrycznego. W kotle do prania bielizny znaleziono następną głowę. Po całym pomieszczeniu walały się porozrzucane bezładnie różne części damskiej garderoby i torebki. Stopień rozkładu poszczególnych zwłok oraz kolejność ich ułożenia wskazywały, że ofiary zostały zamordowane w różnym czasie. Ujawnione fragmenty ludzkich ciał obsiadły wielkie, brzęczące wściekle muchy. Żadnych dokumentów, które pozwoliłyby zidentyfikować zwłoki, nie znaleziono. Natomiast mokry pędzel i nakręcony budzik wskazywały niezbicie, że właściciel mieszkania opuścił je niedawno.

Nazwisko najemcy lokalu milicjanci ustalili już po kilku minutach. Zajmował go trzydziestoczteroletni (urodzony 17 lutego 1933 roku w Kaliszu) elektryk (ale bez dyplomu), nazwiskiem Bogdan Eugeniusz Arnold, syn Eugeniusza. Czterokrotnie wcześniej karany, z art. 201 § 1 kodeksu karnego i art. 257 § 1 k.k. (niealimentacja i przywłaszczenie mienia)[7]. W

7 Mowa o kodeksie karnym z 1932 roku, zwanym „Kodeksem Makarewicza", obowiązującym od 1 września 1932 w II RP, oraz – ze zmianami – do 31 grudnia 1969 roku w PRL.

Katowicach zamieszkał w 1960 roku, przyjechał tu z Legnicy.

Sąsiedzi, którzy tłumnie zebrali się na podwórzu, byli wstrząśnięci makabrycznym odkryciem. Lokatora „spod dziewiątki" uważali dotąd za spokojnego człowieka, może tylko trochę za bardzo nadużywającego alkoholu, ale... „kto nie lubi sobie wypić?". Opowiadał, że jest rozwodnikiem i musi na nowo układać sobie życie, bo został z niczym. Rozumieli go i nawet mu współczuli. Nie wiedzieli, że Arnold rozwodził się wcześniej aż trzykrotnie, a z trójką swoich dzieci (dwojgiem ślubnych i jednym nieślubnym) prawie że nie ma kontaktu. Wszystko przez brutalność i uzależnienie. Żony oskarżały go o ataki agresji i znęcanie się nad nimi oraz dziećmi. Pierwszą żonę porzucił w momencie, w którym dowiedział się, że wbrew swoim wcześniejszym oczekiwaniom, jej rodzice nie są bogaci i nie mogą córce zapewnić dużego posagu. Wyznał potem, że ją otruł. Drugiej pozwolił odejść cało, ale trzeciej to już nienawidził jak zarazy. (W toku postępowania nie udało się ustalić, czy naprawdę otruł kobietę).

Z sąsiadami właściwie nie utrzymywał bliższych stosunków, wolał towarzystwo prostytutek i pijaków. Koledzy z pracy określali go jako uczynnego, chociaż niezwykle skrytego. Komuś tam zreperował radio, komuś naprawił kontakt. Wyróżniał się wśród nich... elegancją: „Dbał o siebie, to fakt" – przyznał jeden ze współpracowników. Uchodził za przystojnego i z łatwością podrywał kobiety. Jego koledzy z huty „Baildon" nie mogli uwierzyć, że grzeczny i schludny Boguś to wampir. „Spokojny, bezkonfliktowy, skromny" – padały określenia. Jednym słowem przeciętny i niczym niewyróżniający się człowiek. Nikt nie wiedział, jak straszną kryje tajemnicę.

Z powodu nadużywania napojów wyskokowych miał tylko wieczne problemy z pracą. Uchodził wprawdzie za dobrego fachowca, ale żaden szef nie był skłonny tolerować przez czas dłuższy jego notorycznych spóźnień, wiecznego kaca i lekceważenia obowiązków.

Zbierając te informacje, funkcjonariusze nie wiedzieli, że poszukiwany przez nich sprawca znajdował się przez chwilę

dosłownie na wyciągnięcie ręki. Stał w tłumie gapiów pod kamienicą...

Wracając 8 czerwca z pracy, Bogdan Arnold już z daleka ujrzał zaparkowany przed domem radiowóz, samochód strażacki i liczną gromadę ciekawskich. Natychmiast zorientował się, że jego zbrodnie wyszły na jaw i pospiesznie się oddalił. Kupił kilka win „patykiem pisanych", popularnych w tym czasie „jaboli" i najbliższy tydzień spędził, ukrywając się na ogródkach działkowych w katowickiej dzielnicy Wełnowiec, położonych na terenie dawnych hałd węglowych, zwanych popularnie „Alpami". W tym czasie milicja intensywnie go szukała. Zarządzono blokadę dróg, w prasie, radiu i telewizji pojawiły się komunikaty o poszukiwaniach.

Szybko jednak miał tego dość. Podobno – jak wyjaśnił później podczas śledztwa – chciał popełnić samobójstwo, lecz zerwał się pod nim sznur. W końcu głodny, zmęczony, w brudnym i wymiętym ubraniu, 14 czerwca zgłosił się w portierni pobliskich Zakładów Cynkowych „Silesia", informując, kim jest. Kilka minut później, skuty kajdankami, jechał już w radiowozie na Komendę Wojewódzką Milicji Obywatelskiej w Katowicach.

W trakcie trwającego kilka miesięcy śledztwa przyznał się do zamordowania czterech kobiet, których ciała znaleziono w mieszkaniu oraz jeszcze jednego usiłowania zabójstwa. Jego proces rozpoczął się 4 marca 1968 roku przed Sądem Wojewódzkim w Katowicach. Rozprawie przewodniczył ówczesny szef Wydziału IV Karnego, sędzia Eugeniusz Wilczek, mając po bokach dwóch ławników: Józefa Szydło i Jana Oczko. Oskarżał wiceprokurator wojewódzki Leszek Polański, bronili oskarżonego adwokaci z urzędu: Zbigniew Wieczorek i Mieczysław Frelich.

*

Po odczytaniu przez prokuratora aktu oskarżenia, głos zabrał Bogdan Arnold.

„Do winy poczuwam się i zdaję sobie sprawę z tego, co robię i co mówię – oświadczył zdecydowanie, pewnym siebie,

swobodnym głosem. – Proszę nie uważać, że chcę się przedstawiać za niepoczytalnego, pragnę jedynie, aby świadkowie mówili tak, jak było naprawdę. Na moje zachowanie miało wpływ szereg okoliczności, począwszy od mojego pierwszego, nieudanego małżeństwa. Potem to wszystko narastało, aż znalazło swoje odzwierciedlenie w październiku 1966 roku, kiedy to dopuściłem się pierwszego morderstwa.

Marię B. poznałem 12 października tego roku. Miała około trzydziestu lat, szczupła brunetka, mówiąca ze wschodnim akcentem. Tego dnia zaszedłem wraz ze znajomym na piwo do restauracji «Kujawiak». [Przy ul. 27 stycznia – przyp. aut.] Piwa w restauracji zabrakło, ale klienci przynosili je sobie ze sklepu obok. Zrobiłem to i ja. W pewnym, momencie podeszła do naszego stolika Maria B. prosząc, aby jej także kupić piwo, bo jako kobieta krępuje się po nie chodzić do sklepu. Przyniosłem więc i dla niej piwo i zamówiłem setkę wódki. Początkowo wzbraniała się, w końcu wypiła. Wypiliśmy chyba jeszcze po dwie lub trzy setki, kolega pożegnał się wcześniej i gdy zostałem z tą kobietą sam, powiedziała, że nie ma gdzie spać, wobec czego zaproponowałem, aby poszła do mnie. Po drodze kupiłem jeszcze pół litra.

Gdy przyszliśmy do mieszkania, zrobiłem kanapki. Wypiliśmy tę wódkę i pomyślałem sobie, że jak kobieta przychodzi do samotnego mężczyzny, to wie po co, i chciałbym ją pocałować. Wtedy ona zerwała się i powiedziała, że trzeba płacić. Odrzekłem wówczas, że nigdy nie płaciłem i nie będę płacić teraz, dodając: – Nie podskakuj! Maria B. zagroziła, że narobi mi takiego szumu, że mnie milicja zabierze; rozerwała na sobie bluzkę, zadrapała się w policzek i chciała wyjść.

Nie chcąc dopuścić do skandalu podszedłem do niej, kopnąłem w okolicę zginania się kolan, wskutek czego B. zachwiała się. Ja chwyciłem ją przedramieniem od tyłu za szyję i rękę tę zacząłem zaciskać. Ponieważ B. broniąc się, zadrapała mnie w okolicę nadgarstka, pod wpływem bólu chwyciłem leżący na kuchence młotek murarski, którym uderzyłem ją dwa lub trzy razy w głowę i poczułem, że jej ciało wiotczeje. Położyłem ją na

tapczanie i spostrzegłem, że nie żyje. Byłem tak zdezorientowany, że nie wiedziałem co robić i postanowiłem wyjść na miasto. Obawiając się jednak, że ktoś odkryje zwłoki, schowałem je do tapczanu.

Przez trzy dni chodziłem pijany, a po trzech dniach, postanowiłem zrobić z tym porządek. W tym celu zabrałem z zakładu pracy gumowe rękawice i pyłochłonną maseczkę. Początkowo chciałem palić części zwłok, ale nie miałem węgla, a przy drzewie to nie szło. Otworzyłem więc przy pomocy noża kuchennego jamę brzuszną, skąd wyjąłem wszystkie wnętrzności, które krajałem na kawałki i spuszczałem otworem kanalizacyjnym znajdującym się w moim mieszkaniu, zaś same zwłoki umieściłem w skrzyni drewnianej obitej od wewnątrz blachą. Dla przyśpieszenia rozkładu zwłok chciałem kupić sodę kaustyczną, ale nie mogłem jej nigdzie dostać, wobec czego kupiłem około dziesięciu paczek chloru. Rozpuściłem go i zalałem gorącą wodą. W ten sposób zapobiegłem dalszemu rozkładaniu się zwłok i tak leżały one w tej skrzyni, aż do następnego morderstwa (...). Obciętą głowę włożyłem do garnka z ciepłą wodą. Nie mogłem znieść tego widoku, dlatego poszedłem się napić do baru. Kiedy wróciłem, postawiłem kociołek na elektryczny grzejnik. Zasnąłem. Po obudzeniu stwierdziłem, że zawartość kociołka zagotowała się".

Jak więc wyjaśnił oskarżony, pierwszą zbrodnię popełnił niejako „przez przypadek", sprowokowany przez ofiarę. Tak, czy inaczej, Maria B. była jedyną ofiarą Arnolda, której na początku znajomości nie planował zabić. Dokonując kolejnych zabójstw, działał już w zamiarze bezpośredniego pozbawienia życia. Zasmakował widać w tym procederze, bo już dziesięć dni później, 22 października próbował dokonać kolejnego zabójstwa. Ludmiła G., w potarganym ubraniu i z rękami związanymi na plecach drutem, wybiegła z krzykiem na ulicę z mieszkania przy Dąbrowskiego 14. Zgłaszając sprawę na milicji, oświadczyła, że właściciel lokalu oznaczonego numerem 9 dusił ją ręcznikiem, potem zdarł z niej ubranie, związał dłonie i zgwałcił. Ponieważ ofiara była prostytutką, milicja zniechęciła ofiarę do dalszego

dochodzenia sprawiedliwości, każąc się jej wynosić do wszystkich diabłów. „Dzięki sprawności milicji i obywatelskiej postawie społeczeństwa Bogdan A. nie wyruszył już na kolejne, piąte łowy" – piała z zachwytu później, po schwytaniu sprawcy, prasa.

Na rezultat tego rodzaju traktowania swoich obowiązków przez funkcjonariuszy ludowego państwa nie trzeba było długo czekać. Kolejnego zabójstwa prostytutki Bogdan Arnold dokonał już niecałych pięć miesięcy później 12 marca 1967 roku.

*

Swoją ofiarę poznał przypadkowo w barze „Mazur" przy ulicy Słowackiego. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku była to jedna z najgorszych „mordowni" w Katowicach, w której konsumpcja odbywała się jedynie na stojąco. Sprawiała wrażenie taniej garkuchni: ciężko pochylone nad stołami postacie w roboczych drelichach i brudnych cyklistówkach rozwijały z przetłuszczonych papierków chleb z kiełbasą, zapijając piwem lub czystą wódką. Wśród woni gotowanej kapusty i podgrzewanych sosów, tłoczonej przez wentylator do środka, a nie wypychanej na zewnątrz na skutek błędu w konstrukcji, siedzieli Polacy i pili wódkę, zakąszali wątróbką, pasztetową, nóżkami w galarecie lub – w przypływie prostracji i zwątpienia – zeszłorocznymi kwaszonymi ogórkami.

Z poznaną tam nieznajomą Arnold wypił pół litra wódki, po czym kobieta zgodziła się spędzić z nim noc. W związku z tym zakupił jeszcze dwie butelki i zakąskę. „Już wtedy, w trakcie picia narastała we mnie chęć popełnienia kolejnego zabójstwa" – wyznał szczerze na procesie.

Po libacji pijana kobieta przewróciła się na tapczan i szybko zasnęła. „Aby po przebudzeniu się tej kobiety nie było jakichś komplikacji, postanowiłem ją związać i sam zasnąłem obok niej – opowiadał oskarżony. – Na drugi dzień rano, w trakcie odbywania stosunku, kobieta będąc ciągle związana, usłyszawszy, że ktoś idzie po strychu, chciała krzyknąć, ale ja nacisnąłem ręką na jej krtań i to spowodowało śmierć.

Po wyjściu tego kogoś ze strychu zrobiłem z tą kobietą to samo, co z poprzednią, po czym poszedłem do kolegi i razem pojechaliśmy do Halemby. Później poszliśmy do nocnego lokalu, gdzie spotkaliśmy innych kolegów i popiliśmy tak, że do Katowic dojechałem ostatnim autobusem. Następnego dnia nie poszedłem do pracy i aby mieć jakieś usprawiedliwienie, postanowiłem złamać sobie palec. W tym celu owinąłem rękę szmatą i uderzyłem młotkiem. Doznałem pęknięcia kości palca. Nie zgodziłem się, aby mi palec dać do gipsu i po trzech dniach pojechałem do pracy".

Tożsamości ofiary nigdy nie udało się ustalić. Arnold nie pamiętał nawet jej imienia. Był zbyt pijany. Przyznał jednak, że znęcał się nad nią, bił ją batem i pięściami, aż zabrakło mu sił. Odbył również kilka wymuszonych, perwersyjnych stosunków seksualnych. Zwłoki poćwiartował: odciął głowę i wszystkie kończyny. Podobnie, jak poprzednio, wnętrzności ofiary pokroił na desce i wrzucił do rury kanalizacyjnej. W ten sam sposób potraktował piersi i pośladki, wcześniej mieląc miękkie części ciała w maszynce do mięsa. Okaleczony tułów wsadził do wanny, głowę do garnka z gotującą się wodą. Garderobę kobiety spalił w piecu.

Do wszystkich popełnionych przez Arnolda zabójstw doszło bez świadków, ofiary nie przeżyły, a ich zwłoki znajdowały się w takim stanie, że biegli sądowi nie byli w stanie ustalić przyczyn i okoliczności zgonów. Z konieczności więc odtworzenie zbrodni musiało się opierać na wyjaśnieniach samego oskarżonego.

Do następnej doszło 21 kwietnia 1967 roku, a jej ofiarą padła upośledzona umysłowo prostytutka, trzydziestopięcioletnia Stefania M.

„Koło restauracji «Hungaria» [przy ul. Mariackiej – przyp. aut.] zobaczyłem kobietę, po której ruchach poznałem, że jest pod dobrą datą – kontynuował beznamiętnym głosem swą makabryczną opowieść Bogdan Arnold. – Zacząłem z nią rozmowę i zaproponowałem, aby poszła do mnie do domu. Oczywiście miałem zamiar więcej jej z mego mieszkania nie wypuścić.

Spałem w nocy czujnie, by ona przypadkiem nie natknęła się na zwłoki tamtych dwóch ofiar. Rano postanowiłem tę kobietę obezwładnić i w tym celu posunąłem się do fortelu, twierdząc, że muszę iść do pracy, wobec czego i ona musi wstać. Oświadczyła, że jest śpiąca i prosiła, aby jej nie wyrzucać, abym ją zamknął, a gdy wrócę, to ją wypuszczę. Powiedziałem na to, że mam obawy, bo już raz zostałem w ten sposób okradziony, owszem, mogę ją zostawić, ale żeby się zabezpieczyć przed jakąś niespodzianką z jej strony, zwiążę jej ręce. Wyraziła na to zgodę. Związałem jej ręce z tyłu i oczywiście już do pracy nie poszedłem, tylko się rozebrałem i zaczęły się orgie trwające przez cały dzień i noc, aż do południa dnia następnego . [Musiała tańczyć nago i prosić o odbycie stosunku seksualnego; płacz był karany uderzeniami grubego pręta; Arnold kopał ją również prądem, dotykając nóg kablem pod napięciem; w czasie przesłuchań twierdził, że podłączenie do prądu wyzwala większą ochotę seksualną – przyp. aut.]. Około czternastej doszedłem do wniosku, że trzeba zawiadomić zakład, dlaczego nie przychodzę do pracy, a ponieważ trudno mi było zostawić tę kobietę w mieszkaniu, spowodowałem jej śmierć przez zaciśnięcie przewodu igielitowego na szyi".

Ciało Stefanii M. z odciętą głową, podobnie jak poprzednich ofiar, trafiło do służącej za wannę skrzyni. Głowę funkcjonariusze odnaleźli w kotle do prania bielizny, zawinięte w gazetę lewe podudzie – pod nią.

*

Ostatnią ofiarę „władcy much" – jak zaczęto nazywać później Arnolda – zidentyfikowano jako trzydziestoletnią Helgę Erikę S. Podobnie jak wszystkie poprzednie, była prostytutką. Zginęła 22 maja 1967 roku.

„Czwarty przypadek miał miejsce, gdy pracowałem w Katowicach i poszedłem na Koszutkę sprawdzić, czy są odpowiednie materiały do roboty. Po drodze wstąpiłem do restauracji «Stylowa», gdzie spotkałem znajomych. Po kilku wódkach, około dwudziestej drugiej udałem się do domu.

Koło dworca PKP spostrzegłem kobietę z torbą w ręku i zapytałem, na co czeka. Odpowiedziała, że na pociąg do Chorzowa. Twierdziła, że jest jej zimno, więc zaproponowałem, aby udała się ze mną do mojego domu.

W mieszkaniu dałem jej coś przegryźć, postawiłem ćwiartkę i położyliśmy się spać. Pomyślałem sobie wówczas, że już za dużo tego wszystkiego i powiedziałem jej, że muszę się udać do kolegi w celu załatwienia delegacji. Odpowiedziała, że można to przecież zrobić i rano. Upierałem się jednak przy swoim, a chodziło mi głównie o to, by doprowadzić do związania jej rąk. W rezultacie pozwoliła na to i oczywiście już nigdzie wtedy nie poszedłem. (...) Cieszyła mnie perspektywa kolejnego mordu. Żądza krwi wzrosła, kiedy okazało się, że kobieta jest rodowitą Ślązaczką. Wyczułem to po jej charakterystycznym akcencie.

(...) Odbywałem z nią orgie jak z poprzednimi ofiarami i trwało to przez niedzielę, aż do poniedziałku. Kiedy miałem iść do pracy, postanowiłem z nią skończyć i w tym celu udusiłem ją jej własną pończochą. (...). Miałem możność usunięcia tak pierwszych, jak i następnych zwłok, ale ogarnęła mnie jakaś apatia i zaniechałem tego. (...). Zwłoki nie zmieściły się już w wannie, dlatego zostawiłem je koło okna. (...).

Czułem wstręt do kobiet i dlatego kierowała mną chęć doprowadzenia ich do upodlenia do ostatecznego stopnia i powetowania sobie w ten sposób krzywd, jakich uprzednio z ich strony doznałem, a do czego przyczyniło się już moje pierwsze małżeństwo".

Po dokonaniu tego ostatniego zabójstwa, Arnold zdał sobie w końcu sprawę z tego, że nie ma już odwrotu. Wiedział, że w mieszkaniu cuchnie do tego stopnia, że niedługo ktoś się tym zainteresuje i zbrodnie wyjdą na jaw. No i te muchy... Było ich tyle, że nie potrafił sobie z nimi poradzić. Popadł w apatię. Do mieszkania przychodził tylko po to, żeby je przewietrzyć, umyć się i ogolić. Mieszkał na dworcu lub w pijackich melinach.

„Do chwili dokonywania morderstw, perwersje uprawiałem za zgodą partnerek – wyjaśniał przed sądem Arnold. – Przyszłe ofiary zwracały się do mnie z prośbą o odwiązanie rąk, a ja

mówiłem, że zrobię to wtedy, kiedy uznam za stosowne. Potem biłem te kobiety i zastraszałem, przez co doprowadzałem je do całkowitej apatii, po czym były mi powolne. Innego nacisku nie stosowałem. Kazałem tym swoim trzecim i czwartym ofiarom tańczyć już wówczas, gdy widziałem, że były zmęczone, a gdy prosiły i broniły się, twierdząc, że nie mają siły, mówiłem: Czy mam cię uczyć? Budziłem je w nocy i robiłem z nimi co chciałem, w różnych pozycjach (...) Prostytutek znałem dużo. Poznawałem je w lokalach: «Wojko», «Hungaria», «Dworcowa», «Kujawiak», «Mazur» (...)

Po trzech dniach spania na tapczanie, w którym były zwłoki Marii B., wyjąłem je z tapczanu i rozebrałem. Ponieważ były sztywne, podłączyłem do nich przewód elektryczny, aby spowodować zmiękczenie, ale w miejscu zetknięcia z przewodem nastąpiło zasmażenie i wtedy przewód ten odrzuciłem. Zwłoki te były już w procesie gnilnym (...).

Druga ofiara była już całkowicie rozebrana w chwili zabójstwa i do sekcjonowania przystąpiłem po około godzinie od chwili zgonu. W czasie przeprowadzania sekcji nie piłem, bo sam nie lubiłem pić, lubiłem pić w towarzystwie.

Z czwartą ofiarą było tak samo jak z trzecią, z tym, że tych zwłok nie mogłem już zmieścić w kalfasie[8] i położyłem je pod oknem, przykrywając płaszczem. Gdy po paru dniach przyszedłem do domu, zobaczyłem dużo much i postanowiłem już nic nie robić. Zakleiłem okno gazetami i zdecydowałem więcej do domu nie wracać (...). Gdyby piąta, niedoszła ofiara była osobą młodszą, to też zrobiłbym z nią to, co z poprzednimi. Nie zastanawiałem się nad tym, czy tę kobietę przyprowadziłem po to, by odbyć z nią stosunek, czy po to, aby ją zamordować. Cel miałem zawsze ten sam – wyżyć się i mordować, ale co do tej piątej kobiety, to mi odeszło, bo była stara.

W pierwszym i drugim przypadku oddzieliłem głowy od tułowia, z tym, że w pierwszym przypadku głowę włożyłem do garnka służącego do gotowania bielizny, natomiast w drugim przypadku zwłoki również włożyłem do koryta, a głowę

8 Kalfas – w gwarze śląskiej: pojemnik do mieszania zaprawy cementowej

zostawiłem obok koryta i o tym zupełnie zapomniałem. Dopiero gdy szedłem do komórki po młotek, aby stłuc sobie palec, zobaczyłem tę głowę i nie mogłem sobie przypomnieć, skąd ona się tam wzięła. Chciałem ją włożyć również do koryta i w tym celu chwyciłem za włosy, ale w ręce został mi jakby skalp, tak że samą czaszkę włożyłem do kalfasa".

Na dobrą sprawę do dzisiaj nie wiadomo, ile kobiet zamordował Bogdan Arnold. Przypisano mu tylko te cztery, których zwłoki odkryto w mieszkaniu przy ulicy Dąbrowskiego. (O tym, że było ich właśnie tyle, zadecydowały wyniki procesu identyfikacji zwłok dokonane przez ekspertów z Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Zabrzu).

– To ile w końcu było tych kobiet, nie możemy się doliczyć? – dopytywał się sędzia Wilczek.

– Czy to ważne, ile? – wzruszył ramionami morderca. – Osiem czy szesnaście, i tak będę wisiał.

*

Dwudniowe przesłuchanie oskarżonego trwało w sumie dwanaście godzin. Następne dwa dni rozprawy wypełniły przesłuchania świadków i uzupełniające zeznania biegłych. Obie byłe żony (pierwsza zmarła kilka lat wcześniej), konkubiny oraz kilka odnalezionych przez milicję prostytutek, świadczących w różnym czasie „usługi" Arnoldowi, składały swe zeznania przy drzwiach zamkniętych.

– Wyzywał mnie od najgorszych – zeznała Władysława Arnold. – Wiązał ręce i nogi drutem, a do pochwy wkładał butelki po wódce. Dopiero kiedy mnie upokorzył, osiągał satysfakcję seksualną. Bił mnie, katował, a później przytulał i przepraszał. Wtedy dopiero osiągał orgazm.

Cecylia K., konkubina oskarżonego: „Uprawiał ze mną od dwóch do pięciu stosunków seksualnych dziennie. Pewnego razu, gdy przyszedł do domu pijany, w ciągu nocy zgwałcił mnie osiem razy. Kazał się gryźć po plecach i piersiach".

Powyższe informacje potwierdziły prostytutki. Nie ulegało wątpliwości, że Arnold lubił brutalny seks, duszenie i wiązanie.

Jedna z nich zeznała, że po sprowadzeniu do mieszkania, Arnold dusił ją ręcznikiem, podarł na niej odzież, związał ręce i nogi drutem, i dopiero wtedy odbył z nią stosunek seksualny.

Zboczeniec zresztą od samego początku nie ukrywał, że nienawidzi kobiet. Winą za taki stan rzeczy obarczał pierwszą żonę, która – jego zdaniem – porzuciła go bez powodu. Mścił się na kolejnych partnerkach, a później prostytutkach, uważał, że te czyny „rekompensują jego żal". O tym, czy jego uraz jest prawdziwy czy nie, zadecydować mieli biegli, specjaliści z zakresu medycyny sądowej: doc. dr hab. Tadeusz Pragłowski, doc. dr hab. Władysław Nasiłowski i doc. dr Antoni Michałowski oraz biegli lekarze psychiatrzy: Andrzej Różycki i Krzysztof Grabowski.

Badania i obserwację Bogdana Arnolda przeprowadzono na przestrzeni sześciu miesięcy, od 17 sierpnia do 7 grudnia 1967 roku w Szpitalu Psychiatrii Sądowej w Grodzisku Mazowieckim. Przyjmujący go lekarz zanotował, że pacjent „jest w dobrym nastroju i zachowuje się spokojnie". Konwojenci przyznali jednak, że w drodze do szpitala groził uduszeniem kobiet, z którymi się tam zetknie. Twierdził, że jego sprawa jest „czysta", ponieważ miał odwagę przyznać się do wszystkiego, co zrobił. Przypuszczał, że powodem skierowania go na obserwację, jest to, że dokonał swoich czynów świadomie, co prowadzącym śledztwo wydało się nienormalne.

W trakcie pierwszych ośmiu tygodni obserwacji zachowywał się bez zarzutu, potem pojawiły się pierwsze oznaki werbalnej agresji. Klął na czym świat stoi, potem jednak przepraszał lekarzy i personel za niestosowne zachowanie. „Wkur... tego... zdenerwowałem się, bo odmówiono mi papierosów" – tłumaczył.

Kategorycznie odmówił poddania się zabiegowi odmy mózgowej, zabiegu polegającego na wprowadzeniu do komór mózgowych powietrza i zidentyfikowaniu w ten sposób patologii w obrębie ośrodkowego układu nerwowego. „To bardzo boli – przekonywał – za poza tym i tak mi nic nie pomoże". Rzeczywiście, jest to zabieg bolesny, a przy tym niebezpieczny dla pacjenta. Już dawno zaniechano tej inwazyjnej techniki,

zastępując ją angiografią mózgową[9].

Poniżej kilka fragmentów z obszernej, liczącej prawie sześćdziesiąt stron opinii psychiatrycznej:

„W toku aktualnych badań, obserwacji i zebranej dokumentacji dodatkowej nie dostrzeżono objawów mogących świadczyć o istnieniu procesu psychotycznego. Pacjent przeczył omamom, jego wypowiedzi nie nosiły cech urojeniowych, zachowanie w życiu codziennym nie nasuwało podejrzenia, by je dyssymulował. Sugerowana przez niego nienawiść do kobiet, mająca być motywem zarzucanych mu czynów, co mogłoby nasuwać podejrzenie zaburzeń psychicznych, nie znajduje potwierdzenia. Jak wynika z zeznań świadków, wyjaśnień jego samego i wypowiedzi w toku badań, w tym samym czasie utrzymywał on kontakty seksualne z wieloma kobietami. W miejscu pracy jego stosunek do kobiet tamże pracujących był poprawny. Dlatego obecnie podawaną nienawiść należy uznać za wtórną racjonalizację, nie znajdującą potwierdzenia w zebranym materiale. (...). Dane dotyczące przeszłości pacjenta, a i obecna obserwacja wykazały szereg odchyleń od normy, typowych dla psychopatii.

(...) Był zawsze nieprawdomówny i nieszczery. Nigdy nie wyrażał żalu i nie dostrzegano u niego wyrzutów sumienia za czyny, jakich dokonał. Wszystko wskazuje na psychopatyczne, niedostateczne wykształcenie uczuciowości wyższej. (...) Wiadomo, że od 1952 roku nadużywał alkoholu, zwłaszcza w ostatnim okresie. Nie można wykluczyć możliwości, że alkohol wpłynął w pewnym stopniu na pogłębienie się cech psychopatycznych osobowości.

(...) Zarówno częste zmiany pracy, jak i nietrwałe związki małżeńskie, są wyrazem słabo wykształconych u Arnolda mechanizmów przystosowania się do podstawowych norm

9 Wielkim przełomem w neuroobrazowaniu było wprowadzenie w roku 1972 tomografii komputerowej. Dzięki tej metodzie uzyskano narzędzie umożliwiające bezinwazyjną prezentację anatomii mózgu, a także zmian patologicznych w nim zachodzących. Twórcy tej metody, Allan McLeod Cormack i Godfrey N. Hounsfield, otrzymali w roku 1979 Nagrodę Nobla.

współżycia.

(...) Wobec jego motywacji należy wysunąć wniosek, iż była seksualno-sadystyczna. Jednak Arnold nie był mordercą sadystycznym (nie dokonywał zbrodni z lubieżności w klasycznym jej ujęciu). Nie był też ani sadystą czystym, ani sadystą «bez wyboru» w ujęciu psychopatologii – sadyzm jaki prezentował, nie był warunkiem uzyskania przyjemności seksualnej. Arnold zatem torturował kobiety, bo ich nienawidził, w przerwach zaś gwałcił je i z tego czerpał satysfakcję seksualną, oczywiście z upodlenia kobiet również, lecz przyjemność innego rodzaju. Tym samym, oczywiście sadystą seksualnym był (kontekst), jednak jego znęcanie się nie było konieczne, by się zaspokoił (wyłania się tutaj mimochodem czynnik nienawiści do kobiet, który jest niezwykle istotny w sadyzmie seksualnym; istnieją tym samym dwie najważniejsze grupy sprawców

1. Ci, z właściwą patologią seksualno-sadystyczną, dla których znęcanie się jest źródłem przyjemności seksualnej – tutaj za substytut stosunku czasem można uznać zadane rany, jednocześnie, czasem nie są w stanie podjąć normalnego życia płciowego;
2. Ci, którzy torturują ofiary, jednak nie zyskują przy tym wzwodu czy ejakulacji, najzwyklej nienawidzą kobiet – często mają rodziny.

Arnold należy do tej drugiej kategorii. Jak się tutaj uznaje, zabijał tylko w jednym celu, by pozbyć się «świadka» tortur i gwałtów. Był zatem sadystą-gwałcicielem i «mordercą pragmatycznym».

(...) Motywem jego działania, jak sam twierdził, była nienawiść kobiet. Przekonany był wewnętrznie, że to żony wytworzyły ten „uraz". Wobec siebie był mało krytyczny. W rozmowach nie okazywał żalu i wyrzutów sumienia z powodu zbrodni (co jest zupełnie naturalne u seryjnych morderców, bo działają tu zbyt prymitywne mechanizmy obronne i deficyty w osobowości) - oczekiwania żalu i skruchy są tu wręcz nie na miejscu i nie należy się ich spodziewać. Jakkolwiek poczuwał się do winy – w sensie świadomego działania (fragment wyznań).

Arnold stosunkowo wcześnie rozpoczął pełne życie seksualne i jak wynika z tego, co on podaje, był osobnikiem pobudliwym seksualnie. Około dwudziestego roku życia daje się dostrzec u niego trywialność życia seksualnego. Nie wystarcza mu już życie z żoną, miewa w tym czasie stosunki z przygodnie poznanymi kobietami i prostytutkami. Z czasem występuje u niego perwersja seksualna, nie znajduje zadowolenia w stosunkach normalnych i szuka możliwości wyżycia się w stosunkach perwersyjnych. Później, w czasie stosunków seksualnych, pojawiły się u niego elementy zadawania bólu partnerce. Z zeznań jego trzeciej żony, tego, co podała ona w wywiadzie wynika, że znęcał się nad nią w różny sposób (...). Dają się też dostrzec u niego cechy masochistyczne.

Wiadomo, że od 1952 roku nadużywał alkoholu, zwłaszcza w ostatnim okresie. Nie można wykluczyć możliwości, że alkohol wpłynął w pewnym stopniu na pogłębienie się cech psychopatycznych osobowości. Zarówno z akt sprawy, jak i aktualnych badań brak jest danych aby uznać, iż nadużywanie alkoholu spowodowało u niego istnienie alkoholizmu przewlekłego. Brak jest typowych zmian somatycznych. Dlatego, naszym zdaniem, należy oskarżonego ocenić jako osobnika psychopatycznego, nadużywającego alkoholu.

Jak wynika z jego wyjaśnień, jedynie pierwszego zabójstwa dokonał w tym samym dniu, w którym doprowadził ofiarę do domu i znajdował się wówczas w nietrzeźwym stanie. Podany przez Arnolda dokładny opis, jak doszło do poznania ofiary, w jaki sposób zaprowadził ja do mieszkania przeczy, by znajdował się wówczas w stanie upojenia alkoholowego atypowego, lub doznał innego rodzaju zaburzeń psychicznych. Trzech pozostałych morderstw dokonał po dłuższym czasie pobytu denatek w jego domu. W okresie tym, znęcał się nad nimi i wyżywał seksualnie. Zabójstw dokonywał już po wyżyciu się. Przebieg tych czynów opisał również dokładnie i brak jest danych aby stwierdzić, że w okresach tych występowały u niego zaburzenia psychiczne. Z zeznań świadków kontaktujących się z nim w okresie zarzucanych mu czynów nie wynika, aby wówczas

takie zaburzenia u niego występowały. Istniejąca u Bogdana Arnolda psychopatia nie powodowała zniesienia ani też ograniczenia w znacznym stopniu jego zdolności rozumienia znaczenia dokonywanych czynów i kierowania swoim postępowaniem. (...)

W przypadku Arnolda, diagnoza jego stanu psychicznego i motywacji, wydaje się być zupełnie klarowna. Psychopatia niewątpliwie miała miejsce, a motywacja była wyraźnie seksualno-sadystyczna, który to wątek już rozwinięto. Nie dowiedziono czynów nekrofilnych (pojawiały się głosy o... kolekcjonowaniu zwłok). Można by było zatem przejść do zamknięcia analizy jego sylwetki, gdyby nie pewne subtelne elementy atypowe dla seryjnych morderców. Należą do nich: sposób traktowania zwłok oraz stan psychiczny sprawcy i jego próba samobójcza (bardzo rzadko ma miejsce).

To, co Arnold robił z ciałami ofiar, kojarzy się ewidentnie z upośledzeniem umysłowym sprawcy, a przecież go nie wykazano i nie wynika ono z wypowiedzi mordercy, a tym bardziej z «forteli», jakie stosował wobec ofiar, by je związać. Wielu sprawców z całego świata również pozbywało się zwłok w swoich domach, lecz czynili to w sposób konsekwentny (ostateczny): rozkawałkowywali zwłoki i wywozili je z domu, zamurowywali, palili, zakopywali itd. Ich celem zawsze było pozbycie się wszelkich śladów zbrodni. Arnold natomiast zabijał, by pozbyć się «dowodów» tortur i gwałtów, lecz dalej, już sobie nie radził. Podjął nieudolną próbę spalenia i rozpuszczenia części ciała, a następnie zaprzestał działań w tym kierunku. Co więcej, sprowadził do domu nowe ofiary i postąpił podobnie. Doprowadziło to z czasem i z oczywistych powodów do niechęci, do przebywania w mieszkaniu (mieszkał w kawalerce) – tutaj wykluczyć można motyw nekrofilny, niechęć do zwłok była wyraźna. To dlatego zaczął spać na melinach, dworcu itd. Świadczy to dobitnie o tym, że Bogdan Arnold nie był w stanie zorganizować się na tym etapie zbrodni, bo jego osobowość była w dużym stopniu zdegradowana. Narzuca się tutaj zaawansowany alkoholizm, jako główna tego przyczyna. Od

czasu pierwszego morderstwa zaczął więcej pić i być może zachodziła tu jakaś korelacja. Wydaje się jednak, że towarzyszyły mu jeszcze stany depresyjne i suicydalne, a to jest dla seryjnego mordercy niezwykłe, choć w alkoholizmie typowe. Ten właśnie, czynnik autodestruktywny, był bodajże w największym stopniu odpowiedzialny, za dziwaczne zachowanie Arnolda po zbrodni.

Bogdan Arnold reagował na niepowodzenia całkowitą rezygnacją. Zamiast podejmować jakiekolwiek wyzwanie rezygnował, gdy pojawiła się najmniejsza przeciwność. W tym właśnie momencie nałóg brał górę. Pił coraz więcej, m.in. «z powodu» obecności zwłok w mieszkaniu (bardziej lub mniej świadomie, antycypował fakt, jak to wszystko się skończy). Naprzemiennie wpadał w stany depresyjne i agresywne (nienawistne fantazje o kobietach). Gdyby spróbować wczuć się w jego sposób myślenia to można założyć, że kolejne ofiary ginęły, bo zginęła pierwsza, tak jakby chciał powiedzieć – zobaczcie co mi zrobiłyście, musiałem zabić choć nie chciałem, teraz zabiję za to, że zostałem do tego zmuszony wcześniej (Maria B. była jedyną ofiarą, której na początku znajomości nie chciał zabić – nie planował tego). Można jednak podejrzewać, że pił «z powodu» wyrzutów sumienia, bo jak się tutaj podejrzewa, miał je (były tłumione i wyzwalały depresyjne stany, wpływały na wzrost nadużycia alkoholu, a tym samym też na odhamowanie impulsów i kolejne zbrodnie – tworzyło się błędne koło). Podejrzenie to jest związane z faktem zaistnienia próby samobójczej i całościowym spojrzeniem na sylwetkę sprawcy, które pozwala intuicyjnie zauważył w jego działaniach, wyraźne elementy autodestrukcyjne. Bogdan Arnold był od dawna na drodze ku samozniszczeniu. Dokonane morderstwa sprawiły, że przyśpieszył własną zagładę. Być może, nieświadomie, chciał być ujęty i chciał dostać wyrok śmierci".

*

Obrona żądała wykonania dodatkowych badań psychiatrycznych, motywując że takie zachowania Arnolda jak oglądactwo, ekshibicjonizm, masochizm, skłonność do

samogwałtu i sadyzm świadczą o jego chorobie. „Nie znajdujemy podstaw do zmiany wydanej przez nas opinii, uważamy, że przewód sądowy w całości ją potwierdza” – oświadczył w imieniu pozostałych biegłych doktor Andrzej Różycki. Sąd odrzucił wniosek obrońców.

Postępowanie sądowe, jak na tego typu sprawę, trwało bardzo krótko, zaledwie sześć dni. Wyrok zapadł już 9 marca 1968 roku. Za zabójstwo Marii B. Bogdan Arnold został skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Za każde z trzech pozostałych morderstw – na karę śmierci. Na zasadzie art. 33 §2 k.k. wymierzono Arnoldowi jedną łączną karę śmierci oraz na zasadzie art. 34 §2 k.k. karę dodatkową w postaci utraty praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze[10].

Odwołanie wnieśli zarówno obrońcy, jak i oskarżyciel, ten ostatni zarzucając wyrokowi błędną ocenę okoliczności faktycznych dotyczących zabójstwa Marii B.

11 września Sąd Najwyższy w składzie: Marian Budzianowski (przewodniczący), Witold Dąbrowski oraz Władysław Ostrowski (sprawozdawca), przy udziale prokuratora Prokuratury Generalnej Tadeusza Miernika uwzględnił tylko rewizję prokuratorską, to znaczy skazał Bogdana Arnolda na karę śmierci także za morderstwo dokonane na Marii B.

Uchwałą z dnia 5 grudnia 1968 roku Rada Państwa postanowiła nie korzystać z prawa łaski. 16 grudnia o godzinie 18.40 morderca zawisnął na szubienicy. Przed wykonaniem wyroku poprosił o możliwość wypalenia ostatniego papierosa i dostarczenie mu zdjęcia matki. Wyznał także, iż żałuje, że nie zdążył zabić swojej ostatniej żony

10 Zgodnie z obowiązującym wówczas polskim kodeksem karnym, wprowadzonym rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 roku, kara pozbawienia praw publicznych i obywatelskich praw honorowych polegała na pozbawieniu urzędów, tytułów i odznaczeń (oraz prawa do nich otrzymania), prawa wykonywania zawodu, praw rodzicielskich lub opiekuńczych przepadek przedmiotów majątkowych i narzędzi, ogłoszenie wyroku w prasie. Utrata praw następowała na czas orzeczony (od 2 do 10 lat) lub bezterminowo (w wypadku skazania na karę śmierci lub dożywotniego pozbawienia wolności).

Ślązaczki odetchnęły z ulgą. Niestety nie na długo. O czym bowiem nie wiedziały, to o fakcie, że na terenie aglomeracji grasuje już kolejny morderca kobiet, osławiony „wampir" – Zdzisław Marchwicki. W roku 1975 swoje krwawe dzieło rozpoczął Joachim Knychała.

Ale to już zupełnie inna historia...

WYZNACZYSZ DZIEŃ I GODZINĘ SWOJEJ ŚMIERCI... ZABÓJSTWO JANA GERHARDA (1971)

Tego wieczoru niebo pokryte było napływającymi gdzieś ze wschodu i spiętrzającymi się nad miastem czarnymi chmurami. Pachniało wszystkimi kwiatami świata naraz, jak gdyby ziemia w ciągu dnia leżała w omdleniu, a teraz, poprzez te zapachy, wracała do przytomności. Rozchodzące się od widnokręgu echo grzmotów oraz ciepły wiatr przesiąknięty zapachem kurzu i elektryczności zapowiadały letnią, ale raczej groźną burzę. Był 20 sierpnia 1971 roku.

Tuż po godzinie osiemnastej do Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej zadzwoniła zaniepokojona kobieta.

– Mówi Irena Tołczyńska – przedstawiła się. – Jestem sekretarką w tygodniku „Forum". Chciałam zgłosić, że szef nie pojawił się dzisiaj w pracy. Czy moglibyście sprawdzić, co się z nim dzieje? Dzwoniłam wielokrotnie do domu, ale nie odbiera telefonu.

– Proszę pani – zirytował się oficer dyżurny. – Czy pani myśli, że milicja nie ma nic lepszego do roboty niż sprawdzanie każdego szefa, który nie przyszedł do pracy? Może wypadło mu coś ważnego?

– Pan Gerhard nie jest żadnym „każdym szefem" – odparła oburzona kobieta. – Jest redaktorem naczelnym tygodnika „Forum" i posłem na sejm. Zwykle pojawia się w redakcji przy ulicy Śniadeckich około trzeciej. Mimo natłoku obowiązków zawodowych, pan Gerhard słynie ze swojej punktualności i rzetelności. Zawsze informuje mnie, kiedy gdzieś wyjeżdża, albo ma jakieś ważne spotkanie poza redakcją. To dziwne, że wcześniej nie uprzedził nikogo o tym, że nie pojawi się w pracy. Ponadto nie zadzwonił przez cały dzień i nie otwiera drzwi swojego mieszkania. Wysłaliśmy tam kierowcę, pana Maciaszka,

który zauważył, że na parkingu nie ma służbowego samochodu szefa, marki Fiat 125p. Dzwoniłam już na pogotowie i do służby ruchu drogowego z pytaniem, czy nie doszło do jakiegoś wypadku z udziałem pana Gerharda. No i nie doszło... Więc dzwonię do was.

Dopiero słysząc nazwisko szefa, dyżurny Komendy Stołecznej skojarzył, o kogo chodzi. Zaklął cicho pod nosem, wietrząc kłopoty.

– Proszę podać adres pana Gerharda – rzucił do słuchawki. – Zaraz wysyłam radiowóz.

Nie minęła jeszcze dziewiętnasta, kiedy pod drzwiami warszawskiego mieszkania numer 17 w nowoczesnym wieżowcu przy ulicy Matejki 4 pojawił się milicyjny patrol. Rzeczywiście, na energiczne pukanie i dzwonki do drzwi nikt nie odpowiadał.

– Pewnie po prostu nie ma go w domu – wzruszył ramionami jeden z funkcjonariuszy, plutonowy Wincenty Wisłocki.

Drugi nacisnął klamkę, a właściwie przekręcił gałkę. Solidne, obite blachą drzwi były otwarte. Weszli ostrożnie do środka. Już sekundę później wiedzieli, czego mogą się spodziewać. W pokoju na wprost wejścia natknęli się na zmasakrowane zwłoki mężczyzny. Denat leżał na brzuchu z rozbitą głową, na szyi miał zadzierzgnięty pasek od spodni. W plecach tkwił nóż. Dziennikarze od razu określili to narzędzie jako „znany powszechnie symbol zemsty". Przypomnieli, że tak samo zginął w 1957 roku Bohdan Piasecki, syn ówczesnego przewodniczącego PAX-u. Ściany, podłoga... wszystko dokładnie zbryzgane było krwią. Na stojącym obok fotelu plutonowy Wisłocki znalazł dowód osobisty na nazwisko Jana Gerharda. Plutonowy podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu i powiadomił oficera dyżurnego Komendy Stołecznej o zastanej sytuacji.

Po kwadransie na miejscu zjawiło się pogotowie. Doktor Maciej Galiński stwierdził urzędowo zgon. Zwłoki były już zimne i zesztywniałe, temperatura ciała oraz plamy opadowe[11]

11 Plamy opadowe, plamy pośmiertne (livores mortis) – jedna z wczesnych

wskazywały, że śmierć nastąpiła przed co najmniej czterema godzinami. (jak wykazała późniejsza sekcja – Gerhard został zamordowany tego samego dnia około godziny dziewiątej rano).

Niemal równolegle z karetką dotarła ekipa dochodzeniowo-śledcza. Pierwsze, co ustalili funkcjonariusze, to że sprawca czy też sprawcy zbrodni musieli zostać wpuszczeni do mieszkania przez ofiarę, bowiem bardzo skomplikowane i kosztowne francuskie zamki w drzwiach wejściowych do mieszkania Gerharda nie nosiły żadnych śladów włamania. Lokal został niewątpliwie splądrowany, wokół leżały wyrzucone z szuflad rozmaite dokumenty. Na drzwiach, ścianach, na podłodze, a nawet na żyrandolu pełno było plam krwi. Jej ślady znaleziono nawet na wiszącym na wieszaku w korytarzu letnim płaszczu denata. W dwóch miejscach ujawniono dwa niewyraźne ślady obuwia. Jeden nie nadawał się do identyfikacji, drugi skrzętnie zabezpieczono. Technicy kryminalistyczni znaleźli całą masę odcisków palców i kilka różnych włosów. Oględziny miejsca zdarzenia kontynuowano nieprzerwanie przez kolejne dwadzieścia cztery godziny. Wykonano kilkaset zdjęć.

„Uderzyli go kilkakrotnie w głowę metalowym narzędziem, powodując wieloodłamkowe złamanie kości czaszki i rozległe ogniskowe stłuczenia mózgu, a gdy ten upadł w wyniku zamroczenia, zadali mu sztyletem rany kłute w okolicy serca, powodując uszkodzenie płuc, a następnie przy użyciu skórzanego paska zacisnęli pętlę na jego szyi, w wyniku których to działań Jan Gerhard poniósł śmierć" – napisano w późniejszym akcie oskarżenia.

*

Gerhard zajmował w bloku przy ulicy Matejki kawalerkę pod numerem 17, obok, pod „szesnastką", mieszkały jego żona Alicja i córka Małgorzata. Oba mieszkania posiadały wprawdzie

---

oznak następowania śmierci organizmu w postaci miejscowego zabarwienia skóry na kolor sinoczerwony. Pojawiają się – w zależności od ułożenia ciała – po około dwóch do czterech godzin od zgonu, w częściach położonych najniżej, w wyniku grawitacyjnego spływania krwi po zatrzymaniu krążenia.

oddzielne wejścia, ale były również ze sobą połączone. Jednak badający zamki do drzwi wejściowych drugiego lokalu również i tam nie stwierdzili prób włamania. Małżonka, pani Alicja Gerhard przebywała w tym czasie na wczasach w Iwoniczu Zdroju, córka, Małgorzata Gerhard – na urlopie we Francji. Podczas szczegółowych oględzin w jednym z pokoi ujawniono bardzo niewielki wprawdzie, ledwie widoczny ślad krwi – dowód, że drugie mieszkanie też zostało przeszukane.

Jak twierdził redakcyjny kierowca, z parkingu zniknął służbowy Fiat ofiary. Prywatny samochód Gerharda, Peugeot 404, nadal stał spokojnie w garażu. Natychmiast rozpoczęto poszukiwania Fiata. Milicjanci z drogówki odnaleźli go po kilku godzinach pomiędzy blokami na ulicy Bagno 7 i Świętokrzyską 30. Dłuższy czas obserwowano dyskretnie pojazd, licząc, że sprawca być może po niego wróci. Nie wrócił. Po północy przewieziono auto na milicyjny parking przy Komendzie Stołecznej i poddano drobiazgowym oględzinom. Niestety, nie znaleziono odcisków palców ani żadnych innych śladów mogących naprowadzić na trop sprawcy.

Śledztwem żywotnie zainteresowane było najwyższe kierownictwo PZPR, ze względu na wagę sprawy powierzono je od samego początku Biuru Śledczemu MSW, czyli krótko mówiąc Służbie Bezpieczeństwa. Zgodnie z regulaminem organizacyjnym wprowadzonym przez ówczesnego Ministra Spraw Wewnętrznych generała brygady Mieczysława Moczara (nr 00123 z 30 listopada 1965 roku – z późniejszymi zmianami), powołane było do:

– wszczynania i prowadzenia na wniosek jednostek operacyjnych SB i z własnej inicjatywy dochodzeń i dochodzeń przedśledczych,

– prowadzenia śledztw,

– prowadzenia czynności zleconych przez prokuratury,

– prowadzenia postępowań przygotowawczych w sprawach o szpiegostwo,

– prowadzenia innych śledztw dotyczących przestępstw o charakterze antypaństwowym.

Biuro Śledcze SB MSW, na którego czele stał w tym czasie Tadeusz Kwiatkowski prowadziło postępowania karne w sprawie przestępstw należących do właściwości SB, organizowało również pracę operacyjną na rzecz realizacji zadań SB wśród osób pozbawionych wolności[12].

Pod wodzą urzędującego od stycznia 1971 roku ministra spraw wewnętrznych, generała Franciszka Szlachcica, przeprowadzono niedawno na terenie całej Polski akcję „Porządek", która spacyfikowała świat przestępczy PRL-u. A tu w sytuacji, kiedy milicyjne raporty wyraźnie wskazywały znaczący spadek przestępczości w kraju, ktoś ośmielił się zamordować w stolicy redaktora naczelnego poczytnego tygodnika i w dodatku jeszcze posła na Sejm. To było niczym policzek wymierzony ludowej władzy.

„Dla wielu funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej nie liczył się obezwładniający, wysysający siły upał – napisał w swej książce Zabójstwo z premedytacją generał SB Zbigniew Pudysz. – Nie miał też znaczenia fakt, że niektórzy wybierali się wraz z rodzinami na urlop. Liczyły się minuty".

„Sprawa od razu przybrała wymiar polityczny, stała się prestiżowa dla MSW i testem sprawności dla organów ścigania" – wtórował mu w swym pamiętniku Gorzki smak władzy Franciszek Szlachcic.

Już w ciągu kilku pierwszych dni śledztwa przesłuchano prawie sto pięćdziesiąt osób, w tym mieszkańców bloku, w którym mieszkał zamordowany. Na czterdzieści mieszkań szesnaście było pustych – okres urlopów. Sprawdzono alibi osiemdziesięciu dwóch byłych i obecnych pracowników tygodnika „Forum". Milicjanci odwiedzili także lokatorów domów, w pobliżu których odnaleziono służbowego Fiata Gerharda. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

---

12 Po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 r. powołano w Biurze grupę koordynacyjną ds. internowania, a przy Wydziałach Śledczych KW MO utworzono grupy operacyjne opracowujące wnioski o internowanie. Biuro Śledcze MSW z dniem 1 sierpnia 1990 r. zostało przekształcone w Zarząd Śledczy UOP.

Milicjanci skontrolowali dokładnie sześćset pięćdziesiąt siedem melin przestępczych, sprawdzając przy okazji alibi wielu wywodzących się ze środowisk kryminogennych osób, spośród których zdecydowana większość nigdy nawet nie słyszała o żadnym Janie Gerhardzie ani o tygodniku „Forum". Odwiedzili dwieście trzydzieści osiem pralni, w których liczyli na znalezienie części garderoby splamionej krwią. Wszystko na próżno. Ślady prowadziły w tylu różnych kierunkach...

Jak okazało się nieco później, sprawca (sprawcy?) zabrali z mieszkania sporo różnych dokumentów, w tym prawo jazdy ofiary i jej legitymację prasową. Z wyjątkiem kilku pierścionków nie połakomili się natomiast na wiele leżących na wierzchu wartościowych przedmiotów, nie obrabowali nawet Gerharda z pieniędzy – w kieszeni marynarki denata znaleziono dwanaście tysięcy złotych, co zdawało się wykluczać mord na tle rabunkowym.

Ostentacyjne przeszukiwanie lokalu przez sprawców mogło być działaniem podjętym dla zmylenia organów ścigania, wszystko razem jednak wyraźnie wskazywało na motyw polityczny zabójstwa, najprawdopodobniej na zemstę, której przyczyn należało szukać w bogatym życiorysie ofiary. W tym zgodne były nawet komunistyczne władze i Radio Wolna Europa. Życie Jana Gerharda zostało więc dokładnie „przewentylowane". „(...) Opowiadano mi o nim [Gerhardzie] w detalach, o których lepiej zapomnieć" – wspominał w swoim Dzienniku Politycznym 1969-1971 Mieczysław F. Rakowski.

*

Jan Gerhard urodził się 17 stycznia 1921 roku we Lwowie, w żydowskiej rodzinie Jakuba Bardacha i Reginy z domu Menkes, jako Wiktor Lew Bardach. Mieszkał we Lwowie przy ulicy Zygmuntowskiej 158. Tam też ukończył renomowane III Państwowe Liceum Ogólnokształcące im. Króla Stefana Batorego oraz Liceum im. Henryka Sienkiewicza. W maju 1939 roku zdał maturę.

Jeszcze przed wojną, kuzyn wciągnął go do skrajnie prawicowej

młodzieżowej organizacji syjonistycznej Bejtar, zwanej również Związkiem Trumpeldora. Założył ją w Rydze w roku 1923 dziennikarz i pisarz Ze'ew Żabotyński. Działała w wielu państwach europejskich, w Palestynie, a także w II RP. Nazwa pochodziła od słów Brit Josef Trumpeldor i była hołdem złożonym wyżej wymienionemu współtwórcy Legionu Żydowskiego walczącego po stronie Brytyjczyków w czasie I wojny światowej, który zginął 1 marca 1920 roku w obronie nieistniejącej[13] już żydowskiej osady Tel Chaj w będącej wówczas częścią Imperium Osmańskiego Palestynie.

Ideologia organizacji odwoływała się do tradycji wojowników żydowskich z czasów powstania Szymona Bar Kochby, założyciela niepodległego państwo izraelskiego w roku 123[14]. Bejtar dążył do ustanowienia na terenie Palestyny państwa żydowskiego o ustroju wzorowanym na faszystowskich Włoszech. Jego członkowie nosili piaskowe, brunatne, bądź czarne koszule i krawaty oraz guziki z menorą, czyli siedmioramiennym świecznikiem. Pozdrawiali się tak zwanym „salutem rzymskim" – wznosząc do przodu wyprostowane prawe ramię, prostopadle do ciała. Członkowie organizacji przechodzili w Polsce regularne szkolenia wojskowe pod okiem oficerów Wojska Polskiego. Byli wspierani i uzbrajani przez władze II RP, ponieważ wzywali Żydów do osiedlania się w Palestynie. Współpracowali z organizacjami narodowo-radykalnymi, między innymi z Falangą.

Żydowska lewica i komuniści atakowali członków organizacji, nazywając ich „żydowskimi Hitlerami" i „faszystami". Na terenie Polski i Palestyny, członkowie organizacji dokonywali aktów terroryzmu wobec Brytyjczyków, Arabów, lewicowych i antysyjonistycznych Żydów, podkładając między innymi bomby w lokalach.

Podczas II wojny światowej członkowie Bejtaru walczyli w

13 Została zniszczona 1 marca 1920 roku w wyniku ataku libańskich Beduinów. Obecnie jako historyczne miejsce jest częścią kibucu Kefar Giladi.

14 Niepodległe żydowskie państwo zostało podbite przez Rzymian w roku 135, po dwóch latach wojny.

Żydowskim Związku Wojskowym, biorąc między innymi udział w powstaniu w getcie warszawskim. Nieliczni ocaleni walczyli rok później w powstaniu warszawskim[15]. Jan Gerhard natomiast poszedł zupełnie inną drogą...

Po wybuchu wojny przedostał się do Francji, gdzie zasilił szeregi organizowanego tam wojska polskiego. 9 marca 1940 roku ukończył szkołę podchorążych piechoty i w stopniu kaprala podchorążego został skierowany do 2 pułku piechoty 1 Dywizji Grenadierów. Brał udział w walkach z Niemcami, między innymi pod Lagarde. 23 czerwca, ranny od wybuchu pocisku artyleryjskiego trafił do niemieckiej niewoli, do Stalagu 17 A niedaleko Wiednia. 16 stycznia 1941 roku, z całym transportem rannych przewieziono go przez Szwajcarię do szpitala w południowej Francji. Niewątpliwie udało mu się ukryć swoje żydowskie pochodzenie, w przeciwnym razie bowiem z pewnością czekałby go zupełnie inny koniec.

Zwolniony po kilku miesiącach, zamieszkał w Montpellier, gdzie rozpoczął studia na wydziale chemii. Utrzymywał się z dorywczych prac w winnicach i na farmach. Jeśli wierzyć ustaleniom śledczych: „reprezentował wtedy postawę kapitulancką i przekonanie co do zwycięstwa III Rzeszy. Uznawał konieczność ułożenia się Polaków z Niemcami hitlerowskimi na wzór kolaboracji francuskiej. O załamaniu Bardacha w tym okresie mieli wypowiadać się zarówno Polacy jak i Żydzi".

Potem nawiązał jednak kontakt z Résistance – zdominowanym przez komunistów francuskim ruchem oporu i jeszcze w 1941 roku został członkiem... Francuskiej Partii Komunistycznej PCF (Parti communiste français). Niebawem zaczął działać w podporządkowanych FPK cudzoziemskich grupach bojowych – Francs Tireurs et Partisans Francais (Wolnych Strzelcach i Partyzantach Francuskich). W 1943 roku został zastępcą dowódcy 35 Brygady FTPF w Tuluzie. To właśnie w szeregach francuskiego podziemia zaczął posługiwać się pseudonimami „Jean" i „Gerhard", które później przyjął jako nazwisko.

15 Po ustanowieniu niepodległego państwa Izrael, ruch Bejtar został włączony do partii politycznej Herut, a następnie do Likudu.

Na zawsze pozostanie już chyba tajemnicą, co prawicowego do bólu działacza Bejtaru skierowało w stronę komunistów. Podczas toczonego przeciwko niemu śledztwa (o którym za chwilę), sam tłumaczył to w sposób następujący: „Na skutek wojny zetknąłem się z rzeczywistymi wydarzeniami politycznymi. Wtedy jasnym dla mnie było, że poglądy wpojone mi w »Bejtarze« są zupełnie oderwane od tych wydarzeń i nie mogą dla mnie stanowić żadnego oparcia. Toteż w momencie wstępowania do FPK, poglądy te dla mnie nie istniały, ponieważ rozumiałem już wówczas, że nawet jeżeli chodzi o samą walkę z rasizmem co było dla mnie jako Żyda bardzo istotne można prowadzić tylko wraz z klasą robotniczą".

Wysłany do Tuluzy, organizował tam zamachy i akcje dywersyjne. W marcu 1943 bez zgody partii przeprowadził nieudany zamach na kino „Varietes" w którym wyświetlano niemiecki film propagandowy Żyd Süss. Nieudany, ponieważ zginęło trzech zamachowców i sporo cywilów. Po tej wpadce został przerzucony na południe Francji, gdzie organizował partyzantkę w Ardenach i przeprowadził sporo akcji bojowych.

Doczekał się lądowania aliantów w Normandii 6 czerwca 1944 roku i od sierpnia połączył podległe sobie oddziały w oddzielny batalion, który parę miesięcy po przejściu frontu został włączony w skład tzw. Brygady Paryża, dowodzonej przez Pierre'a Georgesa pseudonim „Fabien". Po śmierci dowódcy, w grudniu 1944 roku brygadę wcielono w skład regularnej armii francuskiej. Gerhard, już w stopniu majora, w styczniu 1945 roku znalazł się w szeregach Zgrupowania Piechoty Polskiej przy 1 Armii Francuskiej. Była to bardzo specyficzna formacja, która choć walczyła z Niemcami na froncie zachodnim, to uznawała jednak władzę PKWN, a później Rządu Tymczasowego.

W jej szeregach wrócił w listopadzie 1945 roku do Polski, zostawiając we Francji poślubioną tam żonę Catherine Haitin, z którą związany był od 1942 roku. Po ukończeniu kursu szkoleniowego w Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie, w maju 1946 roku objął dowództwo 34 Budziszyńskiego Pułku Piechoty. Przyznano mu stopień

pułkownika Ludowego Wojska Polskiego, dość wysoki, zważywszy na fakt, że tak wiele lat działał poza granicami kraju.

*

Oficer Informacji 34 pp, porucznik Józef Babula, scharakteryzował Gerharda w sposób następujący: „Lubi się bawić i przebywać w towarzystwie przygodnie poznanych kobiet. Politycznie pewny i oddany demokracji". Aktywnie również uczestniczył w „umacnianiu władzy ludowej". W grudniu 1946 roku żądał na przykład aresztowania przez UB ośmiu osób, w tym ks. Ludwika Palucha, proboszcza parafii w Lesku. Po sfałszowanych wyborach do Sejmu Ustawodawczego, 23 stycznia 1947 r. szef PUBP w Brzozowie porucznik Ludwik Turek w specjalnym liście wyraził mu „najszczersze wyrazy podziękowania (...) za pełną poświęcenia pracę".

W ramach sprawowania swej funkcji, 28 marca 1947 roku Gerhard uczestniczył w inspekcji wojskowej w Bieszczadach, podczas której śmierć poniósł generał Karol Świerczewski pseudonim „Walter", pijak i zbrodniarz. Brał także udział w operacji „Wisła" - akcji pacyfikacyjnej o charakterze wojskowym, przeprowadzonej przeciwko Ukraińskiej Powstańczej Armii i Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów w latach 1947-1950. Połączona była z operacją przesiedleńczą z terenów Polski południowo-wschodniej (obszary na wschód od Rzeszowa i Lublina), głównie na Ziemie Odzyskane. Objęła nie tylko Ukraińców, lecz także Bojków, Dolinian i Łemków, a nawet mieszane małżeństwa polsko-ukraińskie.

Zgodnie z zeznaniami świadków z 34 pp, w trakcie przeprowadzania akcji „Wisła" Gerhard zlecił wykonanie publicznej egzekucji ciężko rannego członka UPA, którego odkryto na wozie ewakuowanej rodziny ukraińskiej. Z jego rozkazu zlikwidowano też na miejscu bez sądu kilku innych ujętych członków UPA.

W 1947 roku Gerhard rozpoczął studia w Akademii Sztabu Generalnego, które kontynuował od 1949 w Moskwie, na Akademii Wojennej. Udał się tam wraz z Alicją Moskalską, którą

poznał w szpitalu w Łodzi (gdzie leczył odniesioną pod Jabłonkami ranę), i którą później poślubił. W lutym 1950 roku urodziła im się córka, Małgorzata.

Po dwóch latach studiowania został odwołany do kraju. Nie wiedział jeszcze o tym, że nad jego głową gromadzą się ciemne chmury. Po złamaniu oporu opozycji i podziemia, kierownictwo PZPR zaczęło szukać „wrogów wewnętrznych". Do Głównego Zarządu Informacji wpłynęło doniesienie kapitana Michała Gargola, przebywającego za granicą dezertera z polskiego wojska, że Gerhard „został nasłany do kraju jako anglo-amerykański szpieg i dywersant, który zorganizował zamach na życie gen. Świerczewskiego". Jedna z podawanych wersji mówi, że sprawę sprokurował wywiad francuski. A stawiany pułkownikowi zarzut dotyczył między innymi rzekomej współpracy z tym wywiadem.

Tak czy inaczej, 29 września 1952 roku Gerhard został aresztowany. Inicjatorami spisku mieli być rzekomo marszałkowie: przyszły – Marian Spychalski oraz aktualny – Michał „Rola" Żymierski. (Do tego wątku również wrócimy za chwilę). Jak wynika z raportów tzw. „agentów celnych", czyli zwerbowanych spośród więźniów współpracowników organów bezpieczeństwa), podczas pobytu za kratkami mówił „o niesłuszności granicy na wschodzie, gdyż Ruś Halicka jest polska". [AIPN, 846/627, k. 24.].

Na wolność wyszedł w grudniu 1954 roku, kiedy do kraju dotarły pierwsze efekty „odwilży", związane ze śmiercią Stalina. Zapisał się do Partii (PZPR), z której ramienia został w 1969 roku posłem na Sejm PRL V kadencji. W deklaracji członkowskiej, przy pytaniu o „stosunek do paktu radziecko-niemieckiego z 1939 roku", odpowiedział: „Na podstawie wyjaśnień, jakie otrzymaliśmy na zebraniach koła samokształceniowego, pakt ten był wyrazem pokojowego stanowiska Związku Radzieckiego".

Podjął pracę w Polskiej Agencji Prasowej, w ramach której został wysłany jako korespondent do Paryża. W 1965 roku powierzono mu stanowisko redaktora naczelnego tygodnika

„Forum", specjalizującego się w przedrukach artykułów z prasy zagranicznej. „Janek Gerhard, redaktor naczelny »Forum«, zaangażował do kolegium redakcyjnego czterech sekretarzy KC – zanotował w swoich pamiętnikach Mieczysław F. Rakowski. – Każdy z nich otrzymuje tysiąc złotych miesięcznie. Za frajer. No, ale ma ich przynajmniej w kieszeni".

W latach 1965-1968 był również kierownikiem literackim zespołu filmowego „Rytm". Napisał kilka książek, między innymi Grenadierzy (1957), Wojna i ja (1958), Zoolityka (1965), Francuzi (1965), Czas Generała (1965), Nie ma El Dorado (1966), Niecierpliwość (1967), dwutomowe Zwycięstwo: Berlin 1945 i Wielkie intermezzo (1968), Żołnierze i dyplomaci (1968), Autopamflet (1971) oraz dwutomową biografię Charlesa de Gaulle'a, która ukazała się już po śmierci autora, w 1972 roku. Prawdziwą nieśmiertelność zapewniła mu powieść Łuny w Bieszczadach (1959), na motywach której nakręcono film Ogniomistrz Kaleń w reżyserii Ewy i Czesława Petelskich, z Wiesławem Gołasem w roli głównej. Książka była lekturą obowiązkową w szkołach średnich i zawodowych, opowiadała o walce z ukraińskim podziemiem w pierwszych latach po zakończeniu wojny.

W okresie czystki antysemickiej w roku 1968 zajmował (przynajmniej w prywatnych rozmowach), stanowisko proizraelskie, nie pozwalał także na publikowanie w „Forum" materiałów o antysemickim wydźwięku. W archiwalnych doniesieniach do Służby Bezpieczeństwa można odnaleźć wypowiedziane przez Gerharda podczas jednego ze spotkań zdanie: „System nie dopuszcza w tej chwili do poważnej i uczciwej publicystyki politycznej. To się zmieni, może za rok, a może już na wiosnę. Teraz się robi nazwisko milczeniem. Trzeba mieć czyste ręce". Na poglądy redaktora w tej materii z pewnością wpłynął wyjazd jego matki, Reginy Menkes (Bardach) i siostry Zofii Bardach do Izraela. (Ojciec, Jakub Bardach zmarł dwa lata wcześniej). „Do czasu kandydowania na posła wyrażał niezadowolenie z powodu usuwania z odpowiedzialnych stanowisk państwowych osób o poglądach syjonistycznych" –

zauważyli funkcjonariusze SB. Z podobną niechęcią Gerhard odniósł się do inwazji państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację.

Był zdecydowanym przeciwnikiem tak zwanych „kombatantów" skupionych wokół Mieczysława Moczara vel Mykoły Demki. Niedługo przed śmiercią, jako jedyny poseł wsławił się głosowaniem przeciw kandydaturze Bolesława Piaseckiego do Rady Państwa. Tuż po tym wydarzeniu spotkała go na ulicy przypadkowo Wilhelmina Skulska-Kruczkowska (prawdziwe nazwisko Lea Horowitz). „Był wtedy w fatalnym humorze, sprawiał wrażenie człowieka, który się boi – relacjonowała znana dziennikarka, pisarka i publicystka. – (...) Oświadczył (...) że głosował przeciwko nominacji Piaseckiego (...) i dodał, że to się dla niego – Gerharda fatalnie skończy".

Dodatkowo jeszcze Jan Gerhard był człowiekiem bardzo zamożnym, w chwili śmierci posiadał na koncie bankowym oszczędności w wysokości miliona siedmiuset tysięcy złotych – jak na owe czasy sumę wręcz astronomiczną.

*

Życie Jana Gerharda wystarczyłoby do napisania nie jednej, ale kilku książek. Łączył trzy różne, teoretycznie bardzo odległe od siebie światy – przedwojenną żydowską prawicę, wojenną konspirację i mroczny okres stalinowski. Z pewnością posiadał też dużą wiedzę, rzec można: niebezpieczną wiedzę...

Dodatkowo zamordowany prowadził bardzo aktywne życie uczuciowe – jego notes zawierał nazwiska kilkudziesięciu kobiet, w tym wielu cudzoziemek, co zdaniem organów ścigania znacznie utrudniało dochodzenie po jego śmierci. Sprawa była też o tyle delikatna, że wśród pań, które przewijały się przez łoże Gerharda było wiele związanych z wysokimi osobistościami ówczesnego aparatu władzy. Jako jedną z hipotez śledztwa przyjęto zabójstwo dokonane przez zazdrosnego męża czy kochanka którejś z pań.

„Pamiętam jak byliśmy u jednej z kochanek Gerharda w Rzeszowie, oczywiście pod nieobecność męża (...) – wspomina

biorący udział w śledztwie młody wówczas porucznik Leszek Wołoszyński, szef dochodzeniówki w komendzie MO w Rzeszowie. – W tapczanie znaleźliśmy plik listów pisanych do niej przez zamordowanego. Były bardzo charakterystyczne, zaczynały się tak samo, z pewnym stałym elementem graficznym. Treść była delikatnie mówiąc baaardzo mocno nieprzyzwoita. Ostra pornografia jakiej nigdy wcześniej i później na oczy nie widziałem i nie czytałem".

W sumie, w notesie Gerharda odnaleziono 1947 adresów osób, z którymi utrzymywał znajomość, w tym wielu znanych dziennikarzy, a także ludzi z partyjno-państwowego establishmentu. A ci, jak przyznał w swych pamiętnikach Franciszek Szlachcic, „nie lubią być przesłuchiwani (...) jeszcze bardziej nie lubią tego członkowie władz. Jeśli już ktoś taki musiał być przesłuchany, najczęściej przesłuchujący przychodził do przesłuchiwanego i prosił o zgodę na zadawanie pytań – pisał Minister Spraw Wewnętrznych. – (...) Z niektórymi rozmawiałem osobiście. Wiem, że w ten sposób przysporzyłem sobie przeciwników".

Prawie dwieście widniejących w notesie osób mieszkało poza granicami kraju... Śledztwo zapowiadało się na niezwykle trudne, zaczęło przypominać szukanie igły w stogu siana. Ponadto niektóre osoby kryły się pod inicjałami bądź skrótami. Ściągnięci z całej Polski milicjanci wykonali jednak benedyktyńską robotę i przesłuchali wszystkich z listy. Tylko jeden niewyraźny zapis o brzmieniu „Zyg" lub „Zim" – z 19 sierpnia, czyli dzień przed tragiczną śmiercią właściciela notesu – pozostał nierozszyfrowany. Do czasu. On to właśnie okazał się najważniejszy...

O zabójstwo podejrzewano żyjących partyzantów z oddziału Antoniego Żubryda, którzy w Łunach w Bieszczadach zostali przez Gerharda odmalowani gorzej niż członkowie UPA, a sam dowódca jako krwiożerczy watażka. Krążyły również plotki, że morderców nasłał amerykański milioner Arystoteles Onassis, w charakterze zemsty za bardzo niepochlebne artykuły na jego temat, zamieszczane w „Forum". Wśród zwolenników Bolesława

Piaseckiego krążyły plotki, że Gerharda zabił PAX. „Dziwiłem się, że pozwolili mu żyć tak długo" – powiedział jeden z kolegów Gerharda z okresu służby wojskowej.

Przede wszystkim prowadzący śledztwo skupili się jednak na wątku politycznym, tym bardziej, że niedługo przed śmiercią redaktor naczelny „Forum" zaczął otrzymywać anonimowe listy z groźbami. W którymś z nich napisano: „Wyznaczysz dzień i godzinę swojej śmierci..." W swoim redakcyjnym biurku zawsze trzymał w wysuniętej szufladzie pistolet. Nie pozwalał, aby bez uprzedzenia wchodzono do jego gabinetu. W domu nigdy nie otwierał na noc okien ani drzwi balkonowych. W styczniu 1971 roku przerwał nagle cykl spotkań autorskich w Świnoujściu. Organizatorom tłumaczył, że zobaczył na ulicy człowieka, który nie powinien żyć.

Według jednej z wersji śledczych, Gerhard został pozbawiony życia w wyniku porachunków, których zarzewiem mogła być jego działalność we francuskim ruchu oporu. Jego pobyt we Francji stanowił całą serię zagadek. Ponoć był podejrzewany o konszachty z okupantem, z nim wiązano wpadkę jednego z konspiracyjnych sztabów, ponoć ciążyły na nim podziemne wyroki śmierci... Idąc tym śladem przesłuchano kilku żyjących w kraju dawnych członków francuskiego podziemia. Rozmowy nie dostarczyły żadnych informacji mających znaczenie dla rozwiązania sprawy.

Najbardziej prawdopodobny wydawał się „trop ukraiński" – zemsta dokonana przez byłych członków UPA. Niedawno Gerhard zamieścił w swoim tygodniku zdjęcie Stepana Bandery z podpisem „Morderca polskich dzieci". Mniejszość ukraińską w Polsce poddano intensywnej inwigilacji, ustalono adresy pięćdziesięciu ośmiu byłych członków band UPA, w tym dziewiętnastu członków oddziału „Hrina" (Stepana Stebelskiego), dowódcy sotni UPA działającej w Bieszczadach w latach 1945-1948 w ramach tzw. Kurenia (batalionu) bieszczadzkiego UPA , którego dowódcą był „Ren" (Wasyl Mizerny). Próbowano też ustalić osoby pochodzenia ukraińskiego przebywające w Warszawie w dniu zabójstwa.

Przeprowadzone działania w środowiskach ukraińskich nie przyniosły przełomu w sprawie.

W pewnym momencie w sprawie pojawił się nowy, bardzo ważny trop. Pod koniec 1970 roku została powołana przez władze specjalna komisja, mającą na celu sprawdzenie okoliczności śmierci generała Świerczewskiego. Przewodniczącym został generał brygady Marian Naszkowski, w latach 1950-1952 szef Głównego Zarządu Politycznego LWP, od października 1952 do 1968 roku Wiceminister Spraw Zagranicznych, następnie w okresie 1968-1972 redaktor naczelny organu prasowego PZPR „Nowe Drogi", potem (1948-1968) członek Komitetu Centralnego PZPR, a w latach 1968-1971 członek Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej[16]. Jan Gerhard był jednym z członków komisji.

Oficjalnie generał Świerczewski, zginął w zasadzce Ukraińskiej Powstańczej Armii 28 marca 1947 roku pod Jabłonkami, na drodze z Baligrodu do Cisnej. Władze PRL wykreowały go na bohatera narodowego, czyniąc ikoną komunistycznej propagandy, „człowiekiem, który się kulom nie kłaniał". Jako „generał Walter" został bohaterem wielu legend i mitów, niewiele mających wspólnego z rzeczywistością. Rzeczywistość była zgoła odmienna. Ten „polski" bohater narodowy brał udział w wojnie 1920 roku po... sowieckiej stronie. W 1989 roku Świerczewskiego strącono z piedestałów. Stało się to dzięki historykom, którzy obalili legendę o genialnym strategu, dzielnym dowódcy i wiernym synu narodu polskiego.

Po śmierci generała władze państwowe powołały dwie komisje celem wyjaśnienia sprawy. Pierwszą w Sztabie Generalnym reprezentował pułkownik Wacław Kossowski. Druga komisja prowadziła dochodzenie z ramienia i Głównego Zarządu Informacji pod nadzorem Anatola Fejgina i Józefa Różańskiego. Sztabowa komisja wojskowa wytknęła w raporcie niewystarczającą i nieprzeszkoloną ochronę, nieprzygotowanie na wypadek zasadzki, prowadzenie komunikacji telefonicznej w

16 W 1951 roku jako oficer polityczny LWP Marian Naszkowski zabronił polskim żołnierzom śpiewania kolęd.

sposób umożliwiający ujawnienie tajemnicy wojskowej oraz ustaliła dokonanie napadu przez oddział UPA. Raport sporządzony przez śledczych z UB ocenił ochronę transportu za wystarczającą, natomiast wskazał brak rozeznania generała odnośnie stanu bezpieczeństwa w rejonie inspekcji.

Okoliczności śmierci Świerczewskiego wzbudzały i do dziś wzbudzają sporo kontrowersji, głównie z powodu sprzecznych zeznań naocznych wojskowych świadków zdarzenia. Na przykład Gerhard twierdził, że generał umarł zanim przybyła pomoc, natomiast generał Mikołaj Prus-Więckowski, że w trakcie niesienia do samochodu po przybyciu pomocy. Podane też zostały różne czasy trwania potyczki. Jedni twierdzili że trwała ona 30-45 minut, a inni, że dwie godziny.

Oficjalnie podano, że Karol Świerczewski zginął od dwóch kul, tymczasem na zachowanym w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie mundurze generała znajdują się ślady trzech kul oraz dodatkowo ślad w tylnej części munduru, będący efektem przebicia materiału prawdopodobnie przez wojskowy bagnet lub inne ostre narzędzie. Zastanawiającą okolicznością są małe straty po stronie WP w tym starciu – zaledwie trzy osoby. (Dla porównania: w zasadzce zorganizowanej 1 kwietnia 1947 na tej samej drodze przez tę samą sotnię zginęło trzydziestu z trzydziestu dwóch żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza).

Część współczesnych historyków twierdzi, że Świerczewski mógł zostać celowo poświęcony przez kierownictwo partyjne, aby jego śmierć mogła stać się pretekstem do rozpoczęcia akcji „Wisła". Niestety do dzisiaj, mimo dostępu do archiwów i dokumentów tajnych, nie można z całą pewnością odpowiedzieć na pytanie: kto zabił Świerczewskiego? Wciąż istnieje wiele znaków zapytania i niedomówień. Być może dopiero otwarcie archiwów NKWD czy też KGB, rzuci światło na tę jedną z tajemnic XX wieku.

Jeden ze świadków zeznał, że spotkał Gerharda na przełomie kwietnia i maja 1971 roku. W czasie rozmowy w redakcji ten miał mu podobno powiedzieć, że doszedł do wniosku, iż generał Świerczewski nie zginął z rąk Ukraińców, lecz z rąk Polaków. Jak

twierdził świadek, Gerhard oświadczył mu, że jest w posiadaniu części materiałów pozwalających na wysnucie takiego wniosku.

*

Raport komisji (jeśli nawet powstał) nigdy nie ujrzał światła dziennego. Miał być przedstawiony w Biurze Politycznym KC, ale wypadki, które wtedy nastąpiły, sprawiły, że do tego nie doszło. Najpierw „nieznani sprawcy" włamali się do domu Naszkowskiego. Z jego sejfu zabrali tylko raport o okolicznościach śmierci generała „Waltera", gardząc znajdującymi się tam kosztownościami. Niedługo później, w dziwnych okolicznościach zmarł Jan Gerhard...

Aresztowany w 1952 roku w związku ze spiskiem na życie Świerczewskiego, o czym wspomniano wcześniej, Gerhard już po dwóch dniach rozpoczął składanie wyjaśnień obciążających siebie i innych. Ale wiadomo, jakimi metodami wyciągano wtedy zeznania.

„Gerhard, w trakcie przesłuchań, siedmiokrotnie próbował wycofać się ze złożonych wcześniej zeznań, jednak śledczy zawsze potrafili przekonać go do oczekiwanej przez nich wersji – czytamy w artykule Grzegorza Motyki Nie było zamachu na Waltera. – Ostatecznie postanowił, jak się wydaje, za wszelką cenę chronić przynajmniej żonę (a tym samym także maleńką córkę). Sam zaś przyznał się do współpracy z Niemcami, z wywiadem francuskim i jugosłowiańskim oraz do wzięcia udziału w szeroko rozgałęzionym spisku zmierzającym do obalenia władzy komunistycznej.

Z zeznań Gerharda wyłonił się obraz rzekomego spisku przeciwko Walterowi. Inicjatorami zabójstwa mieli być Marian Spychalski oraz marszałek Michał Żymierski, których jakoby niepokoiło proradzieckie nastawienie generała. Dlatego Spychalski poinformował o mającej się odbyć inspekcji Waltera w Rzeszowskiem szefa wojskowego wywiadu gen. Wacława Komara, również zamieszanego w spisek i współpracę z wywiadem francuskim. Komar postanowił wystawić Świerczewskiego ukraińskiej partyzantce przy pomocy dowódcy

34 pp. W grudniu 1946 r. płk Gerhard otrzymał polecenie nawiązania kontaktu z UPA w Bieszczadach. Pomimo wysiłków nie udało mu się tego dokonać. Kontakt z Ukraińcami nawiązał, jak zeznawał, dopiero w lutym 1947 r. podczas swojego pobytu we Francji (przebywał tam w celu załatwienia formalności rozwodowych z pierwszą żoną). W Paryżu rozmawiał jakoby z przedstawicielem wywiadu francuskiego oraz emisariuszem Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej o nazwisku Lewicki.

Po powrocie do Polski, pomiędzy 12 a 15 marca 1947 r. do sztabu Gerharda w Lesku zgłosić się miał niejaki Nahirny, ps. Sokół, związany z ukraińskim podziemiem, który powołał się na ustalenia podjęte we Francji. Gerhard uzgodnił z nim, iż bezpośredni kontakt będzie utrzymywał z UPA stacjonujący w Baligrodzie kpt. Henryk Karczewski, także «zamieszany» w spisek. Miał on między innymi ostrzegać UPA o planowanych operacjach wojska. Ok. 20 marca ppłk Gerhard miał poinformować w Warszawie gen. Komara o nawiązaniu kontaktu z Ukraińcami. Ten z kolei przekazał mu wiadomość o planowanej w końcu miesiąca inspekcji Świerczewskiego i zalecił nakłonienie UPA do zorganizowania zasadzki. Jednocześnie zapewnił go, iż Spychalski i Żymierski «nie będą dążyli do wyjaśnienia istotnych przyczyn tego zamachu». Po powrocie w Bieszczady Gerhard spotkał się 26 lub 27 marca w Baligrodzie z Karczewskim i Nahirnym i ustalił z nimi szczegóły napadu. Ten «misterny plan» został uwieńczony sukcesem i 28 marca 1947 r. gen. Świerczewski poniósł śmierć.

Trudno powiedzieć, czy oficerowie Głównego Zarządu Informacji sami wierzyli w te zeznania, niemniej poraża skala wysiłku, jaki włożyli w to, by choć trochę je uprawdopodobnić. Przykładowo: gdy Gerhard podał, iż kontaktował się w Warszawie z Francuzami przez Zofię Jabłońską (postać, którą sobie całkowicie zmyślił), funkcjonariusze Informacji zebrali adresy i fotografie wszystkich kobiet o tym imieniu i nazwisku, które w tym czasie mieszkały w stolicy. Kolejne przesłuchania Gerharda, na których wyciągano szczegóły jego «wrogiej działalności» przeciwko władzy ludowej, trwały do lutego 1954

r. Jednak tzw. odwilż po śmierci Stalina dotarła też do Polski. Stało się jasne, że wersja o spisku przeciwko gen. Świerczewskiemu jest zbyt niewiarygodna, aby można było ją zaprezentować publicznie. Na przełomie lutego i marca 1954 r. Gerhard w specjalnych oświadczeniach odwołał swoje dotychczasowe zeznania.

Oficerowie Informacji tak zręcznie prowadzili kolejne przesłuchania, by wynikało z nich, że ofiary są sobie same winne, ponieważ zmyślały, choć żądano od nich jedynie mówienia prawdy. Tyle tylko, że śledczy – jak z ukrytą złośliwością zauważył Gerhard – żądając, aby mówić prawdę, jednocześnie dodawali, iż jedyną prawdą jest to, że jestem «szpiegiem».

Ostatecznie, chcąc opuścić więzienie, w oświadczeniu z 17 czerwca 1954 r. gotów był nawet przyznać: «w naplątaniu bzdury jest 70 procent mojej winy, a 30 procent winy organów śledczych». Pomimo to zwolniono go «z braku dowodów winy» dopiero na początku grudnia 1954 r.

W ustaleniach końcowych śledztwa funkcjonariusze bezpieczeństwa, pomimo przesłuchania schwytanych członków sotni Chrina i Stacha (wielu z nich stracono), nie potrafili wykluczyć całkowicie hipotezy, iż UPA wiedziała o inspekcji. Jednak ostatecznie skłonili się do wersji o przypadkowym charakterze napadu".

Prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa Gerharda przesłuchali osiemnastu oficerów, którzy służyli z nim w wojsku. Nie znaleźli niczego, co wskazywałoby na sprawcę mordu.

W świetle szczegółów jego biografii, niepokojąco szczerego sensu nabrały słowa, które Gerhard napisał w Autopamflecie: „Prawdą jest, jak powszechnie wiadomo, nie to, co pokazujemy innym, lecz to, co najbardziej, najmocniej i najgłębiej pragniemy przed innymi ukryć. Każdy z nas ma coś takiego i to właśnie jest naszą prawdą. (...) Większość ludzi umiera ze swoją prawdą i zostawia co najwyżej mnóstwo fałszywych tropów, które prowadzą donikąd. O epoce dowiemy się z podręczników i opracowań specjalistów. O pojedynczych ludziach nie będziemy wiedzieli nic, gdyż sprawy ich są bardziej skomplikowane od

epok”.

*

Wobec braku postępów w śledztwie, 13 września minister spraw wewnętrznych Franciszek Szlachcic powołał specjalną Grupę Operacyjno-Śledczą, działającą pod kryptonimem „Bieszczady”. Na czele trzydziestoosobowej ekipy stanął pułkownik Stanisław Dereń, jego zastępcami zostali pułkownicy Józef Pielasa i Władysław Trzaska. Członek Biura Politycznego Stefan Olszowski obiecał publicznie, że sprawcy zostaną wykryci.

Do kwietnia 1972 roku członkowie grupy, wspomagani przez innych funkcjonariuszy, przeprowadzili prawie dziewięć tysięcy rozmów operacyjnych. Podczas formalnych przesłuchań przesłuchano tysiąc osiemset pięćdziesięciu świadków, niektóre osoby nawet kilka razy. Sporządzono pięćdziesiąt dziewięć analiz spraw karnych i operacyjnych, w tym zanalizowano kilkadziesiąt tomów akt dotyczących działalności Ukraińskiej Powstańczej Armii. Przeprowadzono dziewięć wizji lokalnych. W Zakładzie Kryminalistyki MO i innych placówkach naukowo-badawczych wykonano osiemdziesiąt cztery ekspertyzy. Zatrzymano na czterdzieści osiem godzin trzydzieści pięć osób, z których ośmiu postawiono zarzuty. Z tym, że dotyczące innych przestępstw wykrytych przy okazji śledztwa, a nie zabójstwa Gerharda.

Przez kilka miesięcy toczył się spór pomiędzy naukowcami z zakładów medycyny sądowej z Krakowa i z Warszawy. Ci pierwsi doszli do wniosku, że mordercy użyli w celu odurzenia ofiary chloroetanu (chlorku etylu). Jego pozostałości znaleziono w mózgu Gerharda. Ten bezbarwny i łatwopalny gaz stosowany jest w medycynie jako środek miejscowo znieczulający. Dawniej używano go również do krótkotrwałej narkozy wziewnej (trwającej najwyżej kilka minut), jednakże z powodu dużej szkodliwości dla mięśnia sercowego, niskiego indeksu terapeutycznego i trudnego dawkowania został całkowicie zastąpiony przez bezpieczniejsze anestetyki. Otrzymuje się go w reakcji etylenu z chlorowodorem, z użyciem chlorku glinu jako

katalizatora, w temperaturze 130–250 °C.

Eksperci z Warszawy twierdzili, że nic takiego się nie zdarzyło i żaden chloroetan nie został użyty. Rację mieli ci drudzy, ale nim spod Wawelu nadeszło przyznanie się do pomyłki, milicja przetrzepała w poszukiwaniu etylu wszystkie warszawskie szpitale i gabinety chirurgów.

Kluczem do rozwiązania skomplikowanej sprawy okazały się w końcu skradzione z mieszkania ofiary czeki podróżne. Początkowo śledczy nie wiedzieli, że w ogóle coś takiego w ogóle zniknęło. Dopiero podczas jednego z przesłuchań znany reżyser Janusz Nasfeter przypomniał sobie, że 19 sierpnia po południu spotkał przypadkowo Gerharda na ulicy Rutkowskiego, gdy tamten szedł do banku kupić czeki podróżne, ponieważ wybierał się na urlop do Złotych Piasków. Bank, który je wystawił, zdołał ustalić numery.

Problem leżał w tym, że jak wytłumaczył dyrektor Banku Handlowego: „po wakacjach tych czeków spływa z demoludów kilka milionów i to się kończy dopiero wiosną następnego roku. My absolutnie nie mamy tylu rąk, aby każdy obejrzeć". Odpowiednia ilość „rąk" znalazła się jednak w resorcie. Na rozkaz ministra Szlachcica słuchacze Centrum Wyszkolenia MSW w Legionowie usiedli w sali wykładowej przy pięćdziesięciu dwóch workach z dwoma milionami czeków podróżnych. Szukali tych, które w przeddzień śmierci pobrał Jan Gerhard.

18 marca 1972 roku natrafiano na pięć poszukiwanych czeków. Tkwiły w workach zdjętych z pierwszej ciężarówki, którą przyjechały. Przez niedopatrzenie kasjerki nie zostały przez nabywcę podpisane, co ułatwiło ich pokątną sprzedaż. Okazało się, że zostały zrealizowane w październiku ubiegłego roku w Budapeszcie. Dwa podpisane były nazwiskiem Lidia Samojluk, trzy nazwiskiem Wanda Kołucka. Obie kobiety szybko odnaleziono i przesłuchano. Bez problemów przyznały się, od kogo je nabyły. Wskazana przez nie osoba, Andrzej Sojczyński przyznał, że czeki otrzymał od niejakiego Zygmunta Garbackiego. Od tego momentu funkcjonariusze z grupy „Bieszczady" czuli instynktownie, że są już blisko wykrycia mordercy.

Dwudziestosiedmioletni Zygmunt Garbacki był narzeczonym córki Jana Gerharda...

*

Od początku znajdował się na liście podejrzanych, ale niczego nie można mu było udowodnić. Po raz pierwszy został przesłuchany już 20 sierpnia, lecz miał „murowane" alibi, które zapewniła mu siostra, twierdząc, że w chwili morderstwa, to jest około godziny dziewiątej rano, rozmawiał z nią rzekomo przez telefon z Włoch pod Warszawą, gdzie przeprowadzał remont mieszkania.

Podejrzenia śledczych wzbudzało „dziwne" zachowanie się Garbackiego. W trakcie ceremonii pogrzebowej zabitego zdawał się niezwykle intensywnie przeżywać tragedię, jaka dotknęła rodzinę Gerhardów. Dzielnie wspierał swym silnym ramieniem obie panie na Powązkach. 1 listopada, w Święto Zmarłych, złożył wiązankę na grobie ojca ukochanej. Jak się później okazało, kwiaty ukradł z sąsiedniej mogiły. Opiekował się czule nie tylko Małgosią, ale również jej matką.

Potem bardzo się zadomowił w mieszkaniu osamotnionych kobiet. Zaczął się jednak domagać, żeby pozwolono mu jeździć samochodem zamordowanego i bardzo niecierpliwił się, że Peugeot wciąż pozostaje w dyspozycji śledczych, którzy szukali w nim śladów mogących pomóc w rozwiązaniu sprawy. Coraz intensywniej domagał się ślubu. Robił to tak nachalnie, że zrażona Małgorzata Gerhard zdecydowała się ograniczyć z nim spotkania. Już nie spieszyła się do małżeństwa tak, jak kilka miesięcy wcześniej.

Służba Bezpieczeństwa próbowała zrobić z Garbackiego TW, czyli Tajnego Współpracownika. Jak wynika z akt prokuratorskich (nieujawnionych w tej części na procesie), pięć dni po odkryciu morderstwa jeden z funkcjonariuszy nawiązał z nim kontakt operacyjny „w celu zabezpieczenia dopływu informacji dotyczących poglądów (...) wdowy po Gerhardzie na temat zabójstwa". Garbacki chętnie przystał na współpracę.

Kiedy paser „sypnął" dodatkowo, że Garbacki przekazał mu

również dwa złote pierścionki oraz naszyjnik z wisiorkiem w kształcie łezki, które Małgorzata Gerhard wskazała później jako należące do jej ojca, w śledztwie nastąpił istotny przełom. To już nie było światełko w tunelu. To był potężny reflektor. Szczególnie, kiedy „obrabiany" mocno Andrzej Sojczyński, czując, że chcą mu „przyklepać" współudział w morderstwie, zdradził, że w trakcie jednego ze wspólnych spotkań Garbacki przyznał się do zamordowania pisarza. Zbrodni tej miał dokonać razem ze swoim bliskim kumplem Marianem Wojtasikiem zwanym „Romanem", bezrobotnym kierowcą samochodowym.

Przyszedł dzień 5 kwietnia 1972 roku. Według kalendarza była wiosna, ale niebo nad Warszawą miało barwę ołowianoszarą, a stojące domy omiatał ostry, północno-wschodni wiatr. Zbliżała się godzina dwudziesta druga, kiedy do mieszkania Zygmunta Garbackiego rozległo się głośne pukanie... Był bardzo zdziwiony zatrzymaniem, a przynajmniej takiego udawał. „Jeżeli ktokolwiek łączy mnie z zabójstwem Gerharda, to jest to tragiczne nieporozumienie lub bądź wynik ludzkiej złośliwości" – powiedział funkcjonariuszom.

Wojtasika nie trzeba było aresztować, bo już od jesieni przebywał w więzieniu, skazany na rok pozbawienia wolności za włamanie. Jak ustaliło późniejsze śledztwo, obaj mężczyźni wspólnie dokonywali w przeszłości również innych przestępstw: napadów, rozbojów i kradzieży. Kilkuosobowa szajka, której mózgiem był Garbacki, regularnie okradała Politechnikę Warszawską z części samochodowych, sprzętu turystycznego i pomocy naukowych. Niedoszły zięć Gerharda był studentem tej uczelni.

Planowali kolejne przestępstwa, między innymi obrabowanie kasy Politechniki Warszawskiej w dniu wypłat dla pracowników. Dzień wcześniej Wojtasik i Sojczyński podjechali skradzionym samochodem pod budynek. Kiedy kasjerka wychodziła po pracy do domu, przedstawili się jako koledzy jej syna, który właśnie uległ ciężkiemu wypadkowi. Zaoferowali podwiezienie kobiety do szpitala. W samochodzie chcieli ją sterroryzować i zabrać z torebki klucze do uczelnianej kasy, na które czekał już Garbacki.

Ku ich zaskoczeniu, kasjerka Politechniki okazała się bardzo przytomną osobą. Szybko zorientowała się, że coś tu nie gra i podniosła taki wrzask, iż rzekomi koledzy rannego syna porzucili pojazd i uciekli gdzie pieprz rośnie.

Fiaskiem zakończyły się planowane napady na znanych artystów: Mieczysławę Ćwiklińską, Jerzego Połomskiego i tancerza Stanisława Szymańskiego. Tego ostatniego Garbacki próbował sterroryzować przebrany w karnawałowy strój Murzynki.

Pochodził z solidnej, inteligenckiej rodziny, ojciec zginął w powstaniu warszawskim, matka była aktorką. Zygmunt był bliźniakiem, urodził się jako pogrobowiec 23 marca 1945 roku. W dzieciństwie wychowywała go babka. Podczas studiów bardziej niż nauka pochłaniały go liczne libacje alkoholowe. Na naukę nie pozostawało już wiele czasu, więc oblewał kolejne egzaminy i zarywał semestry. Bujne życie jednak kosztowało. Pieniądze zdobywał w wymieniony wyżej sposób. Ukradzione fanty sprzedawał potem na bazarze Różyckiego. Gdy znajomi – w zaufaniu – pożyczali mu klucze do swoich mieszkań, robił odciski w plastelinie, aby później, w trakcie nieobecności gospodarzy okraść ich. (Na takim właśnie gorącym uczynku został schwytany Wojtasik, gdy poszedł do mieszkania znajomych Garbackiego, by je okraść. Było to już po zabójstwie Gerharda. Nie sypnął kumpla).

Z Małgorzatą Gerhard Garbacki poznał się w 1969 roku podczas wakacji w Kołobrzegu, gdzie pracował jako ratownik. W następnym roku spotkali się przypadkowo i odnowili znajomość. Garbacki podarował Małgosi medalionik i dwa pierścionki, ona jemu – spinki ze skarabeuszem. Planowali wspólną przyszłość...

*

Rozpoczęły się ostre przesłuchania. Początkowo obydwaj podejrzani twardo zaprzeczali jakimkolwiek związkom z tragiczną śmiercią śp. Jana Gerharda. Jako pierwszy „pękł” na drugi dzień Wojtasik. Dzień później, 7 kwietnia złamał się Garbacki. Oświadczył śledczym przejmującym głosem, że

motywem zabójstwa była miłość do Małgosi Gerhardówny: „Chciałem się z nią ożenić, ona też mnie kochała, a on [Gerhard] stał nam na drodze". Jak wykazało jednak dalsze śledztwo Jan Gerhard wprawdzie nie szalał – mówiąc delikatnie – ze szczęścia, że będzie miał takiego zięcia, ale nigdy nie przeciwstawiał się planom małżeńskim jedynaczki, ale dopiero po skończeniu przez obojga studiów. Informował nawet swoich znajomych o rychłym zamążpójściu córki i wpłacił sporą kwotę na mieszkanie spółdzielcze dla niej. Garbacki twierdził, że studiuje na czwartym roku, podobnie jak Małgorzata[17]. Faktycznie miał zaliczone tylko pięć semestrów ponieważ został skreślony z listy studentów.

Wojtasik urodził się 5 sierpnia 1946 roku w Warszawie. Wychowywany był tylko przez matkę, z zawodu listonoszkę. Od początku sprawiał trudności wychowawcze, wielokrotnie zmieniał szkoły, później pracę. Obracał się głównie w kręgach marginesu społecznego. Podczas przesłuchania przyznał, że dał się namówić Garbackiemu „na skok", ponieważ bardzo potrzebował pieniędzy. Później, już podczas procesu sądowego, zmienił w sposób istotny swoje wyjaśnienia w tej materii, twierdząc, że zrobił to z powodów patriotycznych. Uważał mianowicie, że Gerhard był odpowiedzialny za śmierć generała Karola Świerczewskiego. Za udział w zorganizowaniu zabójstwa Garbacki miał mu obiecać pięćdziesiąt tysięcy złotych. Usunięcie ojca dziewczyny miało pomóc jego kumplowi w urządzeniu się w życiu i przejęciu majątku polityka. „U Gerhardów były pieniądze, samochód dobrej marki, lepsze towarzystwo – powiedział. – Żeby to dostać, mój kumpel musiał zostać zięciem, ale się obawiał, że przed ślubem Gerhard go sprawdzi i wyjdzie na jaw, iż ukochany córki udaje kogoś innego, niż jest. Na przykład że z jego studiowaniem architektury to lipa. Dlatego postanowił faceta zlikwidować".

Z piwnicy Wojtasika, spod sterty kartofli i zabetonowanej podłogi milicjanci wykopali kluczyki od samochodów Gerharda: Peugeota i Fiata. Znaleźli też ukradzione dowody osobiste studentów Politechniki Warszawskiej.

17 Małgorzata Gerhard była studentką filologii romańskiej.

Swój zbrodniczy plan przygotowywali od dłuższego czasu, spotykając się najczęściej w kawiarni „Uśmiech" na placu Konstytucji. Rozważali różne warianty zabójstwa. Początkowo myśleli o wrzuceniu Gerharda do szybu windy w redakcji „Forum". Pojechali nawet na miejsce sprawdzić, czy to możliwe, lecz uznali, że ucieczka z miejsca zdarzenia byłaby bardzo trudna. Następnie chcieli wrzucić truciznę do butelki na mleko wystawianej rano przed drzwi mieszkania. I z tego pomysłu zrezygnowali, doszli bowiem do wniosku, że krowi produkt mógłby ktoś ukraść, co w opisywanych czasach często się zdarzało. Wojtasik zaproponował uszkodzenie hamulca w samochodzie Gerharda, ale Garbacki nie dowierzał technicznym umiejętnościom kolegi. Poza tym nie było pewności, że redaktor zginie.

Na koniec, po obserwacji rytmu życia i pracy naczelnego „Forum", zdecydowali, że zamordują go rano, gdy będzie sam w domu. Okazję stwarzały wakacyjne wyjazdy żony i córki. Pierwszą próbę zabójstwa podjęli 18 lub 19 sierpnia. Zakończyła się niepowodzeniem, ponieważ pisarz nie był sam w mieszkaniu. 20 sierpnia spróbowali kolejny raz...

Ustalono, że zbrodnia przebiegała w następujący sposób. Około godziny dziewiątej rano Garbacki zadzwonił do drzwi mieszkania Gerharda. Poprzedniego dnia wieczorem poprosił go telefonicznie o rozmowę „w sprawie Małgosi". To dlatego właśnie w notesie Gerharda pod datą 19 sierpnia znalazł się trudny do odczytania zapis „Zyg" lub „Zim". Przyszły teść wpuścił go środka. Jak do tej pory znał chłopaka jedynie ze zdjęć i opowiadań Małgosi, nigdy nie spotkali się twarzą w twarz. Gość miał w ręku tekturowy rulon, jaki zwykle noszą studenci architektury. Ale w środku nie było projektów, lecz żelazna rurka.

Chwilę później do drzwi zadzwonił Wojtasik. W ręce trzymał legitymację studencką Garbackiego, którą ten jakoby zgubił na schodach. „Widziałem, że ten człowiek wszedł do pańskiego mieszkania" – tłumaczył.

Stojący w drzwiach, zajęty oglądaniem dokumentu Gerhard,

został w tym momencie uderzony potężnie od tyłu w głowę metalową rurką przez Wojtasika. Upadł na podłogę, ale ciągle bity, próbował czołgać się w stronę pokoju. Jego okulary i legitymacja studencka Wojtasika wypadły na wycieraczkę. Drzwi wciąż były otwarte, więc Wojtasik zamknął je kopnięciem. W tym momencie obaj założyli rękawiczki. Półprzytomną ofiarę bandyci powlekli w głąb mieszkania, gdzie Garbacki zauważył leżący na półce ozdobny sztylet. Wziął go i z całą siłą wbił w plecy ofiary, w okolice serca. Następnie wspólnie zadzierzgnęli wokół szyi Gerharda skórzany pasek od spodni i dusili, dopóki nie uznali, że ten z pewnością już wyzionął ducha. Na koniec splądrowali mieszkanie, pozorując zabójstwo na tle politycznym, co w jakiejś przynajmniej części im się udało. W celu zmylenia śledczych Garbacki przesunął wskazówki złotej doxy na ręce zamordowanego z godziny 9.30 na 11.30, a następnie rozdeptał cyferblat. Ponieważ w trakcie mordowania Gerharda poplamili krwią ubrania, przebrali się w odzież ofiary.

Dopiero wychodząc na korytarz, zobaczyli, że na wycieraczce leżą potłuczone okulary i legitymacja studencka, które pośpiesznie zabrali. W trakcie przesłuchiwania, jeszcze w dniu morderstwa, jeden lokatorów domu mówił, że widział te przedmioty, ale „nie chciał się wtrącać w cudze sprawy".

Garbacki opuścił mieszkanie przy Matejki 4 jako pierwszy. Zabrał samochód Gerharda i zostawił go pomiędzy ulicami Bagno i Świętokrzyską. Chodziło o sprawienie wrażenia, że redaktora nie ma w domu, co miało opóźnić wykrycie zbrodni. Potem obaj wrócili do swoich domów, zapewniając sobie alibi ze strony rodziny. W przypadku, gdyby podejrzenia milicji skierowały się w stronę Garbackiego, Wojtasik miał zabić Alicję Gerhard, żeby śledczy pomyśleli, iż rodzinę Gerhardów likwiduje z zemsty jakaś tajemnicza organizacja polityczna.

*

Śledztwo prowadzono w niezwykle szybkim tempie. Zaledwie po trzydziestu siedmiu dniach gotowy był już akt oskarżenia. Proces ruszył 25 maja 1972 roku przed Sądem Wojewódzkim w

Warszawie. Wzbudził olbrzymie emocje i zainteresowanie opinii publicznej, na salę rozpraw wydawano w sekretariacie Wydziału Karnego specjalne karty wstępu. Przebieg relacjonowały na bieżąco wszystkie niemalże media w kraju (łącznie sześćdziesiąt osiem redakcji), codzienne sprawozdania z procesu dostarczane były najwyższemu kierownictwu PZPR.

„Przed dziewiątą tłum oblega salę 252 – pisała obecna przy tych wydarzeniach dziennikarka Barbara Seidler. (...) Samych dziennikarzy jest kilkudziesięciu. (...) Na drzwi naciera tłum. I to jest pierwszy znak widomy i okrutny tego teatrum, jakie się zaraz rozpocznie, przed którym każdy sprawozdawca sądowy rozumiejący to, co jest codzienną treścią tego gmachu, zżyma się. Za chwilę są już wszyscy na swoich miejscach. Jak w lożach. Czujni i baczni. (...) Garbacki (…) czoło podniesione przedwczesną łysiną, na marynarkę granatową spadają z tyłu długie włosy. I Wojtasik. Niski, przysadzisty, niczym szczególnym nie wyróżniający się spośród tysięcy innych".

Garbacki i Wojtasik składali wyjaśnienia łącznie przez pięć dni. Obaj przyznali się do zarzucanych im czynów. Garbacki poprosił o utajnienie obrad, uzasadniając to potrzebą ochrony dóbr osobistych rodziny ofiary. Sąd przychylił się do jego wniosku, lecz tylko częściowo. Zasadnicza część postępowania toczyła się jawnie.

Główny sprawca i jego obrońcy i starali się obalić przypisywane mu przez akt oskarżenia rabunkowe (niskie) pobudki zbrodni. Wszelkimi sposobami próbowali dowieść, że Garbacki zamordował Gerharda z miłości do Małgorzaty, ponieważ jej ojciec stał na przeszkodzie jej małżeństwu. On sam już kilka dni po aresztowaniu napisał w liście do matki: „Małgosia mówiła mi, że jest bardzo uzależniona od ojca. (…) Nie mając innego wyjścia, a chcąc z nią być, powstał straszny plan. Jak zaplanowaliśmy, tak się stało. Zrobiłem to przez wielką miłość. Walczyłem, niestety błędnie, w afekcie".

Pisał też do narzeczonej, chociaż Małgorzata Gerhard zastrzegła, że nie chce otrzymywać od niego listów. Pisał między innymi: „Wiem, że to był dla Ciebie na pewno straszny,

koszmarny czas, gdy dowiedziałaś się o moim alter ego. Na pewno zwątpiłaś w szczerość i prawdziwość moich słów o wielkiej miłości. Gdy zostałaś sama, przez moment uwierzyłaś w to wszystko, co podawała prasa i tłum. Zwątpiłaś, a ja nie miałem możliwości wytłumaczenia ci wielu spraw, mając przeciw sobie prasę, władzę i społeczeństwo. (…) Dowiedz się, że najwyższe szczęście staje się przyczyną nieszczęścia, a pełnia mądrości przyczyną szaleństwa. Proszę, odpowiedz na moje listy".

Tą monetą grał do końca. W niejawnej części procesu opowiadał, że Małgorzata była ofiarą despotyzmu swego ojca. Zabijając Gerharda, pragnął uwolnić ją spod władzy tyrana. „Zrozumiałem – mówił – że muszę szybko wyciągnąć Małgorzatę z tego zdeprawowanego domu. Niestety, w oburzeniu na zachowanie jej ojca poniosło mnie i doszło do sytuacji nieodwracalnej". Gerhardówna natomiast, zeznając przed sądem jako świadek, zdecydowanie sprzeciwiła się przedstawionym przez byłego narzeczonego motywom zabójstwa.

Próbując ratować głowę, Garbacki nie wahał się przed opluwaniem ofiary. Do wyproszonych na korytarz widzów i dziennikarzy nie dotarło na przykład jeszcze inne pomówienie Gerharda przez jego mordercę, tym razem natury politycznej. Otóż w czasie pamiętnego spotkania w dniu 20 sierpnia 1971 roku Gerhard miał jakoby wyznać Garbackiemu, iż „lepiej być na Zachodzie gazeciarzem niż w Polsce redaktorem naczelnym. Polska bowiem to kraj, gdzie nie ma żadnych szans, żadnych widoków i trzeba uciekać, póki czas z tego tonącego okrętu. On właśnie ma taki zamiar i chętnie zabierze Garbackiego z sobą".

Gdy po odtajnieniu dalszej części rozprawy sąd zapytał oskarżonego, czy podtrzymuje to, co powiedział bez udziału publiczności, Garbacki ukłonił się teatralnie w kierunku siedzącej na sali narzeczonej i oświadczył, że wycofuje swoje słowa.

Pełnomocnik występujących jako oskarżycielki posiłkowe wdowy i córki, Mecenas Władysław Pociej nazwał taką linię obrony „nikczemną". „Mało było dobijać, doduszać, mało było zabić, trzeba było jeszcze opluć, zniesławić, moralnie unicestwić

nie tylko zresztą zmarłego – powiedział. – Proszę wysokiego sądu, chciałbym się zastanowić, dlaczego Garbacki odstąpił od lansowanej przez siebie tezy, że wizyta 20 sierpnia miała u niego wywołać takie wzburzenie, że nie wytrzymał napięcia, wszak jak się wyraził, był człowiekiem z zasadami. (…). Oskarżony ma samorodny talent aktorski, co stwierdzili badający go psycholodzy. Przekonująco odegrał rzekomą rozpacz na Powązkach, a i tu, na sali sądowej, przy każdym wspomnieniu imienia Małgorzata, dławi się szlochem, nie może wypowiedzieć słowa. Dlaczego teraz nie ponowił swej tezy o zgorszeniu zachowaniem przyszłego teścia? Bo zapoznano go z wyjaśnieniami złożonymi przez Wojtasika, że zamysł zabójstwa omawiali już w czerwcu 1971 roku. Zatem teza o narastającym, trudnym do opanowania wzburzeniu musiała upaść; jeśli ktoś planuje napad rabunkowy z zamiarem zabójstwa w czerwcu, a realizuje to w sierpniu, nie ma wzburzenia, jest premedytacja. Ale nie był to jedyny powód. Garbacki usłyszał również zeznania Małgorzaty Gerhard, z których wynikało, że ojciec akceptował małżeństwo z nieznanym mu bliżej studentem architektury, wpłacił pieniądze na ich mieszkanie. W szczegółowych listach do przebywającej na wczasach żony pisanych w sierpniu z Warszawy nic nie wspominał o spotkaniu z przyszłym zięciem".

„Na wniosek obrony zamknięto drzwi, ale i tak na korytarz, do sądowego bufetu przeciekło to, o czym mówił Garbacki – pisała Barbara Seidler. (...) Ale choć drzwi zostały zamknięte, motyw zabójstwa podany przez Garbackiego wrócił po wielokroć w pytaniach, oświadczeniach, mowach obrończych. Przede wszystkim zaś Małgorzata Gerhard, odpowiadając na pytanie swojego pełnomocnika, stwierdziła jednoznacznie i stanowczo: »Znane mi jest to, co Garbacki powiedział przy drzwiach zamkniętych, podając jako motyw popełnionego morderstwa. Oświadczam, że oskarżony wysunął kłamliwy zarzut pod adresem mego ojca i moim. To, co powiedział, szkaluje pamięć mego ojca. Nigdy nic takiego się nie zdarzyło. Nigdy takiego zdarzenia nie relacjonowałam Garbackiemu. To kłamstwo«".

Nie przejmując się uczuciami córki ofiary, obrońcy Garbackiego

nadal usiłowali sugerować, że „Małgorzata Gerhard znała niektóre szczegóły kryminalnej działalności narzeczonego. Z jednej strony miało ją to zszokować, z drugiej jednak jakoby jej imponowało". Dawali w taki sposób do zrozumienia, że córka pisarza mogła domyślać się prawdy.

Po powrocie do celi, Garbacki tak opisał swemu kuzynowi ostatni dzień procesu: „Na korytarzu było tak tłoczno, że milicja ledwo mogła zaradzić. Jak to podczas wszystkich słynnych procesów się dzieje, musiano postawić na drodze naszego przejścia z samochodu do sali pikiety policji. Sala rozpraw jest prostokątna, w głębi widnieje na podium długi stół z brzydkimi i tandetnymi fotelami dla sędziów. (…) Sam przebieg procesu znasz. Prokurator przedstawił sytuację oskarżonego (to znaczy moją). Udało mu się nawet wzbudzić dreszcz wśród audytorium i mnie samego. Gdyby nie wymieniał często mego nazwiska, nie wiedziałbym, że mówi o mnie. Obrońca pierwszy umiał nadać swemu przemówieniu ton porywający. Ta opowieść, w której zabrzmiały najwspanialsze uczucia, obudziła wiele sympatii dla oskarżonego. Adwokat rehabilitował mnie w słowach dobitnych, przekonujących. Ukazał wszystkim, kim był rzeczywiście człowiek obłędnie zakochany. Porównał moją miłość do dramatu Romea i Julii. Że powodem tragedii była wielka, zraniona miłość. Drugi obrońca uderzył w psychikę i rozsądek sędziów, ostrzegł przed cierpieniami moralnymi, których by doznali po bezlitosnym wyroku. Niestety, czułem, że temu żarowi obrońców przeciwstawia się chłód sądu. Straszliwa, przejmująca mrożącym dreszczem sytuacja".

W ostatnim słowie wyraził skruchę i prosił sędziów o wyrozumiałość przy wydawaniu wyroku: „Proszę sąd o taki wyrok, który byłby odkupieniem tego, co zrobiłem, a jednocześnie taki, który umożliwiłby mi powrót do społeczeństwa. Najsurowszą karę już poniosłem – straciłem miłość Małgorzaty".

*

Wojtasik przyjął zupełnie inną linię obrony. Tłumaczył się, że

„był tylko narzędziem w ręku Garbackiego" i „wykonywał wszystko, co ten mu kazał". „Garbacki mówił mi, że Gerhard stoi mu na drodze do jego związku z narzeczoną. «To jest moja wielka życiowa sprawa, jeśli jesteś moim przyjacielem, to mi pomóż» – prosił". Jego obrońcy podkreślali, iż na drogę przestępstwa został „w iście mistrzowski sposób wciągnięty przez Garbackiego". Wrócił również poruszony w śledztwie motyw oburzenia Wojtasika na Gerharda, który miał być jakoby odpowiedzialny za śmierć Karola Świerczewskiego. „Jako patriota byłem wstrząśnięty tą wiadomością – tłumaczył Wojtasik. – (...) zabił tym we mnie wszystkie skrupuły".

Prokurator Wiesław Krassowski gładko rozprawił się w swej mowie końcowej z tezą, że wyłącznym motywem morderstwa była miłość Garbackiego do córki ofiary: „Przyszło nam na tej sali słuchać o miłości i przyjaźni, a sprawa toczy się o mord rabunkowy, rozboje, kradzież i fałszerstwa – mówił. – Garbacki pozostanie kryminalistycznym przypadkiem wyjątkowej zbrodni. (...). Mogłaby ogarnąć nas groza, gdybyśmy uwierzyli, że wzniosłość rodzi podłość. Powiedzmy twardo: żeby uratować wiarę w miłość, żeby uratować wiarę w przyjaźń, żeby uratować wiarę w człowieka, którą Garbacki wszelkimi sposobami usiłował podważyć, oskarżonych trzeba zdaniem urzędu prokuratorskiego skazać na śmierć".

„Jest zarazem coś niezwykłego w tym, jak dalece odnaleźli się i dobrali główni aktorzy tego procesu: Garbacki i Wojtasik – stwierdził w mowie końcowej prokurator Józef Gurgul. – Pozornie dzieliły ich diametralne różnice pochodzenia społecznego, statusu rodzinnego, wykształcenia, realnych szans legalnego zarobkowania, wzrostu, aparycji i zdawałoby się, dosłownie wszystkiego. Dylemat ten objaśnił Zygmunt Garbacki.

Z właściwym sobie cynizmem wyznał bowiem, że − wybrałem Wojtasika, bo obaj mieliśmy kłopoty finansowe, które chcieliśmy radykalnie załatwić. Wiedziałem, że Wojtasik okazywał podczas dokonywania przestępstw spokój i opanowanie, więc mu zaproponowałem zabójstwo ojca Małgorzaty.

Garbacki reprezentował jeszcze inne cechy charakteru, dzięki

czemu mogli utworzyć osobliwy tandem zbójów! Handlarze cudzym życiem nie zawiedli się na sobie. Każdy z nich sprostał oczekiwaniom kontrahenta, wychodząc poza granice ludzkiego upadku i okrucieństwa. Dali temu wyraz zwłaszcza 20 sierpnia 1971 roku. Zabójstwo Jana Gerharda zamknęło szczególny etap ich życia. Brutalnie deptali zasady współżycia społecznego. Nie chodzi nawet o te zasady, które wykształciło społeczeństwo ludzi kulturalnych, oskarżeni bowiem podobniejsi byli jaskiniowcom, których stosunek do życia wyrażał łom i sztylet. Tymi argumentami postanowili operować, aby w znany nam sposób urządzić się. Trzeba stwierdzić, że tylko w takich sumieniach i takiej aurze mógł powstać i być zrealizowany zamach na najwyższą wartość, ponad którą nie ma już nic − na życie ludzkie. Powiedzmy sobie jeszcze raz: Jan Gerhard był pierwszą ofiarą, następne były typowane − wśród nich pani Alicja i Małgorzata Gerhard. Chciałbym z całej mocy na zakończenie wołać słowami Dostojewskiego «…i gdybyż przynajmniej los zesłał im skruchę, skruchę palącą, która miażdży serce, odpędza sen, taką skruchę, której okrutne męczarnie nasuwają myśl o stryczku lub topieli...» Oskarżeni, zwłaszcza zaś Zygmunt Garbacki, nie chcieli dać społeczeństwu nawet tej satysfakcji".

Po odebraniu wyjaśnień od oskarżonych, przesłuchaniu czterdziestu czterech świadków i kilku biegłych, sąd zakończył rozprawę w iście ekspresowym tempie, zaledwie po dwudziestu jeden dniach procesu. 16 czerwca 1972 roku wydał wyrok. Obaj oskarżeni, Zygmunt Garbacki i Marian Wojtasik skazani zostali na karę śmierci przez powieszenie. W ustnym uzasadnieniu przewodniczący składu sędziowskiego stwierdził, iż „zabójstwa dokonano z premedytacją w celach wyłącznie rabunkowych (...). Sąd nie dopatrzył się w poczynaniach obu mężczyzn żadnych okoliczności łagodzących".

Adwokaci obu skazanych złożyli apelację do Sądu Najwyższego. Walcząc o łagodniejszy wyrok, w liście do SN Garbacki napisał: „Wiem, że namiętność obudziła we mnie najgorsze zwierzęce instynkty, postradałem rozum, grzesząc zbytnim oddaniem

swojej miłości. Zmuszony okolicznościami popełniłem zbrodnię, ale to był afekt, afekt człowieczej natury".

27 września 1972 roku Sąd Najwyższy utrzymał wyrok w mocy. Wykonano go wobec obu morderców 22 stycznia 1973 roku w więzieniu w Warszawie. Wojtasik przed śmiercią napisał do matki: „Cześć. Spotkamy się tam, gdzie wszyscy. Marian". O ostatnich chwilach życia Garbackiego nic nie wiadomo.

*

Morderców ujęto, osądzono, skazano i stracono. Akta dawno trafiły do archiwum. Nie cichły jednak rozmaite teorie spiskowe i plotki. Nie ucichły zresztą do dzisiaj. Opinia publiczna z trudem przyjmowała do wiadomości fakt, że sprawcami okazali się zwykli przestępcy kryminalni, którzy dokonali morderstwa znanego polityka z motywów wyłącznie rabunkowych. Mało kto wierzył, że człowiek z takimi koneksjami, o tak barwnym życiorysie, pupil władz, mógł paść ofiarą zwykłej zbrodni na tle rabunkowym. Jego życie było zbyt „polityczne", zbyt „wojenne" by śmierć okazała się tak … banalna. „Wszystko, co interesujące jest poza nami, pozostało w sferze mitów, domysłów, legend – napisał w „Argumentach" Jerzy Ambroziewicz. – Prawda nie jest ciekawa".

Nie bez powodu jednak ludziska nie wierzyły w to, co podawała oficjalna, komunistyczna propaganda. „Panie, ja to im już w nic nie wierzę – zwierzała się przed laty autorowi przypadkowo spotkana w kolejce po mięso kobieta. – Nawet jak w gazecie piszą, że dziś środa, to ja się zastanawiam, czy aby nie wtorek, albo czwartek". „Największą karą kłamcy jest to, że nawet gdy mówi prawdę – ludzie mu nie wierzą", rzecze Talmud (Sanhedryn 100).

Nagromadzone wokół sprawy emocje sprawiły, że wokół zbrodni narosło wiele mniej lub bardziej prawdopodobnych legend. Doszukiwano się nie tylko przyczyn politycznych, ale nawet rzekomego... związku homoseksualnego z narzeczonym córki.

„Do powstania legend przyczyniło się również utajnienie części

rozprawy, dla dobra rodziny zmarłego oraz chęci ukrycia przez SB pewnych faktów, np. o nawiązaniu współpracy z Garbackim w celu uzyskania informacji o zachowaniach córki i żony pisarza – stwierdziła Sylwia Maleszak w artykule Kara śmierci za zabójstwo Jana Gerharda. – Te oraz inne wątpliwości spowodowały, że powstało wiele wersji dlaczego zginął Gerhard (np. wersja politycznego spisku)".

„Nie tylko ja, także warszawska ulica nie wierzyła w rzetelność tego oskarżenia i procesu – pisał Stanisław Podemski w Pitavalu PRL-u. – Powtarzano sobie z ust do ust, że Gerhard był już umówiony z Edwardem Gierkiem i chciał poinformować go o aferze łapówkowej w MSW (paszporty przyznawane za pieniądze). Nie wierzono nawet w komunikat Rady Państwa o wykonaniu wyroków śmierci na obu oskarżonych. Krążyły plotki, że żyją sobie gdzieś w Bułgarii pod zmienionymi nazwiskami. To nie była prawda, egzekucja się odbyła. Wiem to od mecenasa Jerzego Nowakowskiego [obrońcy jednego z oskarżonych]".

„W całej wciąż tajemniczej nadal krzyżuje się wiele intrygujących tropów – dowodzi Szymon Jakubowski (*Dlaczego zginął Jan Gerhard – autor "Łun w Bieszczadach"?*) – Gerhard niewątpliwie miał potężne umocowanie w służbach specjalnych, jego małżonka z którą w chwili śmierci był w faktycznej separacji, była dyrektorem jednego z wydziałów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Skazani za zbrodnię z kolei mieli twierdzić, że byli tajnymi agentami Służby Bezpieczeństwa. Czy ma to jakiś związek ze zbrodnią?"

Na jednym z prawicowych blogów anonimowy komentator zauważył: „Za zabójstwo Gerharda skazano… narzeczonego córki, który miał to zrobić dla pieniędzy. Jak prawie zawsze w przypadku politycznej śmierci. Współcześnie aż nadto takich śmierci".

Pewne niedowierzanie widać również w dziennikach Stefana Kisielewskiego: „Zabójcy Gerharda dostali karę śmierci. Z tego procesu też nic nie rozumiem – w ogóle świat jest chyba inny niż mi się zdaje".

Te i inne wątpliwości sprawiają, że śmierć Jana Gerharda do dziś dla wielu pozostaje tajemnicą i wdzięcznym przedmiotem do kreślenia różnych wersji politycznego spisku. Jednak zachowane dokumenty nie dają podstaw do podważania oficjalnej wersji, że morderstwa rzeczywiście dokonali Garbacki i Wojtasik.

SKORPION

PAWEŁ TUCHLIN

(1975 – 1987)

W historii polskiej kryminalistyki zapisał się jako jeden z najokrutniejszych seryjnych morderców. Jego ofiarą padło dziewięć kobiet, próbował zabić jeszcze jedenaście. Większość ocalałych przypłaciła spotkanie z nim trwałym kalectwem. Ciężkie urazy czaszki po uderzeniach młotkiem powodowały utratę pamięci, słuchu czy mowy. Jedna z kobiet, która po ataku zbrodniarza spędziła w szpitalnym łóżku osiem tygodni, po powrocie do domu była tylko w stanie wyjąkać: „mamo".

Nadano mu przydomek „Skorpion", ponieważ działał zawsze z ukrycia, niespodziewanie, zupełnie tak, jak ten mały, śmiertelnie niebezpieczny pajęczak, a jego ataki były szybkie i zabójczo skuteczne.

Krwawą mapę Pomorza tworzył przez prawie osiem lat. Atakował w Gdańsku i okolicach, a także na obszarze ówczesnego województwa elbląskiego i bydgoskiego. Na polowania wychodził po zmroku, czasami o świcie. Napadał zawsze przy paskudnej pogodzie, podczas deszczu czy śnieżycy, kiedy większość ludzi siedzi w ciepłych domach. Swoich ofiar wypatrywał najczęściej w środkach komunikacji miejskiej. Wybierał zwykle młode, szczupłe kobiety, które po uderzeniu w głowę mógł bez trudu zaciągnąć w ustronne miejsce.

Początkowo posługiwał się żelaznym prętem, później zastąpił go zabranym z pracy młotkiem. Pozbawiwszy ofiarę przytomności rozbierał ją, układał w dyktowanej mu przez jego chorą fantazję pozie, oglądał i dotykał intymnych części ciała. Nigdy nie gwałcił, zadowalając się innymi lubieżnymi czynnościami, nazwanymi później przez prokuratora eufemistycznie „licznymi manipulacjami". Zależało mu wyłącznie

na uległości kobiet, którą z łatwością uzyskiwał za pomocą uderzenia młotkiem w głowę. Podniecał go widok rozebranych, zupełnie mu oddanych ofiar. Zabierał im pieniądze, biżuterię i kosmetyki. Nie gardził również produktami spożywczymi. Zjadał kanapki, bułki i owoce, wypijał mleko czy śmietanę.

Swoją zbrodniczą serię rozpoczął jesienią 1975 roku. Początkowo nie myślał o zabijaniu – włóczył się po parkach, skwerach i innych odludnych miejscach, demonstrując zaskoczonym kobietom swoje obnażone genitalia. Wkrótce zorientował się jednak, że potrzebuje dużo większych podniet i emocji. Tych dostarczała mu dopiero totalna dominacja, całkowite podporządkowanie sobie kobiety i jej upokorzenie. Dopiero wtedy mógł osiągnąć w pełni seksualną satysfakcję.

Podobno po każdym napadzie przyrzekał sobie, że to ostatni raz i dotrzymywał słowa... aż do kolejnego ataku. Zażywał przed nocą pigułki nasenne, żeby nie ciągnęły go na zewnątrz mordercze instynkty. Nieuchwytny przez niemal dekadę, wizytę milicji w swoim domu powitał z prawdziwą ulgą.

*

Był paskudny, zimny wieczór 31 października 1975 roku, minęła właśnie godzina 20.00. Mniejsze drzewa uginały się pod naporem silnego wiatru, a większe drżały. Był to jedyny widoczny ruch w całej okolicy, oprócz oczywiście zacinającego deszczu. Zgrabna, dwudziestojednoletnia dziewczyna szła do kawiarni na spotkanie z koleżanką. Nazywała się Danuta Ch.

Na przystanku kolejki elektrycznej Gdańsk-Orunia przy ulicy Junackiej zauważyła jakiegoś mężczyznę. Stał mniej więcej w połowie długości peronu. Słabo widoczny w mroku październikowego wieczoru obserwował, jak młoda kobieta przechodzi przez tory i kieruje się w stronę przylegającego do nich niewielkiego parku. Po chwili ruszył za nią.

– Czy ma pani zapałki? – zapytał, podchodząc.

Nie zareagowała. Pytanie wydało jej się najzwyklejszą zaczepką. W tym momencie mężczyzna wyciągnął zza paska młotek i kilkakrotnie uderzył nim w głowę kobiety. Upadła i

straciła przytomność. W pobliżu nie było nikogo, któż bowiem kręciłby się po okolicy w tak brzydką pogodę, kiedy dodatkowo jeszcze w telewizji nadawali ciekawy film?

Mężczyzna zawlókł bezwładne ciało w odległe o kilkanaście metrów od torów kolejowych zarośla. Gdy pochylił się nad dziewczyną, zorientował się, że zostawił na ścieżce swój młotek. Wrócił po niego, a potem ponownie do ofiary. Ukląkł przy nieprzytomnej i zaczął zdzierać ubranie. Zerwał się jednak nagle, słysząc zbliżający się odgłos kroków na parkowej ścieżce. Zostawił ofiarę i wyskoczył na ścieżkę, udając przechodnia. Naprzeciw, śpiesznym krokiem podążała inna kobieta.

– Jakieś dziwne odgłosy dobiegają z krzaków – zagadnęła go. – Słyszał pan?

– Tak – odpowiedział spokojnym głosem. – Tam leży ranna jakaś dziewczyna. Trzeba zawiadomić pogotowie. Niech pani zostanie przy niej, a ja pobiegnę szybko po pomoc. Tutaj niedaleko jest postój taksówek.

Odszedł i już nie wrócił. Obiecaną pomoc sprowadzili dopiero po kilkunastu minutach przypadkowi przechodnie, słysząc dobiegające z parku wołania o ratunek.

Danuta Ch. przez kilka tygodni walczyła w szpitalu ze śmiercią. Lekarze określali jej stan jako bardzo ciężki i nie dawali wielkich szans na przeżycie. Kiedy w końcu odzyskała przytomność, na pewien czas straciła mowę. Odzyskała ją dopiero po kilku tygodniach. Natychmiast przesłuchali ją funkcjonariusze milicji. Niewiele jednak potrafiła powiedzieć, bo i niewiele pamiętała. Jako pamiątka zdarzenia pozostał jej na twarzy szpecący tik, efekt trwałego uszkodzenia nerwu. Psychicznie nigdy nie wróciła do formy, ale przeżyła.

„(...) Otrzymała około dziewięciu uderzeń w głowę przedmiotem tępokrawędzistym – napisano w milicyjnym protokole. – Rany czaszki o średnicy około 3 cm wskazują, że silne ciosy mogły być zadane młotkiem o małej płaszczyźnie uderzenia. (...). Uderzenia te spowodowały złamanie kości czaszki, na skroni, na czole i z tyłu głowy".

Przeprowadzone śledztwo nie doprowadziło do wykrycia

sprawcy. Dokonany przez ofiarę opis napastnika był zbyt niedokładny. Podobnie jak opis sporządzony przez drugą kobietę, wracającą z pracy kierowniczkę sklepu mięsnego w Gdańsku, która 31 października 1975 roku znalazła się w pobliżu miejsca napadu. Było ciemno, wiał silny wiatr i padał deszcz...

Zebrany w sprawie przez organa ścigania materiał był prawie żaden. Nic nie wskazywało na seksualne tło napadu.

*

Wieczór, 5 stycznia 1976 roku. Ten sam park w dzielnicy Orunia. Poza granicą drzew szalała gwałtowna zamieć. Wiatr nadlatywał od południowego zachodu, pędząc niczym pociąg ekspresowy z jednego krańca parku na drugi, gnając przed sobą chmurę śniegu. Był tak gęsty, że widać było tylko część parku, potem świat kończył się pustą, białą ścianą. Gdyby w piekle było zimno, a nie gorąco, to tak właśnie musiałoby ono wyglądać. Z rzadka przemykali skuleni z zimna przechodnie, okutani w ciepłą odzież, zasłaniający twarze szalami, spieszący do ogrzanych wnętrz swych mieszkań. Wśród nich dwudziestosześcioletnia pielęgniarka, Mirosława D.

Właśnie skończyła dyżur w trójmiejskim Szpitalu Wojewódzkim. Przemierzając wyludniony park na Orunii, marzyła tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w domu. Przeszła przez przejazd kolejowy w pobliżu peronu przy ulicy Junackiej. Nie rozglądało się na boki, niczego nie widziała. Minęła park, dochodząc po kilkuset metrach do ulicy Smoleńskiej. I wkroczyła na ośnieżoną, ledwie utwardzoną drogę, wiodącą między niewielkimi, parterowymi domkami. Okna wielu z nich rozjaśnione były mdłą poświatą rzucaną przez ekrany telewizorów.

Otwierała furtkę posesji swych rodziców, gdy nagle poczuła potężne uderzenie w głowę. Upadła. Przed śmiercią lub trwałym kalectwem uchroniła ją gruba czapka z lisiego futra, chociaż – jak wykazało późniejsze badanie – doznane obrażenia świadczyły o ciosach zadawanych z wielką siłą. Poczuła, że ktoś ciągnie ją za nogi w głąb ogródka, w pobliże ganku, gdzie śnieg i wiatr były

nieco mniejsze. Tracąc przytomność, zauważyła w górze niewyraźny zarys sylwetki mężczyzny. Nie czuła już, jak zdziera z niej spodnie i rajstopy...

Co mogłoby nastąpić dalej, można sobie tylko wyobrazić. Na szczęście dla zaatakowanej, napastnika spłoszyło zapalone nagle w oknie na parterze światło i jakiś ruch za firankami. Zdążył tylko porwać jej torebkę, nim zniknął niezauważony w mroku nocy, za śnieżną kurtyną. Jak okazało się dużo, dużo później, mężczyzna doszedł do torów kolejowych i ruszył wzdłuż nich. Przeciął zawiany śniegiem pusty plac, dochodząc do ulicy Jedności Robotniczej. Tam wsiadł do autobusu i odjechał. Torebkę znalazł kilka dni później w śródmieściu Gdańska, przy ulicy Heweliusza, pewien emeryt. Zachowane na niej linie papilarne nie odpowiadały żadnej z osób pozostających w kręgu podejrzeń. Także wszechstronne badania kryminalistyczne nie wniosły nic nowego.

Po kilku minutach Mirosława D. odzyskała świadomość. Brocząc krwią, zdołała dowlec się do sąsiedniej posesji. Zaczęła dobijać się do drzwi.

„W tym czasie oglądałem film w telewizji – zeznał sąsiad państwa D., Mieczysław S. – Nie pamiętam dokładnie, która była godzina. Przypominam sobie jedynie moment, gdy na ekranie telewizora ukazały się dwie dziewczynki. Właśnie wtedy usłyszałem, że ktoś szarpie za klamkę przy drzwiach wejściowych do mieszkania. Żona pozostała w pokoju, ja zaś poszedłem sprawdzić, kto dobija się do drzwi. Otworzyłem je i zapaliłem światło. Zauważyłem, że stoi córka państwa D., Mirosława. Gdy mnie spostrzegła poprosiła, abym ją wpuścił, ponieważ chce się umyć. «Panie S., niech mnie pan wpuści, muszę się umyć. Nie chcę, żeby w takim stanie zobaczyła mnie matka».

(...). Gdy wróciłem do łazienki zauważyłem, że Mirosława D. poprawia sobie spodnie. Dotychczas nie zwracałem uwagi na stan jej garderoby, teraz jednak zauważyłem, że ma rozpięty zamek błyskawiczny na lewym boku. Zaciągnęła go. Wsunęła także rękę pod spodnie i, jak mi się wydaje, podciągnęła majtki”.

Mirosławie D. udało się wrócić do normalnego życia. Założyła rodzinę, wyprowadziła się i znalazła pracę. Na zawsze jednak pozostał dręczący ją koszmar.

W milicyjnej ekipie usiłującej wytropić sprawcę, zupełnym przypadkiem znalazł się porucznik Stefan Chrzanowski. Kilka lat później oficer ten, już jako kapitan, poprowadzi do sukcesu powołaną na szczeblu Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych grupę „Skorpion". Ale na razie, zebrany przez ekipę śledczą materiał znów okazał się zbyt skąpy, by ustalić sprawcę. Podejrzewano wprawdzie, że obu napadów mógł dokonać ten sam człowiek, lecz jednocześnie okoliczności zdarzenia były podobne do wielu innych, mających miejsce w wielkiej portowo-przemysłowej aglomeracji. Póki co, nic nie wskazywało, że łączy je osoba niebezpiecznego zwyrodnialca.

Odtworzono prawdopodobną trasę poruszania się przestępcy. Funkcjonariusze odwiedzili setki domów i mieszkań, starając się odnaleźć kogoś, kto akurat w tym czasie wyglądał być może przez okno czy wyprowadzał psa. Ktoś taki mógł zapamiętać kręcącego się w okolicy obcego, szczególnie w osiedlu jednorodzinnych domków, gdzie ludzie mieszkali zwykle od lat i doskonale się znali.

Opracowywano i sprawdzano rozmaite wersje śledcze. Jedna z nich, skonstruowana w oparciu o portret pamięciowy sporządzony na podstawie okruchów obserwacji wielu różnych ludzi, okazała się wielce obiecująca. Wytypowaną osobą, odpowiadającą obrazowi potencjalnego sprawcy, okazał się mieszkający na Orunii niezrównoważony psychicznie mężczyzna, znany z włóczenia się po okolicy, szczególnie w godzinach wieczornych. W dniu dokonania napadu na Mirosławę D. przebywał „na ucieczce" ze szpitala psychiatrycznego. Co więcej, w trakcie przesłuchania znaleziono u niego młotek ze śladami włosów.

Tej wersji prowadzący śledztwo poświęcili dużo czasu i energii, ostatecznie jednak zaprowadziła ich na manowce. Upadła ostatecznie, gdy ekspertyza wskazała jednoznacznie, że włosy nie pochodzą z czapki z lisa, jaką tamtego wieczoru miała na

głowie Mirosława D., lecz są włosami z sierści kota. Pytanie, skąd się tam wzięły, pozostanie już na zawsze słodką tajemnicą schizofrenika z Oruni.

*

Późnym wieczorem 10 lutego 1976 roku pogoda znowu była fatalna. To, co się działo, było gorsze niż zamieć. Był to prawdziwy wybuch bieli, któremu towarzyszył silny wiatr i śnieg tak gęsty, że nic nie było widać na odległość większą niż kilkadziesiąt centymetrów. Schodami przy ulicy Kartuskiej wchodziła młoda kobieta, pracownik naukowy Uniwersytetu Gdańskiego. Na odgłos kroków za sobą, wiedziona podświadomą obawą odwróciła się i trzymaną w ręku latarką zaświeciła prosto w twarz podążającego za nią mężczyzny. Właśnie wznosił młotek do uderzenia... Przeraźliwy krzyk kobiety doprowadził do ucieczki napastnika.

– I czego się pani boi? – mruknął tylko na odchodnym.

Przekazana natychmiast milicji informacja o zdarzeniu, którego szczegóły – mimo przerażenia – napadnięta dobrze zapamiętała, okażą się niezwykle przydatne w ujęciu i udowodnieniu winy sprawcy, ale dopiero za kilka lat...

Tymczasem już dwa dni później, około godziny 22.00, prawie że w tym samym miejscu doszło do ponownego ataku. Dziewiętnastoletnia Jadwiga P. dojechała tramwajem do przystanku przy ulicy Kartuskiej. Wracała z kolegą z potańcówki w „Rudym Kocie". Pożegnała się ze znajomym i ścieżką odchodzącą w bok od schodów skierowała się w stronę Kolonii Zręby. Ścieżka ta w pewnym miejscu biegła zaciemnioną kotlinką, wykorzystywaną w lecie przez dzieciaki jako boisko do gry w piłkę nożną. Tam właśnie czekał zwyrodnialec...

Po kilku silnych ciosach w tył głowy, dziewczyna osunęła się na ziemię. Napastnik przeciągnął jej ciało do pustej szopy, po czym wrócił na ścieżkę po torebkę ofiary. Kobieta odzyskała w tym czasie świadomość. Zauważyła zbliżającego się do niej wysokiego i szczupłego mężczyznę – tyle tylko była w stanie powiedzieć potem funkcjonariuszom milicji. Próbowała wstać,

lecz w tym momencie otrzymała kilka następnych uderzeń w głowę.

Ciężko poranioną Jadwigę P. znalazł kilka minut później przypadkowy przechodzień. Zaciekawiły go wiodące od ścieżki ślady krwi. Idąc po nich doszedł do szopy, gdzie trafił na leżącą we krwi dziewczynę. To, że przeżyła, lekarze określili wręcz jako cud. W szpitalu nie dawano jej najmniejszych szans. Otrzymała w sumie jedenaście silnych uderzeń, które spowodowały wieloodłamowe złamanie kości czaszki. Uszkodzeniu uległy opony mózgowe i sam mózg. Na miejscu napadu odnaleziono w skrzepach krwi płat czaszki wielkości połowy dłoni. Młody organizm okazał się jednak silniejszy niż śmierć. Choć to nieprawdopodobne, Jadwiga P. wróciła do normalnego życia, wyszła za mąż, urodziła córkę i wyjechała za granicę. Wrócimy do niej jeszcze w dalszej części tej opowieści.

Prowadzący śledztwo milicjanci zaczęli już łączyć ze sobą opisane wyżej napady na kobiety, dokonywane przez szczupłego mężczyznę z młotkiem w dłoni. Spodziewali się następnych, lecz tu spotkała ich niespodzianka. Na kilka lat słuch o zwyrodnialcu zaginął. Później wyjaśniło się, że w latach 1976-1979 przebywał w zakładzie karnym, skazany za kradzież.

Minęły ponad trzy lata. Dopiero 9 listopada 1979 roku, w okolicznościach podobnych do poprzednich, doszło do napadu na Irenę H., pielęgniarkę zatrudnioną w Akademii Medycznej w Gdańsku. Tym razem jednak napad miał miejsce poza miastem, w miejscowości Leźno. Jak się potem okazało, sprawca nie mieszkał już w tym czasie w Gdańsku, przenosząc się po rozwodzie z pierwszą żoną w rodzinne, kaszubskie strony.

Wieczorem około godziny 20.00 Irena H. wracała wraz z koleżanką z dyżuru. Bandyta spostrzegł obie kobiety wysiadające z autobusu na przystanku. Ruszył za nimi, trzymając się w odległości około dwustu metrów. Kiedy Irena H. pożegnała koleżankę, zatrzymał ją mówiąc: „Choć, będziemy się pieścić". Niemalże jednocześnie zadał pierwsze uderzenie młotkiem w głowę. Potem nastąpiły kolejne ciosy, które niemal zmiażdżyły głowę kobiety. Martwą już, zawlókł do pobliskiego rowu, nożem

rozciął ubranie...

„W pewnym momencie Irena usłyszała dobiegający ze skraju lasu odgłos łamanych gałęzi, jakby ktoś tamtędy przechodził – zeznała jej koleżanka. – Spytała mnie, czy nie zwróciłam uwagi na te hałasy. Ja niczego wówczas nie usłyszałam. Jednakże po przejściu dalszych kilkudziesięciu metrów hałasy te powtórzyły się. Irena się przestraszyła. Tym razem usłyszałam trzaski, ale powiedziałam, że to pewnie sarny chodzą po lesie. Kiedy już byłam obok domu, zauważyłam mężczyznę jadącego na rozklekotanym i skrzypiącym rowerze. Pożegnałam się z Ireną i weszłam do mieszkania. Rozbierałam się, gdy nagle rozszczekał się pies. To musiało stać się właśnie wtedy..."

Morderca zabrał ofierze torebkę i odszedł. Idąc przez pola natrafił na rzeczkę, której nie udało mu się sforsować, była dużo szersza niż wyglądało to na pierwszy rzut oka. Próbując ją przeskoczyć, zgubił swój półtorakilogramowy młotek z wyrytym na trzonku napisem ZNTK (Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego), którego metalowa część owinięta była elastycznym bandażem – jak sam potem przyznał: „by nie ziębił w brzuch, kiedy nosiłem go za paskiem spodni". Następnego dnia narzędzie odnalazła przeszukująca teren milicja. Ekspertyza ujawniła na bandażu obecność plam krwi o grupie odpowiadającej krwi zamordowanej.

Przy ciele kobiety znaleziono również dwa nienależące do niej włosy oraz ślady obuwia, które prawdopodobnie zostawił sprawca. Udało się jednak określić tylko rozmiar butów, charakterystyczne cechy protektora podeszwy były bardzo niewyraźne, ślady rozmył i zatarł padający wieczorem deszcz. Identyfikacja włosów również napotkała na poważne trudności, pozbawione bowiem były najważniejszego fragmentu – cebulek.

Wydawało się, że młotek z napisem ZNTK zaprowadzi prostą drogą do mordercy. W Zakładach Naprawczych zainstalowała się na stałe trzyosobowa grupa pracowników dochodzeniowych milicji próbująca ustalić, w jakich okolicznościach młotek mógł zostać wyniesiony z zakładu, a przede wszystkim przez kogo. Od działu kadr zażądali wykazu wszystkich mężczyzn pracujących w

zakładzie. Było ich ponad dwa tysiące. Sprawdzili wszystkie osoby, które na przestrzeni określonego czasu pobierały tego typu narzędzia. Z czynności nie wyłączono także mężczyzn, którzy w ostatnim okresie zwolnili się lub zostali zwolnieni z ZNTK. Na próżno. Byli blisko, bardzo blisko, lecz morderca miał niebywałe szczęście. Jak się później okazało, był wtedy świeżo zatrudnionym pracownikiem i w wyniku zwykłego niedbalstwa dział kadr nie zdążył go jeszcze wciągnąć na listę.

*

1 lutego 1980 roku około godziny 23.00 trzydziestoletnia Anastazja E. – pracownica gdyńskiej Centrali Rybnej – wracała do domu w leżącym pod Gdańskiem Zakoniczynie. Tego dnia odebrała trzynastą pensję, więc postanowiła zostać dłużej w Gdańsku i zabawić się z przyjaciółmi. Z mężem miała ostatnimi czasy nie najlepsze stosunki, toteż wcale jej się nie spieszyło. Jerzy E., pracujący jako palacz centralnego ogrzewania był nałogowym alkoholikiem. Wiedział o „zabawowym charakterze" i erotycznych przygodach żony, wielokrotnie zresztą dochodziło między nimi na tym tle do kłótni i bijatyk.

Był paskudny wieczór, pełen zimnych i lepkich mgieł. Późna jesień odarła krajobraz z kolorów i wdzięku. Wiatr przyniósł ze sobą deszcz i wszystko wskazywało na to, że wkrótce sypnie śniegiem.

Tego wieczoru morderca wcale nie planował ataku. Jechał po prostu w tym samym autobusie, którym podróżowała ofiara. Kiedy dojechali do końcowego przystanku na pętli, kobieta wysiadła i skręciła w polną drogę. Postanowił skorzystać z okazji. Odczuwał silne podniecenie, już wcześniej zdążył rozpiąć spodnie. Dogonił ją po kilkuset metrach. Uderzył młotkiem w głowę, i jeszcze raz, i jeszcze, w sumie około dziesięciu razy. Śmierć nastąpiła w wyniku porażenia ważnych ośrodków mózgu. Stwierdzono wklinowanie migdałków móżdżku do otworu potylicznego.

Następnego dnia leżącą na polu Anastazję E. odnalazł jej małżonek. Leżała około trzydziestu metrów od drogi, częściowo

obnażona, z rozchylonymi nogami, poranionymi od ciągnięcia po grudach zmarzniętej ziemi. Wokół rozrzucone były jej rzeczy, między innymi siatka z zakupami i nowa spódnica.

Napad miał wyraźnie seksualny charakter. Na miejscu zdarzenia milicja nie zdołała jednakże zabezpieczyć żadnych śladów. W nocy, przez parę godzin trwała śnieżna zadymka, rano wszystko zawiane było białym puchem.

Już następnego dnia, do zabójstwa przyznał się Jerzy E. Kiedy na potwierdzenie tego wskazał ukryty w mieszkaniu młotek wydawało się, że tym razem sprawca został wykryty. Ale zdaniem rzeczoznawców młotek był za mały i nijak nie pasował do rozmiarów ran, jakie zadano Anastazji E. Wkrótce prokurator rejonowy w Gdańsku umorzył śledztwo. Na jego też wniosek Sąd Wojewódzki zdecydował o umieszczeniu Jerzego E. w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

Do kolejnej zbrodni doszło 29 kwietnia 1980 roku. Ciało trzydziestopięcioletniej Alicji M., kierowniczki klubu RSW „Prasa-Książka-Ruch", zostało odnalezione po dwóch dniach od zdarzenia, przy mało uczęszczanej polnej drodze w Skowarczu, niedaleko dworca PKP. Leżała na wznak, z rozłożonymi nogami, zalana krwią. Od pasa w dół była obnażona, na twarzy zastygł wyraz bólu i skrajnego przerażenia. Śmierć nastąpiła wskutek co najmniej czterech do pięciu ciosów, zadanych z dużą siłą ciężkim narzędziem w tył głowy. Alicja M. była zamężna, miała jedno dziecko.

Jak się później okazało, tym razem morderca nie miał ze sobą młotka. W prowizorycznym składziku narzędzi kolejarskich, leżących pod niewielką wiatą na peronie, znalazł zardzewiały metalowy pręt, którym się posłużył. Ciało ofiary odciągnął na bok, około stu metrów od ścieżki i ułożył obok płotu okalającego niewielki, zarośnięty zdziczałą roślinnością sad. Ściągnął zabitej rajstopy i majtki. Zsunął też z palca obrączkę.

Na miejscu zbrodni ekipa śledcza ujawniła jedynie niewyraźny odcisk buta, przypuszczalnie należącego do sprawcy, rozmyty jednak dokładnie przez dwudniowy deszcz i nienadający się do identyfikacji. Po kilku dniach śledztwa, do zbrodni przyznał się

pewien mężczyzna, ale w trakcie wizji lokalnej rozpłakał się i odwołał zeznania. Okazało się, że tamtego dnia był do tego stopnia zamroczony alkoholem, że sam nie wiedział nawet, co robi.

17 września 1980 roku około godziny 19.00 dwudziestodwuletnia Cecylia G. zajęła miejsce w autobusie PKS linii Starogard – Czarna Woda. Młoda, ładna dziewczyna z głową zaprzątniętą zbliżającym się ślubem. Pracowała w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Radziejowie. W ręku trzymała wypchaną zakupami siatkę i torebkę z dziesięcioma tysiącami złotych, które podjęła z książeczki PKO.

Wysiadła na przystanku Lubiki, skąd ścieżką przez las miała już niedaleko do domu. Nigdy do niego nie dotarła. Był ciepły, jesienny dzień, wolno zapadał zmrok. Minął ją jadący w przeciwną stronę autobus do Starogardu. W nim jechał morderca. Widząc młodą dziewczynę, również wysiadł. Po chwili dopadł ją i uderzył młotkiem w głowę. Musiał zadać jeszcze kilka ciosów, zanim upadła. Walcząc o życie, kopała nogami, w piachu drogi pozostały wyraźne ślady. Morderca zostawił konającą na skraju lasu. Zanim odszedł, z torebki wyjął ciastka „Katarzynki" i kilka z nich zjadł nad ciałem.

Tego dnia Cecylia G. robiła ostatnie przymiarki do sukni ślubnej. W niej została pochowana.

19 listopada w okolicach Malborka została uśmiercona dwudziestodwuletnia Grażyna S. Mieszkała w Malborku i pracowała w Państwowym Domu Dziecka. Jej zwłoki odnalazł dwa dni później przejeżdżający tamtędy traktorem rolnik. Bezpośrednią przyczyną zgonu było zachłyśnięcie się krwią. Sekcja zwłok wykazała obecność siedmiu ran tłuczonych w obrębie czaszki. Uderzenia spowodowały złamania kości podstawy czaszki oraz stłuczenia tkanki mózgowej.

12 grudnia około piątej rano, nieopodal pętli tramwajowej przy ulicy Kartuskiej w Gdańsku zamordowana została trzydziestoletnia Wanda. K, pracownica sklepu spożywczego. Mężatka, posiadająca jedno dziecko w wieku ośmiu lat.

Następna ofiara, pięćdziesięcioczteroletnia Genowefa B.,

napadnięta 26 czerwca 1981 roku, mimo rozległych obrażeń – przeżyła. Sprawca kilkanaście razy z wielką siłą uderzył ją ciężkim przedmiotem w głowę. Mimo iż każdy pojedynczy cios musiałby pozbawić kobietę przytomności, bił jeszcze i jeszcze w jakimś krwawym amoku. 14 listopada na polnej ścieżce w Kokoszkach doszło do napadu na Halinę P. Nieprzytomną, będącą w agonii dziewczynę znalazły przerażone dzieci. Przez cztery dni lekarze walczyli o jej życie. Dziewiętnaste urodziny minęły jej na oddziale reanimacji Szpitala Wojewódzkiego w Gdańsku. Zmarła 18 listopada.

Trzymiesięczne śledztwo także i tym razem zakończyło się niepowodzeniem. Nieuchwytny morderca tryumfował raz jeszcze.

*

26 listopada 1981 roku około godziny 4.50 rano trzydziestopięcioletnia sprzątaczka, Krystyna W. wyszła z domu do pracy, kierując się w stronę przystanku PKS w miejscowości Pasienice. Idąc lewym skrajem szosy, zauważyła w pewnej chwili światła reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Usłyszała warkot silnika tuż za sobą i sekundę później auto zmiotło ją do rowu. Zatrzymał się żuk z plandeką, z kabiny wyszedł mężczyzna.

– Jak pan jechał! – krzyknęła oburzona kobieta, lecz kierowca, zamiast udzielić jej pomocy, wyjął zza pasa młotek i uderzył ją w głowę. Gdy odzyskała przytomność, dookoła tłoczyli się ludzie, na poboczu stał jakiś autobus. Zaraz potem zabrano ją do szpitala.

W podobny sposób sprawca zaatakował jeszcze 2 grudnia dwudziestosiedmioletnią Bogumiłę P., która po potrąceniu samochodem, po jakimś czasie odzyskała przytomność i o własnych siłach wróciła do domu. O fakcie nie powiadomiła milicji.

W listopadzie 1981 roku, po zabójstwie Haliny P. Komenda Wojewódzka MO w Gdańsku wystąpiła w końcu do Komendy Głównej z wnioskiem o sporządzenie analizy ośmiu przypadków

zabójstw, bądź ich usiłowań, jakich dopuszczono się w ostatnim czasie w województwie gdańskim. Do Warszawy przesłano wszelkie materiały i dokumenty prowadzonych śledztw. Istniała już niemal pewność, że sprawcą zbrodni jest jeden i ten sam człowiek.

Dotychczas poszczególne postępowania prowadziły odrębne zespoły, zależnie od właściwości miejscowych jednostek dochodzeniowo-śledczych. Chociaż wymieniano informacje, za każdym razem dokonywano porównań, to dopiero po nałożeniu na siebie obszerniejszej materii dowodowej można było wysnuć hipotezę, że wszystkie te napady są dziełem tego samego sprawcy.

Analiza, która nadeszła z KG MO w czerwcu 1982 roku, obejmowała szereg elementów, składających się na pełny obraz dokonanych zbrodni: czas, miejsce i sposób działania sprawcy, charakter zadawanych przez niego obrażeń, związek miejsc napadów z liniami komunikacyjnymi, zabór osobistych przedmiotów... Jej wynik był pozytywny – sprawcą jest jeden mężczyzna.

Powtarzające się ataki następowały zawsze w miejscach ustronnych, lecz w pobliżu ciągów komunikacyjnych, w ciemnościach, z reguły w fatalnych warunkach atmosferycznych. Obrażenia zadawane były szybkimi i silnymi ciosami tępokrawędzistym narzędziem (zwykle młotkiem). Ciała ofiar przemieszane były z miejsca ataku w teren bardziej osłonięty. Powtarzał się też – choć początkowo bardzo ogólny – opis sprawcy, podany przez pozostałe przy życiu ofiary, bądź inne osoby, które widziały go w pobliżu miejsc dokonywanych przestępstw.

Główną przesłanką był jednak seksualny i rabunkowy charakter działania sprawcy. Nigdy nie gwałcił swych ofiar, nie wykorzystywał stanu ich bezwładności i nieprzytomności, czy też śmierci, do odbycia typowego stosunku płciowego. Z reguły układał je na plecach, zdzierał ubranie z dolnych części ciała, aż do odsłonięcia bioder i pochwy – i po obnażeniu się, poprzez dotykanie członkiem i dłońmi ciała ofiary, przy równoczesnym

samogwałcie, osiągał pożądane zaspokojenie seksualne.

Tymczasem morderca przyczaił się i przez dłuższy czas nie dawał o sobie znać. Wydawało się wręcz, że poniechał zbrodni. Od listopada 1981 roku zaległa cisza. Na prawie rok. Opisanych wyżej „wypadków" samochodowych nikt nie łączył wtedy jeszcze – oczywiście – z działalnością nieuchwytnego mordercy kobiet.

Z pewnością przyczyną takiego stanu rzeczy był wprowadzony 13 grudnia 1981 roku stan wojenny i obowiązująca godzina policyjna.

*

4 listopada 1982 roku około godziny 22.30, do Komendy MO w Starogardzie Gdańskim zgłosił się niejaki Marian B. z miejscowości Sucumin. Poinformował dyżurnego, że późnym popołudniem tego dnia została napadnięta jego żona, czterdziestopięcioletnia Felicja B. Dobiegające z podwórka niepokojące odgłosy usłyszała ich córka. Wybiegł razem z nią przed dom i zobaczył Felicję z zalaną krwią twarzą. Zataczając się szła przez podwórko. Powiedziała, że przed chwilą ktoś ją pobił.

Pogotowie przewiozło ranną do szpitala w Starogardzie z podejrzeniem wstrząsu mózgu. Jak ustalono później, otrzymała co najmniej pięć ciosów młotkiem w głowę. Sprawca napadł ją, kiedy wracała do domu z przystanku PKS. Nie zdążył się rozebrać ani zaspokoić swego zboczonego popędu, kiedy usłyszał zbliżające się kroki. Uciekł, nie zdążywszy również przeszukać torby swej ofiary, zabrał jedynie obrączkę, która zsunęła się jej z palca.

Przez pewien czas obrączka służyła mu jako swojego rodzaju fetysz. Później przyszedł mu do głowy szatański iście pomysł. Zawierając związek małżeński, wsunął pannie młodej na palec obrączkę zrabowaną wcześniej Alicji M., zamordowanej 29 kwietnia 1980 roku. Dla siebie wytoczył wówczas na tokarce obrączkę z mosiądzu. Teraz z obrączki Felicji B. i obrączki Alicji M. wykonał dwa złote krążki – dla siebie i dla żony.

Kolejny atak zwyrodnialca miał miejsce 8 grudnia 1982 roku około godziny 21.00 na gdańskim Skarszewie, w okolicach skrzyżowania ulicy Kamierowskiej z ulicą Kościuszki. W brutalny sposób zamordował wtedy dwudziestoczteroletnią Bożenę S., wracającą z drugiej zmiany w zakładach meblowych. Kobieta kilkakrotnie odzyskiwała świadomość, zaś sprawca z zimną krwią dobijał ją młotkiem.

Oględziny lekarskie zwłok wykazały, iż Bożena S. doznała dziesięciu ciężkich urazów czaszki i mózgu, w wyniku których nastąpił zgon. Dodatkowymi przyczynami były: znaczna utrata krwi z rozległych ran głowy i niska temperatura otoczenia. Ekspertyza ujawniła wyraźne ślady spermy na odzieży zamordowanej. Na podstawie badania plemników ustalono grupę krwi mordercy – A Rh +. Nie było żadnych odcisków palców. Już po raz drugi morderca wyrwał kawałek majtek ofiary – po raz pierwszy uczynił to w przypadku Ireny H., zabitej 9 listopada 1979 roku.

Milicja usilnie zaprzeczała „plotkom", jakoby na Wybrzeżu grasował seryjny zabójca. Ludzie jednak wiedzieli swoje. Wybuchła panika. Po kobiety, które późno kończyły pracę, wychodzili ich mężowie, synowie i bracia. Chodząc po mieście, młode dziewczyny poruszały się tylko w grupach, najczęściej w towarzystwie kolegów.

6 stycznia 1983 roku w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku powstała wreszcie powołana rozkazem generała Jerzego Andrzejewskiego specjalna grupa o kryptonimie „Skorpion". Jej szefem został kapitan Stefan Chrzanowski, jego zastępcą – kapitan Stanisław Ćwiek, były kierownik Komisariatu MO w Nowym Porcie. Jedenastu doświadczonych funkcjonariuszy z pionu kryminalnego – w tym jedna kobieta – miało tylko jedno zadanie: znaleźć i złapać sprawcę brutalnych morderstw. Pracowali na mocy specjalnych kompetencji i uprawnień, całkowicie wyłączeni z innych obowiązków. Do pomocy przydzielono im setki innych milicjantów, dzielnicowych oraz jednostki ZOMO.

Od samego początku działali pod olbrzymim ciśnieniem, ze

świadomością, że strach paraliżuje całe Wybrzeże Gdańskie. Przerażeni charakterem i rozmiarami tragedii, ludzie domagali się przerwania pasma zbrodni. Funkcjonariusze studiowali więc akta spraw, penetrowali środowiska przestępcze, przeglądali kartoteki, prowadzili nieustające przesłuchania – w sumie „przepuścili przez magiel" aż siedem tysięcy osób! Wypalali olbrzymie ilości papierosów i wypijali hektolitry kawy. Właściwie mieszkali przez cały czas w komendzie, do domu jeżdżąc z rzadka tylko po to, żeby się wykąpać, czy złapać trochę snu.

W pociągach i autobusach jeździli ubrani po cywilnemu milicjanci, wypatrując potencjalnego mordercy. Podsuwano mu na wabia udające zwykłe kobiety funkcjonariuszki. Wszystko na próżno. Skorpion czaił się gdzieś ciągle w mroku. Wszyscy czekali z obawą na jego kolejne uderzenie. Bo to, że znów zaatakuje, było więcej niż pewne...

„Wiedzieliśmy, że trzeba się spieszyć, by powstrzymać Skorpiona przed następną zbrodnią – wspominał kapitan Stanisław Ćwiek. – Mieliśmy portret psychologiczny sprawcy, rysopis podany przez ofiary, numer buta. Skompletowaliśmy listę mężczyzn z prawem jazdy z Kociewia i Kaszub. Szukaliśmy osób mających problem z prawem, tych, którzy chodzili za dziewczynami. (...) Mimo że nazwisko Skorpiona pojawiło się na liście podejrzanych, mężczyzna wtedy jeszcze nie został powiązany z ciągiem morderczych procederów.

Skromny, uczciwy i pracowity..."

W desperacji milicja sięgnęła nawet po pomoc jednej z ofiar. Na taki krok zdecydowała się Jadwiga P., w tym momencie już dwudziestosześcioletnia, ta sama, której udało się przeżyć atak szaleńca dokonany 12 lutego 1976 roku. Ze względu na filigranową sylwetkę funkcjonariusze grupy „Skorpion" nazywali ją pieszczotliwie „Mała".

– Mała to może być na przykład walizka – kwitowała to z właściwym sobie humorem. – Ja jestem po prostu niska.

„Mała była naprawdę dzielna – wspominał szef grupy – kapitan Chrzanowski. – Z duszą na ramieniu, ale w pełni przekonana do

takiego działania, wsiadała do tramwaju bądź autobusu i dyskretnie rozglądała się. Przed nią jakiś mężczyzna czytał gazetę podczas jazdy, nieco za nią dwóch innych spokojnie rozmawiało, pozornie nie zwracając uwagi na otoczenie i współpasażerów. W ten sposób przejechała wiele dziesiątków kilometrów trasami komunikacji miejskiej, ubezpieczana przez funkcjonariuszy w cywilu, mając nadzieję, że rozpozna sprawcę napadu na nią. Wytypowano bowiem rejony i trasy, po których mógł poruszać się i liczono, że może drogi ekipy milicyjnej i napastnika w którymś momencie skrzyżują się. Mała zaś mówiła: pamiętam dokładnie jego twarz, poznam go nawet za siedemdziesiąt lat!.

Bała się, lecz nie ustawała w wysiłkach. Dyskretnie ubezpieczana odwiedzała dyskoteki, kluby młodzieżowe i lokale gastronomiczne. Jedna z wersji śledczych zakładała bowiem, że sprawca upatrzy ją sobie w którymś z tego typu miejsc i pójdzie za nią. Mogło się to wydarzyć wszędzie: w ciemnym zaułku, wśród lasu, porastającego gęsto wzgórza morenowe albo niemal w centrum osiedla".

*

Tak w atmosferze psychozy strachu nastał mroźny dzień 18 stycznia 1983 roku. O godzinie 17.35 pociąg do Zblewa zatrzymał się na stacji w Rytlu. Nieliczni wysiadający szybko postawili kołnierze swych palt, wtulili twarze w szaliki, chroniąc się przed szalejącą zadymką. Wszyscy skierowali się w stronę zabudowań pobliskiej wsi. Jedynie młoda kobieta poszła w przeciwnym kierunku. Miała dziewiętnaście lat i nazywała się Ewa G. Brnąc w zaspach, znikała w mroku wzmocnionym cieniem ośnieżonego lasu. Morderca zerknął do tyłu, na czerwone światła znikającego w zamieci pociągu. Potem wcisnął ręce w kieszenie kurtki i poszedł za dziewczyną. Dopędził ją po trzystu metrach. Wyciągnął młotek i zadał pierwszy cios. Potem następne. Nie straciła do końca świadomości. Oszołomiona, na wiotkich nogach, podtrzymywana przez napastnika sama poszła w kierunku pobliskiego lasu. W pewnym momencie szarpnęła

się, zaczęła odpychać mężczyznę. Kolejne uderzenia młotkiem spadły jej na głowę.

Napastnik zawlókł ją w gęstwinę. Ułożył na śniegu i wrócił po siatkę oraz torebkę. Ukląkł przy nieprzytomnej, zdzierając z niej dolną część odzieży. Sam również zdjął spodnie... Trwało to dziesięć, może piętnaście minut. Ewa G. odzyskała w tym czasie na chwilę świadomość. Zobaczyła mężczyznę, który znikał w lesie. (Do pociągu wsiadł kilka kilometrów dalej, w Gutowcu).

Następnego dnia rano pewien mieszkaniec Rytla spieszył się na pociąg odchodzący z tej miejscowości o godzinie 7.40. Idąc, zauważył jakąś postać leżącą na śniegu. Podszedł bliżej. To była dziewczyna, nie tyle leżąca, co raczej tkwiąca w pozycji kucznej, oparta o pień drzewa. Od pasa w dół była kompletnie naga, miała rozbitą i pokrwawioną głowę. Żyła. Mężczyzna pobiegł sprowadzić pomoc. Wkrótce na miejsce zdarzenia przybyła karetka pogotowia i ekipa milicyjna.

W szpitalu okazało się, iż Ewa G. ma odmrożenia pierwszego stopnia podudzi i pośladków. Ponadto otrzymała kilka bardzo mocnych uderzeń młotkiem w głowę, na skutek czego doznała otwartego złamania kości potylicznej i ciemieniowej. Chociaż brzmi to niewiarygodnie, mimo tak poważnych obrażeń i kilkunastogodzinnego przebywania na mrozie bez ubrania udało jej się przeżyć. Dzięki jej późniejszym zeznaniom powstał pierwszy dość dokładny portret pamięciowy sprawcy: smutne spojrzenie, pociągła, koścista twarz, smukła sylwetka.

16 lutego zatrzymany został mężczyzna, który zaatakował kobietę na posesji, gdzie mieszkała. Podszedł do niej od tyłu, zacisnął na szyi antenę samochodową i zaczął dusić. Wyrwała się, przeraźliwie krzycząc. Napastnika schwytał mąż kobiety, przy pomocy kilku sąsiadów. Znaleziono przy nim klucz francuski.

Mężczyzną tym okazał się niezrównoważony psychicznie Bogdan K. Początkowo podejrzewano, że to on może być Skorpionem, ale w trakcie czynności sprawdzających ustalono, że na czas dokonywanych przez zwyrodnialca zabójstw i napadów ma żelazne alibi. Umieszczono go w zamkniętym

zakładzie leczniczym w Kocborowie.

Do wiosny 1983 roku Skorpion dokonał jeszcze trzech napadów, na szczęście wszystkim trzem ofiarom udało się przeżyć.

*

1 marca morderca ukradł samochód dostawczy marki „Żuk". Przejeżdżając nim przez wieś Zielona Góra w województwie pomorskim, zauważył ubierającą się w mieszkaniu kobietę, Wiesławę W. Zaczaił się na nią, a gdy wyszła z domu, potrącił ją pojazdem, spychając do rowu. Dla pewności uderzył jeszcze kilkakrotnie młotkiem w głowę, po czym wrzucił nieprzytomną do bagażnika i wywiózł w ustronne miejsce, by tam dokonać swego perwersyjnego rytuału. Na szczęście kobiecie udało się przeżyć i poinformować o napaści milicję. Funkcjonariusze zabezpieczyli w lesie ślady samochodu, którym poruszał się sprawca. Niebawem odnaleźli też porzuconą w lesie furgonetkę, w której bagażniku ujawniono... świńskie odchody. Szybko skojarzyli zdarzenie z niedawnym zgłoszeniem kradzieży „Żuka" wraz z czterema warchlakami, które zniknęły z jednego z okolicznych gospodarstw. Technicy porównali zabezpieczone odlewy bieżnika opon z obu miejsc i ustalili, że to ten sam pojazd. Teraz pozostało tylko dowiedzieć się, kto wzbogacił się o gromadkę świń... Złapanie nieuchwytnego dotąd seryjnego mordercy wydawało się bliższe niż kiedykolwiek wcześniej. Trwała gigantyczna operacja, która zaczynała przynosić pierwsze rezultaty.

Zanim jednak do tego doszło, życie straciła jeszcze jedna kobieta...

6 maja 1983 roku dziewiętnastoletnia Jolanta K. wracała po skończonej pracy „pekaesem" do domu. Przyjaciele i rodzina określali ją jako dziewczynę pełną życia, energii i radości. Kiedy wysiadła z autobusu, poszła w kierunku skrzyżowania, na którym stał drogowskaz z napisem „Narkowy 2 km". Minęła godzina 21.30, zapadał zmrok. Tego dnia morderca był w Tczewie, gdzie wsiadł w autobus podmiejski, nie wiedząc nawet

dokąd go zabierze.

Przez całą drogę obserwował pasażerów. W końcu wypatrzył samotnie wysiadającą dziewczynę. Wyskoczył tylnymi drzwiami na tym samym przystanku. Podszedł do niej i zapytał, czy ma ochotę się popieścić.

Nie zdawała sobie sprawy, że są to ostatnie słowa, jakie usłyszy w życiu. Przerażona rzuciła się do ucieczki. Napastnik dopadł ją po chwili i kilkakrotnie zdzielił młotkiem w głowę. Gdy upadła, zajął się przeszukiwaniem jej torebki. Kątem oka zauważył, że ofiara krztusząc się krwią, czołga się w głąb pastwiska.

– To ją dopadłem i jeszcze raz jej przywaliłem – zeznał później przed sądem. – Już nie wstała...

Sekcja zwłok wykazała, że zginęła od szesnastu potężnych uderzeń w głowę tępym narzędziem.

Tymczasem funkcjonariuszom grupy „Skorpion" udało się w końcu namierzyć podejrzane gospodarstwo, gdzie przebywały najprawdopodobniej skradzione świnie. Jego właścicielem okazał się trzydziestosiedmioletni mieszkaniec Gdańska, zajmujący się zawodowo wykonywaniem instalacji elektrycznych. Nazywał się Paweł Alojzy Tuchlin. Jak tylko milicjanci zobaczyli jego zdjęcie, na ich twarzach pojawiły się uśmiechy. Po raz pierwszy od kilku miesięcy. Pasował jak ulał do sporządzonego portretu pamięciowego sprawcy. Zgadzały się też inne szczegóły, przede wszystkim zasięg jego działalności pokrywał się z miejscami zabójstw. Jedna z ofiar zginęła nawet w odległości sześciuset metrów od miejsca zamieszkania Tuchlina.

Przeciwko Tuchlinowi toczyło się aktualnie postępowanie przygotowawcze, mężczyzna podejrzany był o kradzież parnika i nielegalną wycinkę drzew. Nie chcąc spłoszyć zbrodniarza, członek grupy „Skorpion" sierżant Mieczysław Kościuk, w towarzystwie dwóch innych milicjantów z posterunku w Starej Kiszewie, złożył mu wizytę pod pozorem wyjaśnienia paru szczegółów związanych z tą sprawą.

W rzeczywistości ich głównym celem było sprawdzenie wpisanej do dowodu osobistego grupy krwi. Zgadzała się z grupą należącą do mordercy – A Rh +. Koło podejrzeń przemieniło się

w pewność.

Był 31 maja 1983 roku. Na rękach poszukiwanego od dekady zwyrodnialca zacisnęły się kajdanki. Morderca westchnął w tym momencie ciężko i powiedział: No, nareszcie. Chociaż oficjalnie – jak mu oświadczono – został zatrzymany tylko z powodu kradzieży, czuł jednak chyba pismo nosem, ponieważ poprosił o możliwość pożegnania się z żoną, dłuższą chwilę kołysał w milczeniu dziecko. „W tej okolicy, tak wcześnie rano, samochód jadący drogą jest czymś dziwnym, tego się tu o tej porze nie widzi – wyjaśnił potem swoje zachowanie. – Ten samochód, chyba to był fiat, jechał w kierunku mojego domu. Wtedy poczułem, że to już koniec. Stałem za rogiem stodoły, mogłem uciec w pole, ale tego nie zrobiłem. Było mi już wszystko jedno, zrezygnowałem".

Kilkanaście minut później na miejscu pojawiła się ekipa z Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku. W trakcie przeszukiwania domu podejrzanego odnaleziono należące do ofiar przedmioty, między innymi trzy obrączki, zegarek, kilka portmonetek i portfeli, a także części kobiecej garderoby ze śladami krwi. W bagażniku należącego do Tuchlina samochodu marki „Warszawa" leżał wyniesiony z ZNTK kolejny młotek. Na jego trzonku również ujawniono ślady krwi. Ślady butów, które nosił podejrzany, pasowały do śladów zostawionych na miejscu ataków.

Zatrzymany mężczyzna przyznał się do napaści na kobiety już podczas pierwszego przesłuchania. Początkowo zaprzeczał zabójstwom, twierdząc, że kiedy porzucał swoje ofiary, te jeszcze żyły. Pod naporem niezbitych dowodów szybko jednak zmienił zdanie, przyznając się również do morderstw, które zrekonstruował z najdrobniejszymi szczegółami. Jak twierdził, zabijał by „poczuć się lepiej". W żadnym momencie nie wykazał nawet odrobiny skruchy z powodu popełnionych czynów. „Pewnego dnia zapytałem go, co by zrobił, gdyby po wyjściu z więzienia mógł zacząć życie od nowa – wspominał rozmowę z nim kapitan Stanisław Ćwiek. – Odpowiedział: «Pewnie znów poszedłbym na polowanie»".

*

Paweł Alojzy Tuchlin urodził się 28 kwietnia 1946 roku we wsi Góra w obecnym województwie pomorskim. (W latach 1975-1998 miejscowość należała administracyjnie do województwa gdańskiego). Był ósmym z kolei z jedenaściorga dzieci Bernarda Tuchlina i Moniki z domu Woier.

Rodzice prowadzili w Górze sześciohektarowe gospodarstwo rolne, ojciec dodatkowo piastował we wsi funkcję sołtysa. Nie stronił od kieliszka, a po wypiciu lubił urządzać koszmarne awantury i bijać zarówno dzieci jak i żonę. Któregoś dnia nawet uderzył ją w głowę młotkiem...

Paweł traktowany był przez ojca z wielką surowością, podobnie zresztą jak i pozostałe rodzeństwo. W dzieciństwie zdarzało mu się nasiusiać do łóżka, na co ojciec miał „znakomite" lekarstwo – skórzany rzemień, którym regularnie garbował synowi skórę.

Na psychice późniejszego Skorpiona odcisnęła piętno również szkoła. Miał problemy z nauką, jąkał się i był nieśmiały, ale udało mu się skończyć podstawówkę bez powtarzania klasy. „Brat był odludkiem, samotnikiem, zawsze postępował według własnego zdania, z nikim nie utrzymywał bliższych kontaktów" – wspominała siostra Skorpiona, Irena K.

Potem uczył się w Technikum Rolniczym w Bolesławie. Tylko jeden rok, bowiem wywalono go za brak postępów. Właściwie nigdy nie miał przyjaciół, zaś koleżanki – wiedząc o problemie z moczeniem się – unikały go jak diabeł święconej wody, przezywając „śmierdzielem". Być może to właśnie doprowadziło go po latach do zbrodni popełnianych na kobietach?

Kiedy skończył trzynaście lat, zaczął mieć problemy z pohamowaniem popędu płciowego. Odczuwał silną potrzebę rozładowania napięć seksualnych, w związku z czym często się onanizował. Lubił podglądać z ukrycia kobiety i zakochane pary, oddające się swawoli w lesie nad rzeczką.

Szczególnym zainteresowaniem Pawła cieszyły się żeńskie narządy płciowe. Do momentu opuszczenia rodzinnej wsi, mimo

usilnych zabiegów, nigdy jednak nie udało mu się odbyć pełnego stosunku seksualnego.

Opuścił ją skończywszy lat osiemnaście, po prostu uciekając z domu. Zamieszkał w hotelu robotniczym w Gdańsku, zaczął pracować na budowie tunelu podziemnego przy dworcu głównym PKP. Skończył kurs prawa jazdy i zdobył zawód kierowcy. W 1966 roku rozpoczął odbywanie służby wojskowej. Po kilku miesiącach został zwolniony, z powodu uszkodzenia słuchu powstałego podczas ćwiczeń ze strzelania.

Próbował podjąć pracę w milicji, zdał nawet pomyślnie egzaminy wstępne, lecz nie został przyjęty, ponieważ w tym czasie toczyło się już przeciwko niemu postępowanie karne w związku z kradzieżą samochodu. Sąd Powiatowy w Gdańsku skazał go za to na karę dwóch lat pozbawienia wolności, którą odbywał w Zakładzie Karnym w Wejherowie. Po odbyciu 2/3 kary został zwolniony za dobre sprawowanie.

W styczniu 1968 roku podjął pracę kierowcy w Przedsiębiorstwie Transportu Łączności nr 4 w Gdańsku. Stracił ją po kilku miesiącach, razem z prawem jazdy, za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym.

W roku 1970 ponownie wylądował za kratkami za kradzieże. Po wyjściu na wolność rozpoczął swoje „wędrówki", mające na celu rozładowanie napięcia seksualnego. Chodził za samotnymi kobietami, podglądał je, zaczepiał, obnażał się. Bawił go ich przestrach na widok odsłoniętego prącia. Czasami bywał agresywny, proponował w wulgarny sposób odbycie stosunku, chwytał kobiety dłonią w okolice krocza.

Mieszkając w Gdańsku, w dużym skupisku ludzkim, zapewniającym dużo większą anonimowość, stał się bardziej śmiały, również wobec kobiet. W maju 1973 roku ożenił się z młodszą od siebie o siedem lat Danutą G., poznaną na weselu młodszego brata. Pozostawił ją po dwóch latach razem z dzieckiem – jak twierdził – z powodu jej zdrady. Wszystko wskazuje na to, że to jednak on sam dopuścił się niewierności, wiążąc się z Urszulą B.

Znajomość z Urszulą przerwało kolejne aresztowanie Pawła

Tuchlina w 1976 roku, tym razem za kradzież z zakładu pracy metalowej szafy i urządzeń elektrycznych. Rok wcześniej na Oruni zaatakował młotkiem Danutę Ch.

„Nie wiem dokładnie, kiedy przyszedł mi do głowy pomysł napadania na kobiety i ogłuszania ich młotkiem – wyjaśnił w trakcie śledztwa. – Pamiętałem jednak, że w ten sposób głuszy się świnie przed ubojem. Nie myślałem nigdy o jakichś bardziej bezpiecznych sposobach. Sądziłem, że nie zabijałem tych kobiet, bo zawsze słyszałem ich oddech, ruszały się, kiedy odchodziłem, były żywe. Po osiągnięciu wytrysku ubierałem się, przeglądałem torebkę kobiety i zabierałem pieniądze, biżuterię oraz jedzenie. Przedmioty te trzymałem w domu, bawiłem się nimi albo oddawałem żonie. Kiedy taka kobieta doszła do siebie i stwierdziła ich brak, to na pewno się martwiła. Ta myśl cieszyła mnie, ale nie wiem dlaczego".

„Wiele godzin przedtem drżałem z podniecenia – mówił również podczas przesłuchań. – Byłem dziwnie niespokojny. Nie mogłem się skupić na tym, co robiłem. Coś mnie ciągnęło, chodziło mi w środku, po piętach. Gdy się we mnie nazbierało, wyruszałem na wędrówkę po mieście, wyszukując kobiety".

Orzeczoną karę trzech lat pozbawienia wolności Skorpion odbywał w Zakładzie Karnym w Braniewie. Następnie podjął pracę w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Gdańsku. Po wyjściu na wolność, wiosną 1980 roku spiesząc się do pracy, biegł do tramwaju. Uprzejmy motorniczy zaczekał specjalnie na niego. Chcąc mu podziękować, Tuchlin dostrzegł, że uśmiecha się do niego nie żaden motorniczy, lecz sympatyczna tramwajarka. Nazywała się Regina S. i już jesienią została jego żoną. Wkrótce doczekali się synka.

Dwa lata później Tuchlin zwolnił się z ZNTK. Razem z żoną i dzieckiem wrócił do swojej rodzinnej miejscowości, gdzie objął po rodzicach gospodarstwo. Zarejestrował też prywatny warsztat o specjalności elektrycznej. Sąsiedzi postrzegali go jako pracowitego, spokojnego i zaradnego, troskliwie opiekującego się żoną i dzieckiem. Może trochę zbyt zamkniętego w sobie i cichego, ale żeby zabijał?... Że to niby ten „wampir"?... Trudno

uwierzyć. Nie znali jego mrocznej strony. Opinii nie psuły wcześniejsze kradzieże, za które lądował w więzieniu, bo i środowisko, z jakiego pochodził i w jakim przebywał, miało dość ambiwalentny stosunek do prawa własności. Podobnie zresztą jak ówczesne państwo polskie.

*

W trakcie całego śledztwa Skorpion był spokojny i opanowany. Próbował przekonać milicjantów, że walczył ze sobą i że czasami to pomagało. Przekonywał, że od napadów nie odstraszał go strach przed ujęciem, lecz poczucie, że trzeba z tym skończyć. „Za każdym razem, gdy kobieta nie padała, uderzałem jeszcze do skutku – tłumaczył się. – W tej chwili ręka sama mi chodziła, już nie dało się jej zatrzymać".

Składanie wyjaśnień zakończył 24 czerwca, wyrażając jednocześnie zgodę na przeprowadzenie wizji lokalnej z jego udziałem. W sumie przeprowadzono ich aż dziewiętnaście. Miały na celu dokładne odtworzenie przebiegu każdego zdarzenia. Poza odgrodzonym taśmą terenem ustawiały się grupy wściekłych ludzi, domagających się natychmiastowego wykonania wyroku na zbrodniarzu. Aby nie doszło do samosądu, Skorpiona chronił stale odział kilkudziesięciu funkcjonariuszy z wydziału prewencji.

Wydawało się, że w trakcie wizji lokalnych morderca znakomicie się bawi. Wyraźnie odpowiadało mu bycie w centrum zainteresowania. Przeżywał na nowo każdą zbrodnię i był tym bardzo podniecony, chociaż – jak zwierzył się prokuratorowi – „jedynie na pięćdziesiąt procent".

„Dziwię się, że tak wszystko spokojnie przeszło, że byłem tak dobrze traktowany przez milicjantów – twierdził. – Przeżywałem tam na miejscu wszystko jeszcze raz, ale to nie to samo, nie było tej atmosfery co wtedy".

Rolę ofiary zgodziła się odgrywać jedna z milicjantek. Młotek wykonano ze styropianu, żeby Skorpion nie mógł nim wyrządzić krzywdy, gdyby znowu „nie mógł się opanować". Któregoś razu jednak poskarżył mu się, że ta milicyjna pozorantka wcale go nie

podnieca i wolałby z inną.

– Zmieni pan pozorantkę, bo ona mnie nie bierze – zażądał. – O! Chcę tę blondynkę! – wskazał na obecną przy wizji atrakcyjną aplikantkę prokuratorską.

W trakcie pobytu na obserwacji psychiatrycznej na Oddziale Psychiatrii Sądowej Aresztu Śledczego w Szczecinie, Paweł Tuchlin poprosił o podanie mu adresów swoich ofiar, ponieważ chciałby do nich napisać i wyjaśnić, czy rzeczywiście nie żyją. W tym czasie dwukrotnie wykonał z chleba i włosów kopię żeńskich narządów płciowych, biorąc udział w ogłoszonym przez więźniów konkursie, w którym uznany został zwycięzcą za najlepszą wierność wykonywanych modeli z oryginałem. Jedną z kopii podarował lekarzowi. Powiedział też, że nigdy nie lubił patrzeć na zabijanie zwierząt, nie znosił widoku krwi i nigdy nie przychodziły mu do głowy myśli, aby komukolwiek zadawać ból lub cierpienia.

W wyniku trwającej sześć miesięcy obserwacji psychiatrycznej biegli stwierdzili u Pawła Alojzego Tuchlina „psychopatyczne cechy osobowości, wyrażające się w dążeniu do niekontrolowanego zaspakajania doraźnie odczuwanych potrzeb popędowych, z niedostatecznym wykorzystaniem hamulców ze strony uczuciowości wyższej, moralności oraz intelektu". Poza tym nie stwierdzono żadnych zaburzeń psychicznych, niedorozwoju umysłowego czy choroby, które wskazywałyby, że nie był zdolny do rozpoznawania znaczenia swoich czynów i kierowania swoim postępowaniem.

Seksuolodzy orzekli, iż zachowanie Tuchlina charakteryzuje się „lękowo-agresywną postawą wobec kobiet i trudnościami w nawiązywaniu kontaktów seksualnych w sposób społecznie akceptowany, co najprawdopodobniej doprowadziło do wystąpienia tej formy dewiacji seksualnej".

Opinia biegłych odegrała w późniejszym procesie Skorpiona bardzo ważną rolę. Mówiono nawet, że była to najbardziej obszerna opinia w dziejach powojennej Polski. Przed obliczem sądu pojawiło się aż dwudziestu sześciu specjalistów z różnych dziedzin: seksuologów, psychiatrów i psychologów. Nie bez

znaczenia był fakt, że Tuchlin, będąc jeszcze w areszcie, zwrócił się do władz więziennych o zgodę na zmianę płci. Powód? Już teraz czuje gwałtownie rosnący głód seksualny i obawia się, że może dokonywać podobnych czynów „kiedy to wszystko się już skończy" i wyjdzie na wolność. Wkrótce potem dokonał nieudanej próby samobójczej.

Proces Skorpiona rozpoczął się 5 maja 1985 roku przed Sądem Wojewódzkim w Gdańsku. Paweł Tuchlin ostatecznie usłyszał czterdzieści jeden zarzutów, z czego dziewięć dotyczyło zabójstw, jedenaście ich usiłowań, zaś pozostałe – kradzieży.

Aktu oskarżenia wysłuchał z kamienną twarzą, zachowywał się nawet tak, jakby był nieco zdziwiony, że to wszystko dotyczy jego osoby. Odmówił składania wyjaśnień, twierdząc, że nie zdążył zapoznać się z aktami sprawy. W całości odwołał swoje zeznania złożone w śledztwie. Twierdził, że zmusili go do nich przesłuchujący milicjanci, grożąc mu, że „wsadzą go za kradzieże i uniemożliwią jakikolwiek kontakt z żoną i synem". Dowodził, że ta właśnie groźba sprawiła, że przyznał się do wszystkiego.

Milicjanci mieli nawet zawrzeć z nim swoisty układ. Za przyznanie się do winy miał otrzymać nowy traktor. Przesłuchiwani obiecywali, że załatwią z biegłymi odpowiednią opinię psychiatryczną, która „zrobi z niego" osobę niepoczytalną. W efekcie miał posiedzieć w szpitalu psychiatrycznym „dwa trzy lata", po czym wyjść na wolność.

Utrzymywał też, że podczas wizji lokalnych zawsze „dodawał coś od siebie", aby ubarwić sprawę. Wraz ze wzrostem liczby zarzutów – jak go podobno przekonywano – rosła podobno jego sława jako mordercy „lepszego niż słynny Wampir z Zagłębia – Zdzisław Marchwicki. Oburzał się na niedotrzymanie przez funkcjonariuszy warunków umowy.

– Teraz, kiedy okazało się, czego dowodzi ta rozprawa, muszę odwołać swoje poprzednie wyjaśnienia, jako całkowicie nieprawdziwe – oświadczył.

Zegarek jednej z poszkodowanych miał rzekomo nabyć dla żony w Gdańsku od nieznajomej osoby, obrączkę znaleźć po imprezie weselnej brata, a warchlaki kupić na targowisku. Ciągle

też, mimo zastrzeżeń sądu, że nie wniosą one nic nowego do sprawy, składał coraz to nowe wnioski dowodowe. Jego intencje były dla każdego jasne i czytelne. Chciał przeciągać proces tak długo, jak tylko się da, aby tym samym przedłużyć swój nędzny żywot.

Wyrok zapadł 5 sierpnia 1985 roku. Sąd Wojewódzki w Gdańsku uznał Pawła Alojzego Tuchlina za winnego wszystkich zarzuconych mu aktem oskarżenia dziewięciu zabójstw oraz jedenastu usiłowań, za co skazał go na karę śmierci przez powieszenie. Sąd Najwyższy utrzymał wyrok w mocy. Rada Państwa nie skorzystała z przysługującego jej prawa łaski.

Egzekucję wykonano 25 maja 1987 roku w gdańskim areszcie śledczym przy ulicy Kurkowej 12.

SAM SPADŁ ZE SCHODÓW...

ZABÓJSTWO STANISŁAWA PYJASA

(1977)

Juwenalia to igrzyska studentów, odbywające się corocznie w maju. W wielu miastach akademickich w te dni ma miejsce symboliczne przekazanie studentom przez prezydentów kluczy do bram miasta. Zabawa trwa zwykle przez cały tydzień, w czasie którego odbywają się liczne koncerty i inne wydarzenia o charakterze kulturalnym oraz sportowym, organizowane głównie przez i dla studentów. Kulminacyjnym elementem jest pochód juwenaliowy. Autorem nazwy jest profesor Florian Nieuważny. Powstała jako alternatywa do proponowanej nazwy Saturnalia – rzymskiego święta z tradycją kilkudniowej uczty, w której uczestniczyli również niewolnicy. Nazwie Saturnalia brakowało jednak elementu młodości (no i jeszcze ci niewolnicy...), stąd propozycja profesora Nieuważnego, aby studenckie święto nazwać Juwenaliami, od łacińskiego słowa *iuvenis* (młodzieniec).

Pierwsze w Polsce Juwenalia odbyły się 12 maja 1964 roku w Krakowie, z okazji sześćsetlecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Liczący dwanaście tysięcy studentów pochód przeszedł z Wawelu na Rynek Główny, z wypisanym na transparentach hasłem: „Od Kazimierza Wielkiego do Kazimierza Lepszego!". Profesor Kazimierz Lepszy był wtedy rektorem UJ.

Przygotowywane od tygodni Juwenalia AD 1977 zapowiadały się w tym roku niezwykle hucznie i bogato. Nikt nie przypuszczał, że do historii przejdą pod nazwą „Czarnych Juwenaliów"...

7 maja 1977 roku, kilka dni przed planowanym rozpoczęciem zabawy, w sieni krakowskiej kamienicy przy ulicy Szewskiej 7 znaleziono o godzinie 6.50 leżące w kałuży krwi zwłoki

Stanisława Pyjasa, studenta piątego roku filologii polskiej i drugiego roku filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Długie włosy i broda, brązowe półbuty, żółta koszula, spodnie z grubego bawełnianego teksasu... Ponieważ Pyjas należał do środowiska wspomagającego – jak określały to komunistyczne władze Polski – „tak zwany" Komitet Obrony Robotników, jego śmierć wstrząsnęła środowiskiem akademickim Krakowa i całej Polski. Natychmiast pojawiły się przypuszczenia, że nie była to śmierć przypadkowa. Tym bardziej, że od pewnego czasu zmarły student śledzony był przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa...

Wiosną 1977 roku kontakty pomiędzy warszawskim KOR-em a wspomagającymi go studenckimi środowiskami Krakowa zaczynały przybierać charakter sformalizowany i stawały się coraz częstsze. Służba Bezpieczeństwa rozpoczęła intensywną inwigilację krakowskich studentów. Pojawienie się emisariuszy z Warszawy i zbiórka pieniędzy były dodatkowymi powodami do wzmożenia „proletariackiej czujności".

O znalezieniu zwłok zawiadomiono natychmiast komendanta wojewódzkiego MO w Krakowie Zbigniewa Jabłońskiego. Ten z kolei przekazał wiadomość szefowi wojewódzkiej SB, Stefanowi Gołębiowskiemu, który otrzymawszy ją aż jęknął:

– Kurwa! Będą z tego kłopoty, bo facet był w naszym zainteresowaniu.

Następnie sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kwadrans później u ministra Stanisława Kowalczyka trwała już odprawa poświęcona śmierci Pyjasa. Nadzór nad sprawą powierzono wiceministrowi Bogusławowi Stachurze. Po zakończeniu spotkania dyrektor Biura Śledczego MSW Tadeusz Kwiatkowski przekazał szefowi krakowskiej SB wskazówki, jakie działania należy podjąć. MSW zaleciło, aby czynności procesowe wykonywane były przy „niewłączaniu się oficjalnie do sprawy Wydziału Śledczego SB, ale zapewnieniu sobie pełnej wiedzy i faktycznej odpowiedzialności za sprawę przez Służbę Bezpieczeństwa. W praktyce oznaczało w oficjalnie

przez prokuraturę prowadzonym śledztwie całkowitą kontrolę postępowania i wpływ na jego przebieg oraz końcowy wynik".

*

Rzec można, iż cała historia zaczęła się w grudniu 1975 roku. Podczas trwającego wtedy VII zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edward Gierek wypowiedział pamiętne słowa: „Problem struktury cen podstawowych artykułów żywnościowych wymaga (...) dalszej analizy (...)". Była to ukryta zapowiedź mającej nastąpić wkrótce podwyżki cen. Przez dłuższy czas przygotowywał do niej społeczeństwo cały aparat propagandowy rządzącej partii, mający za zadanie przedstawić podwyżkę jako nieuniknioną, spowodowaną głównie wzrostem cen na rynkach światowych. Od początku czerwca 1976 zaczęły się pojawiać w prasie informacje o wysokości bezrobocia w Europie i Ameryce Północnej, kryzysie żywnościowym i wzroście cen żywności na świecie. Puszczano w obieg nawet tak kuriozalne informacje jak ta, że Islandia radzi sobie z kłopotami żywnościowymi dzięki... wprowadzeniu diety rybnej. Komitet Centralny PZPR podjął decyzję, aby wyeliminować całkowicie z mediów niebezpieczny zwrot „podwyżka cen".

Tak też, unikając wyżej wymienionych słów, mówiąc tylko o „nowych cenach" zapowiedział ją 24 czerwca w transmitowanym przez radio i telewizję przemówieniu premier Piotr Jaroszewicz. Chociaż nie było żadnej „podwyżki", wszystko miało zdrożeć, i to drastycznie: mięso i ryby – 69% (lepsze gatunki nawet o 110%), nabiał – 64%, ryż – 150%, cukier – 90%.

Następnego dnia zastrajkowało dziewięćdziesiąt siedem zakładów pracy, w Radomiu, Ursusie i Płocku, na ulicach doszło do zamieszek. Rząd ukrył je przed opinią publiczną, nazywając „drobnymi, chuligańskimi wybrykami". Mimo to, w obawie przed rozszerzeniem się protestów na cały kraj, szybko wycofał się z zapowiadanych planów, proponując jednocześnie „szerokie konsultacje społeczne na temat podwyżek cen i trudnościach w zaopatrzeniu". Równolegle przeprowadził jednak szybką, brutalną pacyfikację strajków i aresztowania organizatorów.

Lokalne władze ogłosiły stan wyjątkowy i czasowo zamknęły wszystkie zakłady.

W odpowiedzi, 26 czerwca na radomskie ulice wyszły oburzone tłumy. W Ursusie rozkręcono szyny na międzynarodowej linii kolejowej. Według raportu sporządzonego przez MSW na potrzeby Biura Politycznego, na terenie dwunastu województw zastrajkowało w sumie sto dwanaście zakładów pracy, w strajkach uczestniczyło ponad osiemdziesiąt tysięcy osób – w tym 14 200 w Ursusie i 20 800 w Radomiu. Najostrzejszy wyraz starcia przybrały właśnie w tym ostatnim mieście, gdzie zdemolowano i okradziono prawie setkę sklepów. Protestujący robotnicy, do których później dołączyli również studenci, wdarli się do gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Po dotarciu do bufetu zaczęli stamtąd wyrzucać przez okna puszki z szynką, całkowicie niedostępne w tamtych czasach dla zwykłych obywateli. Z gabinetów wyrzucili portrety Lenina, z masztu na dachu ściągnęli czerwoną flagę i powiesili w jej miejscu flagę państwową. Na koniec podpalili budynek, ustawiając na okolicznych ulicach barykady mające uniemożliwić dojazd jednostkom straży pożarnej.

W dniach 26-30 czerwca Radom został całkowicie spacyfikowany przez liczne oddziały ZOMO. Użyto gazu łzawiącego i armatek wodnych. Skala aresztowań osiągnęła ogromne rozmiary, zdarzały się również przypadki wyciągania ludzi z domów. Zatrzymanych bito i kopano, a przede wszystkim poddawano torturom polegającym na przechodzeniu przez szpaler milicjantów tłukących ludzi pałkami. Nazywano to „ścieżkami zdrowia". Setki ludzi zwolniono z pracy, wielu otrzymało tak zwane „wilcze bilety", uniemożliwiające w praktyce znalezienie jakiegokolwiek innego zatrudnienia.

Czerwony Radom pamiętam siny,
Jak zbite pałką ludzkie plecy,
Szosę E7, na dworcach gliny,
Jakieś pieniądze jakieś adresy.
Strach w ludzkich oczach, upokorzenie,

W spotniałych palcach świstki wyroków,
Pamięć odbitą na ścieżkach zdrowia,
Listy z więzienia, lekarz adwokat.

Przytoczony fragment słynnej *Ballady o szosie E7* Jana Krzysztofa Kelusa najlepiej oddają atmosferę tego, co działo się potem. Rannych zostało sto dziewięćdziesiąt osiem osób, zatrzymano sześćset trzydzieści cztery, zwolniono z pracy dziewięćset trzydzieści dziewięć. Dwadzieścia pięć osób osądzono jako prowodyrów wydarzeń. Osiem z nich skazano na kary od ośmiu do dziesięciu lat więzienia, jedenaście otrzymało kary od pięciu do sześciu lat, a sześcioro – od dwóch do czterech lat więzienia. Dodatkowo około sto siedemdziesiąt osób zostało skazanych przez kolegia do spraw wykroczeń.

W trakcie „radomskiego czerwca" straciło życie dwóch ludzi. Byli to Jan Łabęcki i Tadeusz Ząbecki, przygniecieni przez przyczepę ciągnika z betonowymi płytami, którą próbowali zepchnąć w kierunku nadciągających oddziałów ZOMO. Trzecią ofiarą śmiertelną, pośrednio związaną z wydarzeniami, był dwudziestosiedmioletni Jan Brożyna, do którego śmierci 30 czerwca 1976 roku przyczyniło się pobicie przez milicjantów dzień wcześniej. Śmiertelną ofiarą represji po wydarzeniach radomskich stał się również ksiądz Roman Kotlarz.

25 czerwca znalazł się wśród strajkujących z Zakładów Metalowych „Łucznik" w Radomiu. Ze schodów jezuickiego kościoła pod wezwaniem Świętej Trójcy błogosławił protestujących robotników w czasie manifestacji. Po brutalnej pacyfikacji dokonanej przez oddziały ZOMO i MO, modlił się w swej parafii wraz z wiernymi za pobitych, aresztowanych i usuwanych z pracy robotników. W swych kazaniach domagał się szacunku dla człowieka i jego pracy, piętnował kłamstwo i niesprawiedliwość, w związku z czym został zaliczony przez komunistyczne władze w poczet „radomskich bandytów" i poddany represjom. Wzywany na przesłuchania, przeszedł „ścieżkę zdrowia". Kilkakrotnie został brutalnie pobity przez funkcjonariuszy SB.

15 sierpnia 1976 roku zasłabł podczas odprawianego nabożeństwa. Następnego dnia przyjęto go do Wojewódzkiego Szpitala Psychiatrycznej Opieki Zdrowotnej w Krychnowicach. Zmarł dwa dni później w niewyjaśnionych okolicznościach. Władze zakazały pochowania księdza na cmentarzu radomskim. Jego pogrzeb, który odbył się 20 sierpnia w Koniemłotach, przerodził się w patriotyczną manifestację.

*

Równolegle, w całym kraju narastała oficjalna propaganda, nazywająca uparcie protestującą ludność miasta „chuliganami i wichrzycielami", organizowano „spontaniczne" wiece protestacyjne przeciw działaniom „radomskich warchołów". Pacyfikacja demonstracji w Radomiu oraz odbywających się jednocześnie akcji w Ursusie i Płocku spowodowały jednak mobilizację na większą skalę środowisk opozycyjnych w całym kraju i po raz pierwszy doprowadziły do wspólnych działań środowisk robotniczych i inteligenckich. Pomoc materialna, prawna i medyczna dla ofiar represji i ich rodzin oraz zbiorowe i indywidualne listy protestacyjne zaowocowały powstaniem niecałe trzy miesiące później Komitetu Obrony Robotników, który wkrótce rozszerzył swoją działalność na szeroko rozumiane akcje opozycji, takie jak organizowanie podziemnych wydawnictw, organizowanie spotkań dyskusyjnych, czy prowadzenie „Uniwersytetu Robotniczego".

Powstanie KOR poprzedziła akcja pomocy osobom represjonowanym w Ursusie, zorganizowana przez środowisko tak zwanej Gromady Włóczęgów, działającej przy 1 Warszawskiej Drużynie Harcerskiej im. Romualda Traugutta „Czarna Jedynka". Przewodził mu Antoni Macierewicz oraz kilku młodszych działaczy Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, wspieranych przez inne osoby, w tym przede wszystkim Jana Józefa Lipskiego. Pomoc ta polegała na zbiórce pieniędzy dla osób pozbawionych pracy i członków ich rodzin oraz koordynowaniu pomocy adwokackiej i lekarskiej dla osób represjonowanych.

Organizatorzy akcji uznali, że dla efektywności ich działań konieczne będzie utworzenie formalnej organizacji, w skład której wejdą także osoby z uznanym autorytetem, co miało usprawnić koordynację dotychczasowej działalności, jak również chronić w pewien sposób uczestników akcji przed represjami, którymi natychmiast odpowiedziała władza „ludowa". We wrześniu 1976 roku Antoni Macierewicz oraz Piotr Naimski, z poparciem Jana Józefa Lipskiego i Jacka Kuronia, przekonali ostatecznie do tej idei większe grono osób. 11 września Macierewicz, Naimski oraz Wojciech Onyszkiewicz opracowali wstępną wersję dokumentu powołującego Komitet Obrony Robotników. Po spotkaniu w dniu 22 września, czternastu sygnatariuszy ogłosiło tzw. „Apel do społeczeństwa i władz PRL", w którym stwierdzili, że w związku z represjami wobec uczestników protestów w Radomiu, Ursusie i innych miastach konieczna jest „solidarność i wzajemna pomoc" społeczeństwa. Dlatego właśnie zawiązali Komitet Obrony Robotników.

W założeniu twórców KOR celem organizacji miała być doraźna pomoc dla robotników prześladowanych przez władze, wkrótce jednak działania ruchu zostały znacznie poszerzone, obejmując między innymi popieranie i obronę wszelkich inicjatyw społecznych, zmierzających do realizacji praw człowieka i obywatela. Równocześnie powstały inne niejawne organizacje, o charakterze bardziej jednolitym ideowo, jak na przykład Konfederacja Polski Niepodległej (KPN) – odwołująca się do tradycji piłsudczykowskiej, czy też Ruch Młodej Polski – bliższy tradycji obozu narodowego (endeckiego). Oba ugrupowania wyszły z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela – ROPCiO.

Jedną z ważniejszych form działalności opozycji demokratycznej stało się drukowanie pism i książek wydawanych poza cenzurą, tzw. drugiego obiegu, będących najczęściej przedrukiem pozycji wychodzących na emigracji. Publikowano również aktualne rozprawy polityczne, opracowania ekonomiczne itp. Czytelnicy odkrywali „białe plamy" w historii Polski: faktyczny przebieg wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r., treść tajnego układu radziecko-

niemieckiego z r. 1939, sprawę Katynia itd. W sumie jednak, wobec skromnych środków, działalność opozycji, tępionej przez aparat bezpieczeństwa, nie mogła wpłynąć na powszechną zmianę świadomości społecznej.

KOR zgromadził osoby o różnych rodowodach politycznych, między innymi wspomnianych harcerzy z Gromady Włóczęgów, członków przedwojennej PPS, aktywnych uczestników konspiracji II wojny światowej i tak zwanych Komandosów (Jacek Kuroń i Adam Michnik). Powstanie tej kilkunastoosobowej organizacji inteligenckiej odegrało ogromną rolę w podważaniu prawa do rządów partii komunistycznej. W „robotniczym" rzekomo państwie okazało się, że robotników trzeba bronić przed „ludową" władzą, i że tej obrony podejmują się inteligenci, czyli warstwa dla tejże władzy co najmniej podejrzana oraz – jak do tej pory – skutecznie izolowana od szerokich mas społeczeństwa. W rezultacie, wymieniona wyżej elita intelektualna okazała się beneficjentem transformacji politycznych i gospodarczych w całej Europie Środkowej, która uczyniła poważny krok na drodze do poprawy życia społeczeństwa, a następnie do wejścia do Unii Europejskiej.

W działalność tej właśnie organizacji spontanicznie włączył się w 1976 roku syn Stanisławy, nauczycielki i Floriana, oficera Wojsk Ochrony Pogranicza, urodzony 4 sierpnia 1953 roku w Gilowicach, młody, niepokorny student Stanisław Pyjas. W PRL po prostu się dusił. Trzeba było nie mieć elementarnej wrażliwości, ani żadnych norm moralnych, aby czuć się w nim dobrze. On zaś był człowiekiem bardzo wrażliwym.

*

Już w 1975 roku, wraz z Bronisławem Wildsteinem i Lesławem Maleszką, został członkiem nieformalnej grupy studentów polonistyki, zwanej Anarchistami. Nie pasowali do siermiężnego i dusznego PRL: nosili długie włosy, słuchali Led Zeppelin, czytali podziemne wydawnictwa i paryską „Kulturę". Żyli w PRL jak wolni ludzie i swoim umiłowaniem wolności zarażali innych. „Pojawiały się pomysły, aby stworzyć podziemny almanach

literacki – wspominał Wildstein. – Ówczesna polityka jako taka nas mierziła, choć oczywiście nie byliśmy naiwni. Wiedzieliśmy, że w ówczesnej Polsce nie było rzeczy niepolitycznych".

Pyjas współorganizował protesty przeciwko represjom wobec robotników Radomia i Ursusa, zbierał pieniądze i podpisy pod „Listem do Sejmu PRL w sprawie powołania komisji parlamentarnej do zbadania przypadków łamania praworządności", pod którym podpisało się pięćset siedemnaście osób. Był pomysłodawcą i redaktorem skierowanego do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i Techniki „Listu protestacyjnego przeciw relegowaniu ze studiów Bronisława Wildsteina za „obrazę kierownika praktyk zawodowych UJ". Stawał się dla władzy coraz bardziej niewygodny.

> *„Chciał iść własną drogą – pisał w 2002 roku o Staszku jego przyjaciel, Bogusław Sonik. – Pomiędzy teatrem, literaturą i codziennym życiem studenckim zbierał datki na pomoc dla wyrzuconych z pracy po strajku robotników".*

W kwietniu 1977 roku Służba Bezpieczeństwa podjęła prowokacyjną próbę storpedowania opozycyjnej działalności Pyjasa. Do Lesława Maleszki, Bronisława Wildsteina, Mieczysława Godynia, Andrzeja Balcerka i Bogusława Beka skierowała listy z obelgami i pomówieniami pod adresem Staszka. Anonimowy autor twierdził, że Pyjas jest współpracownikiem SB i wzywał do zerwania z nim wszelkich kontaktów. „Śmierdzący koleś o wiecznie zajszczanych gaciach"... – pisał. – „Skurwysyn o wyglądzie alfonsa"..., „Zajszczany śmierdziel kurdupelnego wzrostu"... „Tępić takich skurwysynów wszelkimi sposobami to naczelne zadanie chwili obecnej".

Naprawdę agentem był zupełnie kto inny, ale o tym za chwilę. Niepokorny student wielokrotnie wzywany był na przesłuchania, otrzymywał również anonimowe listy, w których informowano, że wkrótce „rozprawią się z takimi jak on".

5 maja, wspólnie z adresatami anonimów, Stanisław Pyjas

złożył w tej sprawie oficjalną skargę w Prokuraturze Rejonowej Kraków-Podgórze. Dwa dni później, w bramie kamienicy przy ulicy Szewskiej znaleziono jego zwłoki. Przeżył zaledwie dwadzieścia cztery lata.

Śmierć Pyjasa wywołała masowe demonstracje studentów i wezwania do bojkotu juwenaliów. Na akademikach przyjaciele zmarłego wywiesili czarne flagi. Na ścianach budynków pojawiły się klepsydry, zawierające również apel o zachowanie żałoby i nie uczestniczenie w uniwersyteckim święcie. W centrum miasta, szczególnie pod bramą numer 7 na ulicy Szewskiej, palono znicze oraz odczytywano informacje dotyczące okoliczności śmierci krakowskiego żaka, punktując jednocześnie zaniedbania władzy. W ten sposób studenci pragnęli nie tylko uczcić pamięć zmarłego przyjaciela, ale również nagłośnić sprawę, którą peerelowskie władze najchętniej zamiotłyby pod dywan. Cel osiągnięto. Juwenalia w roku 1977 w niczym nie przypominały radosnej fety, a do historii przeszły pod nazwą Czarnych Juwenaliów.

Kulminacyjnym punktem żałoby stał się dzień 15 maja 1977 roku. Tego dnia o godzinie dziewiątej rano, w kościele oo. Dominikanów przy ulicy Stolarskiej odprawiono Mszę świętą za duszę tragicznie zmarłego Stanisława Pyjasa. Przyszło na nią ponad dwa i pół tysiąca ludzi.

„Staszek walczył o sprawiedliwość, o prawo, o prawdę, o wolność – powiedział w wygłoszonej homilii ojciec Joachim Badeni. – Przyszliście tutaj, aby wokół ołtarza utworzyć mur z kamieni. Jesteście murem obronnym z żywych kamieni. Śmierć Pyjasa odnawia życie".

O godzinie 21 z ulicy Szewskiej ruszył wielotysięczny pochód z piętnastoma czarnymi flagami, pochodniami i zapalonymi zniczami – Czarny Marsz. Przemaszerował Grodzką i zakończył późnym wieczorem pod Wawelem, gdzie zawiązano Studencki Komitet Solidarności. Pod oświadczeniem o powstaniu SKS-u podpisy złożyło dziesięcioro osób: Andrzej Balcerek, Joanna Barczyk, Liliana Batko, Wiesław Bek, Małgorzata Gątkiewicz, Elżbieta Majewska, Józef Ruszar, Bogusław Sonik, Bronisław Wildstein i Lesław Maleszka. SKS nie tylko deklarował, że „(…)

okoliczności śmierci Staszka Pyjasa wymagają publicznego wyjaśnienia przez kompetentne organa władzy i pociągnięcie do odpowiedzialności sądowej winnych zbrodni bez względu na to, jakie zajmują stanowisko", ale informował również o innych nadużyciach SB i zapowiadał niesienie pomocy represjonowanym. Była to pierwsza tego rodzaju organizacja w całym bloku wschodnim, jawna i niezależna od władz.

SKS-y powstały później nie tylko w Krakowie, ale także we Wrocławiu, Warszawie i Gdańsku. Tuż przed juwenaliami w Warszawie władze zatrzymały wielu działaczy KOR. Aresztowano między innymi Adama Michnika, Seweryna Blumsztajna, Jacka Kuronia, Jana Józefa Lipskiego i Antoniego Macierewicza. Wypuszczono ich dopiero po wielodniowej głodówce w kościele św. Marcina w Warszawie i protestach międzynarodowych – formalnie z powodu amnestii ogłoszonej 22 lipca, w święto PRL.

O studenckich wygłupach podczas Juwenaliów informował swoich czytelników krakowski „Dziennik Polski". „Wyścig prezesów uczelnianych organizacji SZSP wygrała przewodnicząca z Akademii Rolniczej Henryka Nieszporek, przekraczając metę w... lektyce zrobionej z łóżka" – donosił. Pisał też o „najdziwniejszym pojeździe – traktorze przerobionym na jeżdżącą świnię" i „wyborach najmilszej studentki". Nie pominął także tych smutniejszych wydarzeń: „Ale znaleźli się ludzie, którzy założyli sobie, że tegoroczne igrce studenckiej braci wykorzystają jako okazję do wciągnięcia młodych ludzi w politykierstwo. Znaleziono powód: nawet tak dramatyczny i bolesny, jak śmierć Stanisława Pyjasa (...) Wszelkimi sposobami starano się wzniecić w młodych sercach i umysłach zarzewie niepokoju, wplątać w tę z góry ukartowaną i organizacyjnie przemyślaną grę; grę przeciwko nam, przeciwko im samym (...) Jeszcze ciało zmarłego nie ostygło, a znaleźli się osobnicy usiłujący rozpętać prowokację polityczną przypominającą zorganizowaną przez tych samych ludzi w Warszawie w 1968 roku, haniebną konfrontację nad zwłokami człowieka, którego nocna eskapada (...) po wypiciu dużej ilości alkoholu tak właśnie

się zakończyła”.

Służba Bezpieczeństwa wyparła się jakiegokolwiek związku ze śmiercią Stanisława Pyjasa, tylko nie wiadomo dlaczego, jej agenci zatrzymywali studentów rozwieszających czarne flagi przed mszą żałobną w kościele oo. Dominikanów i zrywali rozklejane po całym mieście klepsydry, chociaż nie było tam żadnych, najmniejszych nawet aluzji do tego, kto za tę śmierć odpowiada. „Uderz w stół, a nożyce się odezwą” – mówi stare przysłowie. Kilka lat wcześniej zamieszkali w Londynie Polacy ufundowali pomnik, poświęcony zamordowanym w Katyniu oficerom. Z powodu tego wydarzenia, ambasada radziecka złożyła nazajutrz u władz angielskich ostry protest. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że napis na pomniku głosił: „Ofiarom Katynia – rodacy”. Dokładnie tak i ani jednej litery więcej. Ani słowa o tym, że wymienione ofiary były dziełem Rosjan, którzy przez pięćdziesiąt lat wypierali się przed całym światem udziału w zbrodni.

*

Na pogrzeb Stanisława Pyjasa w jego rodzinnych Gilowicach przyjechała delegacja kilkudziesięciu studentów z Krakowa, z profesorem Stanisławem Jaworskim, promotorem jego pracy magisterskiej. Lało jak z cebra. Wokół unosił się mdły zapach kwiatów i mokrej bawełny. W oddali majaczyły niewyraźnie kontury drzew i zagajników. Po górach snuły się beznadziejnie rozwleczone szare pasma mgły.

– ... W nadziei na powstanie do życia wiecznego przez naszego Pana Jezusa Chrystusa... – Deszcz padał, spokojny i cichy w swojej drodze do otwartych ran ziemi.

Na cmentarzu pojawiło się wielu esbeków i milicjantów w cywilu. Wcześniej zajęli na kwatery budynek miejscowej szkoły i urząd gminy, gdzie urządzili centrum dowodzenia. Krótkie przemówienie do zebranych ludzi wygłosił dziadek zmarłego. Bez ogródek stwierdził, że Staszek został zamordowany przez SB za walkę o sprawiedliwość dla więzionych robotników z Radomia.

– ... Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz... – Ksiądz rzucił garść wilgotnej ziemi na trumnę. Świeża ziemia pachniała jak sama śmierć. – ... Zbawiciel Jezus Chrystus jest zmartwychwstaniem i życiem. Wierzymy, że ciało, które dziś oddajemy ziemi i które w proch się obróci, powstanie z martwych i połączy się z nieśmiertelną duszą, którą dziś Pan powołał do siebie...

Pogrzeb był niezwykle przygnębiający, cały czas lało. Przyszło bardzo wielu ludzi. Esbecy bezczelnie fotografowali zebranych.

9 czerwca, podczas kazania wygłoszonego przy ołtarzu podczas procesji Bożego Ciała, metropolita krakowski Karol Wojtyła powiedział między innymi:

„(...) Muszę tutaj wrócić do wydarzeń z dnia 15 maja. Wszyscy byli zadowoleni z tego, że ten dzień, który upamiętnił się także konsekracją kościoła w Nowej Hucie-Bieńczycach (...) przeszedł i zakończył się pokojowo. Trzeba jednak odczytać znaczenie choćby takiego faktu, że młodzież akademicka Krakowa, zebrawszy się wieczorem u stóp Wawelu, śpiewała «Jeszcze Polska nie zginęła» (...). Jeszcze śpiewała ta młodzież «Boże, coś Polskę» – to ma swoją wymowę.

I swoją wymowę ma też fakt, że ta młodzież wybrała. Wybrała w tym dniu skupienie, ciszę, a nie hałas corocznych Juwenaliów. (...) To świadczy, że młodzi zdolni są myśleć także o sprawach zasadniczych, chociażby o wielkiej tajemnicy śmierci człowieka, która czasem spotyka też młodego. I że są również zdolni myśleć o sprawach zasadniczych, takich jak sprawiedliwość społeczna i pokój, jak prawa człowieka, jak prawa osoby ludzkiej, prawa Narodu, odpowiedzialność za wielkie dziedzictwo Narodu, naszego polskiego Narodu (...) Więc nie można się tej młodzieży dziwić, trzeba szanować jej dojrzałość. I dobrze, że tego nie popsuto. Tylko miałbym pewne zastrzeżenia co do prasy, która nam ten dzień 15 maja przedstawiła raczej jako dzień hałaśliwych dorocznych Juwenaliów. I tylko tyle. Myślę, że tak nie można. Tak nie można. Trzeba mówić prawdę, trzeba uszanować głęboką prawdę każdego człowieka, a zwłaszcza młodego człowieka. Nie można go przykrawać do jakichś z góry

zaplanowanych schematów. I to musi nasza prasa wziąć sobie bardzo pod rozwagę (...) Prasa nie może fałszować obrazu społeczeństwa, jeżeli społeczeństwo ma ją poważnie traktować (...) Muszą uważać ludzie piszący, ażeby nikogo nie znieważać w swoich publikacjach, nie ustawiać opinii wobec jakiegoś człowieka czy jakichś ludzi, którzy się bronić nie mogą. To w imię dobrych obyczajów, w imię polskich tradycji tolerancji. Na tym nikt nie straci. Na pewno nie stracą na tym nasze władze, bo władza zawsze jest mocna prawdą, prawda jest mocna, przynajmniej w naszej kulturze i naszej tradycji narodowej (...) Na pewno w interesie władz wszelkich na całym świecie – i w Polsce, i w Krakowie również – jest, ażeby rozumiano potrzebę poszanowania praw ludzkich, praw obywatelskich, praw człowieka. Człowiek, który czuje w tej dziedzinie brak, gotów jest do wszystkiego, gotów jest do różnych poświęceń".

*

Jak się szybko okazało, obawy co do rzetelnego wyjaśnienia okoliczności śmierci krakowskiego studenta, okazały się w pełni uzasadnione. Nie wystarczyło tylko zabić Pyjasa, trzeba jeszcze było odebrać mu dobre imię, zabić pamięć. 15 września 1977 roku prokurator Henryk Sołga umorzył śledztwo, uznając, że zebrany materiał dowodowy „prowadzi do wniosku, iż wyłączną przyczyną śmierci Stanisława Pyjasa był nieszczęśliwy wypadek spowodowany przez niego samego". W opinii prokuratury przyczynę tragedii stanowił fakt, że student znajdował się w stanie „poważnego stanu nietrzeźwości [2,6 promila] i potknął się o nierówności posadzki, co spowodowało nieamortyzowany rękami upadek, utratę przytomności, obrażenia i krwotok, w wyniku którego nastąpiło zachłyśnięcie się i uduszenie". Jednym zdaniem: upił się i sam spadł ze schodów.

Podstawą umorzenia stała się sekcja zwłok przeprowadzona w Zakładzie Medycyny Sądowej w Krakowie. Wykonywali ją dwaj adiunkci, podpisał kierownik katedry, profesor Zdzisław Marek. Późniejsze wydarzenia, o których za chwilę, nakazują jednak wątpić w rzetelność przeprowadzonych wówczas badań.

Podobno jeden z biegłych doc. dr Kazimierz Jaegermann nie złożył podpisu pod protokołem z sekcji. Bez wahania podpisał się natomiast profesor Marek, który potem wielokrotnie bronił uparcie swej decyzji, wersję o upadku ze schodów podtrzymał nawet w wydanej w 2009 roku książce *Głośne zdarzenia w świetle medycyny sądowej.*

Na początku lat dziewięćdziesiątych, nie wiedząc, że jest nagrywany, w rozmowie telefonicznej z dziennikarką radiową, przyznał iż „Ktoś Pyjasowi dał po mordzie (...) ale ja nie wiem kto”... Decyzją rektora Akademii Medycznej został pozbawiony funkcji kierownika Katedry Medycyny Sądowej za „naruszenie norm etycznych w działalności opiniodawczej”. Przyczyniła się do tego również odmowa przez Zdzisława Marka wydania obdukcji lekarskiej studentom pobitym przez milicję w roku 1989. Będąc przesłuchiwany w 2009 roku przez prokuratora z Instytutu Pamięci Narodowej, profesor przyznał, że w ogóle nie prowadził oględzin zwłok, a jedynie podpisał się pod raportem przygotowanym przez inne osoby.

Ekspertyzę zakwestionował pełnomocnik rodziny mecenas Andrzej Rozmarynowicz. Nie uwierzyli w nią krewni i przyjaciele zmarłego. Nie mieli wątpliwości, że zapłacił on najwyższą cenę za własne przekonania. „SB zabiło Staszka” – taką wiadomość przekazywali sobie z ust do ust krakowscy studenci. W oficjalny komunikat władz nie uwierzyło także wiele milionów ludzi w całej Polsce. KOR wydał komunikat informujący o tej tragedii i obarczający winą aparat bezpieczeństwa.

Aby obejrzeć zwłoki przyjaciela i potwierdzić pogłoski o jego pobiciu, Bronisław Wildstein przekupił dozorcę i wraz z Jackiem Nowaczkiem, kolegą Staszka z filozofii oraz Iwoną Galińską wszedł do prosektorium. Ciało zmarłego leżało obok wyłowionego poprzedniego dnia topielca. „Miał zmasakrowaną twarz, szczególnie lewą stronę, zmasakrowane ciało – twierdzi. – To była twarz człowieka zatłuczonego. Był bity nie tylko pięścią, otrzymał liczne ciosy kastetem lub jakimś metalowym przedmiotem”.

„Dla środowiska akademickiego był to wstrząs – pisał o

tamtych wydarzeniach Jarosław Szarek z Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie. – Nie tylko dla przyjaciół Staszka, ale dla wszystkich, którzy nie godzili się na życie w kłamstwie i, podobnie jak zamordowany student, coraz odważniej przeciwstawiali się peerelowskiej rzeczywistości. Doświadczyli wtedy, iż ceną bycia wolnym człowiekiem w PRL może być także życie".

Część środowisk opozycyjnych nie wierzyła jednak w celowy mord na zlecenie SB a raczej „wypadek przy pracy" bezpieki. Argumentowano to tym, że Pyjas był nikomu nieznanym studentem, bez większego znaczenia i osiągnięć na polu działań opozycji. Dodatkowo argumentowano, że władza nie posunęłaby się do takich czynów na parę dni przed Juwenaliami, obawiając się zamieszek. „To mógł być wypadek, ale przy pracy esbeków, którzy być może chcieli go postraszyć – twierdzi Bogusław Sonik. – Ale być może chcieli go zabić..."

W lipcu 1977 roku w Zalewie Solińskim znaleziono zwłoki Stanisława Pietraszki. Student fizyki był kolegą Stanisława Pyjasa jeszcze ze szkoły średniej. Jako ostatni widział go żywego kilka godzin przed śmiercią. Widział też, że za Pyjasem szedł jakiś mężczyzna, sprawiający wrażenie „jakby go eskortował". Według zeznań Pietraszki sporządzono portret pamięciowy nieznajomego, który według wszelkich poszlak mógł być mordercą. Widać jednak student widział zbyt dużo... Dziwne okoliczności także tej śmierci oraz sposób prowadzenia śledztwa wskazywały na próbę likwidacji niewygodnego świadka.

30 lipca Stanisław Pietraszko zatrzymał się na polu namiotowym nad Zalewem Solińskim. „O zmroku wyszedł nad Zalew umyć się – pisał o zdarzeniu Jan Józef Lipski. – Ciało znaleziono przypadkiem, pływające w trzcinach, 1 sierpnia. Zdaniem specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej, do których KOR zwrócił się o konsultację, gdyby Pietraszko utopił się, ciało wypłynęłoby na powierzchnię nieco później, na skutek procesów rozkładowych. To, że pływało na powierzchni 1 sierpnia, budzi przypuszczenie, iż w płucach znajdowało się powietrze, nie woda. Mogłoby to wskazywać na wrzucenie do

wody zwłok, po śmierci innego rodzaju niż utopienie".

Zmarły miał na sobie czepek pływacki i kąpielówki, jednak z zeznań jego przyjaciół wiadomo, że bał się panicznie wody i nie potrafił pływać.

Niedługo po tych wydarzeniach, 10 października niejaki Marian Węclewicz – były bokser „Cracovii", będący na usługach SB – zdradził po pijanemu swojemu koledze, Tadeuszowi Sowie, że „dotąd nie otrzymał wypłaty za udział w zabójstwie Pyjasa, którego pobił na zlecenie Jana Knapika". (Knapik pracował jako portier w Instytucie Francuskim, w zachowanych dokumentach nie figuruje w ewidencji Służby Bezpieczeństwa). Sowa, emerytowany oficer „krótko brzmiącego urzędu", dorabiał sobie do emerytury jako milicyjny konfident, więc raport z rozmowy trafił do odpowiednich ludzi. (Dziś znajduje się w archiwum IPN).

Wyznawszy swą tajemnicę, Węclewicz miał oświadczyć, że zdobędzie te pieniądze. Następnie wyszedł z baru „Pod Filarkami", na rogu Starowiślnej i Dietla. Następnego dnia jego ciało znaleziono na klatce schodowej kamienicy, w której mieszkał Knapik. Śledztwo błyskawicznie umorzono, stwierdzając, że pijany Węclewicz potknął się i... spadł ze schodów. Prowadzone w latach dziewięćdziesiątych postępowanie wykazało, że zarówno Jan Knapik, jak i jego konkubina złożyli w sprawie śmierci boksera fałszywe zeznania, jakoby nie było ich w mieszkaniu, kiedy ten spadł ze schodów. Te zeznania można było zweryfikować od razu, pod warunkiem, że śledztwo prowadzone byłoby zgodnie z obowiązującymi zasadami. Tak się jednak nie stało.

Kiedy raport Sowy dotarł do naczelnika Wydziału II SB w Krakowie (21 października 1977 roku), Węclewicz już nie żył.

*

Śledztwo w sprawie śmierci krakowskiego żaka zostało wznowione już w wolnej Polsce, w roku 1991. Specjaliści z Zakładu Medycyny Sądowej w Lublinie (Andrzej Jakliński) oraz Śląskiej Akademii Medycznej (Władysław Nasiłowski) podważyli

wówczas ustalenia biegłych z 1977 roku i w oficjalnej ekspertyzie uznali, że „wygląd i charakter obrażeń nie odpowiada (...) upadkowi na równe lub względnie równe podłoże, a za takie uznano miejsce znalezienia zwłok. (...) Biorąc pod uwagę doświadczenie sądowo-lekarskie w podobnych przypadkach urazowych należy wskazać, że tego rodzaju rozmieszczenie i charakter odpowiada częściej następstwom pobicia, np. przy uderzeniu pięścią, kastetem lub butem, względnie innym narzędziom". Jednak z powodu braku możliwości wykrycia sprawcy postępowanie umorzono ponownie w roku 1999.

Za najbardziej prawdopodobny wątek uznano wtedy pobicie Pyjasa na polecenie SB przez Mariana Węclewicza. Zadanie to miał zlecić bokserowi funkcjonariusz ukrywający się pod pseudonimem „Janek". Żadnego z nich nie można było jednak przesłuchać. Węclewicz, jak wspomniano wcześniej, spadł ze schodów, zaś domniemany zleceniodawca, zmarł na zawał serca.

Umarzając to śledztwo, prokuratura wszczęła jednocześnie inne, dotyczące utrudniania postępowania z roku 1977. Sporządzony na koniec akt oskarżenia objął cztery osoby: byłego inspektora Wydziału Inspekcji Biura Śledczego Zbigniewa K., byłego naczelnika Wydziału III Operacyjnego Komendy Wojewódzkiej MO w Krakowie Jana Billa, byłego dyrektora Biura Śledczego MSW Tadeusza Kwiatkowskiego oraz generała dywizji MO Bogusława Stachurę, byłego szefa Służby Bezpieczeństwa i wiceministra spraw wewnętrznych w latach 1969-1983, który w 1976 roku kierował akcją tłumienia robotniczych protestów w Radomiu.

Według aktu oskarżenia, wymienieni „usiłowali wpłynąć na ustalenia śledztwa, aby wykazało, że przyczyną śmierci był nieszczęśliwy wypadek (...) Dezinformowali w tym celu prokuraturę, podając jej m.in., że Pyjas nie był w kręgu zainteresowań SB, zatajając informację o typowaniu sprawcy pobicia oraz kierując śledztwo na fałszywe tory".

Mimo wniosku obrońców i oskarżonych o ujawnienie rozprawy, sąd zdecydował, że ze względu na tajemnicę

państwową nadal będzie się ona toczyła za zamkniętymi drzwiami.

25 stycznia 2002 roku Sąd po rozpoznaniu sprawy Zbigniewa K. oraz Jana Billa skazał ich prawomocnie za utrudnianie śledztwa na kary dwóch lat pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata, utrzymując w mocy wyrok Sądu I instancji z dnia 6 lipca 2001 roku. (Kwiatkowski zmarł w 2000 roku). Sąd zawiesił postępowanie wobec Bogusława Stachury z powodu złego stanu zdrowia. Czterech biegłych lekarzy z Instytutu Medycyny Sądowej orzekło, że generał jest zbyt chory, by brać udział w rozprawach.

„To słuszna decyzja, stan zdrowia oskarżonego wyklucza jego proces – powiedział obrońca, mecenas Andrzej Różyk. – Jak się go dotychczas nie osądziło, to prawdopodobnie już nigdy się tego nie zrobi (...) Całe oskarżenie było oparte na bardzo kruchych podstawach".

W toku tego procesu profesor Władysław Nasiłowski podtrzymał przed sądem swoją wcześniejszą opinię na temat przyczyn zgonu Stanisława Pyjasa: „Obrażenia na twarzy nie mogły powstać w wyniku uderzenia o płaskie, niewybrzuszone podłoże, na którym znaleziono jego ciało (...)". Dodał również: „Obrażenia twarzoczaszki zmarłego Stanisława Pyjasa to urazy typowo bokserskie, to znaczy charakterystyczne dla pobicia".

W maju 2008 roku prokurator krakowskiego IPN, Ireneusz Kunert po raz kolejny wznowił postępowanie w sprawie śmierci Stanisława Pyjasa. Dopiero wtedy przesłuchano po raz pierwszy zamieszkałego od lat w Stanach Zjednoczonych Wojciecha Radomskiego. To był człowiek, który naprawdę jako ostatni (oprócz mordercy – oczywiście), widział żywego Staszka. Spotkał się z nim i kilkoma innymi studentami w restauracji „Pod Płachtą". Spotkanie zakończyło się o 19.30, a Staszek poszedł w kierunku Rynku Głównego, gdzie był umówiony na odbiór ulotek, o których rozmawiali wcześniej. Radomski widział Pyjasa jeszcze cztery godziny później niż Pietraszko. Wojciech Radomski rozmawiał o tym 7 maja 1977 roku z prowadzącymi śledztwo (w aktach IPN znaleziono na ten temat krótką notatkę),

ale nigdy nie został przesłuchany w charakterze świadka.

Do prokuratury zgłosiło się jeszcze około dwudziestu innych świadków. Jak stwierdził prokurator Kunert: „niektórzy nadal się boją wpływów ludzi dawnej SB". Przekazane przez nich informacje były na tyle istotne, że w latach siedemdziesiątych z pewnością uniemożliwiłyby umorzenie śledztwa przez komunistyczny aparat. Prokurator poprosił także o kolejną ekspertyzę biegłych. W tej z 1977 roku nie uwzględniono bowiem rozciętego dziąsła i wybitego zęba. Potwierdziłoby to przypuszczenia przyjaciół Pyjasa, że alkohol obecny w jego organizmie, znalazł się tam na skutek wpychania na siłę butelki do ust.

20 kwietnia 2010 roku dokonano ekshumacji zwłok Stanisława Pyjasa celem ponownego zbadania w krakowskim Zakładzie Medycyny Sądowej. W trakcie dochodzenia prokurator Kunert potwierdził wykrycie obrażeń, których nie opisano w raporcie z 1977 oraz 1991 roku, między innymi pęknięcie kości udowej i miednicy.

Kolejnym krokiem były badania przeprowadzone przez biegłych medyków sądowych z Zakładów Medycyny Sądowej we Wrocławiu, Bydgoszczy i Gdańsku. Wyniki analizy zdały się potwierdzać wnioski śledztwa z 1977 roku, jakoby Stanisław Pyjas zginął z powodu nieszczęśliwego wypadku. Ujawniono również, że tuż przed śmiercią był pod wpływem alkoholu, natomiast nie odnotowano śladów pobicia ani postrzelenia.

15 lutego 2011 roku krakowski oddział IPN złożył wniosek o doprecyzowanie dokumentu końcowego z przeprowadzonej ekshumacji, kierując do zespołu biegłych dodatkowe 22 pytania. Kolejne takie wnioski znalazły się w dwóch opiniach uzupełniających, w których biegli odpowiadali na dalsze 33 pytania prokuratora. W każdej z opinii biegli konsekwentnie i jednoznacznie potwierdzali wersję, że przyczyną śmierci był upadek z wysokości co najmniej siedmiu metrów. Równolegle biegłym z Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie zlecono opublikowanie uzupełniającej opinii z zakresu biomechaniki. Chodziło o zweryfikowanie – bądź pozytywnie, bądź negatywnie

– tego, czy Stanisław Pyjas mógł spaść i doznać śmiertelnych obrażeń na klatce schodowej przy ul. Szewskiej 7 w miejscu, gdzie go znaleziono. Według biegłych z IES „Pyjas mógł spaść ze schodów w kamienicy przy ul. Szewskiej, gdzie znaleziono jego ciało", jednak „nie ma możliwości ustalenia, czy spadł sam, czy też został zepchnięty".

Zastrzeżenia do tego rodzaju wniosków na temat przyczyn śmierci Pyjasa wyrazili jego przyjaciele oraz niektórzy członkowie rodziny. Złożyli nawet w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury. Łódzka prokuratura umorzyła jednak śledztwo w sprawie możliwości przedstawienia przez biegłych medycyny sądowej fałszywej opinii co do śmierci studenta. Prokuratura uznała, że nie ma dowodów na to, że biegli popełnili przestępstwo i przedstawili fałszywą opinię.

Jak mówił po ogłoszeniu wniosków biegłych dr Krzysztof Woźniak z Zakładu Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, „biegły formułuje swoje wnioski na podstawie badanego materiału, a nie według oczekiwań". Podkreślił również, że „opinię wydawał starannie dobrany zespół, mający ustaloną pozycję w środowisku, ponadto każda opinia jest konstruowana na podstawie całokształtu ustaleń i obowiązującej wiedzy medycznej".

*

W trakcie postępowania ujawniono też zeznania świadków, którzy 6 maja mieli widzieć pobicie studenta. Jedna z przesłuchiwanych osób zaobserwowała dwóch mundurowych, którzy w tym dniu wnosili „coś" do kamienicy, w której znaleziono ciało Pyjasa. Potwierdzałoby to tezę, że studenta zamordowano, a ciało jedynie podrzucono na ulicę Szewską.

Po ekshumacji szczątków Stanisława Pyjasa jego siostrzenica, Miriam Agnieszka Przybysz złożyła zawiadomienie o podejrzeniu utrudniania postępowania w trakcie i po ekshumacji. Pani Przybysz zarzuciła prowadzącym postępowanie, że w trakcie badań zaginęły między innymi „dwa kuliste przedmioty wielkości ziaren grochu" wydobyte z grobu –

być może kule. Śledczy odparli te zarzuty, twierdząc, iż nie ma możliwości, by dopuszczono się tak rażących zaniedbań. „W ekspertyzie, w opisie czaszki pominięto wyraźnie widoczne trzy ciemnopopielato zabarwione wgłębienia znajdujące się wewnątrz potylicy, jedno z nich miało zygzakowate zarysowanie" – podnosiła też pani Przybysz. W lipcu 2011 roku krakowska prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie utrudniania postępowania z powodu niestwierdzenia znamion przestępstwa". „Według informacji opublikowanych przez PAP (...) prokuratura umorzyła śledztwo w oparciu o zeznania zespołu biegłych, których opinia była kwestionowana, czyli tych biegłych uczyniono sędziami we własnej sprawie" – twierdzi Miriam Agnieszka Przybysz.

Na podstawie zeznań świadków, oględzin miejsca oraz ponownej analizy obrażeń Stanisława Pyjasa, prokuratura ustaliła prawdopodobny przebieg wydarzeń. Śmiertelne pobicie nastąpić mogło w piwnicy kamienicy na ul. Szewskiej 7 – gdzie znaleziono okulary zamordowanego. Następnie mordercy przenieśli ciało do bramy w tej samej kamienicy, w której mieszkała była dziewczyna zabitego, Barbara Paneczko, zaś pod jej drzwi podrzucili chlebak studenta w celu upozorowania tragicznego wypadku. Kobietę nakłaniano później do złożenia zeznania, że Pyjas był u niej tego wieczoru.

Ciągle wzywano mnie i zadawano to samo pytanie: dlaczego nie chcę się przyznać, że Staszek przyszedł do mnie – wspominała. – Dlaczego nie chcę powiedzieć, że był moim chłopakiem. W kółko to samo (...) Wtedy nie przyszło mi do głowy, by ich zapytać, dlaczego po prostu nie pobrali odcisków palców w moim mieszkaniu, z drzwi, dzwonka itd".

Domniemanym zabójcą mógł być były bokser Marian Węclewicz – pijak i kryminalista na usługach milicji oraz SB, który miał zostać wynajęty do pobicia Pyjasa za sto dolarów przez funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa Jana Knapika. Pyjas zginął tylko dlatego, że SB chciała uniemożliwić mu zorganizowanie wiecu podczas juwenaliów.

W dokumentalnym filmie Spadł, umarł, utonął z 1994 roku, w

reżyserii Krzysztofa Krauze, zwrócono uwagę na uderzające podobieństwo Jana Knapika (to ten esbek, któremu Węclewicz skarżył się, że nie otrzymał zapłaty), do osoby śledzącej Pyjasa w ostatnich godzinach życia. Jego rysopis podał pełnomocnikowi rodziny zabitego, mecenasowi Andrzejowi Rozmarynowiczowi, student Stanisław Pietraszko.

Do najczęściej przyjmowanych wersji zabójstwa należy teza o „wypadku przy pracy". Do zabójstwa studenta doszło przypadkiem, w sposób niezamierzony, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Potem nastąpiło gorączkowe zacieranie śladów, w ramach którego pozbywano się kolejnych świadków: Pietraszki, Węclewicza, a może i jeszcze innych.

Istnieje też inna, trudna do zweryfikowania wersja śmierci, przekazana dziennikarzom „Gazety Polskiej" przez jednego z policyjnych informatorów:

„Z tym Węclewiczem to jest niesłychany kit. W 1977 roku on był już w takim stanie, że trudno by mu było zabić dziecko, zresztą nigdy nie był rasowym bokserem i chodził w niskich wagach. Wtedy, w maju, z cel kontrolowanych przez SB w areszcie przy ulicy Montelupich w Krakowie wypuszczono bardzo niebezpiecznego faceta. Wiem, że kilkakrotnie wykonywał dla bezpieki mokrą robotę i włamy. Zarejestrowano go jako TW „Bronek". Akcję kontrolował nieżyjący już dziś oficer SB Zbigniew Z., ale dużo wie o tym także inny funkcjonariusz, Tadeusz K. Zgodę na jego wyjście dał SB sędzia S. z Wydziału penitencjarnego".

Przyjaciele Pyjasa odnaleźli i ujawnili dokument potwierdzający jego inwigilację już na rok przed śmiercią, czemu w trakcie prowadzenia śledztw SB uparcie zaprzeczała. W notatce pochodzącej z dnia 12 kwietnia 1976 roku można przeczytać o wszystkich poczynaniach Staszka tego dnia. Przesłuchanie przez milicję, wpłata pieniędzy na poczcie, posiłek w „Żaczku", dom studencki, UJ, teatr... – Pyjas śledzony był cały dzień. W notatce są również adresy miejsc, w których przebywał i nazwy ulic, którymi przechodził. Jest w niej też informacja dla agentów, aby dyskretnie go obserwować, bo „często ogląda się za

siebie". Notatka nosi klauzulę „tajne" i dla Bogusława Sonika, przyjaciela Pyjasa jest dowodem na to, że bezpieka mogła planować zamach na jego życie.

Znany dziennikarz śledczy Witold Gadowski opowiada historię dwóch byłych cinkciarzy, którzy 7 maja 1977 roku mieli widzieć jak dwóch funkcjonariuszy SB wyszło z budynku bezpieki przy placu Szczepańskim z dużym, zwiniętym w rulon dywanem. Jak wszyscy handlujący nielegalnie walutą wiedzieli, że to esbecy, ponieważ mieli już z nimi wcześniej kontakt. „Wyglądało to tak, jakby nieśli zawinięte w dywan czyjeś ciało. Szli w kierunku ulicy Szewskiej. Kilka godzin później cinkciarze: Walczak i Druzgała zostali zwinięci z Rynku i doprowadzeni do wysokiego oficera SB. Ten zamiast rytualnie lać ich w mordę zaproponował im układ. Będą milczeli na temat nocnego spotkania, a w zamian za to SB da im ochronę dla swobodnego cinkciarzowania i na dodatek – w ramach bonusu – zrobi na Rynku obławę na koni, tak, aby dwaj cinkciarze przez cały dzień mogli mieć tam monopol na handel walutą".

W latach dziewięćdziesiątych na kantor, w którym pracował Druzgała dokonano napadu, a Druzgałę zamordowano. Potem okazało się, że napad był zlecony przez O., krakowskiego policjanta powiązanego ze służbami specjalnymi. Nie żyje też drugi bohater tego zdarzenia – Walczak. On również zginął tragicznie.

– Te opowieści, potwierdzone jeszcze przez innego mojego informatora, utwierdzają mnie w przekonaniu, że Stanisław Pyjas został zakatowany w czasie przesłuchania na placu Szczepańskim i potem podrzucony na ulicę Szewską – twierdzi Gadowski. – Do dziś także intryguje mnie agent „Alex", nierozpoznany kapuś, który działał w kręgu Pyjasa obok słynnego „Ketmana".

„Bez względu na to, która z tych wersji jest prawdziwa, pojawia się tu charakterystyczny mechanizm działania SB, wypożyczanie kryminalistów, konfidentów milicji – czytamy w artykule Henryka Głębockiego *Jak zamordowano Pyjasa*. – Jest to o tyle prawdopodobne, że poświadczają to inne znane przypadki

wykorzystywania agentury MO lub wręcz organizowania z funkcjonariuszy MO i ZOMO specjalnych grup do pobić lub brutalnego rozbijania manifestacji w latach 80., znane z Krakowa i ujawnione niedawno dzięki filmowi dokumentalnemu Macieja Gawlikowskiego pt. *Fachowcy.* Jeszcze raz wskazuje to, na rzecz bynajmniej nieoczywistą, że badanie aparatu represji PRL musi obejmować nie tylko SB i jej agenturę, ale także inne struktury MSW, z MO na czele".

*

Niezależnie od wszystkich ustaleń specjalistów, które opierały się jedynie na analizie zwłok i nie uwzględniały pozostałych okoliczności, nowe światło na sprawę rzucił film dokumentalny *Trzech kumpli* z 2008 roku, w reżyserii Anny Ferens i Ewy Stankiewicz. Zgodnie z ustaleniami twórczyń, istotną rolę w całej historii odegrał przyjaciel Pyjasa, Lesław Maleszka, tajny współpracownik SB, występujący pod pseudonimami „Ketman" i „Return". Bezpośrednią przesłanką do zabójstwa studenta miało być zagrożenie dekonspiracją Maleszki.

Wspomniany wyżej kapuś, Lesław Maleszka przesłuchiwany był już we wcześniejszych śledztwach. W połowie lat dziewięćdziesiątych zeznawał nawet jako były Tajny Współpracownik, choć jego dawni przyjaciele nie wiedzieli wtedy o jego przeszłości, a prowadzących postępowanie obowiązywała tajemnica. Mroczną przeszłość Maleszki ujawnili dopiero w 2001 roku dawni działacze Studenckiego Komitetu Solidarności.

Czy spotkał się z tego powodu z potępieniem? Nic podobnego. Już po ujawnieniu jego agenturalnej przeszłości, pracował dalej, jak gdyby nigdy nic, w „Gazecie Wyborczej". Tyle, że artykułów nie podpisywał własnym nazwiskiem, lecz pseudonimem ELEM. Jak twierdził ówczesny zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Newsweek" Aleksander Kaczorowski: „To była osobista decyzja Adama Michnika, którą przeforsował wbrew większości redakcji".

„GW" zdecydowała się na zwolnienie Maleszki dopiero na kilka

dni przed emisją w TVN filmu *Trzej Kumple*. Poproszony o komentarz w tej sprawie Piotr Stasiński, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej", powiedział, że „cała sytuacja była już wielokrotnie wyjaśniana i że Maleszka powinien sam tłumaczyć się za swoje niecne sprawy (...) – Nie damy się wciągnąć w niekończącą się dyskusję".

„Działania SB inwigilującej od ponad roku Pyjasa i jego kolegów, wyraźnie wskazywały, że usiłowano rozbić lub przejąć pełną kontrolę nad tą grupą – pisze Henryk Głębocki (Jak zamordowano Pyjasa). – Wiosną 1977 r. urastała ona w Krakowie do roli centrum, wokół którego ogniskowały się inne środowiska i osoby gotowe wspierać KOR, zbierając pieniądze i podpisy pod listem do sejmu w obronie represjonowanych robotników. Pyjas w wypowiedziach i raportach funkcjonariuszy SB (zajmowała się nim nawet centrala SB!) oceniany był jako szczególnie niewygodny lider środowiska. Niewykluczone więc, że użycie anonimów, a potem pobicie Pyjasa było próbą powtórzenia zastosowanej już rok wcześniej (poprzez przesłuchania i zwerbowanie agenta wewnątrz grupy – Lesława Maleszki – «Ketmana») akcji dezintegracji tego środowiska.

Najczęściej pojawiający się motyw zabójstwa to właśnie sprawa anonimów, napisanych przez SB i przesłanych w styczniu i kwietniu 1977 r. kolegom Pyjasa, a sugerujących jego agenturalną współpracę z bezpieką. Miały zasiać nieufność i doprowadzić do dezintegracji środowiska. Studenci, z inicjatywy samego Pyjasa, zanieśli je do prokuratury, żądając wszczęcia śledztwa w tej sprawie. Funkcjonariusze SB mogli więc poczuć się zagrożeni dekonspiracją.

Nie wiemy, czy Pyjas zginął, bo nie zgodził się oddać oryginałów anonimów – charakter pisma mógł ujawnić funkcjonariuszy SB. Prowadzący śledztwo, a nawet sami oficerowie SB sugerowali, że w ich «firmie» działającej «na rozkaz» polecenie odzyskania anonimów grożących dekonspiracją oficerom bezpieki, jak i ich agenturze, mogła wydać jedynie „góra". Bez względu na to, jak wysoko w takim wypadku znajdowali się mocodawcy, tłumaczyłoby to

zaangażowanie struktur MSW aż po centralę, w ochronę prawdziwych zabójców i tak staranne zacieranie śladów.

Jeśli istotnie tak było, próba «uciszenia» lub wyeliminowania Pyjasa i rozbicia grupy przy pozostawieniu w niej konfidentów wyglądałaby na prawdopodobne, bo niemal standardowe działania operacyjne SB. Można było tego dokonać przez zastraszenie lub, czego nie można wykluczyć, przez próbę zwerbowania Pyjasa. Czy zginął on, bo zbyt mocno usiłowano go «przekonać» do współpracy z bezpieką?

W każdym z tych scenariuszy pojawia się w tle problem konfidentów operujących wokół Pyjasa. Szczególnie gdyby założyć, że usiłowano go zwerbować, ktoś musiał pomóc go wcześniej «opracować», tj. przygotować portret psychologiczny, wykorzystywany do próby werbunku.

Najlepszym dostarczycielem informacji na ten temat mógł być najbliższy przyjaciel Pyjasa Lesław Maleszka – TW «Ketman». Założyć można, że anonimy, którymi SB usiłowała wiosną 1977 r. zdezintegrować grupę, pisane były na podstawie informacji uzyskanych m.in. od Maleszki. Z niektórych relacji wynika, że Pyjas szukał tych informatorów. Groziło to dekonspiracją agentury. Pozostaje jednak poważna wątpliwość, czy oficerowie SB i ich zwierzchnicy gotowi byli zorganizować morderstwo lub ciężkie pobicie studenta, by chronić nawet dobrze ulokowanych konfidentów?

W świetle opublikowanych już dokumentów nie ulega wątpliwości, że «Ketmana» obciąża co najmniej współudział w zacieraniu śladów mogących wyjaśnić śmierć Pyjasa i Pietraszki. Z ramienia SB kontrolował niezależne śledztwo prowadzone przez studentów i KOR w obu tych sprawach".

W maju 2013 roku Ireneusz Kunert podał PAP informację, że akta sprawy Staszka Pyjasa zostały poddane konserwacji i digitalizacji. Efektem półrocznej pracy Biura Udostępniania i Archiwizacji IPN jest szesnaście tomów akt w twardej, płóciennej oprawie. Przeniesiono je również na płyty CD. Paczka papierosów „Sport" znaleziona przy ciele Pyjasa także znalazła się wśród zebranych materiałów.

*

Stanisław Pyjas spoczywa na cmentarzu w Gilowicach. Od jego śmierci minęło wiele lat. Obecnie wiemy o niej znacznie więcej niż w roku 1977, jednak w sprawie pojawiają się wciąż kolejne znaki zapytania. Wciąż wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Wciąż utrzymują się sprzeczne opinie.

„Zamordowała go SB, ale wciąż nie znamy nazwisk osób, które zleciły zabójstwo – mówi Bronisław Wildstein. – Nie wie tego też IPN, który podjął już piątą próbę wyjaśnienia sprawy. Mamy problem z PRL, bo w ogromnej mierze dziedziczymy problemy z tamtych czasów. Odziedziczyliśmy wymiar sprawiedliwości, który nie chce się rozliczać. Jak to możliwe, że w wolnej Polsce są sprawy z przeszłości, których wymiar sprawiedliwości woli nie rozwiązywać? Trzydzieści pięć lat później esbecka wersja wydarzeń powraca. Wolna Polska bezradnie akceptuje wytwór PRL-owskiej propagandy (...) Prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek poznamy pełną prawdę, jest niewielkie. Myślę, że nadal żyjemy w zaklętym kręgu PRL-owskiej mentalności. W cieniu ówczesnych układów, powiązań i interesów. Do obecnych czasów przenieśliśmy dawne elity, instytucje, sposoby myślenia i działania. Rozliczenia PRL nie było, i to pokutuje.

Wersji o upadku ze schodów nie były w stanie obronić nawet władze komunistyczne – oburza się Wildstein. – I wylicza: twórcy ekspertyzy przyjęli, że Pyjas był pijany – miał we krwi około 2,5 promila alkoholu, ale na miejscu tragedii nie znaleziono odcisków jego palców. A więc człowiek, będąc pod wpływem alkoholu, szedł po ciemku, po schodach, nie dotykając poręczy ani schodów. Co więcej, osoba, która spada, zwykle krzyczy, a krzyku nikt nie słyszał”...

Reporterzy Superwizjera TVN, Anna Barańska-Całek i Piotr Litka dotarli do milicjanta, który jako pierwszy oglądał ciało Pyjasa po śmierci. Funkcjonariusz przysięga także dzisiaj, że student leżał twarzą w dół, co zupełnie wyklucza wersję o zachłyśnięciu krwią, którą oficjalnie przyjęto w 1977 roku.

– Przy okazji dowiedzieliśmy się, że zwłoki zostały

przewrócone na wznak, a pierwotna dokumentacja miejsca ich znalezienia została zniszczona – opowiadają.

Dziennikarze dotarli również do lekarki pogotowia, która stwierdzała śmierć Pyjasa i która podtrzymuje, że w oficjalnej wersji czas jego śmierci został przesunięty o trzy godziny wcześniej.

Według Bogusława Sonika, działacza opozycji w PRL i kolegi Pyjasa, biorąc pod uwagę przebieg zdarzeń, a także fakt, że ekspertyza powstała po tylu latach – tylko na podstawie dokumentów i układu kostnego – jest ona „zupełnie niewiarygodna". „Szanse na to, że sprawa zostanie wyjaśniona, są nikłe, bo tajemnica śmierci Stanisława tkwi w labiryntach Służby Bezpieczeństwa i MSW, a nie w kolejnych próbach zaciemniania sprawy przez różnego rodzaju ekspertów. (...) Trzeba było to śledztwo przeprowadzić w latach dziewięćdziesiątych, a nie zaciemniać sprawy i przez wiele lat odmawiać odtajnienia informacji na temat tajnych współpracowników. Może wtedy, bezpośrednio po upadku komuny, można było liczyć na jakieś wyznania skruszonych ubeków. Ale teraz podnieśli głowy. Więc nie sądzę, żebyśmy do czegokolwiek doszli. Na tym właśnie polega gruba kreska: Uznano, że nie ma co wracać do tamtych spraw".

„Ta zbrodnia nie jest rozliczona, tak jak i inne zbrodnie, które popełnili komuniści, bo III RP nie chce rozliczyć zbrodni komunistycznych – wtóruje mu Bronisław Wildstein. – Dlaczego? Bo III RP wyrasta z komunizmu, nie chciała z nim zerwać. Elity III RP to są elity komunistyczne. Rozliczenie zbrodni byłoby rozliczeniem siebie samych".

Ryszard Terlecki, również zaangażowany w latach siedemdziesiątych w działalność krakowskiej opozycji, używa jeszcze mocniejszych słów: „To oszustwo i matactwo! W naszym kraju są setki takich «zagadkowych» spraw i nie ma żadnej woli w polskim wymiarze sprawiedliwości, żeby te sprawy wyjaśnić. Aparat sprawiedliwości wykazuje systematyczny i nieustanny opór przeciwko wyjaśnianiu i rozliczaniu zbrodni komunistycznych z przeszłości. Panuje zasada, że należy bronić

każdej płotki, nawet najmniej ważnej, najbardziej skompromitowanej, bo to jest kolega z dawnych układów, bezpieki, agentury bezpieki, aparatu partyjnego, sowieckiej agentury i tak dalej. (...) Przekonany jestem, że dokumenty nie giną, kiedyś wypłyną: te, które są w Moskwie, i te, które są jeszcze pochowane. Zwykle jest tak, że prawda wychodzi na jaw".

21 września 2006 roku Stanisław Pyjas został pośmiertnie odznaczony przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

ZEMSTA PO LATACH

ZABÓJSTWA SIERŻANTA ZDZISŁAWA KAROSA
I KSIĘDZA SYLWESTRA ZYCHA
(1982, 1989)

Sierżant Milicji Obywatelskiej Zdzisław Karos pracował w ochronie ambasad w Warszawie. Posiadał samochód marki Trabant, ale tego dnia zdecydował się pojechać do pracy tramwajem. Paliwo sprzedawano tylko na specjalne talony, a tych mu brakowało. Był 18 lutego 1982 roku, mroźny i mglisty dzień. Niedawno minęło południe.

Złośliwy wicher porywał białe płaty zmarzliny, ciskając nimi wprost w twarze zgromadzonych na przystanku ludzi. W powietrzu pachniało roztajałym śniegiem, dymem z kominów i razowym chlebem. Błękitne niebo wyglądało jak lodowate morze. W wielu miejscach wiły się nieprawdopodobnie długie kolejki, uformowane ze zziębniętych i zdesperowanych osób. Sporo przechodniów nosiło wpięte w klapy płaszczy maleńkie rezystory. Rezystor to element obwodów elektrycznych, który stanowi opór dla prądu. Potocznie mówi się na nie: oporniki[18]. Pod apteką przy Puławskiej stała grupa zagrypionych, kaszlących, zakatarzonych, okutanych w chustki i szaliki klientów, szukających pomocy przeciw dojmującemu zimnu i przejmującej dreszczem wilgoci. Król Zygmunt III Waza kurczył

18 Za taki niewinny – wydawałoby się – gest, w opisywanym czasie można było stracić życie. Tak właśnie stało się z dziewiętnastoletnim Piotrem Majchrzakiem, uczniem Technikum Ogrodniczego w Poznaniu, który pobity śmiertelnie przez funkcjonariuszy ZOMO zmarł w szpitalu 18 maja 1982 roku na skutek rozległych obrażeń czaszki, nie odzyskawszy przytomności. Śledztwo umorzono „z powodu niewykrycia sprawców przestępstwa". Sejmowa Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności MSW uznała w swoim raporcie z września 1991 roku, iż zostało ono umorzone wbrew temu, co wynikało z materiału dowodowego.

się na swej kolumnie na Placu Zamkowym, jakby chciał odeprzeć napierający chłód. Wartownicy przed gmachem Urzędu Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich zastygli w czujnym bezruchu; tylko ich rzęsy poruszały się bezgłośnie pod wielkimi czapkami. Na wznoszącym się niedaleko przystanku budynku widniał wypisany wielkimi literami białą farbą napis: „WRON WON ZA DON". Tak wyglądała Warszawa, tak wyglądała cała Polska w trzecim miesiącu rządów wojskowej junty, która przyjęła dumną nazwę Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Grudniowe niebo płakało nad polską ziemią, nad głodnym i kostniejącym z zimna miastem, gdzie życie ledwie tliło się w oczekiwaniu na zbliżającą się wiosnę. „Zima wasza, wiosna nasza" – skandowano na opozycyjnych demonstracjach po 13 grudnia. Na miejskim komitecie partii w pobliskim Grodzisku Mazowieckim pojawiła się plama czerwonego atramentu. Zrywano obwieszczenia o stanie wojennym albo zostawiano na nich stempel – odcisk buta...

Tramwaj linii 24, do którego wsiadł sierżant Karos, ruszył z pętli na warszawskim Kole, jadąc w kierunku Śródmieścia. Sporo miejsc siedzących było wolnych, więc milicjant zajął jedno z nich. Na przystanku przy Obozowej podszedł do niego chłopak. Był niewysoki, delikatny, z dalszej odległości można go było wziąć za dziewczynę. Miał siedemnaście lat, nazywał się Robert Chechłacz i nosił pseudonim „Grot". W ręce trzymał pistolet.

– Ręce do góry – powiedział cicho.

Funkcjonariusz tylko się roześmiał. Odwrócił głowę do okna. Ostatni żołnierz zbrojnego podziemia zginął prawie dwadzieścia lat temu, a szczupły dzieciak nie wyglądał bynajmniej jak sławny Józef Franczak pseudonim „Lalek"[19].

– Ręce do góry! – rzekł Chechłacz, tym razem głośno.

Będąc już w szpitalu na Komarowa, milicjant opisywał dalszy ciąg wypadków w sposób następujący:

19 Józef Franczak ps. „Lalek" (1918-1963), sierżant WP, żołnierz ZWZ-AK, działał w konspiracji przez 24 lata. Zginął od kul ZOMO 21 października 1963 r., osiemnaście lat po zakończeniu II wojny światowej. Był ostatnim „Żołnierzem Wyklętym", których święto obchodzone jest obecnie 1 marca.

– Ja mówię „ty, synek” do niego. I złapałem go za tę broń.

– Wyszarpnąłem mu pistolet z ręki, odskoczyłem około dwa metry do tyłu – zeznawał później „Grot”. – On wstał i ruszył na mnie. Powiedziałem dwa razy: „stój!”

Karos: Mówię: „Synu, dawaj to”. I go za ten pistolet szybko.

„Grot”: Chciał mi go wyrwać, pociągając w swym kierunku.

Karos: I zbiłem go w bok, bo patrzę, a strzelał mi tak na wysokości klatki, bo on z dołu strzelał. I to mnie uratowało, bo bym dostał w serce.

„Grot”: Szarpnięty, poleciałem na niego. Prostuję, chciałem się cofnąć, i wtedy wystrzeliłem.

Karos: Złapałem go za tę broń, zaczęliśmy się... Ale miał tam takiego pomocnika [Tomasz Łupanow ps. „Kowacz”]. I tamci szarpnęli, i poszedł strzał. Później upadłem, jeszcze wyciągnąłem broń na leżący... Jeszcze go chciałem... tego, ale tyle ludzi było i już się nie zdecydowałem.

Motorniczy usłyszał coś, co brzmiało jak wystrzał z korkowca. Potem krzyk. Sądził, że nawaliły bezpieczniki i któryś z pasażerów się poparzył.

Zdzisława Karosa zdołano przesłuchać tylko raz, przez pięć minut. Na tyle zgodzili się lekarze z Centralnego Szpitala Klinicznego MSW przy ulicy Komarowa (dzisiaj przemianowanej ponownie na Wołoską). Pocisk, który go ugodził, przeszedł na wylot. Stwierdzono rozerwanie trzustki i prawej nerki z miedniczkami, dwie rany żołądka oraz rozległą ranę dwunastnicy. Trzydziestopięcioletni sierżant Karos zmarł pięć dni później, 23 lutego 1982 roku w wyniku powikłań będących następstwem zapalenia płuc. Zostawił żonę i dwoje dzieci. Pośmiertnie awansowano go do stopnia starszego sierżanta.

Portrety pamięciowe sprawców opublikowały wszystkie reżymowe media. „Sprawcy zabójstwa funkcjonariusza MO stanowią uzbrojoną niebezpieczną grupę bandycką, której działanie charakteryzuje bezkompromisowość i nieliczenie się z ofiarami – pisano. – Milicja Obywatelska prosi wszystkie osoby, które posiadają w tej sprawie informacje lub kojarzą

przedstawione rysopisy ze znanymi sobie osobami o zgłoszenie się osobiste lub telefoniczne do Komendy Stołecznej MO w Warszawie przy ulicy Nowolipie 2".

*

13 grudnia 1981 roku Wojciech Jaruzelski, generał w ciemnych okularach, próbując ratować za wszelką cenę rozsypujący się komunizm, rozpoczął wojnę z narodem[20]. W mroźną grudniową noc ruszyło do ataku 70 tysięcy żołnierzy, 30 tysięcy milicjantów i funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, 1750 czołgów, 1400 pojazdów opancerzonych i 500 wozów bojowych piechoty. Wywalano siekierami drzwi do mieszkań i wyciągano ludzi przemocą z domów. Pięć tysięcy osób zostało internowanych. W setkach zakładów pracy rozpoczęły się strajki. Ulicami chodziły nieforemne postacie w mundurach i hełmach. Grzały dłonie przy koksownikach, rozglądając się wokół z pogardą i nienawiścią.

Prawność dekretu, na mocy którego Rada Państwa wprowadziła w Polsce 13 grudnia 1981 roku stan wojenny została podważona już w pierwszym dniu po jego wprowadzeniu. 14 grudnia uczynili to Tadeusz Skrzypczak, Krzysztof Płeszka i Tomasz Studnicki – prawnicy z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dokonane przez nich opracowanie zawierało w gruncie rzeczy jeden dosyć oczywisty argument – mianowicie w ówczesnym stanie konstytucji Rada Państwa mogła wydawać dekrety tylko w okresie przerwy między sesjami Sejmu. Wtedy sesja Sejmu trwała, ergo Rada Państwa nie miała prawa wydawania dekretu.

20 W stanie wojennym krążył na temat generała następujący dowcip: „Kiedy Jaruzelski przestanie nosić ciemne okulary? Kiedy przyspawa Polskę do ZSRR". Prawdziwy powód, dla którego generał skrywał oczy za grubymi, czarnymi szkłami, był jednak zupełnie inny. Wraz z wybuchem wojny rodzina Jaruzelskich została zapakowana do bydlęcych wagonów i wywieziona na Syberię, na Ałtaj. W 1939 roku Wojciech Jaruzelski miał szesnaście lat. Po miesięcznej podróży czekała go ciężka praca przy wyrębie drzew w tajdze. Tam nabawił się tak zwanej śnieżnej ślepoty, która doskwierała mu już nieustannie. Stąd właśnie te ciemne okulary, które nieustannie nosił ze sobą. Po prostu, zbyt silne światło drażniło jego oczy.

Trybunał Konstytucyjny (w pełnym składzie) wypowiedział się na ten temat dopiero 30 lat później, w wyroku wydanym dnia 16 marca 2011 r. (sygn. akt K 35/08), z wniosku Rzecznika Praw Obywatelskich. Orzekł on mianowicie, że „Dekret z dnia 12 grudnia 1981 r. o stanie wojennym oraz Dekret z dnia 12 grudnia 1981 r. o postępowaniach szczególnych w sprawach o przestępstwa i wykroczenia w czasie obowiązywania stanu wojennego są niezgodne z art. 7 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej w związku z art. 31 ust. 1 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz z art. 15 ust. 1 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, otwartego do podpisu w Nowym Jorku dnia 19 grudnia 1966 roku"). Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego oznacza, że wypowiedział się on merytorycznie wyłącznie w kwestii aktów normatywnych dotyczących funkcjonowania państwa podczas obowiązywania stanu wojennego, uznając ich wydanie przez Radę Państwa w okresie sesji Sejmu jako naruszenie konstytucyjnej zasady legalizmu. Trybunał nie wypowiedział się natomiast w sprawie samego aktu wprowadzenia stanu wojennego przez Radę Państwa, ponieważ „Uchwała z dnia 12 grudnia 1981 r. w sprawie wprowadzenia stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo Państwa (Dz. U. Nr 29, poz. 155) była dyskrecjonalnym aktem stosowania prawa, a przez to nie mieści się w kognicji polskiego sądu konstytucyjnego (art. 188 Konstytucji)".

Do dzisiaj żadna z osób, które składały podpis pod dekretem o wprowadzeniu stanu wojennego czy też weszła w skład niekonstytucyjnej Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, nie poniosła z tego powodu żadnej odpowiedzialności.

„Niech nie poleje się ani jedna kropla polskiej krwi" – mówiło to bydlę w czarnych szkłach na nosie, a w trzy dni później, na katowickiej kopalni „Wujek" milicjanci strzelali do ludzi jak do kaczek. Lista śmiertelnych ofiar stanu wojennego jest zresztą dużo dłuższa. Obejmuje ponad sto nazwisk. A poranionych i ciężko pobitych ilu? Tego nikt nie będzie w stanie zliczyć. A skrzywdzonych w inny sposób? A rozwój ekonomiczny kraju

cofnięty pięćdziesiąt lat do tyłu, którego nie odrobi kilka następnych pokoleń?

Równo z uderzeniem namiestników Moskwy w polski naród, narodził się tez opór. „Pisma podziemne, w zdecydowanej większości propagowały wersję walki bez użycia przemocy – czytamy w artykule Sławomira Stalmacha Stan wojenny w Polsce – o krok od terroryzmu. – W Tygodniku Wojennym napisano: «Nie wolno podejmować oporu czynnego, który mógłby spowodować przelew krwi.(…) należy poszukiwać rozwiązań pociągających za sobą najmniejsze koszty społeczne, widząc, że bezczynność musi nieuchronnie prowadzić do spontanicznego tworzenia się grup terrorystycznych, do niekontrolowanego wybuchu społecznego gniewu, w efekcie do ogólnonarodowej katastrofy». Wygrała strategia walki bez użycia przemocy, choć wówczas mało kto w ogóle znał to pojęcie. Spontanicznie zaczęto wykorzystywać pełen arsenał tej wyjątkowej sztuki walki. Były więc oczywiście manifestacje, strajki, protesty i bojkoty. W pierwszych dniach stanu wojennego niektórzy oddawali legitymacje partyjne i odznaczenia państwowe. Wieczorami, w porze wiadomości telewizyjnych ludzie spacerowali a telewizory wystawiali ekranem do okien. Pod koniec mrocznego okresu lat 80. zrodził się ruch Pomarańczowej Alternatywy, który parodią i absurdem powalił do reszty peerelowski reżim.

(...) Niektórzy odsyłali do drukarni książki Wojciecha Żukrowskiego, bo ten oficjalnie popierał wprowadzenie stanu wojennego. Inni bojkotowali spektakle teatralne, w których grali zwolennicy reżimu. Nawet uczniowie, np. ze stołecznego Liceum im. S. Batorego, stosowali tzw. przerwy ciszy, polegające na powstrzymywaniu się od rozmów w czasie pauz. Zdarzało się, że uczniowie odmawiali wzięcia udziału w swoich studniówkach. Powstała poczta Solidarności, która wydawała własne znaczki itd.

Na łamach pism podziemnych zaczęto publikować instrukcje postępowania, jak prowadzić opór non-violence. Zbigniew Bujak pisał w *Tygodniku Wojennym*: «Każdy członek Związku na co dzień nosi znaczek lub opornik. W ten sposób manifestujemy, że

wciąż należymy do Solidarności. Każdy członek Związku w środę bojkotuje prasę. Niech zalegające w kioskach gazety manifestują nasz sprzeciw wobec rządów WRON. Każdy członek Związku gasi światło 13 każdego miesiąca między 21 a 21.30. W ten sposób manifestujemy nasze żądanie zniesienia stanu wojennego. Każdy członek Związku przerywa na minutę pracę 13 każdego miesiąca o godz. 12.00. Chwilą ciszy czcimy pamięć tych, którzy polegli w grudniu 81 r.»”

*

Ale nie wszyscy zgadzali się z tą „pokojową drogą”. Ktoś powiedział kiedyś, że gdy uczciwi i mądrzy sprawują rządy, prostacy i głupcy ładu przestrzegają. Kiedy zaś prostacy i głupcy rządzą, uczciwi i mądrzy stają się buntownikami. W podziemiu zaczęły powstawać również grupy i organizacje zapaleńców, których celem miał być aktywny opór przeciwko władzy. Jednymi z takich buntowników była grupa młodzieży z podwarszawskiego Grodziska Mazowieckiego. Młodzi ludzie nie zaakceptowali biernego oporu przeciwko totalitarnej władzy. Chcieli barykad, chcieli się bić... Z typowo młodzieńczą brawurą i odwagą chcieli walczyć z komuną, stanowić zaczyn kolejnego powstania narodowego. Pragnęli być gotowi na godzinę „W”. Wiedzieli tylko, że władza wypowiedziała narodowi wojnę. I że w tej sytuacji nie można pozostać biernym. Dziadek jednego z nich zginął w Katyniu, w pozostałych rodzinach przechowywano opowieści o metodach walki zbrojnej z okupantem.

Siły Zbrojne Polski Podziemnej, czyli konspiracyjna organizacja kilku nastolatków, powstała już w pierwszych dniach stanu wojennego. Założył ją w Grodzisku Mazowieckim dwudziestoczteroletni student historii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Stanisław Matejczuk pseudonim „Student” oraz dwaj miejscowi licealiści: siedemnastoletni Robert Chechłacz i o rok starszy Tomasz Łupanow. Potem dołączyli dalsi, w sumie około trzydziestu osób. Chłopcy i dziewczęta, którzy dotąd kopali razem piłkę, uczyli się, bawili i chodzili do kina „Wolność”, teraz szeptem przekazywali sobie

wieść: „Powstaje ruch oporu. Chcesz należeć?" W jednej chwili wszyscy stali się dorosłymi. Były to lata, kiedy dojrzewało się szybko, a dzieci, które ledwo odrosły od ziemi, miały już spojrzenie starych ludzi.

Swego rodzaju opieką objął grupę Sylwester Zych, trzydziestojednoletni katolicki ksiądz z parafii św. Anny w Grodzisku, który często zapraszał ich do swojej plebanii, gdzie urządzali konspiracyjne zebrania. Przyjął pseudonim „Anty", od słowa „antykomunistyczny", nie pałał bowiem specjalną sympatią do tego systemu, będącego zaprzeczeniem wszystkich wartości ludzkich i bożych.

Ksiądz miał znakomity kontakt z młodzieżą, szybko przechodził na „ty" i traktował ich po partnersku. Odmówił jednak formalnego członkostwa w grupie, widząc siebie raczej w roli moralnego przewodnika. Jak tłumaczył później: „Jako ksiądz czułem się zobowiązany udzielić im pomocy i schronienia". Był jednak bardzo zaniepokojony aktywnością swoich podopiecznych i olbrzymim ryzykiem, które podjęli. W późniejszym czasie duchowny przyznawał, że nie wierzył w te najbardziej śmiałe plany. Odradzał zresztą odbijanie internowanych i przestrzegał przed rozlewem krwi, starał się hamować „gorące głowy". Zgodził się jednak ich zaprzysiąc:

Przysięgam Bogu Wszechmogącemu i Wam Bracia i Siostry, że będę bronił Ojczyzny mojej, Polski, przed komunistycznym okupantem do ostatniej kropli krwi mojej, do ostatniego tchu. Przysięgam dochować tajemnicy swojej organizacji bojowej. A od złożonego przyrzeczenia zwolnić mnie może tylko śmierć. Tak mi dopomóż Bóg".

Początkowo zajmowali się jedynie roznoszeniem solidarnościowych ulotek. Matejczuk, pseudonim „Student", poradził członkom grupy zorganizować się w konspiracyjne piątki, przybrać pseudonimy i prowadzić działania wywiadowcze, propagandowe oraz małego sabotażu. Wszystko według wzorców wypracowanych kilkadziesiąt lat wcześniej przez Armię Krajową i Szare Szeregi. Mówiono o wprowadzeniu metod Kedywu, takich jak na przykład sypanie cukru albo piasku

do baków wojskowych i policyjnych pojazdów.

W niedzielę, 17 stycznia 1983 roku, podczas pierwszej w stanie wojennym transmisji radiowej Mszy św. z warszawskiego kościoła św. Krzyża rozdali ludziom ulotki z nowym tekstem kolędy Bóg się rodzi.

Bóg się rodzi, a rodacy po więzieniach rozrzuceni
Bo marzyła im się Polska niepodległa na tej ziemi.
Solidarni i odważni górnik, rolnik i stoczniowiec.
Dziś składają do cię modły, daj nam wolność Panie Boże.

– Jak ludzie dostaną ulotki, to cały kraj usłyszy nową wersję – powiedział „Student".

Chłopcy weszli w trakcie Mszy, rozdawali powieloną kolędę oraz wiersz anonimowego autora *Do generała*:

Za słowa kłamstwem splugawione,
Za mundur bratnią krwią splamiony,
Za ręce siłą rozłączone,
Za Naród głodem umęczony,
Za oczy dziecka przerażone,
Obnoś swój triumf w partyjnej chwale
Naród dziękuje ci, generale.

Za ten wierszyk, w którym „zelżyli prezesa Rady Ministrów, czyli najwyższe organa", odpowiadali między innymi przed sądem w późniejszym procesie. Jedna ulotka do dzisiaj znajduje się w aktach. Zaraz po wyjściu z kościoła jakaś kobieta wręczyła ją milicjantowi. „Tak zwana wolna Polska uwolniła mnie z tego zarzutu – wspominał Tomasz Łupanow, «Kowacz». – Sędzia przeprowadził egzegezę. Uznał, że lżyłem tylko generała. Na szczęście nie skojarzył, że generał był wtedy premierem".

Gdyby poprzestali tylko na ulotkach i wierszykach, zapewne nigdy nie doszłoby do tragedii. Jednak w gorących głowach młodych ludzi zrodziła się wizja walki z bandycką władzą i chęć odbicia internowanych opozycjonistów z warszawskiej Białołęki.

Zdobyli nawet plany więzienia i okolic, ale brakowało im samochodów i broni. A tę zdobyć można było tylko w jeden sposób – rozbrajając na ulicy jakiegoś milicjanta lub żołnierza.

Początek zbrojnej działalności miał miejsce 2 lutego 1982 roku. Tego dnia, a raczej nocy, Robert Chechłacz i Tomasz Łupanow zdobyli pistolet TT[21], rozbrajając pijanego żołnierza Ludowego Wojska Polskiego Stanisława Paducha. Wysiadł z pociągu w Grodzisku, przy ulicy Engelsa zaczął sikać. Załatwili go za pomocą półkilowego odważnika umieszczonego w skarpecie. Kiedy zapinał rozporek, „Kowacz" złapał go za szyję, a „Grot" walnął w głowę zawiniętym w grubą skarpetę półkilowym odważnikiem.

„Żeby cokolwiek zrobić, potrzebna była broń – wspominał później Tomasz Łupanow. – Wiedzieliśmy, że trzeba ją zdobywać i gromadzić. Tylko jak? Spotkaliśmy pijanego żołnierza. Był na bani, w futrzanej czapie. Uderzenie tylko trochę go ogłuszyło, próbował sięgnąć po broń. Przewróciliśmy go, odpięli pas, i w nogi".

Marzyli o zdobyciu „kałacha", ale to nie było łatwe. Dokładnie dwa tygodnie później, terroryzując zdobytym pistoletem starszego chorążego Mariana Mirkowskiego w autobusie linii 187, Chechłacz i Łupanow odebrali mu przy ulicy Wery Kostrzewy służbową broń. Szczęk repetowanej spluwy i słowa: „w imieniu Polski Podziemnej", zrobiły wielkie wrażenie na pozostałych pasażerach. I o to właśnie chodziło. Student powiedział, że powinni rozbrajać w autobusach lub w tramwajach. Chodziło o demonstrację siły, o narodowe morale. Żeby ludzie wiedzieli, że jest organizacja zbrojna, która w ich imieniu walczy z komuną.

„I drugie rozbrojenie poszło dziecinnie łatwo – opowiadał «Kowacz». – (...) Kiedy wymierzyłem w tego żołnierza z pistoletu i kazałem mu wstać, zrobił się zielony, ręce mu opadły, nie był w stanie unieść się z siedzenia. Robert go podniósł, odpiął pas z pistoletem i oświadczył, że z rozkazu majora «Groma» Siły

21 Tulski Tokariew, popularnie zwany „tetetką" lub „tetenką", samopowtarzalny pistolet prod. radzieckiej kalibru 7,62 mm., wzór 1933.

Zbrojne Polski Podziemnej rekwirują mu broń". Po tej rozbrajance byliśmy pewni, że każdy człowiek, któremu się przyłoży do brzucha pistolet, musi reagować tak samo.

Kolejna, 18 lutego w warszawskim tramwaju, zakończyła się tragicznie. Poprzedniej nocy Chechłaczowi śniło się, że zabił człowieka. We śnie nie widział jego twarzy, tylko mundur. Przeraził się tym nocnym koszmarem. „Powiedział mi o tym śnie – zwierzył się dziennikarzowi Tomasz Łupanow. – Gdy chodziliśmy na akcję, raz ja miałem rozbrajać, a raz on. Wtedy na niego wypadało. Nie jestem specjalnie przesądny, ale zaproponowałem, że go zastąpię. Nie zgodził się (...). Karos nie powinien był zginąć, choć wtedy każdy krawężnik mógł zachować się jak najgorszy ubek. Jego niefart, że miał mundur. Część Karosa istnieje we mnie. Wtedy byłem gnojkiem. Ale teraz też mam żonę i dwoje dzieci. Po części żyję jego życiem. Odsiedziałem sześć lat bez kilku tygodni. Fachowcy mówią, że po sześciu latach w pudle człowiek wariuje. Więc może nie zwariowałem. Rozumiem, że Solidarność nie mogła się nade mną głośno użalać. Powinni nas publicznie napiętnować, ale po cichu jakoś podać rękę. Nie byliśmy zbrodniarzami. Tak pomagają sobie nawet byli ubecy. Jeśli komuś jestem coś winien, to żonie i dzieciom Karosa. Tego długu nie uregulуję. Gdyby Karos oddał broń, byłyby następne rozbrajanki. Kolejny milicjant lub żołnierz może by strzelił. Inaczej niż Karos. Więc może uratował mi życie..."

Bezpośrednim wykonawcom akcji towarzyszyło jeszcze dwoje innych siedemnastoletnich ludzi, Krzysiek Michalak i Anka Pyszczak. Od miesiąca byli parą. Plan był następujący: Rozbraja „Grot", „Kowacz" obstawia, zdobytą broń zabiera Krzysiek, Anka przewozi ją do Grodziska. Krążyli po mieście od wczesnego rana. Wypatrzyli tylko jednego samotnego żołnierza, ale ten był z dzieckiem. Zrezygnowali. Zamierzali już wracać do domu. Wtedy dostrzegli Karosa. Miał broń i był sam. Wydawał się wprost idealnym celem. Do tramwaju linii 24 wskoczyli w ostatniej chwili...

*

Opozycja „Solidarności" była podzielona w sprawie zabójstwa milicjanta. Spora część działaczy potępiła czyn, uważając, że ustrój należy zmienić metodą pokojową, a nie siłą. Poinformowany o tym, co się stało, ksiądz Zych zgodził się przyjąć na przechowanie dwa zdobyczne pistolety, które ukrył w kościelnym głośniku. Jak się miało wkrótce okazać, niewiele to pomogło. Komunistyczny aparat represji zareagował niezwykle szybko i stanowczo, rozpoczynając natychmiast szeroko zakrojone poszukiwania sprawców. W wyjaśnienie sprawy zaangażowane zostały olbrzymie środki i najlepsi specjaliści.

Nieświadomi chyba do końca rozpętanej burzy członkowie Powstańczej Armii Krajowej ćwiczyli tymczasem strzelanie ze zdobycznych pistoletów. Celowali w garnki ustawione na psiej budzie lub szli postrzelać na łąkę zwaną Szwedzkie Górki. Dyskutowali o sprawie, urządzając długie „nasiadówki" u księdza Zycha. W nocy z 4 na 5 marca wszyscy członkowie organizacji zostali aresztowani. „O roli księdza Zycha dowiedzieliśmy się z donosu" – opowiadał jeden z uczestniczących w akcji funkcjonariuszy.

„Tygodnik Wojenny" – jedno z najważniejszych pism stanu wojennego – odnotował to zdarzenie, nie znając jeszcze szczegółów, w stałej rubryce pod nazwą „Terror": „18.02, w godzinach popołudniowych odbywały się na Woli łapanki, prawdopodobnie związane z zamachem na milicjanta (...). Grodzisk Maz. Aresztowano w związku z zabójstwem milicjanta 4 chłopców (17-23 l.) i księdza Sylwestra Zycha (31 l.) z parafii w Grodzisku (aresztowanie 3-4 .03 w nocy). Ks. ciężko pobito na komendzie MO, następnie powiedział on, gdzie zamurował dany na przechowanie przez chłopców pistolet. ZOMOwcy (ok. 100), którzy wtargnęli w nocy na plebanię ukradli 4 birety, sutannę i 50 tys. zł".

Komunistyczna propaganda niemalże oszalała z radości. Od momentu rozpętania wojny z własnym narodem i krwawego stłumienia „Solidarności" minęło już przeszło dwa miesiące. Przez cały ten okres usiłowano wmówić ludziom, że

„Solidarność” planowała przejąć zbrojnie władzę w kraju i krwawo rozliczyć się z rządzącymi. Komuniści nie mogli jednak przedstawić na to żadnych wiarygodnych dowodów. I oto wreszcie propagandziści otrzymali wymarzony prezent: opozycja tak naprawdę dąży do „przelewu krwi bratniej”. W dodatku mogli odtąd trąbić na prawo i lewo, że po stronie „utrwalaczy ładu i porządku” padła pierwsza, „zamordowana bestialsko” ofiara. No i jeszcze zamieszany w całą sprawę ksiądz katolicki, którego wykreowano na przywódcę grupy.

W jednej chwili chłopcy z Grodziska Mazowieckiego oraz ich opiekun duchowy, ksiądz Sylwester Zych, stali się groźnymi terrorystami, zaś brutalny reżim ustawił się w roli ofiary. Telewizja, która wcześniej z detalami opisywała wielogodzinną operację sierżanta Karosa, rozdmuchała sprawę „organizacji przestępczej z Grodziska” do niewyobrażalnych rozmiarów. Wreszcie dostała pretekst, by uzasadnić wprowadzenie w kraju terroru. Im silniejsza była propaganda, tym wymowniejsze milczenie podziemia. I choć mało kto już wówczas wierzył w kłamstwa wygłaszane przez dziennikarzy ubranych w wojskowe mundury, podziemna „Solidarność” wolała odciąć się od poszukiwanych listem gończym „agresorów”. To, co zrobili było bowiem zaprzeczeniem fundamentalnej zasady, że prawo do przemocy ma w stanie wojennym tylko władza komunistyczna.

We wszystkich wiadomościach na plan pierwszy wysuwano informację, że założyciel i najstarszy członek grupy, znany z antykomunistycznych przekonań Stanisław Matejczuk jest studentem K a t o l i c k i e g o Uniwersytetu Lubelskiego i działaczem Niezależnego Zrzeszenia Studentów. (Wcześniej, za działalność opozycyjną wyrzucono go z Politechniki Śląskiej w Gliwicach).

Tymczasem żaden z członków organizacji nie należał do „Solidarności”. Zafascynowani Legionami Polskimi i Kamieniami na szaniec Aleksandra Kamińskiego młodzi spiskowcy mieli tylko głowy pełne romantycznych ideałów i utopijne plany walki z reżimem. Zabójstwa sierżanta Karosa nigdy nie było planowane. Do tragedii doszło w wyniku nieszczęśliwego

wypadku i zamieszania. A ksiądz Sylwester Zych nie był żadnym przywódcą „szajki". O akcjach dowiadywał się po fakcie, podczas cotygodniowych spotkań na plebanii. Tych zresztą odbyło się zaledwie pięć.

A potem zaczęło się brutalne śledztwo. Jak w latach pięćdziesiątych wobec żołnierzy wyklętych. Zeznania wymuszane kopniakiem w krocze, pałką. Bicie po twarzy, straszenie śmiercią, przystawianie do głów odbezpieczonych pistoletów, zatrzaskiwanie palców w szufladzie... Śledczy otwierali okna i mówili o „nieszczęśliwych wypadkach". Jeszcze w domu w Grodzisku, podczas aresztowania funkcjonariusze pobili ciężko siostrę „Studenta", piętnastoletnią Ewę Matejczuk.

„Przyszli do mnie, żebym dała ręcznik, bo córce krew cieknie – wspominała matka dziewczyny, pani Leokadia Matejczuk. – Pod eskortą wprowadzili mnie do biblioteki. Ewa klęczała na podłodze. Krew lała się jej z nosa i ucha. Krzyczałam, żeby ją zostawili. Córka błagała, żebym wyszła... Później okazało się, że nos miała złamany w kilku miejscach..."

„Podczas rewizji zabrano wiele wydawnictw niezależnych – opowiada Stanisław Matejczuk. – Dom moich rodziców wyglądał jak po przejściu ordy tatarskiej, a «dzielni funkcjonariusze» z Pałacu Mostowskich w Warszawie rabowali wszystko, co miało dla nich jakąkolwiek wartość (pieniądze, biżuteria etc.). Mojego Ojca spałowano jak nakazywał komunistyczny savoir vivre, zaś siostrze połamano nos w wielu miejscach w charakterze «zaproszenia do rozmowy», zresztą nieudanego".

Zaświadczenia ze szkół, wyniki obserwacji psychiatrycznej, protokoły wizji lokalnych, konfrontacji, szczegółowe rejestry zarekwirowanych przedmiotów (z pistoletami na czele), oddalane wszelkie wnioski adwokatów. Podejrzanych poniżano i torturowano na wszelkie sposoby, stosowano nich groźby i szantaże.

– Syn był torturowany – twierdzi pani Jadwiga Chechłacz. – Są dziś na to dowody w IPN. Mnie powiedział później: „mamo, boję się tylko o swoje nerki i o to, czy jeszcze będę mógł mieć dzieci".

Robert: „W Komendzie Stołecznej otrzymałem bardzo dużo

uderzeń w głowę, tułów i plecy (...) Biło mnie rękami i kopało około dwudziestu osób". (karta 2 103 „odwrót" akt sprawy SoW 539/82).

Wieści o torturowaniu Matejczuka przeciekły na zewnątrz dzięki więziennej dentystce. Warszawa usłyszała o tym w pierwszej, historycznej audycji Radia „Solidarność" w kwietniu 1982 roku.

„Byłem bity niemal przez całe dwadzieścia cztery godziny po aresztowaniu – czytamy w przemyconym z więzienia grypsie. – (...). Jeden porucznik ZOMO bił mnie po karku kolbą pistoletu. Potem, w czasie przesłuchań, butem miażdżyli mi palce u nóg. Przesłuchania trwały do trzeciej nad ranem (...) Prócz przyjemności takich samych, jak przed domem, za paznokcie wbijano mi igły. Bicie na Mostowskich różniło się tym, że ręce miałem skute z tyłu poza oparciem krzesła (...) Dźgali mnie z boku i trafiali w nerw. Było to piekielnie bolesne, aż gwiazdy stawały człowiekowi przed oczyma (...) Byłem też bity po plecach rozciągnięty na biurku (...) Bili mnie pałką owiniętą w gazetę zapowiadając, że z nerek już pożytku mieć nie będę".

– U nas w resorcie takich spraw się nie zapomina ani nie wybacza... – powiedział księdzu Zychowi podczas przesłuchania prokurator Janusz Obara.

„Podczas zaznajamiania się z kompletem akt oskarżenia, tuż przed naszym procesem, natknąłem się na wiersz, napisany przez księdza Zycha w celi na Rakowieckiej – opowiada Stanisław Matejczuk. – Zapamiętałem jego ostatnią zwrotkę:

Kiedy wyjdę ocalały, wezmę sztandar w ręce swe,
Na nim będzie Orzeł Biały i mojego Związku znak.
Na wolności Tobie, Boże, zabrzmi ma zwycięska pieśń
Orzeł bowiem wszystko może – nawet WRONie skręcić łeb!

Nie muszę dodawać, z jak wielką wściekłością reżimu spotkały się te proste słowa, które zostały dołączone do dowodów w sprawie jako materiał obciążający. Największą chyba wściekłość naszych oprawców wzbudzał fakt, że w ogóle żyjemy. W krótkim

okresie dwóch tygodni, w których odbywał się nasz proces, byliśmy poddawani wielu szykanom. A to każdego dnia przy wyprowadzaniu nas z cel do «budy», którą wieziono nas na salę sądową byliśmy rozbierani do naga na malutkim skrawku podłogi między kratami wyjściowymi z II pawilonu, kazano nam robić przysiady ku uciesze obserwujących nas konwojentów i więźniów, pracujących na korytarzu. Dowódca konwoju zerwał mi z szyi różaniec, który następnie doszczętnie porwał – zebrałem jego paciorki z betonowej posadzki i starałem się potem w celi złożyć go zębami, ale – niestety – kilka paciorków zginęło. Podczas rozprawy na pytanie mecenasa Siły-Nowickiego (był obrońcą zarówno Sylwka jak i moim) przewodniczący składu sędziowskiego płk Monarcha odpowiedział, że: «...różaniec jest narzędziem niebezpiecznym, na którym podejrzany Matejczuk mógłby się powiesić»".

*

Główny proces rozpoczął się 23 sierpnia 1982 roku przed Sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Na ławie oskarżonych zasiadło łącznie osiem osób: Robert Chechłacz ps. „Grot", Tomasz Łupanow – „Kowacz", Stanisław Matejczuk – „Student", ksiądz Sylwester Zych – „Anty", Tadeusz Własczczuk, Jarosław Węcławski, Tomasz Krekora – „Mścisław" i Andrzej Hybik – „Świstak". Księdzu zarzucano nie tylko przechowywanie broni bez zezwolenia, ale także „przynależność do nielegalnej organizacji zbrojnej". Prokurator określił go mianem „wroga ustroju i władzy ludowej". Chechłacza i Łupano – Wojska Polskiego. Matejczuka o to, że „w okresie od 16 stycznia 1982 r. do dnia 4 marca 1982 r. założył a następnie kierował zbrojnym związkiem mającym na celu gromadzenie broni palnej i dokonywanie innych przestępstw godzących w bezpieczeństwo i porządek publiczny".

Rozprawie przewodniczył sędzia ppłk Władysław Monarcha, wyjątkowa gnida, ten sam, który skazał później (23 maja 1984 r.) na karę śmierci pułkownika Ryszarda Kuklińskiego. Mecenas Edward Wende: „Pod względem przestrzegania procedury i

praw stron to był normalny proces. Tylko przewodniczący sądu okazywał oskarżonym swoją bezgraniczną nienawiść".

Jako drugi sędzia zawodowy wystąpił por. Jan Malinowski. Ławnicy: por. Jan Chłopek, por. Józef Skauba i por. Marian Wybrańczyk. Oskarżali z ramienia Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Warszawie: kpt. Lech Dutkiewicz, por. Czesław Jarosławski i por. Janusz Obara.

Sąd nie miał litości dla – jak to ujął – członków nielegalnego związku zbrojnego. Chechłacz został skazany na 25 lat pozbawienia wolności. Uniknął kary śmierci tylko dlatego, że był niepełnoletni. Łupanow dostał 13 lat, Matejczuk 6, Własczczuk 2, ksiądz Zych 4. Sąd Najwyższy dołożył mu później dodatkowe dwa lata. Pozostali otrzymali równo po dwa lata w zawieszeniu na 5.

W innym postępowaniu karnym przed sądem dla nieletnich, zapadło łącznie czternaście wyroków. Skazani zostali między innymi: Marek Czarnecki ps. „Litwin", Józef Serwaciński – „Idealista", Anna Pyszczak, Agata Syrokomla – „Patrycja" (późniejsza żona Roberta Chechłacza) i Krzysztof Michalak. Jakoś trzeba było przecież ukarać dzieciaki roznoszące ulotki i nie chcące uznać generała Jaruzelskiego za swojego bohatera.

Skazanych nie objęły amnestie dotyczące więźniów politycznych; potraktowano ich jako więźniów kryminalnych. Dopiero w 1986 roku postanowiono im zmniejszyć kary. W zamian za skrócenie wyroków trzem z czterech morderców księdza Jerzego Popiełuszki. Wyszli dopiero, gdy zbliżał się Okrągły Stół, po interwencjach zachodnich dyplomatów.

„Solidarność" miała swoje struktury, Komitet Prymasowski, paczki, pomoc. Oni nie mieli niczego, żadnych dorosłych obok, wielu rodzin nie było stać na adwokata. Dlaczego wiosną 1982 roku zostali całkowicie opuszczeni przez struktury podziemnego państwa? „To był najtrudniejszy czas – wspominał Zbigniew Romaszewski. – Nie wiadomo było, jak się sytuacja w kraju rozwinie. Zewsząd płynęły naciski, by uspokajać ludzi i nie dopuścić do masowego odwetu". „Pamiętam te komentarze: «lepiej niech posiedzą, niżby miało dojść do rozlewu krwi»" –

dodała Zofia Romaszewska.

Milczała także polska hierarchia duchowna, na czele z prymasem, arcybiskupem Józefem Glempem. Jako jeden z nielicznych, głos w obronie księdza Zycha zabrał tylko jego przyjaciel, ówczesny wikary parafii św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej Władysław Trojanowski. Akurat budował tam kaplicę, co wzbudziło niezadowolenie Urzędu ds. Wyznań i Służby Bezpieczeństwa.

– Aresztowanie księdza Sylwestra w stanie wojennym poruszyło mnie najbardziej w sensie ogłoszonej argumentacji – opowiada ksiądz Trojanowski. – Zarzut, jakoby miał gromadzić amunicję i namawiać młodzież do rewolty przeciwko WRON-ie, czyli powołanej przez generał Jaruzelskiego Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego, uznałem od razu za absurdalny. Dlatego skrytykowałem w kazaniu postawione mu zarzuty. Uczyniłem to niezwłocznie, bo w pierwszą niedzielę po aresztowaniu Sylwka.

Zanim dzień zdążył się skończyć, ksiądz Trojanowski otrzymał wezwanie „do natychmiastowego stawiennictwa" w miejscowym komisariacie. Ale młody wikary nie miał najmniejszego zamiaru stawić się nie tylko „natychmiast", lecz w ogóle. W poniedziałek rano nawiedził go więc „opiekun" dekanatu z ramienia bezpieki.

„Nie odpowiadałem na pytania funkcjonariusza SB, tylko wygłosiłem mowę, która wyprowadziła go z równowagi. – wspomina ksiądz Trojanowski. – Przyjęło to formę wyartykułowanej groźby ubeka i sprowokowanie swoistego dialogu:

– Za takie postępowanie wsadzimy księdza do więzienia!

– Proszę bardzo. Zamykajcie.

– Ksiądz jest niereformowalny! Nie chce dać się nawrócić.

– Ja nie muszę się nawracać. Problem z nawróceniem ma pan, nie ja".

Ksiądz Trojanowski wspomina wizytę nieszczęsnego ubeka z nieskrywaną ironią:

– Narzucona przeze mnie konwencja rozmowy zirytowała funkcjonariusza bezpieki i pogubił się zupełnie. Nagle żachnął się i wyłączył magnetofony, którymi potajemnie nagrywał rozmowę.

Publiczne przywołanie aresztowanego kolegi dyktowało księdzu Władysławowi nie tylko serce, ale przekonanie wypływające z niekoniunkturalnej potrzeby i konieczności historycznej chwili: „Ogłoszenie stanu wojennego zastraszyło wielu ludzi. Nastrój klęski udzielił się także wielu kapłanom. Osobiście uważałem za swój obowiązek ujęcie się za księdzem Sylwestrem. Nie mogłem czekać, że wyręczą mnie nasi przełożeni".

Robert Chechłacz opuścił więzienie dopiero w 1989 roku, wyłącznie dzięki staraniom małżeństwa Zbigniewa i Zofii Romaszewskich.

„Byliśmy młodzi, praktycznie dzieciaki, ale każdy z nas chciał czegoś dokonać – twierdzi dzisiaj Andrzej Chybik. – Liczyliśmy się również z tym, że możemy zginąć, ale chcieliśmy pokazać przerażonym ludziom, że jest ktoś, kto podjął ryzyko".

*

Upłynęło kilka lat...

Umierał w bólach skompromitowany do ostatka komunizm. W lutym 1989 roku rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu. Wieczorami, w przerwach obrad, opozycjoniści wznosili toasty na cześć generała Kiszczaka, trzymając kieliszki w zaciśniętych pięściach.

Nagle wyparował gdzieś cały cynizm ówczesnej władzy, która chciała po prostu przedłużyć swe panowanie, jej bezwzględność i manipulatorską biegłość. 17 kwietnia ponownie zarejestrowano „Solidarność". W czerwcu odbyły się wolne wybory do senatu, a w sejmie opozycja uzyskała decyzją rządu 35% miejsc. 24 sierpnia Sejm powołał Tadeusza Mazowieckiego na urząd premiera. Wkrótce pan Tadeusz ogłosił „politykę grubej kreski", od której zaczęło się całe późniejsze zło. Ale na razie lud upijał się odzyskaną po latach wolnością. Kompozytorzy mogli wreszcie komponować, pisarze pisać, opozycjoniści oponować, a importerzy importować. Nawet złodzieje mogli kraść, byle tylko wiedzieli, z którymi politykami należy się podzielić.

Ksiądz Sylwester Zych wyszedł na wolność 10 października

1986 roku, kiedy wreszcie zastosowano wobec niego przepisy kolejnej amnestii. (Ustawa z dnia 17 lipca 1986 roku „o szczególnym postępowaniu wobec sprawców niektórych przestępstw".). Schorowany, ale nie złamany. „Więzienie brata nie złamało – mówi siostra księdza Alicja Zych-Krasieńko. – Powiedziałabym, że nawet przeciwnie. Wydawało mi się, że jest bardziej konsekwentny w swoim postępowaniu". Za kratami spędził dokładnie cztery lata, siedem miesięcy i pięć dni. Do 15 września więzienia i areszty opuściło wtedy 225 działaczy opozycji, co nie znaczy bynajmniej wszyscy. Na wolność wyszedł tym czasie również Stanisław Matejczuk, który tak wspominał te chwile:

„Pamiętam dzień 9 października 1986 roku i moje ostatnie widzenie więzienne z Rodzicami. Ojciec wszedł na salę widzeń uśmiechnięty jak nigdy, Matka zresztą też. Ojciec krótko powiedział: «Gratuluję Ci odzyskania wolności – przyjechaliśmy po Ciebie!» Patrzyłem na Ojca z obawą o jego zdrowie psychiczne – niczego nie rozumiałem. Bo przecież ani mnie ani księdza Zycha żadna komunistyczna amnestia nie obejmowała. Dopiero po chwili Ojciec mi wyjaśnił, że na podstawie postanowienia Prokuratora Generalnego PRL mamy być natychmiast wypuszczeni, a decyzja zapadła w kilka godzin po próbie rozmów gospodarczych delegacji PRL w Wiedniu z delegacją USA z Panami Schultzem i Bushem na czele. Delegacja USA po prostu wyszła z sali obrad na odpowiedź, że ksiądz Zych i ja jeszcze przebywamy w więzieniu. Następnego dnia Prokurator Generalny PRL wydał postanowienie o naszym uwolnieniu".

Już w czasie pierwszych przesłuchań w Pałacu Mostowskich strażnicy więzienni i funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa zapowiadali księdzu Zychowi, że mu nigdy nie darują i że zostanie zamordowany. „Nie od razu, bo byłoby to zbyt oczywiste, ale po jakimś czasie". To samo po osadzeniu w areszcie na Rakowieckiej. Karę pozbawienia wolności odbywał w Braniewie, jednym z najcięższych więzień w Polsce. Przetrzymywany był w bardzo ciężkich warunkach, ustawicznie poniżany i upokarzany, dręczony fizycznie i psychicznie.

Wielokrotnie karano go dyscyplinarnie: zakazem korespondencji, zakazem widzeń z rodziną, czy zakazem otrzymywania paczek żywnościowych. Dziewięć miesięcy spędził w izolatce, podejmował liczne głodówki, odmawiano mu nawet prawa do odprawiania Mszy świętej. Za podanie Komunii współwięźniowi został ukarany celą twardego łoża.

„Dajcie mi broń! – woła milicjantka na widok prowadzonego korytarzem księdza Zycha. – Dajcie mi pistolet! Zastrzelę klechę bez procesu!" – opowiadał świadek tego wydarzenia, dziennikarz „Rzeczpospolitej".

Oliwy do ognia dolał jeszcze „człowiek honoru" Czesław Kiszczak. Udzielając wywiadu tygodnikowi „Polityka" (24, 14.06.1986 r.), wbrew prawdzie powiedział między innymi, że „zabójstwa milicjanta Zdzisława Karosa dokonano przy pomocy księdza Sylwestra Zycha". To pomówienie, na jakie pozwolił sobie pierwszy milicjant PRL, odniosło za murami więzienia zwielokrotniony skutek. Klawisze pokazywali księdzu wywiad z generałem i przepowiadali mu w specyficznej konwencji przyszłość: „Widzisz, co minister o tobie mówi. Milicja tego Karosa ci nie daruje. Załatwią cię, chłopie, jak amen w pacierzu. Żeby nie robić nam w kiblu kłopotu, załatwią cię, jak stąd wyjdziesz".

Czteroosobową celę dzielił z księdzem między innymi Leszek Moczulski, znany działacz opozycji, współzałożyciel Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, założyciel i wieloletni przywódca Konfederacji Polski Niepodległej. „Pewnego razu strażnicy wywołali księdza Zycha na korytarz – wspomina Moczulski. – Powrócił do celi rozdygotany. Miał rozmowę z nieznanym funkcjonariuszem MSW, który powiedział bez ogródek: «Zostaniesz zamordowany, ale dopiero po odbyciu całej kary więzienia». Ksiądz Sylwester był przejęty groźbą i prosił, aby tę informację przekazać do odpowiedniej komórki KPN. Chociaż starałem się go uspokoić, wzmocnić psychicznie, to wcale się mu nie dziwiłem. Wiedzieliśmy, jak długie są ręce bezpieki". Informacje te Moczulski przekazał swemu obrońcy, mecenasowi Edwardowi Wende.

Jerzy Kawczyński z Elbląga, tymczasowo aresztowany za działalność konspiracyjną w stanie wojennym, poznał księdza Zycha w słynnym Pawilonie III Aresztu Śledczego w Warszawie. „Od 25 marca do początku lipca 1982 roku przebywaliśmy w jednej celi. – wspominał. – Ksiądz Sylwester opowiadał, że zarówno milicjanci w mundurach, jak i funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa w ubraniach cywilnych zapowiadali mu zemstę. Przełożeni wbijali im do głowy, że ksiądz jest winny śmierci sierżanta Karosa".

„Naczelnikiem braniewskiego więzienia był major Piotr Kościuczuk – relacjonował Antoni Grabarczyk. – To była bestia. Księdza Zycha specjalnie upatrzył sobie do dręczenia (...) Natychmiast rozpoczęliśmy straszną wojnę z kierownictwem więzienia o status więźniów politycznych. Sylwek włączył się w to. Klawisze próbowali go z nami skłócić, ale to się nie udało".

„Nigdy nie uważałam i nie uważam księdza Zycha za współodpowiedzialnego za śmierć mojego stryja i ojca chrzestnego" – napisała w liście otwartym do prymasa Józefa Glempa bratanica zabitego milicjanta, Iwona Sylwia Karos.

W wyniku pobytu w areszcie bardzo pogorszył się stan zdrowia księdza. Od pierwszych chwil na wolności był bombardowany anonimowymi telefonami z pogróżkami i plugawymi listami. „Skurwysynu, jak nie zaczniesz działać, to my cię załatwimy". „Niedługo zamkniemy ci mordę, klecho". „Módl się, módl, bo twoje dni są policzone".

Mimo prób zastraszania przez bezpiekę, ksiądz Sylwester Zych nadal jednak niewzruszenie głosił prawdę ze swojej ambony: „Wiem, że żyje się wam źle, przynajmniej wielu spośród was, że często do pierwszego brakuje pieniędzy (...) Mamy nieszczęście żyć w takim ustroju, który jest niereformowalny (...) Niektórzy z was, w tych ostatnich dniach, mieli odwagę powiedzieć: nie! Nie dla biedy. Nie dla zwariowanej ideologii... Z tymi ludźmi – ja, wasz kapłan – jestem solidarny".

Za tę prawdę miał już wkrótce zapłacić najwyższą cenę. Cenę życia.

Tylko nielicznych wtajemniczał w ciąg doznawanych niemalże

codziennie szykan. Chyba jednak przeczuwał, co się wydarzy, bo już 13 października 1987 roku ten trzydziestosiedmioletni zaledwie człowiek nagrał na taśmie magnetofonowej swój testament:

„Czuję, że zbliża się mój dzień – czas spotkania z Panem, który uczynił mnie swoim kapłanem... Dziękuję wszystkim (…), a zwłaszcza tym, którzy podali mi rękę, gdy byłem w więzieniu. Do nikogo nie czuję nienawiści, dla wszystkich chcę być bratem i kapłanem. Solidarnym sercem jestem ze wszystkimi, którzy jeszcze walczą, którzy dążą do Polski wolnej i niepodległej (…). Walczyłem, jak umiałem, walczyłem do końca, byłem w więzieniu, ale myślę, że Polsce trzeba dać więcej, trzeba dać siebie do końca – jak ksiądz Jerzy [Popiełuszko]"

Słowa, w których przepowiadał swoją bliską śmierć, uwieńczył dyspozycją: „Majątku nie posiadam. Myślę, że dobrze będzie, jak to, co jest w moim mieszkaniu, stanie się udziałem mojej Rodziny".

*

W nocy z 20 na 21 stycznia 1989 roku w swojej plebanii na Powązkach zginął zamordowany przez „nieznanych sprawców" siedemdziesięciopięcioletni ksiądz Stefan Niedzielak. Duchowny był kapelanem Armii Krajowej, współzałożycielem Rodziny Katyńskiej oraz inicjatorem wzniesienia Krzyża Katyńskiego na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Za swoją działalność niepodległościową był nieustannie nękany i szykanowany, otrzymywał listy i telefony z pogróżkami, bezpieka wielokrotnie podejmowała próby zastraszenia go, pobicia czy porwania. Zmarł najprawdopodobniej pobity śmiertelnie przez sprawcę dysponującego dużą siłą, który stosował ciosy karate.

W Zakładzie Medycyny Sądowej AM stwierdzono szereg zewnętrznych obrażeń w okolicy twarzy i głowy oraz złamanie kręgosłupa szyjnego, mimo to ówczesne ministerstwo spraw wewnętrznych wykluczało morderstwo. Sprawę śmierci kapłana umorzono 2 października 1990 roku, przyjmując wersję o śmiertelnym upadku z fotela. (Przedstawiono ją szczegółowo w

jednym z dalszych rozdziałów książki).

Kilka dni po pogrzebie księdza Niedzielaka, 30 stycznia 1989 roku, w mieszkaniu na plebanii w parafii Niepokalanego Serca Maryi na osiedlu Dojlidy w Białymstoku odnaleziono ciało księdza Stanisława Suchowolca. Był kapelanem białostockiej „Solidarności" i w przeszłości przyjaźnił się z księdzem Jerzym Popiełuszką. Po jego tragicznej śmierci założył Izbę Pamięci zamordowanego duchownego i opiekował się jego rodzicami.

Sekcja zwłok śp. księdza Suchowolca wykazała, że zgon nastąpił pomiędzy godziną drugą a czwartą w nocy, na skutek zatrucia tlenkiem węgla, spowodowanego pożarem niesprawnego pieca. Po przeprowadzonym śledztwie orzeczono nieszczęśliwy wypadek. Dochodzenie zakończyło się po kilku miesiącach umorzeniem z powodu braku znamion wskazujących na udział osób trzecich w zainicjowaniu pożaru.

W 1992 rozpoczęto w tej sprawie nowe śledztwo. Gospodyni parafii na Dojlidach zeznała, że w nocy z 29 na 30 stycznia 1989 widziała na plebanii trzy nieznane osoby: dwóch mężczyzn i kobietę. Słyszała ich przyciszone szepty i rozmowy. Około północy jako ostatnia widziała księdza żywego. Z ekspertyzy przeprowadzonej przez biegłych sądowych wynika, że w drewnianej podłodze wybito dziurę, przez którą od strony piwnicy wlano łatwopalną substancję. Jeden ze strażaków w śledztwie zeznał, że „w lewym dolnym rogu szyby okiennej widać było dziurę powstałą wskutek uderzenia ciężkim przedmiotem". Biegli weterynarze, zapoznając się ze zdjęciami z miejsca zbrodni, zauważyli, że z pyska psa ciekła krew. Ich zdaniem oznaczało to, że zwierzę zostało zatrute lub zabite. Białostocka prokuratura ogłosiła we wrześniu 1992 roku, że przyczyną pożaru w mieszkaniu, a w konsekwencji powodem śmierci księdza Stanisława Suchowolca, było podpalenie. W sierpniu 1993 roku z powodu nie ustalenia sprawców postępowanie umorzono.

Dla księdza Zycha były to wyraźne sygnały, że rzucane przez funkcjonariuszy zbrodniczego reżymu słowa o dokonaniu na nim zemsty nie były tylko czczą gadaniną. Towarzyszył zresztą

swemu przyjacielowi, księdzu Suchowolcowi w ostatniej ziemskiej drodze.

– Teraz esbecy wezmą się za mnie – powiedział żałobnikom w drodze powrotnej z pogrzebu do stolicy. – Nie pożyję długo.

– Nie martw się, Sylwek – pocieszali go przyjaciele. – Na pewno nic się nie stanie.

Nie wiedzieli, jak bardzo się mylili. Jak się wkrótce miało okazać, to ksiądz miał niestety rację.

Do bliskich przyjaciół księdza Zycha należał ksiądz Stanisław Małkowski. Sławny kapelan „Solidarności" przyznaje dziś, że nie zdawał sobie sprawy ze skali narastającego niebezpieczeństwa: „Zabójstwa księży Niedzielaka i Suchowolca obaj wiązaliśmy z działaniami tajnych służb. Teraz mam świadomość, że należało z tego wyciągnąć wnioski. Sylwek wypowiadał się zazwyczaj powściągliwie, bo należał do ludzi stroniących od rozgłosu, skrytych. Niemniej wiedziałem, że od wyjścia z więzienia był przygotowany do nagłej, niespodziewanej śmierci".

Sylwester Zych urodził się 19 maja 1950 roku w Ostrówku, niewielkiej miejscowości położonej w obecnym województwie mazowieckim, w powiecie wołomińskim, gmina Klembów. W latach 1924-1925 w Ostrówku mieszkała i pracowała w domu Aldony i Samuela Lipszyców w charakterze służącej Helena Kowalska, święta Faustyna[22].

Był najstarszym z trojga dzieci bardzo skromnej, ubogiej i pobożnej rodziny szewca Franciszka Zycha i Ireny z Ambroziewiczów. Następnie Sylwester zamieszkał w Lipinkach, gdzie przez kilka lat jego rodzice mozolnie budowali z pustaków mały domek. Wcześniej wszyscy mieszkali w jednej izbie. Chodził do szkół w Duczkach i Zielonce.

– Sylwek od dzieciaka nauczony był pomagać – wspominała

22 Do Ostrówka Helena Kowalska trafiła dzięki wsparciu ks. Jakuba Dąbrowskiego. Zarobione pieniądze w całości wpłacała jako swój posag dla Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. 1 sierpnia 1925 r. Helena Kowalska wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w Warszawie, przy ul. Żytniej. Przebywając w Ostrówku, zaskarbiła sobie miłość pracodawców i ich siedmiorga dzieci. Traktowana była jako członek rodziny. Obecnie mieści się tu Dom Św. Faustyny.

jego matka, Irena Zych. – Nikt go nie musiał gonić. Pomagał sam z siebie. Robił w polu. Pomagał mężowi na budowie tak gorliwie, że dostał przepukliny. Syn był taki, że jak była potrzeba, to i wyprał, a nawet ugotował obiad. Mąż zmarł, jak Sylwek miał lat szesnaście. Wziął wtedy na siebie jeszcze więcej ciężarów. Skończył szkołę zawodową w Zielonce. Marzył od wczesnego dzieciństwa, żeby być księdzem.

Skończył technikum elektryczne i po zdaniu matury, w wieku dwudziestu lat wstąpił do Wyższego Metropolitalnego Seminarium Duchownego św. Jana Chrzciciela w Warszawie. Wcześniej jednak został powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Trafił do szkoły podoficerskiej w Giżycku, skąd ze specjalnością kierowca czołgu został przeniesiony do jednostki we Włodawie. Po zaliczeniu wojska wrócił do seminarium, gdzie 5 czerwca 1977 roku otrzymał święcenia kapłańskie z rąk Prymasa Polski księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego. 12 czerwca, w kościele parafialnym w Duczkach odprawił Mszę świętą prymicyjną.

W działalności duszpasterskiej zajmował się głównie młodzieżą, z którą bardzo łatwo nawiązywał kontakt. Swoją pracę duszpastersko-katechetyczną rozpoczął w Czerniewicach koło Tomaszowa Mazowieckiego, potem pracował jako wikary w Stanisławowie nieopodal Mińska Mazowieckiego, Bedlnie koło Kutna oraz w Tłuszczu.

Po raz pierwszy naraził się reżimowi komunistycznemu, gdy w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zainicjował akcję wieszania krzyży w szkołach i przedszkolach w Tłuszczu. Ten odważny akt wiary, a zarazem braku pokory wobec władz, nie mógł pozostać bez wyraźnego odzewu. Do esbeckiego indeksu trafił wtedy z adnotacją: „niebezpieczny zwolennik krzyży".

25 maja 1981 roku rozpoczął pracę w parafii św. Anny w Grodzisku Mazowieckim, gdzie zastał go stan wojenny...

– Najstarsi parafianie zachowali w żywej pamięci księdza Sylwestra Zycha, który w trudnym czasie imponował postawą kapłańską i odwagą cywilną, miłością do Boga i Ojczyzny – mówi ksiądz dziekan Władysław Trojanowski z parafii Przemienienia

Pańskiego w Tłuszczu. – Relacjonowane świadectwa konweniują ze wspomnieniami sięgającymi i mojej młodości. Ksiądz Sylwester doszedł do naszego rocznika seminaryjnego na trzecim roku. Po powrocie z wojska. Pamiętam człowieka z natury zasadniczego, stanowczego, wyróżniającego się zapałem do nauki. Oczami wyobraźni widzę jego postać z książkami pod pachą albo ślęczącego nad książką. Żartowaliśmy nieraz, że jest przygotowany do egzaminu już rok wcześniej.

„Testator nie dzielił jakichś dóbr materialnych, bo ich nie posiadał – pisał o księdzu Zychu Zbigniew Branach. – Był człowiekiem niezwykle skromnym i ubogim. Miał dwie pary spodni, ze dwie, trzy koszule, jakieś buty, marynarkę, kurtkę i – nie licząc książek – bodajże nic więcej. Przyjaciele sugerują w jego przypadku testimonium pauperitatis – świadectwo ubóstwa (...)

Dał się poznać jako człowiek wyjątkowej skromności. Pamiętał swój rodowód. «Gdy miałem trochę wolnego czasu, siadałem na stołku obok ojca, który był szewcem, i pomagałem naprawiać buty – wspominał. – W siedemnastym roku życia poszedłem do pierwszej w życiu pracy. Za cztery złote dwadzieścia na godzinę, plus szkodliwe za naświetlenia, bo naprawialiśmy stacje radarowe». Przełożeni i parafianie, u których pracował, są zgodni: to prawdziwy ksiądz. Z powołania".

*

Prymas Józef Glemp przydzielił księdzu Zychowi funkcję kapelana Zgromadzenia Sióstr Rodziny Maryi w Warszawie Białołęce Dworskiej. Natychmiast też ksiądz Sylwester włączył się ponownie w działalność opozycyjną – został kapelanem Konfederacji Polski Niepodległej. Nigdy nie krył swojej antypatii do reżimu.

4 lutego 1989 odprawił mszę świętą przed III Kongresem KPN. W wychodzącym poza cenzurą piśmie „Jawniak" opublikował swoje wspomnienia więzienne. „Skromny, odważny – wspominał księdza z tego okresu Leszek Moczulski. – Występował jako kurier w poufnych sprawach KPN. Grożono mu śmiercią. Napadli

go i pobili nieznani osobnicy, zdaje się kilka razy". Relacje przyjaciół są podobne: „Poczciwy. Wielkoduszny. Ubogi. Ma jeden garnitur i dwie pary sportowych spodni. Żyje pod presją śmierci. W osaczeniu i strachu, ale się nie skarży. Nie chce robić z siebie męczennika".

„Syn po wyjściu z więzienia nie miał spokoju – relacjonowała pani Irena Zych. – Tropili go wszędzie. Po raz pierwszy pobili go w Zielonce po Mszy Świętej za Ojczyznę. Zbili i uciekli".

Barbara Gawór, lekarz Oddziału Neurochirurgii Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Warszawie, relacjonuje: „W maju 1989 roku uczestniczyłam w badaniu Sylwestra Zycha, którego poprzednio ani nie widziałam, ani nie znałam. Pacjent miał złamane dziesiąte żebro po stronie lewej. Wydawało się, że opłucna nie została uszkodzona. O ile sobie dobrze przypominam, na plecach na wysokości złamania, miał otarcie naskórka. Nie pamiętam, czy miał inne widoczne obrażenia. Ksiądz nie chciał mówić o okolicznościach, w jakich doznał urazu. Jak pamiętam – otrzymał środek przeciwbólowy i chyba został zabandażowany, lecz przy tym już nie byłam".

Pod koniec marca 1989 roku ksiądz Zych został w Warszawie napadnięty przez trzech niezidentyfikowanych nigdy mężczyzn. Wciągnęli go do bramy, obalili na ziemię i próbowali wlać mu przemocą wódkę do gardła. Napastników spłoszyła nadchodząca przypadkowo kobieta.

Kilka tygodni później otrzymał nominację na wikariusza parafii św. Jakuba w Skierniewicach. Przewiózł tam swój skromny dobytek i 5 lipca 1989 roku wyjechał na krótki urlop do Braniewa, do swego starszego przyjaciela, księdza prałata Tadeusza Brandysa, proboszcza parafii św. Katarzyny. Było już po obradach Okrągłego Stołu i pierwszych częściowo wolnych wyborach 4 czerwca. W trakcie tych obrad doszło do porozumienia władzy z częścią opozycji. Reszta działaczy „Solidarności" kwestionowała legalność tych obrad i domagała się między innymi ujawnienia konfidentów SB oraz rozliczenia komunistów za popełnione przez nich zbrodnie. I tę właśnie frakcję popierał ksiądz Sylwester Zych.

Codziennie rano o godzinie szóstej piętnaście ksiądz Zych odprawiał Mszę Świętą. 10 lipca spożył śniadanie w towarzystwie proboszcza, jego siostry i szwagra. Wszyscy narzekali na upał, na niebie nie było widać ani jednej chmurki, termometry wskazywały prawie 40 stopni w cieniu i właściciele saturatorów z popularną „gruźliczanką" zbijali kokosy. Mianem tym określano sprzedawaną na ulicy wodę sodową, ponieważ nalewano ją do tych samych, lekko tylko przepłukanych szklanek. Serwujące ją panie zwano natomiast „kacarkami", bo do picia takiego rarytasu skłonni byli najczęściej tylko mocno skacowani klienci.

Po śniadaniu, jeden z członków Rady Parafialnej, Kazimierz Gursztyn odwiózł księdza Sylwestra na przystań we Fromborku. Tam był widziany po raz ostatni. Chciał popłynąć statkiem na drugą stronę Zalewu Wiślanego, do Krynicy Morskiej. Jednak ani bileter na przystani, ani nikt z załogi czy pasażerów nie widział księdza na pokładzie, a przynajmniej nie zwrócił uwagi na jego obecność. Ubrany był (to ważne!) w koszulkę polo w pasy, z krótkim rękawem...

*

W nocy z 10 na 11 lipca 1989 roku około godziny 2.15 nad ranem, wracająca z dyskoteki grupa młodych ludzi znalazła na dworcu PKS w Krynicy Morskiej nieprzytomnego mężczyznę. Leżał. Czy też raczej półsiedział na ziemi, opierając się głową o budynek dworca, kilkaset metrów od klubu nocnego „Riviera". Lewą rękę miał uniesioną do góry i opartą na występie muru. Natychmiast zawiadomili pogotowie, ale przybyła na miejsce lekarka, Katarzyna Frysztak, mogła już tylko stwierdzić zgon. Ekipa pogotowia zwróciła uwagę na nietypową odzież denata, pasującą raczej do jesiennych chłodów niż panującego upału. „Przed zrobieniem zastrzyku wstrząsowego podwinęłam mu długi rękaw flanelowej koszuli" – zeznała sanitariuszka, Elżbieta Kobieska.

„Ja klęczałam w pobliżu głowy tego mężczyzny – zeznała z kolei doktor Frysztak. – Moja twarz znajdowała się mniej więcej w

odległości dwudziestu centymetrów od jego twarzy, na której nie widziałam jakichkolwiek śladów obrażeń. Gdyby były otarcia naskórka, z podbiegnięciami krwawymi, widziałabym".

Przybyły na miejsce patrol milicji sprawnie obszukał nieżyjącego. Nie znalazł żadnych dokumentów, ale w pobliskich krzakach sierżant Pekura natknął się na dowód osobisty na nazwisko Tadeusz Bogucki oraz na pustą butelkę po „Wytrawnej Szczecińskiej". Tożsamość ofiary wydawała się nie budzić wątpliwości, dopóki w elbląskim prosektorium, gdzie przewieziono ciało, nie pojawił się... właściciel dokumentu, Tadeusz Bogucki. Skreślone w księdze przyjęć nazwisko zastąpił zapis: NN. W aktach sprawy brak zdjęcia z wizerunkiem znalezionego na dworcu mężczyzny. Podobno prokurator zapomniał wydać polecenie jego wykonania...

Dwa dni później Andrzej Chmielnicki, pracujący na plebanii w Braniewie konserwator – elektryk, oraz wspomniany wcześniej nauczyciel Kazimierz Gursztyn rozpoznali w zmarłym księdza Sylwestra Zycha, którego zaginięcie w czasie urlopu zgłosił tymczasem ksiądz Tadeusz Brandys. Rozpoznanie nie było łatwe, bo twarz miał dokładnie zmasakrowaną...

Dokonujący identyfikacji zwrócili uwagę na spodnie, których rozmiar był stanowczo zbyt duży. Najbardziej dziwiła koszula nieboszczyka.

W dniu zaginięcia ksiądz Zych ubrany był – jak wspomniano wcześniej – w koszulkę polo z krótkimi rękawami. W prosektorium miał takież polo, widoczne na wykonanych tam zdjęciach. A przecież znaleziony na dworcu PKS w Krynicy mężczyzna, według zgodnej opinii zespołu reanimacyjnego miał na sobie flanelową koszulę z długim rękawem! Powstaje więc zasadnicze pytanie, kto go przebrał i po co? W swoim urlopowym ekwipunku ksiądz nie miał flanelowej koszuli. Nie miał w ogóle żadnej koszuli z długimi rękawami.

Pierwszą sekcję zwłok wykonał w Elblągu, jeszcze na anonimowym denacie, dwadzieścia sześć godzin po zgonie doktor Władysław Fitobór. Przeprowadzający ją anatomopatolog nie zauważył złamanych czterech żeber... W posekcyjnym

protokole brak wagi ciała zmarłego. Nie podano również przyczyny zgonu! Wymienionymi uchybieniami nie przejął się też prowadzący śledztwo prokurator Wojciech Mazurek, zastępca szefa Prokuratury Rejonowej w Elblągu.

Na skutek protestów pełnomocników rodziny zmarłego, podjął jednak decyzję o przeprowadzeniu powtórnej sekcji. Dokonał jej 14 lipca w Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Gdańsku zespół, kierowany przez profesora Stefana Raszeję. Dopiero wtedy na ciele denata zidentyfikowano aż pięćdziesiąt cztery różne obrażenia.

Najbardziej zastanawiające były widoczne z tyłu głowy pręgi, przypominające – jak potwierdzili później biegli – ślady po ciosach milicyjnej pałki gumowej... Na ramieniu i nogach wykryto ślady nakłuć. Dokonująca reanimacji doktor Frysztak zeznała, że zastrzyki adrenaliny wstrzykiwała tylko w ramię...

Wszystkie media, od prasy począwszy, poprzez radio, a na telewizji skończywszy, ogłosiły natychmiast, że we krwi zmarłego znajdował się alkohol, w stężeniu ponad czterech promili. Pojawił się też barman, który zeznał, że serwował tej nocy księdzu Zychowi sporą ilość drinków. (Sześć lat później odwołał te pomówienia, ale wtedy nikt tego nie nagłaśniał).

W plecaku księdza Zycha na plebanii – o czym informują akta śledztwa – dokonujący przeszukania funkcjonariusze znaleźli butelkę „Wytrawnej Szczecińskiej”... Tymczasem siostry zmarłego zaklinały się, że poszukując już po wszystkim w plecaku dokumentów brata, jeszcze przed przyjazdem przedstawicieli prokuratury, na takową butelkę się nie natknęły.

Nie znaleźli jej też wspomniani funkcjonariusze. Przynajmniej podczas pierwszej wizyty, chociaż plecak dokładnie przeszukali. Odkryli ją dopiero dwa dni później, podczas ponownych odwiedzin w Braniewie. Dokładne badanie zamków (przeprowadzone dopiero 9 października 1990 roku, piętnaście miesięcy od rozpoczęcia śledztwa!) wykazało, że „na powierzchniach popychaczy wkładki bębenkowej występują ślady wgnieceń i zarysowań nie pochodzące od załączonych kluczy. Charakter i umiejscowienie tych śladów wskazuje, że

bębenek w obudowie wkładki obracano lub usiłowano obrócić za pomocą wytrycha".

Jeszcze przed zakończeniem śledztwa, szefa Prokuratury Rejonowej w Elblągu, Bogdana Mikołajewskiego, odwiedzili Zbigniew Branach (późniejszy autor książki Tajemnica śmierci księdza Zycha) oraz dziennikarz „Przeglądu Tygodniowego" Andrzej Szmak.

– A czy panowie zdajecie sobie sprawę jakie będą koszty?! – krzyczał na nich zatroskany o dobro publiczne prokurator. – Ile te wszystkie badania i ekspertyzy będą nas, podatników, kosztowały? Miliony złotych! A całe śledztwo? Dziesiątki milionów! Czy nasze państwo jest tak bogate, żeby tymi milionami tak szastać, bo upił się jeden człowiek?!

– Skąd pan prokurator już dziś wie, że ksiądz Zych się upił? – przerwał jego monolog Branach. – My powróciliśmy właśnie z Braniewa. Proboszcz, jak i inni mieszkańcy plebanii, gdzie ksiądz nie pierwszy raz przebywał na urlopie, kategorycznie zaprzeczają, aby pijał alkohol.

– Ksiądz proboszcz powiedział nam wręcz, że jego gość nigdy nie proponował ani nawet nie mówił o piciu alkoholu – dodał Szmak. – Cierpiał na astmę i nie mógł pić...

Prokurator Mikołajewski wcale nie poczuł się zbity z pantałyku.

– Oni, ci księża... – kontynuował. – A bo to jeden z nich popija? Tyle, że dobrze się z tym kryją. Oficjalnie, nic, broń Boże! Chyba nie myślicie, że jego przełożeni przyjdą tu i nam powiedzą: tak, Zych pił... Księża to bardzo zamknięte środowisko i to nam utrudnia śledztwo. Jak oni mówią, że Zych w ogóle nie pił, to w takim razie ja się pytam, skąd w ciele trupa tyle alkoholu?

– Znalezienie odpowiedzi na to pytanie należy chyba właśnie do zadań prokuratury – odpowiedział redaktor Szmak.

15 września prokuratura zwróciła się do ministra spraw wewnętrznych o dostarczenie założonej kapłanowi w 1974 r. TEOK, czyli teczki ewidencji operacyjnej na księdza, w ramach której Służba Bezpieczeństwa zbierała informacje o każdym duchownym katolickim i kandydacie na duchownego. Kilka miesięcy później wiceminister Lucjan Czubiński odpowiedział, że

żadne służby MSW nigdy nie inwigilowały ani operacyjnie nie rozpracowywały księdza Zycha.

Bezczelnie kłamał. Trzy dni po prokuratorskim zapytaniu w Stołecznym Urzędzie Spraw Wewnętrznych powołano sześcioosobową komisję do zniszczenia TEOK na ks. Zycha! I nie tylko kłamał, lecz przede wszystkim dopuścił się przestępstwa tak zwanego fałszu intelektualnego, spenalizowanego w artykule 266 obowiązującego w tym czasie kodeksu karnego z 1969 roku:

„Osoba upoważniona do wystawienia dokumentu, która poświadcza nieprawdę co do okoliczności mającej znaczenie prawne, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5". Całkowicie zbędne wydaje się w tym momencie pisanie, że za swój czyn generał Czubiński nigdy nie poniósł jakiejkolwiek odpowiedzialności.

*

Po rozpoznaniu zwłok, do gdańskiego oddziału TVP zadzwonił osobiście sam były rzecznik rządu Jerzy Urban, pełniący wówczas obowiązki prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji. Ten sam Urban, który przekonywał wcześniej o rzekomych „seansach nienawiści" w kościele na warszawskim Żoliborzu, zakłócających jedność Narodu i powszechną zgodę. Ten sam, który kreował księdza Jerzego Popiełuszkę na „wywrotowca", „terrorystę", a w najłagodniejszej postaci na „niweczącego sielankę siewcę złego". Zabójca księdza, kapitan Grzegorz Piotrowski z SB powoływał się w śledztwie na „zachęcające do rozwiązania problemu Popiełuszki wytyczne rzecznika".

Pan prezes nakazał wysłać ekipę do Krynicy Morskiej, gdzie „ksiądz zapił się na śmierć". Zadaniem tym został obarczony Witold Gołębiowski. Na polecenie tego uwielbianego przez niektórych do dziś człowieka, spreparowano i wyemitowano w przeddzień pogrzebu kapłana szkalujący i naruszający jego godność materiał.

Pracownicy klubu „Riviera": barman Grzegorz Kwaśniak, kelner Dariusz Orciuch i kelnerka Joanna Ułanowska, powiedzieli, że w noc zabójstwa ksiądz przebywał w lokalu w godzinach od 22.30

do 1-2 w nocy, w towarzystwie znajomego, któremu na potrzeby śledztwa nadano pseudonim „Szpakowaty” – ze względu na kolor włosów. Rozpoznania duchownego dokonali na podstawie pośmiertnego zdjęcia księdza Zycha, wykonanego w prosektorium. Intrygujące, ponieważ osoby dokonujące identyfikacji ciała zmarłego miały spore kłopoty, aby jednoznacznie stwierdzić, że mają przed sobą ciało swego dobrego skądinąd znajomego – tak była zniekształcona twarz księdza.

Pracownicy klubu twierdzili, że podali każdemu księdzu i towarzyszącemu mu mężczyźnie po dziesięć stugramowych drinków, tak zwanych „fikołków”. Według wersji przedstawionej przez władze PRL, ksiądz po wypiciu litra wódki opuścił lokal i zmarł kilkaset metrów dalej. Dziwnym trafem, oprócz trójki pracowników wypowiadającej się w reportażu nikt z przebywających w tym czasie w klubie ludzi nie zauważył obecności księdza Zycha, ani nawet nikogo do niego podobnego. Tym dziwniejszym, że w knajpie przebywali jedynie sami młodzi ludzie, więc obecność dwojga „staruchów” powinna wręcz rzucać się w oczy.

Mężczyzna z dyskoteki typowany jako ks. Zych – według relacji pracowników „Riwiery” – miał na sobie inne ubranie niż mężczyzna reanimowany na dworcu autobusowym. I co zaskakujące jeszcze inaczej ubrany był ksiądz Zych, zidentyfikowany w prosektorium. Jak już wspomniano, personel medyczny, który uczestniczył w reanimacji nieprzytomnego mężczyzny na dworcu autobusowym, twierdził zdecydowanie, że człowiek ten miał na sobie koszulę flanelową z długim rękawem.

Zapewne kluczem do rozwiązania zagadki śmierci duchownego mogłyby stać się zeznania mężczyzny, który jakoby towarzyszył mu podczas alkoholowej libacji, na użytek śledztwa określonego kryptonimem „Szpakowaty”. Jednak pomimo rozlicznych apeli prokuratury i milicji nigdy nie udało się ustalić jego tożsamości. Nowe światło na sprawę mogłaby rzucić lektura zawartości teczki księdza, jednak ta została zniszczona w grudniu 1989 roku.

14 lipca Grzegorz Kwaśniak i Dariusz Orciuch jechali radiowozem szosą z Krynicy do Elbląga, gdzie mieli złożyć przed prokuratorem pierwsze zeznania. Mniej więcej w połowie drogi, niedaleko Nowego Dworu Gdańskiego, samochód został zatrzymany przez funkcjonariuszy MO, jadących innym samochodem od strony Elbląga. Towarzyszyły im dwa inne pojazdy, należące do ośrodka Telewizji Polskiej w Gdańsku oraz telewizji warszawskiej. Barmanom oraz eskortującym ich milicjantom zakomunikowano, że mają wrócić do Krynicy, gdzie nagrają program telewizyjny, a dopiero potem pojadą na przesłuchanie, na co zgodę wyraził prokurator. Okazało się, że dla pana prokuratora nagranie telewizyjne było ważniejsze od przesłuchania.

Nie wystarczyło, że Sylwestra Zycha pozbawiono życia. Trzeba było jeszcze zniszczyć jego legendę. I tak powstał telewizyjny materiał, który może uchodzić za kwintesencję obrzydliwej manipulacji, choć pokazano go miesiąc po dniu, w którym podobnież miał upaść komunizm...

Akta prokuratorskiego śledztwa w sprawie śmierci kapłana liczą sobie siedemnaście tomów. Wśród dowodów rzeczowych znajdują się między innymi spodnie, których ksiądz Zych nigdy nie miał oraz półmetrowy pasek, o połowę dla niego za krótki. To jedynie część nierozwiązanych zagadek. Mimo przesłuchania kilkuset świadków nie udało się rozwiać licznych wątpliwości.

Śledztwo w sprawie zgonu księdza, kilkakrotnie umarzane i z powrotem wznawiane, trwało prawie cztery lata. Jako oficjalną przyczynę zgonu uznano w 1989 roku zatrucie etanolem. Jednym zdaniem: zapił się na śmierć! Chociaż wszyscy naokoło doskonale zdawali sobie sprawę, że ksiądz znany był z awersji do alkoholu. Ba! Nie mógł nawet go używać z powodu dolegliwości astmatycznych. Przyjęto także – opierając się na niektórych opiniach biegłych – że obrażenia zewnętrzne jak i wewnętrzne (m.in. złamanie żeber) powstały wskutek upadku, a potem czynności reanimacyjnych, nie były zaś wynikiem przemocy zadanej przez osoby trzecie.

Nieco inaczej podszedł do sprawy ostatni z prowadzących

śledztwo, prokurator Bogusław Michalski z warszawskiej prokuratury apelacyjnej. Utrzymując 4 grudnia 1993 roku w mocy zaskarżone przez pełnomocników rodziny zmarłego postanowienie prokuratury niższej rangi o umorzeniu śledztwa w sprawie śmierci księdza Zycha z powodu niestwierdzenia przestępstwa, napisał jednocześnie: „Wyniki śledztwa nie mogą być uznane przynajmniej za zadowalające, gdyż zebrane dowody nie pozwalają nawet na dokonanie ustaleń o znaczeniu podstawowym, dotyczącym stanu faktycznego".

Dziś «usta Jaruzelskiego» mają naśladowców – napisał w artykule Ksiądz Jerzy nie był ostatni Zbigniew Branach. – Nadal wielu wzywa do «uciszenia» Kościoła, księży, biskupów. Może od profanujących krzyż na Krakowskim Przedmieściu nie można za wiele wymagać, skoro premier, historyk z wykształcenia, spektakl pod krzyżem traktuje jak niewinną, uprawnioną w demokratycznym kraju zabawę. Nie przeszkadza mu, że pozytywnym bohaterem happeningu jest morderca ks. Popiełuszki. Daje przyzwolenie na uciszanie Kościoła (...) Ktoś chyba odpowiada za zamącenie umysłowe młodej tłuszczy profanującej krzyż na Krakowskim Przedmieściu z okrzykiem: «Piotrowski na prezydenta». Młodzi nie wiedzą, kim był kapitan Grzegorz Piotrowski? Nie mają wiedzy o działalności organizacji, w której pracował? Nie sądzę. Znamienne jest milczenie mediów, autorytetów i analityków sceny politycznej".

*

Pogrzeb księdza Sylwestra odbył się we wtorek, 18 lipca 1989 roku. Kondukt żałobny, ustawiony w długim szpalerze samochodów, wyruszył spod kościoła w Duczkach do oddalonego o około siedem kilometrów cmentarza w Kobyłce. Ksiądz Biskup Zbigniew Kraszewski odprawił egzekwie żałobne w obecności około tysiąca ludzi.

– Nie dziwi śmierć kapłana. Ale dziwi nas, że umierają w taki sposób niektórzy kapłani. Sylwku. – mówił ksiądz Konstanty Karwowski z rocznika seminaryjnego zmarłego. – Twoja śmierć nie będzie zmarnowana. Twoja ofiara nigdy nie będzie

zapomniana.

– Tu, nad grobem trzeciego w tym roku zamordowanego kapłana, powinna stanąć ta „elita" pertraktująca dzisiaj na Wiejskiej – wołał dramatycznie Wojciech Ziembiński, weteran opozycji antykomunistycznej. – Który z komunistów, który z popleczników Moskwy ma zostać prezydentem! Ksiądz Sylwester Zych jako trzeci w tym roku powiększa grono męczenników, kapłanów polskich… Zadajemy pytanie renegatom Narodu Polskiego: – Cóżeśmy my, szczep piastowski, wam, sługom obcego mocarstwa, takiego uczynili, że mordujecie naszych kapłanów?

Ksiądz Zych został pośmiertnie odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami przez prezydenta RP na uchodźstwie, Ryszarda Kaczorowskiego oraz Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Okoliczności zgonu kapelana NSZZ „Solidarność" w Hucie Warszawa i Konfederacji Polski Niepodległej oraz działacza Społecznego Ruchu im. ks. Popiełuszki wciąż pozostają niewyjaśnione, dotknięte skazą złowrogiej tajemnicy.

„Według dziennika «Polska The Times», w zabójstwo księdza był prawdopodobnie zamieszany funkcjonariusz SB, który w latach 90. pracował w policji – czytamy w artykule Zabójca ks. Zycha znany i od 20 lat bezkarny. – W lipcu 1999 r. otrzymał on z rąk prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego Brązowy Krzyż Zasługi. Za szczególne zasługi w ratowaniu ludzkiego życia – napisano w uzasadnieniu. Dziś funkcjonariusz przebywa na emeryturze.

Na trop esbeka wpadł 5 lat temu zespół śledczy IPN, kierowany przez prokuratora Andrzeja Witkowskiego, któremu w 2002 r. powierzono śledztwo w sprawie funkcjonowania związku przestępczego w strukturach MSW w latach 1956-1989. Grupa, mając pozwolenie szefa resortu, zastraszała i zabijała ofiary, pozorując wypadki. Śledztwo IPN w tej sprawie miało doprowadzić do skazania zwłaszcza morderców ks. Jerzego Popiełuszki oraz trzech kapłanów zamordowanych w roku 1989: Stefana Niedzielaka z Powązek, Stanisława Suchowolca i właśnie

Sylwestra Zycha.

Mordercę zdradziły odciski palców. Należące do funkcjonariusza SB, zwalczającego w latach 80. opozycję i Kościół odciski znaleziono w mieszkaniu ks. Niedzielaka. W rozpoznaniu oficera śledczym pomógł świadek włamania. Tej samej nocy zamordowany został ks. Zych. Analiza śledczych IPN wykazała, że odciski oficera SB, który miał wtargnąć do ks. Niedzielaka, znajdowały się również na koszuli ks. Zycha".

Całość sprawy ma charakter jakby ostatniego akordu skomponowanego i wykonanego przez „nieznanych sprawców", o proweniencji z peerelowskiej bezpieki, połączonego długim, krwawym łańcuchem nie wykrytych zbrodni i mordów politycznych, na zlecenie bądź z inspiracji kolejnych przywódców PZPR.

Nie brakuje opinii, że śmierć księdza Zycha, jak i zabójstwa innych kapłanów, zostały starannie wyreżyserowane. Tajemnicze komando śmierci, dokonując kolejnych morderstw, miało zastraszyć reprezentantów opozycji demokratycznej. Mordy polityczne miały być przestrogą: stary „ancien regime" postanowił wprawdzie podzielić się władzą (czy też raczej odpowiedzialnością), ale niech się wam od nadmiaru wolności nie poprzewraca w głowach. My wciąż jesteśmy, silni i gotowi na wszystko.

– Zabójstwo księdza miało służyć zastraszeniu „Solidarności" – twierdzi profesor Jan Żaryn z IPN. – Władza komunistyczna chciała udowodnić, że nadal rządzi i to ona będzie dyktować warunki, a każdy, kto jej się przeciwstawi, skończy tak, jak zamordowani księża.

Wszystko wskazuje na to, że nigdy nie poznamy dokładnego powodu, dla którego władza zdecydowała się zgładzić księdza Sylwestra Zycha. Dziennikarzom, którzy starali się wyjaśnić okoliczności jego śmierci, próbowano zgotować podobny los. „Nieznani sprawcy" podpalili mieszkanie Jerzego Jachowicza, który zajmował się sprawą księdza – w pożarze zginęła żona dziennikarza, Maria. Niewiele brakowało, aby równie tragicznie skończył się napad na autora książki Tajemnica śmierci księdza

Zycha Zbigniewa Branacha, pobitego do nieprzytomności we Wrocławiu w lutym 1991 roku.

*

Wszystko wskazuje również na to, że sprawa ma swój dalszy ciąg. „Nieznani sprawcy" wciąż działają...

Robert Chechłacz, Stanisław Matejczuk i Tomasz Łupanow, który poślubił siostrę „Studenta", Ewę Matejczuk, wyemigrowali z kraju, obawiając się, że nawet w wolnej Polsce może spotkać ich taki sam los, jak zaprzyjaźnionego kapłana.

Pierwszy mieszka od lat we Francji, drugi w Stanach Zjednoczonych, trzeci przebywał w Irlandii, gdzie zginął na początku lipca 2011 roku.

– Syn bał się także po wyjściu z więzienia, mówił, że go śledzą – opowiadała matka „Grota", Jadwiga Chechłacz. – Jak tylko pojawiła się szansa na dostanie paszportu, wyjechał z kraju.

Stanisław Matejczuk pojechał w 1989 roku na oficjalne zaproszenie do Wielkiej Brytanii, gdzie przekazał „Memorandum w sprawie zabójstwa ks. Sylwestra Zycha" kilku tamtejszym politykom, w tym Margaret Thatcher. I pewnie za to po powrocie został pobity, co przyspieszyło jego decyzję o emigracji.

„Memorandum przekazałem osobiście Pani Premier Margaret Thatcher podczas krótkiego spotkania po Prime Minister Questions Time w brytyjskim Parlamencie – wspomina Matejczuk. – Przekazałem je również osobiście wiceministrowi spraw zagranicznych sir Williamowi Waldgrave w Foreign Office na Downing Street, a także Geraldowi Howarthowi MP i kilku innym politykom.

Po powrocie do Polski (w listopadzie 1989 roku) zauważyłem, że jestem śledzony. Niedaleko mojego domu w Grodzisku Mazowieckim często widziałem jakiegoś Fiata 125p z dwoma mężczyznami, który towarzyszył mi w sporej odległości, kiedy udawałem się do kolejki WKD lub w inne miejsce. Zacząłem znajdować w skrzynce pocztowej pogróżki. Były wrzucane w kopertach bez znaczka czyli nie szły pocztą, lecz były tam wrzucane z ulicy. Parę razy, kiedy przebywałem w domu moich

Rodziców, dzwonił telefon i anonimowy ktoś zawiadamiał mnie, że «moje dni są policzone» oraz że «zginę jak ten (tutaj padały epitety) ksiądz Zych». Niektóre anonimy zabrałem ze sobą do Stanów. Trafiły do Departamentu Stanu USA (przynajmniej początkowo – teraz pewnie są w jakimś archiwum w Waszyngtonie).

22 kwietnia 1990 roku, około godziny 21.30, po wyjściu z kolejki WKD na przystanku Grodzisk Mazowiecki Piaskowa zostałem napadnięty przez trzech mężczyzn, którzy starali się wlać mi siłą spirytus (pamiętam z tego taką zieloną, metaliczną nakrętkę), lecz udało mi się wyrwać i pchnąć jednego z napastników wyszarpniętym z kieszeni nożem. Dodatkowo z uliczki nieopodal wyszła jakaś młoda parka, co sprawiło, że dwaj mężczyźni zabrali pod ręce broczącego krwią trzeciego, i czym prędzej uciekli. Wydarzenie to spowodowało przyśpieszenie decyzji mojego wylotu z Polski do USA, gdzie od września miałem rozpocząć stypendium naukowe w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku. Wyleciałem już 15 lipca 1990 roku, kierując się przezornie wpierw do Bostonu, do mojego przyjaciela z Solidarności Walczącej Władysława Hryniewicza, a potem do Connecticut, do śp. Pani Marii Zub-Zdanowiczowej ps. „Zofia Łaska", żony Leonarda Zub–Zdanowicza, cichociemnego, dowódcy Brygady Świętokrzyskiej NSZ). Ona znalazła mi odpowiednie zakwaterowanie w Nowym Jorku, w którym zjawiłem się w końcu sierpnia. „Jak by nie patrzeć, z tak zwanej „głównej czwórki" procesu sprzed lat, pozostało już tylko dwóch żywych: Robert Chechłacz i Stanisław Matejczuk...

5 grudnia 2008 roku w bardzo „dziwnym" wypadku samochodowym pod Opocznem zginął ojciec tego ostatniego, pan Wiesław Matejczuk...

„Mój Ojciec od lat 70-tych kierował na Górnym Śląsku oraz założył wspólnie ze śp. płk Abramem tajną organizację oficerów LWP, działającą na terenie Śląskiego Okręgu Wojskowego – opowiada Stanisław. - Miała ona przygotowywać ewentualną reakcję polskich jednostek wojskowych na wypadek wkroczenia do Polski wojsk sowieckich. Organizacja ta nie miała żadnej

nazwy (przynajmniej ja jej nie słyszałem) i nie wiem na temat jej struktur. Byłem wówczas dzieckiem, które coś tam słyszało i widziało podczas spotkań oficerów w naszym mieszkaniu na Koszutce, a potem na Tysiącleciu. (...) Dużo później, kiedy siedziałem już w więzieniu, Ojciec opowiadał mi o działalności Komitetu Pomocy Bliźniemu w Podkowie Leśnej, o połączeniu się organizacji oficerów z podobną organizacją z Wielkopolskiego Sztabu Okręgu z płk Dorfem i wreszcie o powstaniu już organizacji pod nazwą «Viritim»[23].

Mój Ojciec jechał swoim Volkswagenem Golfem na rekolekcje przed Świętami Bożego Narodzenia do Lublina. Razem z nim jechali: dr Hanna Karolczuk oraz dr Zdzisław Burakowski. Wszyscy byli w wieku powyżej 70-tki, więc nie może być mowy o jakiejś młodzieńczej brawurze czy coś podobnego. W dniu 5 grudnia 2008 roku wyruszyli z Grodziska Mazowieckiego, by przez Piotrków Trybunalski – Opoczno – Annopol dotrzeć do Lublina. Po drodze, około godziny 13-tej zatrzymali się w przydrożnej restauracji na trasie Piotrków – Opoczno, by zjeść flaki. Wyruszyli dalej około 14-tej, przy ładnej, słonecznej pogodzie, suchej nawierzchni, prostej, w miarę szerokiej drodze. Kierowca, który jechał za samochodem Ojca, relacjonował potem, że denerwował się, gdyż Volkswagen Ojca jechał około 35 km na godzinę. Nagle, bez przyczyny, samochód mojego Ojca zjechał na lewy pas ruchu i powrócił ponownie na prawy. Powtórzyło się to jeszcze raz i potem ostatni raz, kiedy wpadł prawie czołowo na lekką ciężarówkę, jadącą ze strony przeciwnej. Samochód obróciło i wpadł do miękkiego rowu (patrz zdjęcie na stronie internetowej Polonia Semper Fidelis). I tyle suchy opis, który mam ze sobą (wziąłem go z Prokuratury w Opocznie). Zastanawiające w tym jest to, że wszyscy ponieśli śmierć na miejscu. O ile mój Ojciec faktycznie przyjął na siebie uderzenie, o tyle miejsca, w których siedzieli jego pasażerowie

23 Więcej o tej sprawie można przeczytać w artykule Stanisława Matejczuka zamieszczonym pod adresem internetowym:
http://www.atopolskawlasnie.com/polskie_drogi/MatejczukWieslaw/MatejczukWieslaw.html

nie zostały aż tak dotknięte skutkami zderzenia.

Zachowanie podczas jazdy świadczyło, że Ojciec jakby zasypiał za kierownicą lub tracił świadomość. A przecież jechały z nim dwie inne osoby, które już na pierwszy tego typu zjazd na lewy pas na pewno by zareagowały choćby same szarpiąc kierownicę w prawo do rowu lub w inny sposób reagując. Tymczasem wygląda na to, że wszystkie jakby nagle zasnęły. Dopiero za trzecim zjazdem zdarzył się ów wypadek.

Zderzenie miało miejsce w piątek po południu. Moja siostra Ewa oraz córka dr Karolczuk były w poniedziałek w Opocznie, gdzie miała odbyć się sekcja zwłok. Sekcja nie odbyła się, bo rzekomo kogoś nie było. Odbyła się o dzień później po południu. Czyżby zastosowano toksyny, które w organizmie człowieka są nie do wykrycia po 48 godzinach. Czyżby dodatkowe opóźnienie w sekcji zwłok miało dać komuś «bezpieczny margines» na neutralizację toksyny?

Taką toksynę w postaci stałej, zmieniającą się w gaz usypiający lub trujący można było umieścić w samochodzie podczas jedynego przystanku w owej restauracji, wrzucając ją do bagażnika. Volkswagen Golf ma tzw. hatchback a nie klasyczny bagażnik i jak ja pamiętam, Ojciec nigdy nie miał pomiędzy siedzeniem a tylną szybą klapy żadnej ruchomej półeczki.

Żadna z osób nie znajdowała się pod wpływem alkoholu, środków odurzających lub lekarstw, które mogłyby wywołać taką reakcję organizmu. Mój Ojciec od niepamiętnych czasów zawsze miał ze sobą teczkę, w której nosił różne dokumenty. Miał takie przyzwyczajenie jeszcze z okresu pracy w wojsku. Po wypadku żadnej teczki nie znaleziono. Znaleziono ją jakimś dziwnym trafem dopiero po tygodniu czy dwóch. Pustą! Po co Ojciec miałby brać pustą teczkę?"

W roku 2011 Stanisław Matejczuk odmówił przyjęcia wysokiego odznaczenia państwowego od prezydenta Bronisława Komorowskiego.

BESTIE

ZABÓJSTWO GRZEGORZA PRZEMYKA

(1983)

Za trzy dni skończyłby dziewiętnaście lat. Nie dane mu było obchodzić tych urodzin, ponieważ na jego drodze życia stanęły bestie. Bestie ubrane w milicyjne mundury. A potem wiele innych bestii robiło co w ich mocy, aby te pierwsze nie poniosły za swoją zbrodnię odpowiedzialności. Do trumny matka włożyła mu jego ulubiony chlebak odziedziczony po Edwardzie Stachurze i górskie buty na ostatnią drogę.

Grzegorz Przemyk urodził się 17 maja 1964 roku w Warszawie. Był synem poetki Barbary Sadowskiej i Leopolda Przemyka. Barbara Sadowska przyszła na świat 24 lutego 1940 roku w Paryżu. Zadebiutowała w 1957 roku na łamach tygodnika „Nowa Kultura" wierszem *Matka*. W 1958 rozpoczęła współpracę z dwutygodnikiem „Współczesność". Rok później ukazał się jej pierwszy tom turpistycznej poezji *Zerwane druty*[24]. W 1960 roku związała się z Orientacją Poetycką Hybrydy[25]. Kolejny zbiór

24 Turpizm (łac. turpis = brzydki) – zabieg polegający na wprowadzeniu do utworu literackiego elementów brzydoty w celu wywołania szoku estetycznego. W poezji polskiej pojawił się po 1956 roku i posługiwali się nim między innymi Stanisław Grochowiak, Ernest Bryll i Andrzej Bursa. Programowo przedstawiciele turpizmu włączyli do swoich utworów motywy brzydoty, kalectwa, choroby, śmierci. Opisywali przedmioty, krajobrazy i zjawiska odrażające (zniszczenie, przemijanie, starzenie się, rozkład), co miało służyć uwiarygodnieniu przedstawionej wizji świata, pomóc w afirmacji rzeczywistości ze wszystkimi jej aspektami.

25 Orientacja Poetycka Hybrydy – grupa poetów polskich, której nazwa pochodzi od warszawskiego klubu studenckiego „Hybrydy". Poetów tych nazywano również „pokoleniem 1960". Poezja hybrydowców charakteryzowała się wysokim poziomem kunsztowności, obecnością aforystycznych sentencji i bogatej metaforyki. Grupa rozpadła się po 1965 r.

wierszy, zatytułowany *Nad ogniem* ukazał się trzy lata po pierwszym, zawierał wiersze bardziej stabilne i opisowe, w precyzyjny sposób oddające niepokój.

Dziurawe mam ręce
wypadają mi z nich
pierwsze drobne czereśnie
tego roku
nie doniosę ich chyba
do ciebie
syneczku

(Ze zbioru Słodko być dzieckiem Boga)

Rok później została członkinią Związku Literatów Polskich. W tym roku również przyszło na świat jej jedyne dziecko – Grzegorz, który odziedziczył po matce poetycki talent. Był jedynym jasnym punktem jej życia. Miał zaledwie kilka lat, gdy wziął do ręki czarny flamaster i na ścianie przy łóżku napisał wiersz Rafała Wojaczka:

Na nasze serca obrzękłe wątroby
Na nasze wargi popękane szorstkie
Na roztrzęsione fatalnie ręce
Oraz na mózgi w daremnej męce
I na te płuca co bez powietrza
Na strach bezsenny na koszmarny zegar
Na wszystko co jest udziałem naszym
Błagamy wzgląd miej ironiczna Pani

Wszyscy mówili mu, że jest nawet fizycznie podobny do Wojaczka, z tym poetą też się utożsamiał i próbował naśladować. Dużo później nosił chlebak odziedziczony po Edwardzie Stachurze i z papierosem w ustach ochrypłym głosem śpiewał jego piosenki. Wiedział, kto to jest Czesław Miłosz i na lekcjach języka polskiego dyskutował o nim z profesorką, Małgorzatą Brudzyńską. Nauczyciel lubi ucznia, który ma zeszyt z

marginesem, z numerem i podkreślonym tematem lekcji – wspomina pani Brudzyńska. – To nie Grześ. Ale jemu się wybaczało (...) Grześ przyjął pozę buntu wobec świata. Bo świat był przeciw niemu, straszny, dominujący. Taka magia poety przeklętego. Był przekonany, że jest poetą. Miał w sobie coś, co musiało wzbudzić agresję niewiele starszego chłopaka w mundurze. Drażnił".

Żaden z jego kolegów nie znał takich nazwisk jak: Charles Baudelaire, Paul Verlaine czy Arthur Rimbaud – francuskich poetów przeklętych. Grzegorz recytował ich wiersze z namaszczeniem. „Może jako człowiek dorosły odbierałam to inaczej – opowiada Elżbieta Ficowska, działaczka społeczna i autorka książek dla dzieci. – Grześ pokazywał mi swoje wiersze z pewnym wstydem i w tajemnicy, nawet przed Basią".

*

Grzegorz odziedziczył po matce również jeszcze jedną cechę charakteru – był indywidualistą, a życie indywidualistów, tak, jak i każdej mniejszości, nie jest łatwe, szczególnie w systemie totalitarnym. Większość społeczeństwa występuje zwykle przeciwko indywidualistom, co jest zresztą całkowicie zrozumiałe. Funkcjonowanie organizmu społecznego opiera się na przymusie, przestrzeganiu pewnych reguł i podobieństwie postępowania, co w konsekwencji ogranicza wolną myśl i indywidualne odbieranie świata. Ci, którzy nie zgadzają się na taki porządek rzeczy, nawet w imię najszczytniejszych zasad i prawd, są zagrożeniem dla całej społeczności. Społeczeństwo a jednostka, to jeden z podstawowych dylematów w historii ludzkości. Z pewnością coś takiego jak bezwarunkowa wolność dla każdego poglądu jest najprostszą drogą do anarchii i przemocy. Alternatywą jest jednak konformizm i pochylenie karku. Niestety ludzie są skazani na wieczne oscylowanie między tymi dwoma biegunami. Pytanie tylko, ku któremu skłaniają się bardziej. Jak powiedział któryś z filozofów, życie jest podróżą. Zazwyczaj podróżujemy przez skrzyżowania, na których tablice poustawiali ci, którzy próbują nam narzucić kierunek marszu. A

tymczasem prawdziwych drogowskazów najlepiej szukać we własnym wnętrzu. Łatwiej co prawda iść wygodną, asfaltową drogą niż polną ścieżką, ale niekoniecznie ta droga zaprowadzi nas tam, gdzie chcemy.

„Mądry, inteligentny, otwarty, tolerancyjny, oczytany, dobry, serdeczny, ciepły, życzliwy, wrażliwy, uczuciowy, pogodny, niezwykły, niebywały – wspominają Grzegorza dawni uczniowie z Modrzewskiego. – Inny. Wyższy niż wszyscy i chudszy niż wszyscy. Rzucał spojrzenia spode łba. Miał własne zdanie. Jednych intrygował, innych denerwował (...) Dziś Grzesia nazwalibyśmy postacią kultową". Niektórzy spośród przyjaciół Barbary Sadowskiej mówią dzisiaj: „Gdyby nie taka Basia, nie jej dom, nie byłoby takiego Grzesia. Nie byłoby tej śmierci".

Matka pani Barbary postanowiła sprawdzić, co czeka wnuka, który właśnie się urodził. W tym celu udała się do popularnego w Warszawie wróża. Zapłaciła sporą sumę, ale rezultatu nie uzyskała od razu. Wróż ujawniał przyszłość dopiero po jakimś czasie, listownie. Kilka dni później upragniona przesyłka wreszcie nadeszła. Babcia otworzyła kopertę, wyjęła z niej załączoną kartkę i przeczytała. Następnie schowała ją do szuflady. Za chwilę wyjęła, znów uważnie przeczytała, po czym bez słowa podarła na maleńkie kawałeczki. Barbara wielokrotnie potem przytaczała tę rodzinną opowieść, ale nigdy nie ujawniła, co napisał wróż. Nie ujawniła, bo sama nigdy się nie dowiedziała. Mówiła o tym ze śmiechem, żartobliwie, bez niepokoju. Aż do owego tragicznego czwartku, 12 maja 1983 roku...

Najważniejsze jednak w biografii Barbary Sadowskiej (i najbardziej istotne dla opisywanej historii) jest to, że związała się z antykomunistyczną opozycją, za co była prześladowana przez Służbę Bezpieczeństwa (między innymi kilkakrotnie aresztowana). Współpracowała z „Solidarnością" i Prymasowskim Komitetem Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, brała udział w warszawskich Tygodniach Kultury Chrześcijańskiej (1978-1979). Zatrzymana 20 marca 1982 roku, podejrzana o rozpowszechnianie ulotek o treści antypaństwowej. Wiosną 1983 roku grupa ubranych po

cywilnemu funkcjonariuszy MSW zaatakowała biuro Komitetu Pomocy, które mieściło się na terenie parafii św. Marcina. Kilku pracowników porwano i porzucono za miastem, parę osób pobito – w tym Sadowską.

29 kwietnia tego samego roku, matka Grzegorza została zatrzymana we własnym mieszkaniu i po dokonaniu przeszukania zabrana wraz z synem i obecnymi tam jej przyjaciółmi na komendę milicji przy ulicy Wilczej. Wypuszczeni zostali po czterdziestu ośmiu godzinach pobytu w celi, 1 maja.

– Proszę pamiętać, pani ma syna... – ostrzegł ją po opuszczeniu aresztu na Rakowieckiej jakiś esbek.

Niespełna dwa tygodnie później, 12 maja, doszło do tragedii...

*

Tego dnia Barbara Sadowska przebywała poza domem. Mieszkała z Grześkiem na jedenastym piętrze nowoczesnego wysokościowca przy ulicy Hibnera (dziś ulica Zgoda), z portierem na dole i szybką windą z rozsuwanymi drzwiami. Dwa małe pokoje plus ciemna kuchnia. Kundel i dwa koty. Drzwi do lokalu prawie się nie zamykały. Wlatywały i wylatywały niebieskie ptaki. Była poezja, była obyczajowa swoboda, alkohol i używki – ot, po prostu jedna z małych enklaw bohemy w Warszawie lat osiemdziesiątych. Bezpieka wykorzystała to po śmierci Przemyka, próbując kompromitować Grzegorza i jego matkę.

Tuż obok, przy Jasnej, na tyłach domów towarowych „Centrum", mieszkała wtedy inna poetka. Jej syn, Dawid B., był rówieśnikiem Grzegorza.

„Dorastaliśmy pod stolikami w barku Kurierek – opowiadał w 1997 roku Dawid B. dziennikarzowi «Gazety Wyborczej» Wojciechowi Tochmanowi. – Tam nasze samotne mamy ubrane w jakieś pióra i kwiaty popijały wino. Z Kurierka (którego dzisiaj już nie ma, jest Pizza Hut) do bloku przy Hibnera (dzisiaj: ul. Zgoda) nie szło się nawet minutę. Był to wtedy bardzo nowoczesny blok: z portierem na dole i niezwykle szybką windą z rozsuwanymi drzwiami. Każdy mógł wjechać na górę i wejść do

mieszkania na jedenastym piętrze: przyjaciele i znajomi albo ktoś przed chwilą spotkany na ulicy. Każdy mógł coś przynieść do jedzenia albo nie przynosić nic. Barbara gościła, czym miała, a gotowała świetnie. Koczowali tu niedocenieni albo zakazani artyści, poeci przeklęci (Kazimierz Ratoń, Edward Stachura, Ryszard Milczewski-Bruno, inni). Wszyscy słuchali Janis Joplin, mówili wiersze francuskich poetów, wspominali Rafała Wojaczka, trzymali kciuki za sądzonych robotników. To cyganeria tamtych czasów. Sztuka, wódka, nieprzystosowanie społeczne i wolny seks – mówią ci, którzy widzieli. Robotników (właśnie skończyli siedzieć za wolność) nie całkiem już młode poetessy witały przed bramą Rakowieckiej. Zmęczeni i znudzeni więzieniem dawali się przyprowadzać prosto na Hibnera. A tu wciąż tłum: jeszcze jakaś młodzież; jakieś coraz starsze dzieci-kwiaty; jacyś księża z Bieszczad, z Wybrzeża, z gór, którzy przyjechali do stolicy w niejasnych celach i tutaj legli zmęczeni.

W tym domu zawsze dbano o człowieka".

„Wszyscy byli ich rodziną – napisała po latach Marta Kucharska, ostatnia narzeczona Edwarda Stachury, która po jego śmierci mieszkała tam wiele miesięcy. – Nawet pan Franio, współpracownik SB i bramkarz w tym domu. Chciał, żeby mu napisać podanie o rentę, to nie wahał się przyjść z tym na górę. – Jak będą o panią pytać, pani Basiu, to ja zawsze pani powiem".

„Pytali, bo Basia była świętym człowiekiem, kobietą kryształem – uzupełnia jej przyjaciółka, Elżbieta Ficowska. – Nieustannie szykowała paczki dla kogoś, kto gnił w więzieniu. Albo kanapki i papierosy, które potem niosła do sądu i przekazywała temu, którego właśnie niesłusznie sądzono.

„Była w tym godność – dodaje Dawid B. – Nie tylko wobec komuny, także wobec filisterstwa: wyprasowanych koszul i czystych butów".

„Był sprzeciw". (Elżbieta Ficowska).

„Wszyscy manifestowaliśmy pogardę dla rzeczy i tak zwanych zbieraczy dóbr. Chyba że były to przedmioty kultowe, jak zawieszony u żyrandola niemowlęcy bucik Grzesia". (Marta Kucharska).

12 maja do Grzegorza przyszło kilku kolegów. Świętowali udane napisanie matury z języka polskiego i historii w XVII Liceum Ogólnokształcącym imienia Andrzeja Fryczа-Modrzewskiego. Wieczorem omówił się ze swoją dziewczyną. Miał zagwizdać pod jej oknem. Nie zagwizdał. Następny raz zobaczyła go dopiero w trumnie.

Chłopcy wypili trochę wina – później prasa napisze, że byli pijani. Chociaż zaczął się już maj, dzień był równie ponury jak panująca w kraju od pewnego czasu sytuacja. Po granatowym niebie smutno wlokły się stalowoszare chmury, zapowiadając burzę. Wisiały nisko nad miastem, ciągnąc za sobą przemoczone, utkane z mgły brody, zasłaniające górne piętra najwyższych budynków. Ocierały się o dachy, odbierając ulicom wszystkie ich barwy. Nieruchome powietrze tamowało oddech. Grzegorz odniósł wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, żeby ich dotknąć. Zrobiło się ciemno, więc wyszli na balkon.

– Idziemy na Starówkę! – krzyknął uwielbiający burzę Przemyk. – Dajmy się zmoczyć.

No więc poszli, prosto na Plac Zamkowy. Weseli, na luzie, cieszący się życiem. Towarzyszył im w tej zabawie nieco starszy od nich kolega Grzesia z Radomia Cezary Filozof. Któryś był na bosaka. Inny niósł Grzegorza „na barana". Pech chciał, że akurat dzień 12 maja był rocznicą śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego. Z obawy przed manifestacjami patriotycznymi po okolicznościowej mszy świętej w Katedrze św. Jana, na Placu Zamkowym znajdowały się wzmocnione patrole ZOMO.

Rozbawienie młodych ludzi zwróciło uwagę ZOMO-wca, Bogusława Bielca, który przystąpił do ich legitymowania. Grzegorz podał nazwisko i adres zamieszkania, ale to nie wystarczyło. Chcieli zobaczyć dowód osobisty. Odpowiedział, iż po zawieszeniu stanu wojennego, nie ma już obowiązku noszenia przy sobie dokumentów. Wówczas milicjant wezwał stojący w pobliżu radiowóz. Nie można jednak wykluczyć, że Grzegorza „nadał" patrolowi idący za nim tajniak i że ZOMO-wcy realizowali jedynie ustalony uprzednio plan zatrzymania chłopca, by na pobliskim komisariacie sprawić mu

wychowawcze dla niego i jego matki lanie.

W każdym razie krnąbrnego chłopaka milicjanci postanowili zabrać na pobliski komisariat przy ulicy Jezuickiej na Starym Mieście. Gdy zaskoczony Grzegorz odmówił wejścia do radiowozu, Bielec uderzył go pałką po plecach tak silnie, że chłopiec z wrażenia zgubił podczas wsiadania do samochodu swoje klapki. Do milicyjnej „suki" wsiadł też – dobrowolnie, nie chcąc zostawiać kolegi samego – Cezary Filozof, jedyny świadek tego, co stało się później.

*

A co stało się później? Na komisariacie rozpoczęło się bestialskie bicie zatrzymanego. Biło trzech młodych funkcjonariuszy, niewiele starszych od Przemyka. Czwarty, obserwując całe zajście z dyżurki, krzyczał tylko: „Bijcie tak, żeby nie było śladów...". Na Przemyka spadło co najmniej kilkadziesiąt uderzeń gumowymi pałkami, pięściami, wiele oberwał łokciem w brzuch. Nawet leżącego kopali jeszcze z dziką zawziętością. Szczególnie destrukcyjne były ciosy zadawane przez Kościuka twardą rękojeścią milicyjnej pałki. Przeraźliwe wrzaski, wręcz wycie, bitego maturzysty, słyszeli stojący pod komisariatem koledzy Przemyka.

„Po uderzeniu Grzesia w twarz, z dyżurki na korytarz wyszedł jeden z milicjantów oraz drugi, którego widziałem po raz pierwszy – relacjonował później Cezary Filozof. – Oni obaj do nas doszli i ten, który nas doprowadzał na komisariat, to jest Ireneusz Kościuk, wyciągnął »milicyjną« pałkę. Wtedy Grzegorz wstał, sądząc, że pałka będzie użyta w stosunku do niego, i szybkim ruchem uchwycił za tę pałkę. Milicjant jeszcze nie zdążył jej użyć, ale wyciągnął tę pałkę szybkim ruchem. Ta scena trwała kilkadziesiąt sekund, ale ta sytuacja wyzwala w tych funkcjonariuszach agresję. (…) Dobiega do nich funkcjonariusz, który [wcześniej] pisał. Biją Grzegorza Przemyka po plecach w ten sposób, że milicjant staje z przodu, może nawet trochę bardziej z boku, i ciosy zadaje tak, że pałka przez ramię zwija się na plecach. Nie można określić, ile tych ciosów było, ale było ich

sporo. I Grzegorz Przemyk w tym momencie zaczyna bardzo głośno krzyczeć. Biją go po plecach, nerkach, grzbiecie. I w tej fazie jest co najmniej trzech milicjantów. Kościuk, od którego się to wszystko zaczyna, milicjant, który wyszedł z dyżurki, i milicjant, który pisał notatkę. Ta sytuacja jest taka, że Arkadiusz Denkiewicz, który siedział w swojej dyżurce, (…) wychodzi i reaguje w następujący sposób: »Bijcie tak, żeby nie było śladów«. Jeden z tych dwóch milicjantów schwycił Grzegorza za ręce z tyłu tak, że przytrzymywał je, a drugi milicjant wykonywał łokciami szybkie, krótkie ruchy. Tymi łokciami zadawał Grzegorzowi ciosy w brzuch. Tych ciosów nie było dużo, natomiast musiały być silne, bo po każdym z nich Grzegorz wydawał potworne jęki".

Sprawcami pobicia byli funkcjonariusze ZOMO: Ireneusz Kościuk, Krzysztof Dalmata, i Piotr Jarmułowicz, przy asyście przełożonego, chorążego Wita Jabłońskiego oraz dyżurnego milicjanta, sierżanta Arkadiusza Denkiewicza, który pouczał bijących, jak bić bez zostawiania śladów.

Kiedy wreszcie bestie w milicyjnych mundurach zorientowały się, że przedobrzyły, komendant komisariatu, kapitan Konstanty Machnowski, wraz z wizytującym akurat placówkę naczelnikiem wydziału służby wywiadowczej, kapitanem Romanem Gembarowskim, wezwali karetkę pogotowia. Dyspozytora poinformowali, że mają u siebie „psychicznego, który na ulicy rzucał butami w przechodniów". Pobity chłopak nie mógł iść o własnych silach. Sanitariusz Jacek Szyzdek oraz kierowca Michał Wysocki wnieśli go więc do samochodu. Sierżant milicji poinformował ich, że zatrzymany jest najprawdopodobniej narkomanem i nie ma przy sobie żadnych dokumentów.

„Kiedy przyjechaliśmy, słychać było krzyki, wyzwiska – opowiadał Wysocki w 2016 roku dziennikarce «Gazety Prawnej» Magdalenie Rigamonti. – Zobaczyliśmy, że chłopak wyzywa milicjantów, myśleliśmy, że to on jest ten psychiczny. Przyszedł dyżurny komisariatu Denkiewicz, zaczął opowiadać, co się działo na placu Zamkowym, że ci chłopcy się przewracali, wygłupiali, że nie dali się wylegitymować. Powiedział, że ten, co siedzi, jest do

zabrania. To był Przemyk. Siedział jak taki flak. Trzymał się za brzuch. Bujał się. Nieobecny duchem. Włosy dłuższe, stargane, spocone, zakurzone. Pamiętam, jak był ubrany. I że miał bose stopy. Nic nie mówił, nie awanturował się, dziwiliśmy się, że psychiczny. Milicjant mówił, że to narkoman, że pijany. Zawijamy Przemykowi rękawy, nie ma żadnych nakłuć, Jacek się nachyla, żeby sprawdzić oddech, nie czuć alkoholu. Oczy miał otwarte i strach jakiś w tych oczach ogromny. Myśleliśmy, że symuluje. Zabieramy, prosimy o dowód, mówią, że nie ma. Potem się okazało, że miał, bo mu już na pogotowiu wypadł z kieszeni. Ale zomowcy mieli spisane jego dane, jakby wiedzieli, kogo łapią, kogo biją, mordują, jakby mieli na niego zlecenie. Rękę Przemyka przewiesiłem przez siebie, podtrzymałem go za spodnie i zaprowadziłem do karetki (...).

Oczy tylko miał dziwne. A tak naprawdę to musiał być w strasznym stanie. Cierpienie niewyobrażalne, popękane jelita, wątroba, cały brzuch. Śladów nie było, bo rozkaz był taki: bijcie tak, żeby nie było śladów. Tego się dowiedziałem lata potem. Poprowadziłem go do auta, Jacek jeszcze coś pisał na komisariacie. Czarek (Cezary Filozof), kolega Przemyka, chciał z nami jechać, ale jak zobaczyliśmy, że on tak wyzywa, tak się awanturuje, to nie pozwoliliśmy. A przecież gdybyśmy go wzięli, to byłoby po kłopocie, nikt nie mógłby nas oskarżać o pobicie Przemyka. Posadziłem go na siedzeniu, nogi mu wstawiłem do auta, dalej myślałem, że udaje, a on nie miał siły nóg podnieść. Jacek przyszedł i mówi: teraz już nie świruj, tylko powiedz, gdzie cię zawieźć, gdzie mieszkasz. Nic. Żadnej odpowiedzi. Zawieźliśmy go na Hożą, nic nie mówił, był tak pobity, że nie mógł mówić. Zawieźliśmy do lekarza, do psychiatry Pawła Willmanna. Gdybyśmy go zawieźli do ambulatorium, mógłby żyć. Gdyby milicjanci powiedzieli, że go pobili, wszystko byłoby inaczej".

W siedzibie pogotowia ratunkowego przy ulicy Hożej Grzegorz Przemyk nagle osłabł. Osunął się na ziemię, kontakt z nim stał się niemożliwy. Świadkowie, którzy się tam wówczas znajdowali, zeznali, że Przemyk już wtedy sprawiał wrażenie

nieprzytomnego, był wyciągany z windy za nogi. Mimo to nie został przebadany przez lekarza internistę. Dyżurny psychiatra, Paweł Willmann, bez wahania wypisał skierowanie do „wariatkowa". Zawiadomiona przez kolegów pobitego o zdarzeniu Barbara Sadowska, która pojawiła się na miejscu, nie zgodziła się na to. Postanowiła zabrać syna do domu. Grzegorza wniesiono tam na noszach.

„Zobaczyłam Grzesia leżącego bokiem na kozetce, chronił brzuch – zeznawała potem przed sądem. – Kucnęłam przy nim i zaczęłam pytać, co się stało. Zobaczyłam, że jest nieprzytomny, nie odpowiadał mi, nie poznawał mnie. W tym momencie poczułam, że stoi za mną mężczyzna, który wręczył mi jakiś papier. To było skierowanie do szpitala psychiatrycznego. Tekst, który widniał na tym skierowaniu w niczym nie przypominał wywiadu lekarskiego. Zobaczyłam zdanie, że na komendzie milicji nie wykonywał poleceń. Nie wyraziłam zgody na zabranie syna do szpitala psychiatrycznego. Przełożono Grzesia na nosze. Jeszcze zobaczyłam, że z buzi wyciekała mu ślina z krwią, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, co tak naprawdę się stało i jak poważny jest stan mojego dziecka".

Następnego dnia, gdy stan syna się nie poprawił, zaniepokojona matka wezwała pogotowie. Przybyły na miejsce lekarz stwierdził bóle brzucha. Wykonał zastrzyk przeciwbólowy i zadowolony z odwalenia roboty pojechał „leczyć" innych ludzi.

„Ułożyłam Grzesia na łóżku – opowiadała pani Sadowska. – Po paru godzinach wróciła mu przytomność, zaczął się skarżyć i powiedział, że może by mu pomogła kąpiel w letniej wodzie. Wsadziliśmy go na chwilę do wanny, ale to niewiele ukoiło ból i z powrotem został położony na łóżko. Zadzwoniłam po pogotowie. Przyjechał lekarz chirurg, obejrzał Grzesia pobieżnie. Powiedziałam, że dziecko było pobite. Doktor dał mu środki przeciwbólowe i stwierdził, że nie widzi nic złego, zalecił jedynie okłady na nerki".

Po południu, gdy Grzegorz czuł się coraz gorzej, Barbara Sadowska poprosiła o wizytę lekarkę rejonową. Ta dopiero pokazała, że opłacając jej studia ludowe państwo nie wyrzuciło

pieniędzy w błoto. Zbadawszy solidnie ofiarę bestialskiego skatowania, natychmiast zadzwoniła po karetkę reanimacyjną.

Nieprzytomnego pacjenta zawieziono do szpitala na Solcu. W piątek w nocy, a właściwie to w sobotę 13 maja, bo przed kwadransem minęła północ, rozpoczęła się operacja. Trwała do samego rana. Wykonujący ją lekarze, Leszek Karpiński, Filip Grzejszczyk oraz Marek Bagniewski, porównali później stan organów wewnętrznych pobitego do organów człowieka przejechanego przez samochód. „Najchętniej bym zemdlał" – powiedział jeden z nich, gdy zajrzał do środka. Ostatni z wymienionych zeznawał po latach o sprawie w angielskim parlamencie.

Grzegorz Przemyk zapadł w stan śmierci klinicznej. Doznał rozległych obrażeń, w tym pęknięcia jelita, które doprowadziły do rozlanego zapalenia otrzewnej ze wstrząsem urazowym i septycznym, a w konsekwencji, mimo leczenia przeciwwstrząsowego i operacji chirurgicznej, do jego śmierci. Zmarł w sobotę wczesnym popołudniem, 14 maja 1983 roku.

*

19 maja w kościele pod wezwaniem św. Stanisława Kostki na Żoliborzu, biskup Władysław Miziołek odprawił Mszę za śp. Grzegorza Przemyka. Ofiarę „ludowej sprawiedliwości" odprowadziły na Cmentarz Powązkowski tłumy ludzi – według różnych szacunków od sześćdziesięciu do stu tysięcy osób. Była to pierwsza, od czasu wprowadzenia stanu wojennego, tak wielka manifestacja przeciwko władzy komunistycznej i brutalności milicji. Za trumną syna podążała Barbara Sadowska, podtrzymywana przez księdza Jerzego Popiełuszkę, który w rok później sam stanie się kolejną ofiarą bestialskiego mordu. „Krew Abla będzie wołać o sprawiedliwość do samego Boga!" – powiedział ksiądz Jerzy nad trumną zamordowanego. Na zdjęciach z pogrzebu widać, że Barbara Sadowska wciąż jeszcze ma zabandażowane palce prawej ręki, po opisanym wyżej pobiciu, dokonanym podczas ataku „nieznanych sprawców" na biuro Komitetu Pomocy.

Ulica, wiodąca z kościoła na Powązki, została zamknięta dla normalnego ruchu samochodowego, aby mogły nią przejechać specjalne autokary, wiozące uczniów z XVII Liceum Ogólnokształcącego. Większość zebranych szła w całkowitej ciszy, z symbolicznie uniesionymi w górę dłońmi ze znakiem V. Wielu ludzi niosło transparenty o treści politycznej, często nawiązujące do „Solidarności".

Przed pogrzebem i w jego trakcie doszło do szeregu incydentów, prowokowanych przez „nieznanych sprawców". Z budynku XVII LO, do którego chodził Przemyk, notorycznie zrywano czarne, żałobne flagi. Podczas samego pogrzebu, po wzruszającej mowie pożegnalnej, wygłoszonej przez wychowawczynię klasy panią Wiesławę Gromulską, ktoś wyrwał nauczycielce i ukradł torebkę z wygłoszonym tekstem.

Obawiając się o zdrowie i dalsze losy młodzieży, rada pedagogiczna oraz komitet rodzicielski Liceum im. Frycza-Modrzewskiego wystosowały do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych list domagający się pilnego i rzetelnego wyjaśnienia sprawy. Dziesięć dni po pogrzebie, generał Czesław Kiszczak, współczesny Nowosilcow, kat Polaków, zaprosił autorów do gmachu MSW. „Dlaczego nie dopuszczacie takiej możliwości, że Grzegorz Przemyk został zabity przez przyjaciół politycznych jego matki, żeby w ten sposób dokonać prowokacji wobec aktualnych władz?" – spytał perfidnie podczas spotkania „człowiek honoru" (określenie autorstwa Adama Michnika). Był to początek misternej gry operacyjnej, jaką podjęły służby bezpieczeństwa i milicja w celu ochrony swoich funkcjonariuszy przed odpowiedzialnością za zbrodnię.

Już w dwa dni po śmierci Grzegorza Przemyka prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci maturzysty. 19 maja w Prokuraturze Generalnej PRL odbyła się narada z udziałem między innymi Prokuratora Generalnego dr Franciszka Ruska. Szef prokuratury powierzył nadzór nad postępowaniem swojemu zastępcy Henrykowi Prackiemu. Ustalono, że będzie to śledztwo własne prokuratury (bez udziału milicji).

Mimo to milicja zaczęła prowadzić równoległe śledztwo, nie informując o tym prokuratury. Komendant główny MO generał Józef Beim 17 maja 1983 r. powołał w komendzie stołecznej specjalną grupę operacyjno-śledczą „dla wszechstronnego wyjaśnienia okoliczności śmierci G. Przemyka". Jej zadaniem nie było jednakże rzetelne wyjaśnienie zdarzenia, lecz ukrycie kompromitującej milicję prawdy. Od samego początku komunistyczne władze prowadziły działania dezinformacyjne, mające na celu odwrócenie uwagi od milicji. Do tuszowania sprawy Biuro Polityczne KC PZPR powołało specjalny zespół funkcjonariuszy Biura Śledczego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którego dyrektorem był w tym czasie Hipolit Starszak[26], późniejszy (1984-1990) zastępca Prokuratora Generalnego. Konsultantami SB w zakresie dezinformacji i oczerniania ofiar oraz świadków byli profesorowie Włodzimierz Szewczuk, dyrektor Instytutu Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Józef Borgosz, kierownik Katedry Filozofii i Socjologii Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego w Warszawie. Obaj „wybitni naukowcy" zaproponowali przedstawienie „pogłosek" o pobiciu Przemyka przez milicję jako „próby skłócenia społeczeństwa z władzą" oraz szeroko zakrojoną akcję oczerniania zarówno ofiary jak i jego rodziny oraz świadków pobicia. Wymyślili także wersję, zgodnie z którą okrzyki bólu wydawane przez Przemyka podczas bicia na komisariacie były „okrzykami karate" wydawanymi

26 Płk Hipolit Czesław Starszak (1939-2015) w 1969 roku był jednym z prowadzących śledztwo w „sprawie taterników". Przez swoich przełożonych był wysoko oceniany m.in. za „wyjaśnienie i udokumentowanie skomplikowanej sprawy karnej przeciwko grupie osób współdziałających z Rozgłośnią Radia Wolna Europa". W 1973 r. skierowano go na dziewięciomiesięczne szkolenie specjalne w Wyższej Szkole Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego przy Radzie Ministrów ZSRS (KGB) w Moskwie. W polskiej grupie był najlepszym słuchaczem kursu. W lutym 1991 r. Jerzy Urban zatrudnił go na stanowisku dyrektora w swej spółce Urma – wydawcy tygodnika „Nie" W 2002 r. brał udział w pracach komisji statutowo-regulaminowej Związku Kontroli Dystrybucji Prasy. Przez Jerzego Urbana został również rekomendowany do Sądu Koleżeńskiego Polskiej Izby Wydawców Prasy (2004).

przez niego „pod wpływem alkoholu i narkotyków".

Zaraz po śmierci Przemyka SB zaczęła gromadzić wszelkie informacje „ze środowiska Barbary Sadowskiej". Ponieważ z relacji działającego blisko niej tajnego współpracownika wynikało, że Grzegorz przed śmiercią powiedział matce, iż milicjanci kilkakrotnie uderzyli go w żołądek, SB zdecydowała się na założenie w mieszkaniu przy Hibnera podsłuchu telefonicznego. Poetkę objęto także stałą inwigilacją. W ramach SOR o kryptonimie „Paryżanka" matkę Przemyka rozpracowywali funkcjonariusze Wydziału IV Departamentu III MSW, który zajmował się m.in. inwigilacją środowisk artystycznych. (Nr rej. 13686 (1976-1977 AIPN, 01322/628, AIPN, 01326/98)[27].

Esbecy już wcześniej podejrzewali ją i jej znajomych o stworzenie kanału przerzutu z Zachodu sprzętu i materiałów poligraficznych. Zbierano także informacje na temat kolegów zmarłego maturzysty, jego ojca Leopolda Przemyka oraz dwóch nauczycielek z liceum.

W poczuciu swej „dziejowej misji" Departament II MSW zainteresował się nawet popularną w tamtym czasie piosenką zespołu Lady Pank Mniej niż zero, analizując jej ewentualny związek ze sprawą Przemyka. Niepokój bezpieki wzbudziły słowa: „Twoje miejsce na Ziemi tłumaczy/ Zaliczona matura na pięć/ Są tacy – to nie żart/ dla których jesteś wart / Mniej niż zero". W wyniku podjętych czynności ustalono jednak, że przebój Lady Pank powstał w kwietniu 1983 roku, czyli jeszcze przed śmiercią Przemyka. Mimo to – jak mówi Marcin Gołębiewicz, prokurator z IPN – „założono, aby metodami operacyjnymi

27 Sprawa operacyjnego rozpracowania (SOR) – postępowanie, w którym wykorzystywano większy nakład sił i środków. W przypadku SOR SB rozpracowywała większą grupę osób. Tak samo jak w SOS (sprawa operacyjnego sprawdzenia), sprawie był nadawany kryptonim, uruchamiano osobowe źródła informacji, za pomocą których zbierano informacje o podejrzanych. SOR również mógł zakończyć się zwerbowaniem do współpracy. W innym przypadku informacje uzyskane w wyniku działań operacyjnych, przekształcano w materiały śledcze i sprawę kierowano do sądu.

spowodować tendencję spadkową piosenki z listy przebojów [radiowej Trójki]".

*

Realizując wytyczne zespołu, SB zajęła się przede wszystkim zastraszaniem stojącego na przeszkodzie manipulacjom bezpieki głównego świadka Cezarego Filozofa, który wraz z Przemykiem był w komisariacie, Próbowano go karnie wcielić do wojska, zmusić do emigracji, otoczono go gronem współpracowników SB, próbowano skompromitować na wszelkie sposoby, przedstawić jako osobę „zdemoralizowaną, utrzymującą kontakty z osobami z marginesu społecznego".

Rozpracowywaniem Filozofa i jego bliskich zajęła się specjalna grupa powołana w Komendzie Wojewódzkiej MO w jego rodzinnym Radomiu, w skład której weszli funkcjonariusze SB, z pionu kryminalnego i przestępczości gospodarczej. Celem było zgromadzenie takich materiałów, aby można było rozpocząć przeciwko niemu śledztwo pod jakimkolwiek pretekstem. Operacja nosiła mało oryginalny kryptonim „Świadek". Esbecy zainicjowali między innymi kontrolę należącej do rodziców Cezarego finansową pralni chemicznej, a we wrześniu 1983 roku zainstalowali w niej podsłuch. 17 sierpnia 1983 roku została przeprowadzona kontrola finansowa na działce Filozofów we wsi Gaj. Urzędnicy znaleźli tam klatki z dwunastoma lisami. Kontrolerzy stwierdzili uszczuplenie w należnościach na rzecz Skarbu Państwa w kwocie około półtora miliona złotych. Wywierano naciski na ojca, oficera Ludowego Wojska Polskiego Jana Filozofa, by wpłynął na syna i kazał mu „przestać się wreszcie się wygłupiać i upierać przy swoich zeznaniach".

Matka chłopaka, Stanisława Filozof, została wezwana na komendę w Radomiu, aby złożyć wyjaśnienia w sprawie domniemanego sfałszowania dyplomu mistrzowskiego. Istniał nawet – niezrealizowany na szczęście – pomysł zamknięcia Cezaremu ust poprzez zorganizowanie śmiertelnego wypadku samochodowego.

Akcja – zdaniem bezpieki – zaczęła przynosić pierwsze efekty.

Agentura donosiła, że ojciec świadka „jest załamany wynikami kontroli i wszelkie niepowodzenia wiąże z zaangażowaniem syna w sprawę Przemyka".

Prowokacje wobec głównego świadka trwały jeszcze wiele lat po upadku komunizmu w Polsce, dając świadectwo wartości przemian, które zaszły tu po roku 1989. W małej miejscowości pod Radomiem, gdzie Cezary Filozof mieszkał z żoną i dziećmi, pewnego dnia „nieznani sprawcy" zatkali starymi szmatami komin w jego domu. Chyba jednak Opatrzność miała w opiece całą rodzinę. Gdyby żona Filozofa napaliła tego wieczoru w piecu węglem, wszyscy zaczadziliby się. Na szczęście, napaliła drewnem.

Jeszcze w roku 2008, biorąc udział w programie telewizyjnym, Cezary Filozof zabronił ukazywania swej twarzy i podawania pełnego nazwiska. Najwyraźniej, nie wierzył w zdolność „demokratycznie wybranych" władz do zapewnienia elementarnego bezpieczeństwa swej rodzinie. Koszmar rodem z PRL-u do tej pory się dla niego nie skończył.

Chcąc maksymalnie utrudnić rozpoznanie milicjantów, podczas tak zwanego „okazania" plastyk z Zakładu Kryminalistyki Komendy Stołecznej MO dobrał funkcjonariuszy najbardziej podobnych wzrostem, wagą, kolorem włosów i budową ciała. Dodatkowo, co oczywiste, wszyscy ubrani byli w takie same mundury. Sześćdziesięciu niemal identycznych, podobnych do siebie jak krople wody mężczyzn, zebranych w hali sportowej warszawskiej „Gwardii". Nic dziwnego, że Cezary Filozof zdołał rozpoznać tylko dwóch spośród tych, tych, których widział w komisariacie na Jezuickiej: Denkiewicza i Kościuka.

Na różne sposoby starano się zastraszyć i wyciszyć kolegów szkolnych Grzegorza. Między innymi Wojciecha Cejrowskiego, znanego dziś podróżnika i autora fascynujących reportaży, który chodził do równoległej klasy maturalnej, nieznani do dzisiaj sprawcy wrzucili do samochodu i wyłamali mu wszystkie palce u rąk. „Najpierw powyciągali je ze stawów, żeby nie popękały kości" – opowiadał Cejrowski. Maturę ustną zdawał z rękami na temblaku. Mówił o regularnej pacyfikacji liceum po to, „aby w

szkole zrobiło się cicho, żeby się wszyscy bali".

Inwigilowano nawet prowadzących sprawę prokuratorów (ich notatki trafiały do SB), a oskarżonych milicjantów i świadków instruowano, jak mają zeznawać. „Ci funkcjonariusze to barany: mówię im, jak mają zeznawać, a oni nic nie rozumieją" – skarżył się – jak wynika z akt – wysoki rangą oficer MO, który instruował milicjantów.

Z późniejszych ustaleń IPN wynika, że najważniejsze decyzje, mające ukierunkować działania MO i SB, zapadały podczas posiedzeń grupy, którą kierował początkowo generał Beim, a potem generał Jerzy Gruba. Funkcjonował jednak jeszcze drugi zespół, nieformalny, w którego skład wchodzili minister Czesław Kiszczak, komendant Józef Beim oraz dyrektor Biura Śledczego MSW płk Zbigniew Pudysz. Na jednym z posiedzeń tego zespołu generał Beim poskarżył się, że w „odpowiednim" zakończeniu sprawy przeszkadzają nie tylko niewygodny świadek Cezary Filozof oraz reprezentujący matkę Przemyka adwokaci Maciej Bednarkiewicz i Władysław Siła-Nowicki, ale także... prokurator Henryk Pracki. „Te osoby będą wyeliminowane ze sprawy" – zapowiedział Beim.

I rzeczywiście. Pod zmyślonymi zarzutami aresztowano na pół roku pełnomocnika Barbary Sadowskiej, mecenasa Macieja Bednarkiewicza. W trakcie śledztwa dotyczącego dezercji żołnierza z Brygady Manewrowej KS MO w Warszawie ustalono, że uciekinier kontaktował się z Bednarkiewiczem. Adwokat podobno dawał żołnierzowi pieniądze i namawiał go, aby się nie ujawniał. A także nakłaniał go do kradzieży milicyjnej radiostacji i do szpiegowania ZOMO. O tym, że chodziło wyłącznie o wyeliminowanie związanego z opozycją adwokata z procesu Przemyka, świadczy fakt, iż areszt wobec niego został uchylony dokładnie w momencie zamknięcia przewodu sądowego w sprawie śmierci maturzysty. A oskarżenie dotyczące kontaktów z dezerterem wycofano.

Przeciwko mecenasowi Władysławowi Sile-Nowickiemu wszczęto postępowanie karne, zarzucając mu „poniżanie naczelnych organów władzy państwowej". W czerwcu 1983

roku, decyzją ministra sprawiedliwości adwokat został pozbawiony prawa do wykonywania zawodu, gdyż ukończył siedemdziesiąt lat. Aby do tego doprowadzić, Sejm PRL uchwalił nawet w tym celu specjalną ustawę.

31 maja 1984 roku został odwołany ze swej funkcji Prokurator Generalny PRL dr Franciszek Rusek. To samo stało się niebawem z jego zastępcą, Henrykiem Prackim. Po latach, podczas przesłuchania przez IPN ten ostatni stwierdził, że podczas prowadzenia postępowania w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka, „ze strony MSW i KG MO pojawiły się próby wpływania na tok czynności prokuratorskich". Franciszek Rusek wspominał natomiast, że Kiszczak w czasie jednego ze spotkań zarzucił mu wręcz, że realizuje politykę Wolnej Europy i „swym zachowaniem utrudnia nabór ludzi do MO, ponieważ nikt nie chce pracować w instytucji, która dopuszcza się łamania prawa".

Wszystko to działo się pod osobistym nadzorem generała Czesława Kiszczaka i za wiedzą ówczesnego przywódcy PRL generała Wojciecha Jaruzelskiego.

*

Zwieńczeniem żmudnych, zakrojonych na ogromną skalę prowokacji, dokonywanych przez wspomnianą wyżej grupę operacyjno-śledczą było „przyklepanie" pobicia kierowcy karetki i sanitariuszowi, którzy wieźli Przemyka z komisariatu do szpitala. Już 30 maja 1983 roku naczelnik Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Stołecznej MO ppłk Stanisław Sawicki przesłał do Komendy Głównej MO notatkę, z której wynikało, że ta właśnie wersja ma być „wiodąca". „Ma być tylko jedna wersja śledztwa, sanitariusze" – zanotował na marginesie akt sprawy Czesław Kiszczak. Tezę lansował intensywnie w mediach ówczesny rzecznik rządu Jerzy Urban, prowadząc kampanię zniesławiania matki Przemyka i jego otoczenia.

Kierowcę i sanitariusza próbowano zamknąć już 16 maja. Przedstawiono im mianowicie zarzut paserstwa. Jacek Szyzdek miał podobno kupić od Michała Wysockiego obrączki i

pierścionki, które mogły pochodzić [podkreślenie autora] z kradzieży. Prokuratura jednak uznała, że nie ma podstaw do ich aresztowania. Podobnie było przy oskarżeniu o doprowadzenie do śmierci Grzegorza Przemyka. 27 sierpnia 1983 roku prokuratorzy Anna Jackowska i Jan Traczewski wydali wprawdzie postanowienia o przedstawieniu pracownikom pogotowia udziału w pobiciu Przemyka, jednak przed sądem oskarżeni mieli odpowiadać z wolnej stopy. A więc nie trafili do aresztu, gdzie łatwo było ich zmusić do przyjęcia wersji lansowanej przez MSW.

Milicjanci poszukali więc innego pretekstu, który umożliwiłby zamknięcie ich w celi. Funkcjonariusze ustalili, że od lutego do czerwca 1983 roku Szyzdek i Wysocki przewieźli dokładnie 136 pacjentów. Kolejno ich przesłuchując, trafili na Waldemara Piwowskiego, który zeznał, że został brutalnie potraktowany przez załogę pogotowia, a z kieszeni zginęło mu półtora tysiąca złotych. Tym razem, chociaż nie przyznali się do niczego, prokurator zastosował wobec nich tymczasowy areszt. To był przełom w realizacji esbeckiego planu. Propaganda mogła już głośno lansować tezę, że sprawcami pobicia Przemyka nie są milicjanci, lecz pracownicy pogotowia.

Za kratki trafiła również pracująca w pogotowiu lekarka, Barbara Makowska-Witkowska. Ze śmiercią Przemyka nie miała nic wspólnego, ale jej proces potrzebny był władzom po to, aby wytworzyć w społeczeństwie przekonanie, że pracownicy pogotowia ratunkowego biją pacjentów. Oskarżenie tylko tych dwóch sanitariuszy o tego typu czyn, niespotykany w praktyce, byłoby mało wiarygodne, potrzebna była jeszcze druga, podobna sprawa, aby wytworzyć odpowiednią atmosferę społeczną. Doktor Makowska-Witkowska została więc fałszywie oskarżona o napad rabunkowy – pobicie i okradzenie pijanego pacjenta.

Podczas jednego z przesłuchań Michała Wysockiego, do pokoju weszło kilku mężczyzn po cywilnemu. Powiedzieli, że utopił się Piotr Bartoszcze, działacz rolniczej „Solidarności". Sugerowali wyraźnie, że nie był to wypadek.

– Czy twój syn, Piotruś, chodzi do szkoły? – zapytał kierowcę

słodko jeden z tajniaków.

– Tak, a bo co?

– A tyle zdarza się teraz wypadków...

Niedługo potem Wysocki próbował w celi popełnić samobójstwo. Aby do tego nie dopuścić, w areszcie Pałacu Mostowskich przydzielono mu asystę: przez całą dobę pilnowali go czterej agenci. Ich zadaniem było również obserwowanie aresztowanego „pod kątem stanu emocjonalnego i zamierzeń w celu rozeznania, czy pokrzywdzony będzie składał oczekiwane wyjaśnienia".

Z zeznań jednego z agentów wynika, że milicjanci sugerowali Wysockiemu, aby przyznał, że Grzegorza Przemyka pobito w karetce pogotowia. Gdy kierowca karetki odmówił, ograniczono mu kontakty z rodziną. Nękano go też, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, paląc w celi światło.

„Ze strony funkcjonariuszy po cywilnemu padła propozycja, że jeśli wezmę na siebie winę za śmierć Przemyka i przyznam się, iż nieumyślnie nadepnąłem nogą na jego brzuch, to moja rodzina nie będzie miała kłopotów, a ja skorzystam z amnestii" – opisywał przesłuchania trzydzieści lat później, podczas śledztwa prowadzonego przez Marcina Gołębiewicza z pionu śledczego IPN.

Doszedłszy do kresu wytrzymałości, kierowca karetki zgodził się podpisać pod wymuszonymi zeznaniami. 5 stycznia 1984 roku o godzinie 22.10 prokurator Jan Traczewski został wezwany do aresztu. Michał Wysocki oświadczył mu, że „od dłuższego czasu gryzie go sumienie, iż jest winien śmierci Grzegorza Przemyka, a w czasie wcześniejszych przesłuchań nie wyjawił całej prawdy". Stwierdził, że podczas interwencji „nadepnął prawą nogą na brzuch lub w okolice brzucha Przemyka".

„Wtedy zaczęło się śledzenie, jeździło za mną na zmianę kilka samochodów, podstępem przeprowadzono rewizję w naszym mieszkaniu, szykowano prowokacje – wspomina Michał Wysocki. – Sprawdzano pracowników pogotowia, wtyczek na pogotowiu było bardzo dużo, płacili im nieźle, przesłuchiwano

windziarza, chcieli nakłonić go, żeby zeznał, że pobiliśmy pacjenta w windzie. Wszystkie moje dokumenty wzięli z kadr. Znaleźli pacjenta, niejakiego Piwowskiego, którego namówiono do tego, żeby mnie oskarżył o pobicie. Śmiałem się z tego, bo przecież byłem niewinny. Piwowskiego spotkałem po 29 latach. Nie mam żalu. Do nikogo nie mam żalu, to się wszystko musiało zdarzyć, czułem, jakby mnie ktoś prowadził. (...)

Zawieźli mnie do Pałacu Mostowskich, kazali wyjąć sznurowadła. W celi posadzili mnie z Włodkiem, który się okazał pracownikiem MSW, donosicielem. Zaczęli grozić, że ściągną moich teściów z placówki z Rzymu, że napiszą paszkwil na moją ciocię, siostrę zakonną Amandę – i napisali. Grozili, że brat straci pracę – i stracił.

– Że syna panu zabiją [Pytanie dziennikarki przeprowadzającej wywiad, Magdaleny Rigamonti]?

To na koniec. Wcześniej, że młodszego brata, który pracuje na taksówkach, zamkną do więzienia. Potem, że syna przejedzie samochód i z asfaltu go będę zeskrobywać. Kiedy powiedzieli o zeskrobywaniu z asfaltu dziecka, zapytałem „Ziółka", co mam robić. Weź winę na siebie, powiedział. Byłem tak skołowany, łzy mi się lały. Zacząłem się jąkać. Miałem powiedzieć, że nadepnąłem Przemykowi na brzuch obok windy na holu. Chciałem się zabić, zresztą próbowałem nieraz. Głodowałem ponad 50 dni".

Po zakończeniu śledztwa, prowadzonego w odpowiedni sposób przez porucznika Jacka Ziółkowskiego ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych i nadzorowanego przez prokurator Ewę Chalupczak, załoga karetki stanęła przed obliczem sądu. Ten – pomimo zeznań lekarzy i pielęgniarek szpitala na Solcu, którzy wyraźnie stwierdzili, że Przemyk na pytanie „co się stało?", odpowiedział: „zostałem pobity na komisariacie MO" – uznał sanitariusza i kierowcę winnymi użycia przemocy wobec pacjenta i skazał ich na karę (odpowiednio) dwóch oraz na dwóch i pół roku pozbawienia wolności, za nieudzielenie pomocy pobitemu. Wplątana w sprawę doktor Makowska-

Witkowska przesiedziała w wiezieniu trzynaście miesięcy[28]. Uniewinnieni natomiast zostali milicjanci, którzy zamordowali Grzegorza, Ireneusz Kościuk i Arkadiusz Denkiewicz. Barbara Sadowska odmówiła udziału w sfingowanym procesie.

Warto w tym miejscu przypomnieć również nazwiska owych „sprawiedliwych" sędziów: Janusz Jankowski, Ewa Gutowska-Sawczuk, Andrzej Lewandowski.

W rozkazie dziennym z dnia 2 września 1984 roku Czesław Kiszczak przyznał nagrody pieniężne kilku funkcjonariuszom MSW za „ujawnienia wobec opinii publicznej rzeczywistej prawdy o śmierci Grzegorza Przemyka".

Resort spraw wewnętrznych, nie poczuwając się w najmniejszym stopniu do jakiegokolwiek zawinienia śmierci G. Przemyka, nie mógł pozostać obojętnym wobec jawnej prowokacji i kampanii oszczerstw skierowanej na nasz aparat – pisał «człowiek honoru». – Podjęte zostały wielokierunkowe działania zmierzające do nadania śledztwu obiektywnego charakteru, ustalenia faktycznych sprawców, pociągnięcia ich do odpowiedzialności i ujawnienia wobec opinii publicznej rzeczywistej prawdy. W wyniku długotrwałej, żmudnej pracy, prowadzonej przez wielu funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, zgromadzono materiał procesowy obrazujący faktyczny przebieg zdarzenia i rolę jego uczestników, stanowiący zarazem podstawę do uniewinnienia funkcjonariuszy MO i skazania rzeczywistych sprawców śmierci G. Przemyka".

*

28 Barbara Makowska-Witkowska po uniewinnieniu wróciła do pracy w pogotowiu ratunkowym, była pierwszym lekarzem, który dotarł w dniu 9 maja 1987 r. na miejsce katastrofy samolotu IŁ-62 „Kościuszko". Swoją historię opisała w książce Wezwanie, wydanej już po upadku komunizmu. Na jej podstawie powstał w 1996 film pod tym samym tytułem w reżyserii Mirosława Dembińskiego. Rolę główną zagrała Jadwiga Jankowska-Cieślak. Pani doktor zmarła w Warszawie 5 września 2011. Pochowano ją na Cmentarzu Północnym.

19 października 1984 roku zamordowany został przez esbeckich siepaczy ksiądz Jerzy Popiełuszko. Był jedyną podporą złamanej śmiercią syna Barbary Sadowskiej.

„Śmierć księdza Jerzego odebrała ostatnią kotwicę jej życia – wspominała przyjaciółka poetki, Ligia Grabowska-Urniaż. – Rozwinęły się choroby, z którymi walczyła wcześniej siłą woli. (...) Basia załamała się zupełnie. Zachorowała na płuca, wykryto raka".

Nie mogąc udźwignąć ciężaru śmierci jedynego syna, zmarła trzy lata po nim, 1 października 1986 roku. Została pochowana w jednym grobie razem z Grześkiem, w kwaterze 100 na Cmentarzu Powązkowskim.

„Jej poezja z miłości i bólu powstawała, każde słowo potem – to niewypowiedziany ból, bo jakże Słowo jest możliwe do zapisania Bólu?" – napisał w utworze Życie jak rdza Jerzy Koperski, poeta związany z warszawskim Klubem Hybrydy.

„Pamiętam pogrzeb Sadowskiej w kościele Stanisława Kostki na Żoliborzu. Był manifestacją narodową. (…) Grób stale zarzucany jest kwiatami w listopadowym Dniu Zmarłych". (ksiądz Jan Twardowski).

„Chcieli ją ukarać – stwierdził Leopold Przemyk. – Strzelili w samo podbrzusze".

Od 1988 roku przyznawana jest nagroda literacka imienia Barbary Sadowskiej.

*

Dopiero po upadku systemu komunistycznego, w roku 1990, niesłusznie oskarżeni o śmierć Grzegorza Przemyka zostali oczyszczeni z zarzutów. Wznowiono za to postępowania wobec funkcjonariuszy milicji – Arkadiusza Denkiewicza i Ireneusza Kościuka oraz pułkownika Kazimierza Otłowskiego z byłej Komendy Głównej MO. Dlaczego prokuratura ograniczyła się jedynie do oskarżania tych trzech osób, wybranych ze znacznie liczniejszego grona uwikłanych w morderstwo Grzegorza Przemyka, pozostaje jej słodką tajemnicą. A także tajemnicą funkcjonowania III RP.

13 czerwca 1983 roku Barbara Sadowska zeznała, iż w czasie przesłuchania powiedziano, iż jej samej nie można nic zrobić, ale „syna pani załatwimy". Groźbę tę przypomniała 20 marca 1997 roku, w swym wystąpieniu przez Sądem Wojewódzkim w Warszawie, mecenas Ewa Milewska-Celińska, twierdząc, że „w całym zdarzeniu na Placu Zamkowym brak było podstaw do zatrzymania Grzegorza Przemyka. Nie robił on, bowiem, niczego nagannego. To, że hałasował czy uwieszał się na plecach Cezarego Filozofa, nie było żadnym przestępstwem. Zdał maturalne egzaminy pisemne i z radości wyczyniał dzikie harce, jak wielu maturzystów w jego wieku. Nikogo fizycznie nie zaczepiał, nie obrażał i poza sztubackim zachowaniem, nikomu nie wadził. Nawet gdyby chodził po placu na rękach, nie czyniło go to niebezpiecznym dla otoczenia. Nie był chuliganem. Pech chciał, że nie chciał okazać dokumentu tożsamości. Pech chciał, że jako syn opozycjonistki, sam był materiałem na opozycjonistę, który w przyszłości mógł stać się niebezpieczny dla prosowieckich piesków Moskwy".

Ale młyny sprawiedliwości w III RP mełły powoli, bardzo powoli. Dopiero w 1997 roku Denkiewicz został skazany na cztery lata pozbawienia wolności, jednak karę obniżono natychmiast o połowę na mocy amnestii. W więzieniu nie spędził nawet jednego dnia. Według lekarzy psychiatrów na skutek wyroku popadł w depresję i doznał w psychice zmian uniemożliwiających odbycie kary... Kościuk został uniewinniony z braku dostatecznych dowodów winy... Otłowskiego skazano na półtora roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata, za mataczenie i udział w próbie zniszczenia akt operacyjnych. Też nie trafił do celi. W roku 1999, ostatecznym wyrokiem Sądu najwyższego został uniewinniony...

Sprawa Ireneusza Kościuka kilkakrotnie wracała na wokandę w następnych latach. Cztery razy był uniewinniany, jednak sądy wyższej instancji odsyłały sprawę do ponownego rozpatrzenia. Sąd, który w piątym już kolejnym procesie w 2008 roku skazał go za pobicie Przemyka na osiem lat pozbawienia wolności (zmniejszone o połowę na mocy amnestii) uznał, iż w sprawie

nie stosuje się ustawy o IPN, lecz przepisy kodeksu karnego oraz ustawy o nieprzedawnianiu przestępstw aparatu władzy sprzed 1989 rokiem, w myśl których czyn taki, jak pobicie ze skutkiem śmiertelnym, nie przedawnia się. W uzasadnieniu wyroku przewodnicząca składu, sędzia Monika Niezabitowska-Nowakowska stwierdziła, że „w sprawie pojawiły się nowe przekonujące dowody i dlatego tym razem wyrok jest inny niż po poprzednich czterech procesach". (Prokurator Robert Skawiński domagał się dla zwyrodnialca kary dziesięciu lat).

– Czekałem na to dwadzieścia pięć lat – skomentował wyrok ojciec Grzegorza, Leopold Przemyk. Dodał jednak natychmiast: – Ale to jest tylko miecz, a ręka gdzie?

Wkrótce pokazała się i ręka. W połowie grudnia 2009 roku Sąd Apelacyjny w Warszawie uznał, że sprawa przedawniła się 1 stycznia 2005. Tym samym postępowanie wobec Ireneusza Kościuka umorzył. Wniosek o kasację złożył wtedy urzędujący minister sprawiedliwości, Krzysztof Kwiatkowski, dowodząc, że pobicie, którego skutkiem była śmierć Przemyka, było przestępstwem popełnionym przez funkcjonariusza publicznego w związku z pełnieniem obowiązków służbowych i w związku z tym nie doszło do przedawnienia.

W lipcu 2010 roku Sąd Najwyższy oddalił wniosek ministra jako bezzasadny, wskazując, że Sąd Okręgowy uznał milicjanta za winnego, ale jednocześnie nie stwierdził, aby była to zbrodnia komunistyczna, która – zgodnie z ustawą o Instytucie Pamięci Narodowej – przedawnia się dopiero po trzydziestu latach. Skoro nie zaskarżyli tego ani prokurator, ani pełnomocnik ojca Przemyka, to – według Sądu Najwyższego – Sąd Apelacyjny nie mógł stwierdzić, że była to zbrodnia komunistyczna i musiał sprawę umorzyć. „Na pociechę" chyba tylko sędzia Małgorzata Gierszon oświadczyła, że „sprawa śmiertelnego pobicia Grzegorza Przemyka jest porażką polskiego wymiaru sprawiedliwości" i że „matactwa milicji i służb bezpieczeństwa były tak misternie przygotowane, że nawet po latach okazały się skuteczne".

Podobny finał znalazła sprawa Czesława Kiszczaka i innych

funkcjonariuszy komunistycznych służb. IPN wszczął przeciw nim śledztwo o utrudnianie i fałszowanie postępowania w sprawie śmierci Przemyka. Sam umorzył je jednak z powodu przedawnienia karalności.

Mały przebłysk sprawiedliwości pojawił się we wrześniu 2013 roku. Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu orzekł, że Polska, badając sprawę śmierci Grzegorza Przemyka, naruszyła artykuł 2 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i Podstawowych Wolności. Postępowanie karne trwało zbyt długo i dlatego doszło do przedawnienia – uznał Trybunał. Według ETPC powtórne zwracanie sprawy sądowi niższej instancji w ramach jednego postępowania sądowego świadczy o poważnych niedociągnięciach w funkcjonowaniu systemu sądowego. Trybunał uznał również, że należy przyznać ojcu Grzegorza, Leopoldowi Przemykowi odszkodowanie w wysokości dwudziestu tysięcy euro, które państwo polskie winno wypłacić w ciągu trzech miesięcy od uprawomocnienia się wyroku.

Niestety, pan Leopold nie doczekał się wypłaty, a przede wszystkim nie doczekał sprawiedliwości w wolnej Polsce, w której sędziowie przez wiele lat nie potrafili skazać milicyjnych bandytów. Zmarł w Warszawie 4 grudnia 2013 roku.

„Mamy do czynienia z precedensem przywołującym do porządku polski wymiar sprawiedliwości – skomentował wyrok Europejskiego Trybunału Piotr Andrzejewski, adwokat, działacz opozycji demokratycznej w PRL, członek Trybunału Stanu, senator I, II, II, IV, VI i VII kadencji. – Zarówno decydentów, jak i tych, którzy kształtują w III RP mentalność sędziów. Według mojego rozeznania – a mam to rozeznanie – mamy do czynienia z błędną oceną wszystkiego, co dotyczy sprzysiężenia przestępczego wokół zabójstwa Przemyka. Samego morderstwa, ale także fałszowania dowodów i matactwa wokół serii zbrodni komunistycznych. Mam na myśli sprawstwo, krycie sprawców, fabrykowanie dowodów i skazywanie niewinnych osób zamiast morderców. (...)

Zbrodnia nie powinna się przedawnić nie tylko jako zbrodnia komunistyczna, ale także ze względu na art. 105 par. 2 Kodeksu

karnego. Mówi on, że nie przedawnia się przestępstw przeciwko zdrowiu i uszkodzeniu ciała popełnionych przez funkcjonariusza publicznego pełniącego obowiązki. (...) Nie mam też jednak wątpliwości, że w uczciwym państwie nie powinno być nawet powodu po ten argument sięgać. Z całą otoczką wokół tej sprawy była to klasyczna zbrodnia komunistyczna. Swego czasu brałem udział jako zastępca mecenasa Siły-Nowickiego w postępowaniach dotyczących matactw prokuratury i milicji, fałszowania dowodów mających pokryć dowody zbrodni, nie mówiąc już o winie i sprawcach. I nie ma najmniejszych wątpliwości, że przy tuszowaniu brało udział wiele osób, od generał Kiszczaka jako szefa MSW, do zabójców z posterunku MO na Jezuickiej, którzy bili, żeby zabić. Mieli świadomość, że skatowanie w ten sposób ofiary może doprowadzić do skutku śmiertelnego i liczyli się z tym. Zawartość jamy brzusznej została całkowicie zmiażdżona, uniemożliwiając ochronę przed zgonem. (...)

Cały przebieg sprawy Przemyka po 1989 roku pokazuje, że państwo prawa jest u nas fikcją. To mocne stwierdzenie, ale to problem nie tylko właściwej oceny i wyroku. To problem zachowania prokuratorów i sędziów w sprawie grupy przestępczej. Chronienie przestępców przed karą przeniesiono z czasów PRL na dzisiejsze. Niestety, dopóki nie zmieni się system funkcjonowania prawa w III RP, to konstytucyjna deklaracja państwa prawa będzie fikcją".

I jeszcze jedna nuta optymizmu w tej całej ponurej historii. W sierpniu 2009 roku Sąd Okręgowy w Warszawie skazał na dwa lata oraz półtora roku pozbawienia wolności byłych milicjantów, Edwarda Misztala i Janusza Smugę. Tym samym złagodził wcześniejszy wyrok Sądu Rejonowego, który w 2006 roku skazał ich na dwa i pół oraz dwa lata więzienia.

3 maja 1983 roku, podczas zajść ulicznych na warszawskiej Starówce, ludzie Misztala wtargnęli na teren klasztoru przy kościele pod wezwaniem św. Marcina, gdzie mieścił się prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Pobili jego pracowników (w tym Barbarę

Sadowską), zdemolowali pomieszczenia i zabrali ze sobą sześć osób. Bijąc, obrażając i grożąc śmiercią, milicjanci wywieźli porwanych do lasu. Wypuścili ich wieczorem, bez wierzchnich okryć i dokumentów.

Proces milicjantów ruszył w 1994 roku. Podsądni, którym groziło do dziesięciu lat więzienia, nie przyznali się do zarzucanych im czynów.

*

„(...) Sprawy Przemyka nie wolno rozpatrywać w oderwaniu od ówczesnej sytuacji politycznej – stwierdził «uomo d'onore» w książce Witolda Beresia i Jerzego Skoczylasa Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko. – Trwała ostra walka polityczna dwóch silnie zantagonizowanych orientacji. Żadna z nich nie oszczędzała drugiej, każdy chwyt propagandowy był dobry, każdy błąd i potknięcie bezlitośnie wykorzystane. (...) Prokuratura podlegała Milewskiemu[29], który zwęszył od razu interes polityczny. Chciał, jeżeli nie zgnieść, to przynajmniej osłabić swojego wroga politycznego – Kiszczaka.

Część kierownictwa Prokuratury Generalnej, widząc w Milewskim może nawet kandydata na I sekretarza PZPR, chciała na sprawie Przemyka zrobić kariery. Na czarne mówili białe, nie przyjmując faktów do wiadomości. W tej sprawie, w odróżnieniu od sprawy tragicznej śmierci Pyjasa i innych, nikogo się nie bali. Niektórych z nich usunięto później jako dogmatyków razem z Milewskim.

(...) Opozycja w odróżnieniu od władzy nie musiała się liczyć

29 Mirosław Milewski (1928-2008) – generał dywizji MO i SB, członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR w latach (1981-1985). Pracownik stalinowskiego aparatu bezpieczeństwa. Jego nazwisko wiązane jest z aferą „Żelazo" oraz zabójstwem księdza Jerzego Popiełuszki. Morderca księdza, Grzegorz Piotrowski zeznał, że miał poparcie w aparacie władzy, a konkretnie sekretarza KC PZPR, gen. Milewskiego: „Politycznym inspiratorem porwania – niezależnie od indywidualnego fanatyzmu sprawcy – mógł być wyłącznie towarzysz Mirosław Milewski". W 1985 r. Mirosław Milewski został usunięty ze wszystkich stanowisk w partii i państwie, a następnie przeniesiony na emeryturę.

praktycznie z nikim i z niczym. Konspiracyjna prasa wsparta przez rozgłośnie zachodnie, nie ponosząc odpowiedzialności za pisane słowa, wykorzystała tę śmierć do rozpętania bezwzględnej kampanii oskarżycielskiej milicjantów o zabicie człowieka.

(...) Czy noszony na Starym Mieście przez kolegów «na barana» Przemyk upadając na jezdnię i chodnik nie doznał śmiertelnego w skutkach obrażenia?

(...) Wynikająca z przyczyn politycznych niechęć do gruntownego sprawdzenia wszystkich możliwych rozsądnych wersji spowodowała, że praktycznie prokuratura skoncentrowała się tylko na wersji obciążającej milicjantów.

(...) Takie przesądzające wynik z góry śledztwo musiało w konsekwencji skłonić przełożonych do obrony milicjantów, tym bardziej, że oni od początku nie przyznawali się do winy, a przekonujących dowodów nie było. (...)

Jeden z adwokatów ukrywał dezertera z ZOMO i namawiał go za pieniądze, żeby on poszukał jeszcze paru kolegów, którzy mogliby potwierdzić wersję, że Grzegorz Przemyk był bity na komisariacie.

(...) Grzegorz Przemyk też był leczony psychiatrycznie. W tej chwili usiłuje się to przedstawić tak, że on był absolutnie zdrowy psychicznie, tylko że robiono z niego wariata, żeby nie był powołany do wojska. Można i tak.

(...) Nie ja ich zamykałem, a prokuratura, która uznała, że są ku temu pełne podstawy, zresztą sanitariusze zostali zwolnieni zaraz po rozprawie.

(...) Gdybyśmy chcieli zamykać wszystkich policjantów w Polsce oskarżonych o pobicie, to sparaliżowalibyśmy całą policję. Codziennie policjanci są oskarżani o pobicie. Każdy pijak, wobec którego używa się siły, twierdzi, że został pobity przez policję.

(...) Opozycja przedstawiła milicjantów i milicję w ogóle w jak najgorszym świetle i jednocześnie prezentowała świetlany wizerunek matki zamordowanego. W późniejszym czasie nie zawahano się włączyć do tego i papieża. I jedno i drugie było dalekie od prawdy. Urabianie na siłę nieprawdziwego obrazu

Barbary Sadowskiej kosztem MSW nie mogło nie rzutować na stanowisko grupy operacyjnej. Każdej akcji towarzyszy reakcja obronna".

„Gdybyśmy chcieli rozprawić się z Przemykiem, wzięlibyśmy fachowców" – powiedział pan generał Czekiszczak na posiedzeniu zespołu operacyjno-śledczego, jeszcze w roku 1983.

Nieco inaczej widział sprawę generał Władysław Pożoga, ówczesny zastępca Kiszczaka i szef Służby Wywiadu i Kontrwywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. (Henryk Piecuch – Pożoga. W. Jaruzelski tego nigdy nie powie):

„Na pewno nie chciano zabić. Na całym świecie policja stosuje przemoc. Faktem jest, że Przemyk w krytycznym dniu był pijany. Oczywiście, nie oznacza to wcale, że za spożycie alkoholu i dziecinne wygłupy, nawet w środku miasta, można go było śmiertelnie pobić. Nic nie usprawiedliwia brutalności, z jaką się wówczas spotkał ten młody człowiek. Nadal jednak nie ma żadnych dowodów, aby owo pobicie miało jakikolwiek związek z opozycyjną działalnością jego matki. Nawet gdyby miało, to nie mógłby to być jeszcze jeden dowód obciążający.

(...) Proces, a raczej przygotowania do niego, przypominał farsę z najgorszego teatru. Wiele wskazuje na to, że znowu podjęto decyzję polityczną [mowa o procesie z lat dziewięćdziesiątych]. Wkrótce doczekaliśmy się drugiego, znacznie groźniejszego zabójstwa. Jestem przekonany, że gdyby sprawców, wierzę, że nieumyślnego, zabójstwa Przemyka rozliczono zgodnie z prawem, nie doszłoby do morderstwa księdza Jerzego Popiełuszki.

(...) Odpowiedzialność za matactwa spada na Kiszczaka. Ale nie tylko on miał interes, aby motać. (...) Niespełna dwa lata wcześniej postawiono go na szefa resortu. Wie, że ma wśród starych pracowników wielu przeciwników. Wybucha afera, nagłośniona z lewa i z prawa. Ginie młody człowiek. Podejrzenia wskazują na jego ludzi. Jak w takiej sytuacji ma się zachować szef resortu? Zgodnie z sumieniem? Zgoda, tyle, że on również wie o toczącej się w Białym Domu ostrej walce o władzę, o kształt Polski. Widzi rysujące się podziały. Jest z Jaruzelskim,

opierającym się na wojsku i resorcie spraw wewnętrznych. Jeżeli Kiszczak dopuści do skazania swoich ludzi, osłabi jeden z fundamentów Jaruzelskiego".

Jerzy Urban:

„Nie wierzyłem, że to był specjalny atak na Sadowską. Uważałem, że należy szybko i zdecydowanie zawiesić tych milicjantów, że to jest niedopuszczalne, aby na komisariacie odbywało się bicie. (...)

Ja przyjmowałem milczące założenie, że Przemyk umarł w wyniku pobicia na komisariacie. Kiszczak kontrargumentował, że jeszcze nic nie wiadomo, resort stara się tę sprawę wyjaśnić, ale nawet gdyby się okazało, iż winni byli funkcjonariusze, to tak od razu zawieszać nie byłoby całkiem w porządku.

Później zacząłem dostawać całą masę dokumentów, na przykład o powiązaniach świadków, i tu już nie miałem własnych poglądów, ale jakaś szalona skwapliwość i niezmierna aparatura śledcza wydawały się trochę podejrzane".

Hipokryzję wszystkich cytowanych wyżej „towarzyszy" przebiła jednak kobieta. Pani generałowa Czesławowa Kiszczakowa. Udzielając wywiadu dziennikarce „Faktu", Maria Teresa Kiszczak powiedziała między innymi:

„Ta zła atmosfera wokół mojego męża jest stworzona sztucznie. Społeczeństwo zostało poddane praniu mózgu (...) księża zrobili ludziom pranie mózgu. Wzburzało mnie to, co słyszałam z ambon. Np. poszłam z rodziną na pasterkę do kościoła w Wilanowie, a tam ksiądz od razu dzielił ludzi na patriotów i kolaborantów. Wydźwięk był taki, że najlepiej byłoby zabijać tych «kolaborantów». Wtedy przestałam chodzić do Kościoła, chociaż jestem wierząca.

(...) Trzeba prześledzić przebieg tych wydarzeń. Przecież to był stan wojenny, kontrole były więc zaostrzone. A tu nagle grupa młodych ludzi wytacza się z bocznej uliczki, zaczynają się przewracać w centrum Warszawy, jeden bez buta, chyba ten Przemyk. A milicja pilnuje porządku, więc zgarnęli tę grupę (...) poprosili o dowód osobisty, a on powiedział, że nie da dowodu takiej hołocie.

(...) To nie jest potwierdzone, że go skatowali. Ta wersja powstała później. A śledziłam tę sprawę, wiadomości miałam nie od męża, ale z mediów. Został zabrany z posterunku, gdzie go przesłuchiwano, przez pogotowie. Bo to on zaczął atakować policjantów!

(...) Karetka go wiozła do szpitala, wtedy zaatakował jednego z sanitariuszy. Zaczął go walić pięściami, może był po narkotykach? To ten go raz, drugi, trzeci... Potem ludzie widzieli w przychodni, jak go wyciągano za nogi. Taki był agresywny. I wrzeszczał.

(...) [Przemyk] zachowywał się prowokacyjnie. Agresywnie. A kto sobie pozwoli na takie zachowanie? To samo było w karetce. Brał narkotyki i używki. I co ma w tym wspólnego Kiszczak? To były działania milicji! To Solidarność nagłośniła tę sprawę. (...) A poza tym, skoro był w takim stanie, to dlaczego go wypuścili ze szpitala do domu? Czyli zdrowy chłopak. (...) Przemyk sam sobie był winny".

*

W kaplicy pod wezwaniem św. Maksymiliana Kolbego w Sanoku, przy ulicy Zagrody znajduje się tablica poświęcona Grzegorzowi Przemykowi. Została ufundowana przez młodzież szkolną już w maju 1987 roku. Wypisano na niej fragment z Księgi Psalmów (37, 17) „...ramiona niegodziwych będą złamane, ale sprawiedliwych Pan wspomoże".

Na budynku XVII LO im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego w Warszawie, do którego uczęszczał Przemyk, odsłonięto w czerwcu 2003 roku w dwudziestą rocznicę śmierci, tablicę pamiątkową, a na niej wiersz Grzegorza Gra w szczerość z tomiku Oko.

Możesz mnie prosić o obietnicę
obiecam – złamać mogę
O prawdę spytać
proszę mogę skłamać
O Bogu opowieści chcesz

Już w tej chwili mówię
o jego brwiach boskich
O śmierci też mówić dużo bzdurnie
krzyczeć płakać pogrzebywać
I o nasze dziś mnie spytać możesz
odpowiedzi poszukaj w sobie
Lecz o jutro mnie nie pytaj
bo nie wiem jeszcze
czy w ogniu utonę
czy w wodzie spłonę

3 maja 2008 roku prezydent RP Lech Kaczyński pośmiertnie odznaczył Grzegorza Przemyka Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce.

W maju roku 2012, w dwudziestą dziewiątą rocznicę aresztowania i pobicia Grzegorza, na budynku przy ulicy Jezuickiej 1/3, w obecności Leopolda Przemyka (ojca Grzegorza), Michała Wysockiego (kierowcy karetki) oraz Hanny Gronkiewicz-Waltz (prezydent Warszawy) została odsłonięta tablica upamiętniająca tamte wydarzenia.

16 maja 2013 roku Senat Rzeczypospolitej Polskiej jednogłośnie przyjął uchwałę, w której oddał hołd Grzegorzowi Przemykowi w trzydziestą rocznicę jego śmierci. Senatorowie potępili w niej „sprawców oraz inicjatorów tego politycznego mordu" i zaapelowali o ponowienie próby osądzenia winnych. Wcześniej, ze względu na zastrzeżenia do jej treści zgłoszone przez Sojusz Lewicy Demokratycznej, uchwały nie przyjął Sejm. Poseł Tadeusz Iwiński z SLD sprzeciwił się uchwale upamiętniającej tę śmierć, ponieważ znalazło się w niej zdanie, że najwyższe władze partyjne i państwowe fabrykowały dowody w sprawie zabójstwa licealisty!

Oprawcy stali się nietykalni – za kraty nie poszli nigdy. Paru niewinnym ludziom złamano życie. Być może Grzegorz Przemyk był przypadkową ofiarą, ale w zakłamywaniu okoliczności jego śmierci nie było nic z przypadku.

„Milicja czuła się wtedy bezkarna w pacyfikowaniu młodych ludzi – tłumaczy historyk i alpinista, profesor Andrzej Paczkowski, przewodniczący Rady IPN. – Była agresywna, pod byle pretekstem wyciągano pałkę. Przemyk nawinął im się przypadkiem, ale już sytuacja w jakiej się znalazł, nie wynikała z przypadku.

(...) Wiosną 1983 roku tysiące funkcjonariuszy aparatu przemocy dosłownie «rwało się na smyczy». Środowiska opozycyjne zapowiadały bojkot oficjalnych uroczystości pierwszomajowych. W pierwszych dniach maja m.in. w Warszawie, Wrocławiu, Szczecinie czy Poznaniu dochodziło do manifestacji, rozrzucano ulotki, a zomowcy musieli rozpędzać tłum. W Nowej Hucie miały miejsce regularne starcia.

Milicjanci w tych okolicznościach wiedzieli, że jeśli nawet komuś przyłożą zbyt mocno, włos im z głowy nie spadnie. Mieli się o tym przekonać także oprawcy Grzegorza Przemyka. Komunistyczna władza z wizerunkowych powodów musiała przynajmniej udawać, że zamierza sprawę wyjaśnić. Zbliżała się wizyta Jana Pawła II – Episkopat korzystając z tej okoliczności mocno naciskał na ekipę Jaruzelskiego”.

*

Dziś wiadomo już, kto miał na rękach krew Grzegorza Przemyka i kto próbował ją potem z nich zmywać. Kiszczak nie żyje, Jaruzelski nie żyje, gdzieś w komunistycznym piekle (zapewne na miejscach dla VIP-ów) smażą się również generałowie Milewski i Beim, a pułkownik Hipolit Starszak dorzuca węgla do rozpalonego pod kotłem ogniska.

Odeszli również (na wieczną wartę) profesorowie Szewczuk i Borgosz – być może już w piekielnej hierarchii zwykli magistrowie. Milicjanci, którzy 12 maja 1983 roku bili dziewiętnastolatka tak, żeby popękały mu narządy wewnętrzne, mają się świetnie. Zajmujący się sprawą zabójstwa warszawskiego maturzysty esbecy i milicjanci, łamiący życie matce Przemyka oraz jego kolegom, korzystają w większości z wysokich emerytur. Włos z głowy nie spadł także zamieszanym

w matactwa prokuratorom i niezawisłym (od rozumu i przyzwoitości) sędziom. Beztroska i opieszałość ich następców, brak kompetencji albo zła wola „sprawiedliwych", tkwiących wciąż w poprzedniej epoce, to wszystko odkłada się w społeczeństwie niechęcią do współczesnej Polski. Polski, gdzie wciąż istnieją tematy zamknięte na kłódkę.

Sędzia Janusz Jankowski, który wysyłał do więzienia również przywódców KPN, w III RP zasłynął wydawaniem najwyższych wyroków dla członków gangu nowodworskiego (2008 r.). Karał grzywną Andrzeja Leppera za wysypywanie zboża na tory, gdy był już wicepremierem. Rozsądzał sprawę między Tomaszem Sakiewiczem a Adamem Michnikiem z powództwa tego ostatniego (z korzyścią dla tego pierwszego). Jeszcze w 2010 roku był sędzią sądu okręgowego Warszawa Praga, wcześniej wiceprezesem sądu wojewódzkiego w Warszawie.

Ewa Gutowska-Sawczuk w roku 1997 nadal orzekała, między innymi w sprawie małżeństwa Mandugeqi, uznając iż, jak twierdził rząd chiński, przywłaszczyli oni sobie dziesięć milionów juanów, ale sprzeciwiając się ich ekstradycji.

Andrzej Lewandowski, który sądził również w okresie stanu wojennego szefa komitetu strajkowego Huty Warszawa Karola Szadurskiego, skazując go na półtora roku pozbawienia wolności, w roku 2010 figurował na liście adwokatów.

Pani prokurator Ewa Chalupczak (obecnie pani prokurator Ewa Chalupczak-Zdrodowska), „za komuny" wchodziła w skład tzw. „grupy Bardonowej", zajmującej się śledztwami politycznymi z ramienia władz PRL. Grupa ta szczególnie specjalizowała się w represjonowaniu opozycjonistów. W jej skład wchodzili prokuratorzy: Anna Detko-Jackowska, Krystyna Bartnik, Artur Kassyk i Maciej Białek. Pani Chalupczak-Zdrodowska w 1995 roku nadal była prokuratorem w warszawskim Śródmieściu. W roku 2010 została zastępcą prokuratora rejonowego Warszawa Śródmieście Północ.

Szefowa grupy Wiesława Bardonowa – naczelnik wydziału śledczego prokuratury wojewódzkiej w Warszawie, odeszła z pracy we wrześniu 1990 roku, nie poddając się weryfikacji. Nie

poniosła żadnych konsekwencji swoich czynów.

Prokurator Anna Detko-Jackowska zwana była przez adwokatów „Żółtą", gdyż zjawiała się na sali sądowej w żółtym dresie. Oprócz sprawy Przemyka, zajmowała się również sprawą zabójstwa księdza Popiełuszki i katastrofą lotniczą w lesie kabackim. W 2005 roku nadal pracowała w prokuraturze. Prokurator Maciej Białek, który wcześniej kwestionował opinię biegłych sugerującą zabójstwo księdza Stefana Niedzielaka, według „Gazety Wyborczej" był w 2011 roku prokuratorem w stanie spoczynku Prokuratury Krajowej, z pensją dziesięć tysięcy złotych miesięcznie.

Prokurator Artur Kassyk. Ten to dopiero zrobił w III RP prawdziwą karierę. Zweryfikowany negatywnie, odwołał się od decyzji i odwołanie uwzględniono. Był prokuratorem prokuratury okręgowej, zajmował się przestępczością gospodarczą, potem szefem wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej. W okresie rządów ministra Zbigniewa Ziobry, z ramienia ministerstwa nadzorował prokuraturę katowicką, m.in. opiniował akta odnośnie sprawy Barbary Blidy. 31 marca 2011 roku został powołany na prokuratora prokuratury generalnej, gdzie zajmował się m.in. zeznaniami świadków koronnych. Ma opinię bardzo ostrożnego.

Prokurator Krystyna Bartnik została zweryfikowana negatywnie. Wróciła jednak do prokuratury za rządów Tadeusza Mazowieckiego, gdy ministrem był Aleksander Bendkowski. Jej sprawa stała się głośna w okresie gdy ministrem był Zbigniew Ziobro. Prokurator Bartnik awansowała do ministerstwa, zostając szefową wydziału przyznającego odszkodowania byłym opozycjonistom. Po ujawnieniu jej przeszłości przez „Gazetę Wyborczą" została zdymisjonowana.

*

Porucznik Jacek Ziółkowski, który na zlecenie Kiszczaka zbierał „dowody" obciążające sanitariuszy i doktor Witkowską-Makowską, w roku 1992, w „wolnej" Polsce został komendantem policji na warszawskim Mokotowie.

„Był głównym przesłuchującym – wspominał go Michał Wysocki. – «Ziółek» na niego mówiliśmy. Udawał mojego przyjaciela, mówił, że chce pomóc. I ja mu wierzyłem. Dopiero z akt się dowiedziałem, co on robił, jak manipulował, jakie miał zlecenie. Był w grupie powołanej specjalnie do sprawy Przemyka. Jego zadaniem było sprawienie, bym się przyznał do zamordowania chłopaka. Przeczytałem w tych dokumentach, w wyciągu ze spotkań Biura Politycznego, że Kiszczak znał szczegóły tej sprawy. Wszystkie nazwiska, kolejność zdarzeń na pamięć. Podczas obrad Biura Politycznego potrafił mówić o tym przez godzinę bez kartki. To on stworzył kłamstwo, że Michał Wysocki zabił Przemyka, i trzymał się tego kurczowo. Zrobił wszystko, żeby obarczyć nas, sanitariuszy. Przecież wcześniej zaczęły się aresztowania lekarzy i sanitariuszy pogotowia fikcyjnie oskarżanych o pobicie bądź okradzenie pacjentów. Szykowano grunt, by udowodnić społeczeństwu, że w pogotowiu pracują zwyrodnialcy. Sprawdzano mnie, moje życie, pracę, rodzinę, znajomych, wszystko. Docierano do szkół, w których się uczyłem, przesłuchiwano ludzi, z którymi pracowałem. Tylko po to, żeby jakieś negatywne fakty z mojego życia wyciągnąć”.

„Za komuny” Jacek Ziółkowski prowadził też sprawy innych zabójstw politycznych, między innymi Małgorzaty Targowskiej-Grabińskiej, zamordowanej 9 maja 1985 roku przez „nieznanych sprawców”. Bandyci najprawdopodobniej pomylili ofiarę – zginęła nie ta kobieta, którą chcieli zabić. W tej samej dzielnicy, dosłownie trzy przecznice od domu Grabińskich, mieszkała inna Małgorzata Grabińska – synowa związanego z opozycją adwokata. Andrzej Grabiński bronił w procesach księży oskarżonych o działanie na szkodę socjalistycznego państwa, występował w sądach po stronie strajkujących: w Stoczni Szczecińskiej, w Ursusie i w Instytucie Badań Jądrowych. Był oskarżycielem posiłkowym w procesie zabójców księdza Jerzego Popiełuszki. Sprawcy poderżnęli ofierze gardło w taki sam sposób, w jaki niemiecki szpieg uśmiercił panią Garden w powieści Kena Folleta Igła, przetłumaczonej przez panią Targowską-Grabińską dla wydawnictwa Czytelnik w 1981 roku.

Przez kilka dni technicy kryminalistyki zbierali w mieszkaniu ślady i dowody. Znaleźli między innymi świeże odciski palców, których właściciela nigdy nie ustalono. Zatrzymano za to męża ofiary, Aleksandra Grabińskiego. Przez dwa dni biciem usiłowano go skłonić, by przyznał się do zamordowania żony. Na szczęście Grabiński miał alibi, w dodatku nie było żadnych dowodów jego winy i musieli go wypuścić. „Śledztwo w tej sprawie było prowadzone w taki sposób, aby uchronić sprawców przed odpowiedzialnością" – czytamy w tygodniku „Newsweek".

Po bardzo szybkim umorzeniu sprawy akta przekazane zostały do archiwum Urzędu Spraw Wewnętrznych Komendy Stołecznej Policji, skąd „wyparowały" nie wiadomo kiedy i w jakich okolicznościach.

– Ja chciałem wykryć wówczas prawdziwych morderców Przemyka, dlatego przełożeni odsunęli mnie od tej sprawy – zapewniał Jacek Ziółkowski.

Po przejściu na emeryturę został radnym SLD, przewodniczącym tego klubu na Mokotowie i szefem komisji bezpieczeństwa Mokotowa. Rozwijającą się karierę polityczną zaburzył zamiar wniesienia przez IPN przeciwko Ziółkowskiemu oskarżenia o fabrykowanie dowodów w sprawie zabójstwa Przemyka. Informację o tym przekazał swoim czytelnikom Dziennik „Rzeczpospolita" w 2003 roku.

– Nie wiem nic o rozpoczęciu jakiegokolwiek postępowania przez IPN – stwierdził Jacek Ziółkowski. – Na razie uważam całe zamieszanie za polityczną rozróbę. Już raz byłem przesłuchiwany przez sąd w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka. Nie zostałem wtedy o nic oskarżony i niczemu też nie czuję się winny, nawet sam przed sobą.

Roman Sosnowski, mokotowski radny PiS, przyznał, że w „rozmowach korytarzowych" Ziółkowski wypowiadał się głośno na ten temat: „Głosił mit nieznanych sprawców, twierdził, że to Przemyk rzucił się na milicjantów i sanitariuszy. Wychodzi na to, że chłopak sam się pobił. Ale tak w ogóle Ziółkowski to przemiły facet, ciągle opowiada, jak w latach siedemdziesiątych zakładał klub konny dla dzieci i młodzieży..."

Jak widać, uczestnictwo w tuszowaniu sprawy Grzegorza Przemyka w okresie PRL, w III RP było raczej dźwignią do kariery, a nie przeszkodą. Z wyjątkiem okresu rządów Prawa i Sprawiedliwości, kiedy to mainstreamowe media z „Gazetą Wyborczą" na czele zaczęły nagle zwracać uwagę na przeszłość forowanych przez tę partię sędziów, prokuratorów i innych funkcjonariuszy komunistycznego reżymu.

Dziś od śledczych Instytutu Pamięci Narodowej zależy nie tylko zwykła sprawiedliwość i nie tylko przywrócenie narodowej pamięci. Ale przede wszystkim odbudowanie zaufania społeczeństwa do Rzeczypospolitej. Bo nie może być o nim mowy, jeśli funkcjonariusze państwa, którzy byli zbrodniarzami, nadal będą chodzić wśród nas po ulicach.

ŚMIERTELNY UPADEK Z... FOTELA

ZABÓJSTWO KSIĘDZA STEFANA NIEDZIELAKA

(1989)

Zerwana z kalendarza kartka pokazywała sobotę, dwudziesty pierwszy dzień stycznia 1989 roku. W prasie poruszano sprawę pobicia polskiego turysty w Zgorzelcu przez enerdowskich celników. Z rąk „niemieckich oprawców" – jak pisano – uratowali go polscy celnicy. Dominowały jednak informacje na temat możliwej zgody władz na wolny obrót walutami krajów kapitalistycznych. Dwadzieścia dni wcześniej Sejm PRL IX kadencji uchwalił tzw. „Ustawę Wilczka", regulującą w sposób liberalny działalność gospodarczą, a wraz z nią zasadę, że „co nie jest zabronione, jest dozwolone". Niemalże jednym ruchem ręki minister przemysłu w rządzie Mieczysława F. Rakowskiego – Mieczysław Wilczek zlikwidował w Polsce socjalizm w dziedzinie gospodarki. Od tej pory każdy, bez żadnej kontroli państwowej, mógł produkować i sprzedawać co chce i jak chce. Z dnia na dzień na polskich ulicach pojawili się rodzimi kapitaliści. Ustawa przede wszystkim otwierała przed nomenklaturą szerokie możliwości prowadzenia rozmaitych szemranych interesów i uwłaszczania się na potędze, ale o tym nikt wtedy nie myślał.

Nowi biznesmeni startowali często od bazarowych „szczęk", obwoźnego handlu, czy nie do końca jasnych transakcji eksportowo-importowych i często budzili śmiech, bo demonstracyjnie obnosząc się z bogactwem, pokazywali zupełny brak obycia. Wytykano palcami ich białe skarpetki zakładane do ciemnych garniturów i dzwoniące w najbardziej niestosownych momentach telefony komórkowe. Ale oni się nie przejmowali. Wkrótce całe to środowisko miało wykupić bilet wstępu do wielkiego świata, wejść na salony i szybko nauczyć się

obowiązujących w nich reguł.

Polska zmieniała się w takim samym tempie, w jakim następowały przemiany polityczno-gospodarcze. Gwałtownie. Jak grzyby po deszczu powstawały nowe sklepy, kantory wymiany walut i rozmaite firmy. Miasta robiły się kolorowe. „Szyldoza" opanowywała kraj niczym epidemia, reklamy biły w oczy, kontrastując z szarością murów i bielą śniegu. Tak jak kolorem poprzedniego ustroju była czerwień, a kolorem nadziei, która towarzyszyła jego obaleniu – zieleń, tak barwą krwiożerczego kapitalizmu pierwszych lat po przemianie była pstrokacizna, żywcem wzięta z zapaćkanej farbami palety malarza abstrakcjonisty. Na ulicach zaczęło pojawiać się coraz więcej zachodnich samochodów. Starsi bogobojni ludzie odwracali wzrok od kłujących w oczy i w serca napisów „sex-shop". Inni z żalem myśleli o rysującej się coraz wyraźniej możliwości opuszczenia Polski przez sowieckich żołnierzy.

Od 23 października ubiegłego roku czekał już na odegranie swej roli w historii wykonany w Zakładach Wytwórczych Mebli artystycznych w Henrykowie składający się z czternastu segmentów mebel. Okrągły Stół. Każdy segment stanowiła płyta stolarska pokryta dębową okleiną. Ze względu na tempo produkcji blat od spodu nie został polakierowany.

Wstrząsany wciąż nowymi wydarzeniami komunistyczny reżim chwiał się jak drwal z Łupkowa w dniu wypłaty. Tygodnik „Przekrój" pytał w noworocznym numerze: „Czy dojdzie do od tak dawna przygotowywanego i zapowiadanego spotkania przy okrągłym stole? Nadal pozostaje nierozwiązany kluczowy problem sporny – sprawa relegalizacji Solidarności". Z szybkością pociągu pospiesznego Moskwa – Warszawa nadchodziła nowa epoka. Wszędzie pękały okowy, bariery i hamulce.

Wspomnianego wyżej dnia, 21 stycznia, euforyczny nastrój przerwała podana przez media krótka informacja o odnalezieniu w godzinach rannych na plebanii kościoła pod wezwaniem św. Karola Boromeusza przy ulicy Powązkowskiej 14 (róg Piaskowej) w Warszawie martwego księdza prałata Stefana

Niedzielaka, proboszcza tejże parafii. „Wiele wskazuje, że miał miejsce napad rabunkowy i ksiądz stał się jego ofiarą – doniósł swoim czytelnikom „Sztandar Młodych" (nr 16/11476). – Odniesione przez niego obrażenia pozwalają domniemywać, iż doszło do zabójstwa. Trwają intensywne czynności śledcze i przeprowadzane są eksperymenty mające na celu wyjaśnienie okoliczności tej tragedii".

*

Kiedy w sobotę o siódmej ksiądz Niedzielak nie pojawił się – jak zwykle – w kościele, by odprawić poranną Mszę świętą, zajął się tym w jego zastępstwie ksiądz Stanisław Słomkowski. Po jej zakończeniu, zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością prałata, w towarzystwie kościelnego, Henryka Różyckiego, udał się na plebanię, aby sprawdzić, co się dzieje. Na oknach nie były zasunięte zasłony, widać było palące się światła. Z niemałym zdziwieniem spostrzegli, że drzwi wiodące do mieszkania są zamknięte „jedynie na klamkę".

„Zauważyłem przewrócony fotel i włączony telewizor – zeznawał później Henryk Różycki. – W położonym najbliżej wejścia pokoju znaleźliśmy leżącego na podłodze proboszcza. Nie dawał żadnych oznak życia. Nie przypominam sobie również śladów krwi. W pokoju był bałagan, co wskazywało na ślady przeszukania, ale żadne pieniądze nie zginęły. Ciało księdza leżało zwinięte pod kaloryferem przy oknie, w częściowo rozpiętej sutannie".

Ksiądz Słomkowski pobiegł szybko do kancelarii Zarządu Cmentarza i poinformował o zdarzeniu pracujące tam panie, prosząc równocześnie, by wezwały pogotowie ratunkowe oraz milicję. Zawiadomił także kurię biskupią.

Milicjanci, którzy pojawili się na miejscu zdarzenia, określili je początkowo jako zabójstwo. „Po przybyciu na miejsce jedna z pracownic Zarządu Cmentarza wskazała nam mieszkanie proboszcza mówiąc, że kościelny pan Henryk stwierdził, że w tym mieszkaniu stało się coś niedobrego – zapisał w notatce służbowej funkcjonariusz Dzielnicowego Urzędu Spraw

Wewnętrznych Warszawa-Wola Wojciech Z. – Drzwi do mieszkania były otwarte z zamków. Po naciśnięciu klamki przez chusteczkę otworzyły się. Po wejściu do przedpokoju, a następnie do pokoju po prawej stronie przy oknie zauważyliśmy leżący, przewrócony fotel, a przy oknie, głową w kierunku drzwi, mężczyznę w starszym wieku, ubranego w czarną sutannę. Przed obejrzeniem mieszkania podszedłem do leżącego księdza, dotknąłem jego pulsu w przegubie prawej ręki. Był niewyczuwalny. Ciało było zimne. Ręka była sztywna. W międzyczasie ustaliłem, że denatem jest prawdopodobnie tu zamieszkały ksiądz proboszcz obywatel Stefan Niedzielak urodzony w 1914 roku. Ustalono, że ksiądz nie żył już od kilku godzin".

Według policji zabójcy przyjechali autobusem. Przeszli przez płot przy ulicy Powązkowskiej, od strony Burakowskiej, po czym, po dokonaniu zbrodni powrócili na przystanek i odjechali w kierunku Żoliborza.

Przybyły na miejsce lekarz medycyny sądowej, major Jacek Jaroszewski nie był w stanie po pierwszych oględzinach stwierdzić, co było bezpośrednią przyczyną zgonu. „(...) zwłoki leżały w pierwszym pokoju plebanii wzdłuż ściany okiennej przy kaloryferze, ułożone na brzuchu i prawym boku – napisał w protokole (...). – Między kończynami górnymi przy głowie leżały przesiąknięte krwią majtki męskie (...). Odzież denata nie nosiła wyraźnych śladów uszkodzeń, jak również była założona prawidłowo. (...) Twarz oraz głowa, jak również ręce były pokryte rozmazami krwawymi. W dłoni ujawniono i zabezpieczono pięć włosów. Ponadto w niedalekim sąsiedztwie zwłok, na dywanie ujawniono i zabezpieczono fragment urwanej rękawiczki gumowej, tzw. chirurgicznej. Stwierdzone na zwłokach obrażenia nie tłumaczą w sposób dostateczny przyczyny i okoliczności zgonu (...) nie można wykluczyć, że nastąpił on w wyniku uduszenia przez zatkanie otworów nosa i jamy ustnej. Rozmieszczenie obrażeń w obrębie twarzy może sugerować, że powstało ono w wyniku upadku lub upadków na twarde, szorstkie podłoże, np. na ziemię, płytę chodnikową".

Wspomniana w protokole rękawiczka gumowa musiała należeć do sprawcy, ponieważ przesłuchany w sprawie dnia 21 stycznia 1989 roku w charakterze świadka lekarz pogotowia ratunkowego zeznał, że takich rękawiczek z pewnością nie używał ani on sam, ani żaden z towarzyszących mu ludzi. Nie odkryto na niej śladów linii papilarnych, choć uznano, że prawdopodobnie miała ją na ręce kobieta. Natomiast włosy znalezione w dłoni księdza miały pochodzić z jego własnej brwi – uznali śledczy.

Oględziny mieszkania wykazały na futrynach obu drzwi od strony zamków i na ich wysokości po stronie zewnętrznej „odszczypanie" drewna. Na tylnej ścianie budynku, pod jednym z dwu niewielkich okien odkryto ślady błota, prawdopodobnie pozostawione przez osobę, która wspinała się na ścianę, by zajrzeć do środka. Z mieszkania nie zginęły pieniądze i cenne obrazy, zniknęło jedynie... kilka posrebrzanych sztućców, niewiele wartych. Na zwłokach kapłana jak również na futrynie, klamce i drzwiach do jego mieszkania zabezpieczono odciski palców. Dla pozoru zaczęto sprawdzać, czy nie należą one do znajomych księdza. Zabezpieczone zostały także ślady butów na podłodze mieszkania.

Niestety żadna z tych informacji nie zainteresowała warszawskich prokuratorów... Prowadzący śledztwo funkcjonariusze resortu generała Czesława Kiszczaka oraz prokurator nie zweryfikowali na przykład w żaden sposób sugestii pełnomocników rodziny księdza, aby sprawdzić, czy ksiądz Niedzielak był w jakikolwiek sposób inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa. Nikt nie zainteresował się bliżej notatką sporządzoną przez Zbigniewa J., emerytowanego pułkownika AK. Nigdy nie przesłuchany oficjalnie w sprawie świadek pisał w niej:

„Zwróciłem się do księdza Prałata Stefana Niedzielaka z prośbą o odprawienie Nabożeństwa za dusze zamordowanych moich przyjaciół i kolegów w Katyniu w roku 1940. Ksiądz prałat wyraził zgodę. (...) Ku memu zdumieniu w drzwiach wychodzących na kościół siedziało na krzesłach dwóch

mężczyzn niewysokich, krępych, wpatrujących się w księdza odprawiającego nabożeństwo (wielokrotnie bywałem w zakrystii i nigdy przedtem nie widziałem takich »interesantów«). (...). Było to na parę dni przed śmiercią księdza Prałata Stefana Niedzielaka. (...) [Po śmierci księdza] zwróciłem się do znajomego zakrystiana, też bardzo zdenerwowanego, roztrzęsionego. Powiedział, że milicja i SB się tym interesuje, że przesłuchiwane są sprzątaczki i personel cmentarzy, że toczy się ogromne śledztwo. Na moje natarczywe pytania o tych dwóch dziwnych interesantów, odpowiedział, że mogli to być grabarze, murarze czy czekający ludzie na Księdza Prałata. (...) Panie, z którymi rozmawiałem, a które były na tym nabożeństwie, przy opuszczaniu kościoła słyszały, jak dwóch osobników, idących przed nimi, mówiło: dość tego, czas z tym skończyć".

Śledczy nie wzięli też pod uwagę listu kobiety, która w 1990 roku wysłała do prokuratury swoją relację. Napisała w niej, że widziała i zapamiętała charakterystyczne zachowanie mężczyzny, który spacerował niedaleko furtki prowadzącej na podwórko obok wejścia do mieszkania księdza Niedzielaka. Autorka anonimu dosyć dobrze go zapamiętała, bo nawet dołączyła do listu sporządzony przez siebie rysunek.

Całe późniejsze śledztwo niewiele miało wspólnego z poszukiwaniem sprawców...

Ksiądz doktor Zdzisław Król, który przyglądał mu się z ramienia kancelarii kurii metropolitalnej, twierdził potem, że „jego zadaniem nie było wykrycie mordercy, lecz skompromitowanie ofiary. (...) Śledztwo było prowadzone nierzetelnie, zaś ci którzy chcieli dojść do prawdy, zostali wycofani z jego prowadzenia"

*

Życie księdza Niedzielaka było rzeczywiście „kompromitujące"... Urodził się 1 września 1914 roku w Podolszycach, będących dzisiaj dzielnicą Płocka, w rodzinie głęboko religijnej o długich tradycjach patriotycznych. Na rok przed maturą przeniósł się do Warszawy, gdzie wstąpił do

Metropolitalnego Seminarium Duchownego. Święcenia kapłańskie otrzymał 23 czerwca 1940 roku w Katedrze św. Jana w Warszawie, z rąk księdza biskupa Stanisława Galla, administratora apostolskiego archidiecezji warszawskiej. W czasie okupacji niemieckiej pracował w parafiach Wiskitki i Bolimów koło Łowicza oraz w samym Łowiczu. Włączył się w działalność podziemną przeciwko Niemcom w Narodowej Organizacji Wojskowej, używając pseudonimu „Zielony". Służył też jako kapelan i kurier w Łódzkim Okręgu Armii Krajowej, kierował pracami Głównej Rady Opiekuńczej. Był współpracownikiem Delegatury Rządu na Kraj, przewoził zaszyfrowane komunikaty z Warszawy do Krakowa, do księdza arcybiskupa Adama Sapiehy. Latem 1944 roku przewiózł do Krakowa tzw. „depozyt katyński", czyli dowody z przeprowadzonej przez Niemców ekshumacji grobów polskich oficerów w Katyniu, dzięki czemu wcześnie poznał raport komisji Czerwonego Krzyża o dokonanej tam przez Sowietów zbrodni. (Decyzja o przewiezieniu depozytu katyńskiego była związana ze zbliżaniem się do Warszawy Armii Czerwonej: obawiano się, że bezcenne dokumenty, które są dowodami popełnionej zbrodni, mogą zostać zniszczone). Jako kapelan uczestniczył w Powstaniu Warszawskim.

W 1945 roku, obserwując wkraczające do Polski wojska sowieckie, ksiądz Stefan stwierdził proroczo: „Tracimy na długie lata niepodległość, boję się, że nie doczekam wolnej Ojczyzny." Kiedy okupację niemiecką zastąpiły rządy sowieckich namiestników, wstąpił do antykomunistycznego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość[30]. Kolejne zarządy WiN-u były rozbijane

30 Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość (używana była również forma „Wolność i Niepodległość") – polska cywilno-wojskowa organizacja antykomunistyczna założona 2 września 1945 r. w Warszawie. Jej trzon stanowiły pozostałości rozwiązanej w 1945 Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj. WiN przejęła jej strukturę organizacyjną, kadry, majątek, a także częściowo oddziały leśne, które rozbijały więzienia, atakowały posterunki milicji i członków ORMO, prowadziły walkę zbrojną z oddziałami wojska, KBW i WOP. Od wiosny 1948 roku organizacja znajdowała się pod kontrolą zorganizowanej przez UBP przy pomocy przewerbowanych oficerów tzw. V

przez bezpiekę. Przy okazji jednej z wsyp, ksiądz Niedzielak trafił na krótko do więzienia. Po wyjściu na wolność, w 1946 roku wrócił do stolicy, gdzie uczestniczył w odbudowie zburzonych, warszawskich świątyń: pod wezwaniem. Świętej Trójcy na Solcu oraz Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim.

W 1956 roku ksiądz Niedzielak został rektorem kościoła św. Karola Boromeusza na Powązkach i dyrektorem cmentarza. To wtedy właśnie poznał prawdę o tajnych pochówkach ofiar komunistycznego terroru przeprowadzanych przez UB. Poznał również świadków zbrodni.

W latach 1961-1977 pracował jako duszpasterz na Pradze w parafii Matki Bożej Loretańskiej i jednocześnie duszpasterz służby zdrowia, by w roku 1977 wrócić na Powązki. Zasłynął tam z porywających kazań wygłaszanych podczas mszy z okazji narodowych rocznic: Konstytucji 3 Maja, bitwy warszawskiej w 1920 roku, napaści ZSRR na Polskę 17 września roku 1939, czy 11 listopada. Szczególnie znienawidzony był przez ludową władzę z powodu Mszy świętych w ostatnią niedzielę kwietnia, kiedy wraz z wiernymi modlił się za pomordowanych na Wschodzie.

Był jednym z sygnatariuszy apelu Komitetu na rzecz Samostanowienia Narodu z 23 sierpnia 1979 roku o wolne wybory. 10 listopada 1978 roku, w ramach organizowanych przez Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela obchodów sześćdziesiątej rocznicy odzyskania niepodległości wygłosił kazanie podczas nabożeństwa pontyfikalnego w kościele św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży.

Wspólnie z Wojciechem Ziembińskim[31] rozpoczął budowę

Komendy WiN.

31 Wojciech Ziembiński (1925-2001) – działacz opozycyjny i katolicki. Był żołnierzem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Po wojnie pracował w wydawnictwie „Czytelnik". Pozbawiony pracy w latach pięćdziesiątych, długo utrzymywał się ze sprzedaży krwi. Od 1980 działał w Komitecie Obrony Więźniów Politycznych, w 1981 sygnował deklarację Klubów Służby Niepodległości. Po wprowadzeniu stanu wojennego, poszukiwany listem gończym, pozostawał w ukryciu). W kwietniu 1982 r. został zatrzymany. Zwolniono go po siedmiu miesiącach. Kontynuował działalność opozycyjną w

Sanktuarium Poległych na Wschodzie. Pierwsze próby upamiętnienia poległych i zaginionych po 17 września 1939 roku obydwaj wymienieni podjęli jeszcze w 1978 roku. Wszystkie „krzyże pamięci" – wbijane w ziemię lub prowizorycznie montowane – znikały jeden po drugim. „Nieznani sprawcy" zburzyli również kopiec usypany na cześć kresowego Korpusu Ochrony Pogranicza.

Wojciech Ziembiński: „Dziś wszyscy mają pełne usta Katynia, stalinowskich mordów, ale wtedy – w latach siedemdziesiątych – publiczne głoszenie prawdy o Katyniu, Starobielsku, Kozielsku, Ostaszkowie, zsyłkach, było aktem największej cywilnej odwagi. I wtedy właśnie, gdy wspólnie z księdzem prałatem Niedzielakiem rozpoczynaliśmy naszą działalność, powiedziałem mu: Za to nie można mieć orderów, za to można mieć tylko nekrolog, zakończony słowami «... przez nieznanych sprawców»".

W końcu, w lipcu 1981 roku w tak zwanej Dolince Katyńskiej na Powązkach pojawił się czterometrowy granitowy pomnik – krzyż z orłem w koronie. Taki, którego – wydawało się – nie sposób niepostrzeżenie zdemontować. Służba Bezpieczeństwa usunęła go jeszcze tej samej nocy przy użyciu dźwigu i wywiozła z cmentarza. Wmurowano także blisko tysiąc tabliczek ku czci ofiar zbrodni katyńskiej i pamiątkowe tablice poświęcone dowódcom Armii Krajowej na Kresach Wschodnich, a w głównym ołtarzu kościoła św. Karola Boromeusza umieszczono replikę obrazu Matki Bożej Kozielskiej.

Ksiądz Niedzielak zaliczał się niewątpliwie do najbardziej niepokornych kapłanów tego okresu, co zresztą nie zawsze spotykało się z aprobatą kościelnych zwierzchników, którzy musieli się potem tłumaczyć z działalności takich duchownych w Urzędzie ds. Wyznań. Wspierał repatriantów z Rosji i Kazachstanu i organizował wysyłkę książek do żyjących w Związku Sowieckim Polaków.

W swoich kazaniach, jako duszpasterz Warszawskiej Rodziny Katyńskiej, odważnie upominał się o prawdę o zbrodni

ramach niewielkiego ugrupowania pod nazwą Kongres Solidarności Narodu.

katyńskiej oraz ujawnienie ludobójczej roli NKWD, protestował przeciwko wieloletniemu kłamstwu. Przez dziesiątki lat władze sowieckie, a w ślad za nimi komunistyczne władze polskie ukrywały prawdę o wymordowaniu dziesiątków tysięcy oficerów polskich w Katyniu oraz wywózkach w nieludzkich warunkach milionów naszych rodaków w głąb ZSRR. Walka o prawdę o Katyniu stała się sprawą, której ksiądz Niedzielak poświęcił wielką część swojego życia.

„Zostawili nam testament, w którym napisali własną krwią, abyśmy nie zawierali kompromisu z wrogiem, który za wszelką cenę chce zniszczyć nasze progi rodzinne, progi ojczyźniane; żebyśmy nie zawierali kompromisu ze złym, z mocami szatana" – powiedział kilkanaście miesięcy przed śmiercią.

„Był duszą każdego spotkania, miał wyjątkową łatwość w nawiązywaniu kontaktów – opowiada o księdzu jego brat, Piotr Niedzielak. – Dzieci uwielbiały go za uśmiech, spontaniczną radość i zrozumienie ich problemów. Dorosłych porywał promiennym usposobieniem, otwartością i życzliwością i tolerancją. Obce mu było uczucie nienawiści".

„Księdza Niedzielaka poznałem w 1967 roku, gdy zostałem wikariuszem parafii Matki Bożej Loretańskiej – to z kolei wspomnienie księdza infułata doktora Zbigniewa Króla. – Zapamiętałem go jako człowieka odważnego i jako proboszcza, który potrafił wciągnąć młodych księży i dzielić się z nimi odpowiedzialnością za pracę duszpasterską w parafii. Ksiądz Niedzielak potrafił stworzyć prawdziwą wspólnotę, był koleżeński i przyjazny. – Po obiedzie razem graliśmy w siatkówkę, nieraz jeździliśmy też na basen. Starsi mieszkańcy parafii Matki Bożej Loretańskiej pamiętają, jak po niedzielnych mszach świętych na terenie przykościelnym tworzyły się grupki wiernych, którzy chętnie rozmawiali z księdzem Niedzielakiem, ale także z młodszymi księżmi wikariuszami, wśród nich nieżyjącymi już dzisiaj księdzem Kazimierzem Wilkowskim i księdzem Franciszkiem Rogulskim. Atmosfera była bardzo dobra, rozmowy nieraz przeciągały się długo".

UB, a później SB uważały księdza Niedzielaka za osobę

niebezpieczną dla komunistycznego ustroju. Wroga PRL-u. Wiedział o zbrodniach i potajemnych pochówkach, znał naocznych świadków, nie godził się na fałszowanie historii... Za swoją działalność niepodległościową był nieustannie nękany i szykanowany, otrzymywał listy i telefony z pogróżkami.

„Znowu podskakujesz, ty skurwysynu, długo nie pożyjesz" – pluł ktoś w słuchawkę telefonu z drugiej strony sznurka. „Jak się nie uspokoisz, zdechniesz jak Popiełuszko" – pisał anonimowy autor listu, który ksiądz znalazł w swojej skrzynce. Dwukrotnie próbowano go porwać z ulic w centrum Warszawy, uszkadzano samochód, „nieznani sprawcy" pobili księdza na Cmentarzu Powązkowskim. W sierpniu 1988 roku podpalono dom, w którym mieszkali jego rodzice. Służba Bezpieczeństwa próbowała zwerbować jego brata.

Prześladowanie księdza było zresztą w całej jego rodzinie – rzec można – „tradycją". 5 lutego 1947 roku z rąk ubeków zginął jego kuzyn, Lucjan Niedzielak – proboszcz w Huszlewie w diecezji siedleckiej, również kapelan AK i WiN. Zamordował go w więzieniu jeden z funkcjonariuszy, Edmund Szcześniak.

Osaczony ksiądz Stefan przeczuwał najgorsze. W swoim pamiętniku zapisał: „Czy wolno człowiekowi zadręczać drugiego człowieka na śmierć? Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią".

Już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, ksiądz infułat Król[32] dotarł do znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej teczek założonych księdzu Niedzielakowi przez władzę ludową. Noszą one oznaczenia 0678/143 t. I i 0678/143 t. II. Z zebranego tam materiału wynika, że był on śledzony już od pierwszych lat swojego kapłaństwa.

„Są tam protokoły agentów, którzy zdawali relacje ze spotkań dekanalnych z księżmi ówczesnego dekanatu Praga Północ (...) – mówi ks. Król. – Oceniano, że jest osobą wiernie wypełniającą polecenia kurialne (...) Byłem zaskoczony, że od tylu lat trwała inwigilacja. Sprytnie podsyłano mu agentów, na ogół osoby,

32 Ksiądz Zdzisław Król zginął 10 kwietnia 2010 roku w katastrofie smoleńskiej.

które dotknęło nieszczęście. Ksiądz był bardzo gościnny, zapraszał wiele osób, a wśród nich znajdowali się także agenci".

20 stycznia 1989 roku, w dzień jego śmierci, ksiądz Król spotkał się z księdzem Niedzielakiem. „Spotkałem go w holu kurii, około 10.30 rano – relacjonował. – Źle wyglądał, był zmęczony i jakiś rozgoryczony. Rozmawialiśmy o tym. Powiedział: «Tak, jest mi ciężko, jest mi niedobrze. Oni mnie zabiją». (...) Wypowiedział te słowa w mojej ocenie, na serio, z ogromnym bólem na twarzy. Widać przeczuwał własną śmierć. (...) «Chciałbym, o ile Pan Bóg mi na to pozwoli, zakończyć wszystkie prace dotyczące przekształcenia kościoła świętego Karola Boromeusza w Sanktuarium Poległych na Wschodzie i chciałbym doczekać obchodów dwustulecia Powązek» – mówił. (...) Kiedy powiadomiono nas o jego śmierci, natychmiast udaliśmy się z księdzem prałatem Grzegorzem Kalwarczykiem na miejsce zbrodni. Dla mnie nie ulegało wątpliwości, że zbrodnia została dokonana. Mówiłem o tym w wywiadach dla Wolnej Europy i Głosu Ameryki".

Nieco inaczej widział sprawę (przynajmniej na początku) wspomniany ksiądz Kalwarczyk: „Widziałem jak ksiądz Niedzielak leżał przy oknie, obok przewrócone było krzesło. Pomyślałem, że może chciał zasłonić okno i przewrócił się, uderzając głową. Wyrzucam sobie dzisiaj może zbyt dużą wówczas łatwowierność wobec tego, co się stało".

*

Pogrzeb księdza Niedzielaka odbył się 26 stycznia. Uroczystościom przewodniczył prymas Polski kardynał Józef Glemp (który na początku uroczystości przewodniczył modlitwie różańcowej i wygłosił krótkie przemówienie), w asyście biskupów Zbigniewa Kraszewskiego i Stanisława Kędziory. Kościół i alejki cmentarne wypełniły się dawnymi żołnierzami Armii Krajowej i organizacji Wolność i Niezawisłość, harcerzami, lekarzami, znanymi aktorami, działaczami opozycji oraz nieprzebranym tłumem zwykłych warszawiaków. Wszyscy przyszli oddać ostatnią posługę swemu ukochanemu,

niezłomnemu kapelanowi.

Według danych MSW, w pogrzebie uczestniczyło cztery i pół tysiąca ludzi. Esbecy naliczyli dwadzieścia sześć pocztów sztandarowych, głównie pododdziałów AK oraz kilkanaście transparentów" Solidarności, Polskiego Porozumienia Niepodległościowego czy Konfederacji Polski Niepodległej. Napis na jednym z nich głosił: „Wieczna chwała ks. Niedzielakowi – męczennikowi, a jego mordercom hańba". Na innym widniały słowa: „Zabijają ciało, ale ducha zabić nie mogą".

Złośliwy wicher porywał śnieg z sąsiednich grobowców i ciskał nim wprost w twarze stojących nad świeżo rozkopaną mogiłą ludzi. Słodki zapach olbrzymich wieńców wywoływał mdłości. Dzień wcześniej, w asyście funkcjonariuszy SB otwarto prywatny sejf księdza, w którym znaleziono jego najcenniejszy skarb – maleńką urnę z ziemią katyńską. (Potem próbowano uczynić z tego zarzut przeciw księdzu Niedzielakowi sugerując, że handlował zawartością urny).

Homilię pogrzebową wygłosił ksiądz Zdzisław Król. Po raz pierwszy wykonano wtedy podczas Mszy świętej Rapsod katyński Czesława Grudzińskiego. Trumnę spuszczano do grobu przy dźwiękach Mazurka Dąbrowskiego, a jako ostatnią odśpiewano Modlitwę Obozową[33]:

O, Panie, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń!
Wołamy z cudzych stron do Ciebie,
O polski dach i polską broń.

O, Boże, skrusz ten miecz,

33Pieśń powstała w październiku 1939 r. w obozie internowanych żołnierzy polskich w miejscowości Bals, na terenie Rumuni. Opracowanie utworu na głosy było dziełem Adama Harasowskiego. Chór obozowy, złożony z żołnierzy i oficerów, wykonał go po raz pierwszy w drugą niedzielę października 1939 r. Autor przedarł się do tworzącej się Armii Polskiej we Francji, następnie do Wielkiej Brytanii. Modlitwa obozowa dotarła do okupowanego kraju za pośrednictwem „cichociemnych", gdzie cokolwiek przerobiona nosiła tytuły Modlitwa AK, Modlitwa żołnierza tułacza lub Modlitwa partyzancka.

Co siecze kraj,
Do wolnej Polski nam
Powrócić daj!
By stał się twierdzą
Nowej siły,
Nasz dom, nasz kraj.

„Dzięki Tobie, Księże Stefanie tu w tej świątyni głosiliśmy prawdę – powiedział nad grobem zmarłego w imieniu Żołnierzy Wyklętych wykładowca I Katedry Historii Nowożytnej KUL Zdzisław Szpakowski. – Przywracaliśmy cześć organizacjom Polski Niepodległej, ludziom, którzy do końca walczyli o prawo do niepodległości. Dzięki Twojej niestrudzonej odwadze i działalności pomagaliśmy wrócić na karty historii, tym, których sponiewierano, opluto, zniszczono, wypędzono z kart historii narodowej. Dzięki Tobie nie tylko głosiliśmy prawdę, tę prawdę wykuliśmy w kamieniu w Sanktuarium Narodowym, jakie tu na ścianach świątyni, którą zarządzałeś powstało".

– Będziemy dziś mówić o potrzebie przyjaźni i serdeczności – zaczął swoje przemówienie ksiądz Zdzisław Król. – O przyjaźni i serdeczności, którą obdarzać winniśmy nawet naszych wrogów, naszych ciemiężców, nawet naszych katów...

Ktoś donośnie zatrąbił w chustkę do nosa. Poza tym panowała przenikliwa cisza. Tylko wyraźny, słyszalny dla wszystkich półszept: „Niedoczekanie".

– Winniśmy tak czynić – powtórzył z naciskiem kapłan. – Winniśmy ich nawracać, rozbrajać naszym miłosierdziem...

Tymczasem trwało „intensywne" śledztwo. Już w dniu popełnienia mordu decyzją szefa Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych generała brygady Edwarda Kłosowskiego[34]

34 25 lipca br [2014!!!]. w Warszawie, w ramach centralnych obchodów Święta Policji, odbyła się uroczystość poświęcona obchodom X-lecia Stowarzyszenia Generałów Policji RP – czytamy na stronie internetowej Informacyjnego Serwisu Policyjnego. W uroczystości uczestniczyli członkowie stowarzyszenia – generałowie będący na emeryturach, a także ci, którzy obecnie kierują polską Policją. Na sali obecne było kierownictwo Komendy Głównej Policji z gen. insp. Markiem Działoszyńskim na czele, a także

powołano specjalną grupę operacyjno-śledczą przy SUSW w Warszawie. Składała się z dwunastu wysokich rangą oficerów milicji i SB, w tym Departamentu IV MSW przeznaczonego do walki z Kościołem.

Z upływem dni odkrywano coraz więcej szczegółów dotyczących bezpośredniej przyczyny zgonu księdza Stefana. W Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Warszawie stwierdzono szereg zewnętrznych obrażeń w okolicy twarzy i głowy oraz złamanie kręgosłupa szyjnego „pomiędzy 6 a 7 kręgiem szyjnym". Mimo to ówczesne ministerstwo spraw wewnętrznych zdecydowanie wykluczyło morderstwo. Wbrew oczywistym faktom, jako punkt wyjścia przyjęto... nieszczęśliwy wypadek. Już w protokole z sekcji zwłok pojawiła się teoria, że ksiądz mógł doznać tego typu obrażeń w wyniku... upadku z fotela, spowodowanego zawałem serca (stwierdzono „elementy wskazujące na niedokrwienie mięśnia sercowego, mogące świadczyć o zapaści"), bądź też... nieostrożnym huśtaniem się na meblu.

Wersja przemawiająca za nieszczęśliwym wypadkiem opierała się na następującej ocenie faktów dokonanej przez śledczych: (...) takie obrażenia kręgosłupa, jakie odniósł ks. Niedzielak, rzadko powstają w wyniku (...) działania zbrodniczego. Powstają one w wyniku silnego i nagłego odgięcia głowy ku tyłowi i spotyka się je najczęściej u ofiar wypadków komunikacyjnych lub przy upadku z wysokości (...)".

W świetle wcześniejszych pogróżek oraz śladów odkrytych na

---

komendanci wojewódzcy Policji, przedstawiciele duchowieństwa, kierownictwo Gabinetu KGP oraz przedstawiciele organizacji współpracujących ze stowarzyszeniem (...) Stowarzyszenie Generałów Policji to organizacja społeczna skupiająca nadinspektorów generalnych, inspektorów i generałów Milicji Obywatelskiej / Policji w środowisku policyjnym. Inicjatywa powołania Stowarzyszenia dyskutowana była już w roku 1995. W dyskusjach tych przejawiano troskę o dalsze wykorzystanie potencjału intelektualnego i doświadczenia generałów, zdobytego w czasie wielu lat służby. Praktycznej realizacji podjął się gen. Edward Kłosowski w roku 2003, przygotowując roboczą koncepcję powołania Stowarzyszenia Generałów Policji.

miejscu zbrodni, tego rodzaju spekulacje zakrawały wręcz na farsę.

*

Już w dniu zabójstwa księdza Niedzielaka w MSW podjęto decyzję o powołaniu specjalnej grupy operacyjno–śledczej do wyjaśnienia sprawy. Znaleźli się w niej ludzie z powołanego do walki z Kościołem Departamentu IV, między innymi Stanisław Luliński, którzy wcześniej prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki, a także Jan Pol, który w III RP zajmował kluczowe stanowiska w policji – został między innymi szefem stołecznego wydziału do zwalczania przestępczości zorganizowanej.

Wspomniany wcześniej Wiktor Fonfara został dyrektorem Zarządu Śledczego UOP i nadzorował między innymi śledztwo w sprawie FOZZ. Prowadzący postępowanie w sprawie zabójstwa księdza Niedzielaka prokurator Maciej Białek z grupy Wiesławy Bardonowej, która specjalizowała się w oskarżaniu opozycjonistów, znany ze sprawy zabójstwa Grzegorza Przemyka, w III RP znalazł posadę w strukturach Prokuratury Krajowej, nadzorującej najpoważniejsze śledztwa. W roku 2011 przeszedł w stan spoczynku. Z pensją dziesięć tysięcy złotych miesięcznie.

Gwałtowna śmierć kolejnego kapłana (30 stycznia 1989 r. został zamordowany ks. Suchowolec, a 11 lipca ks. Zych) dała pole do przypuszczeń, że w kraju działa tajemnicze „esbeckie komando" mordujące duchownych. W odpowiedzi na podaną przez Agencję Reutera informację o tym, że ksiądz Niedzielak został zamordowany ciosem karate, który złamał mu kręgosłup, rzecznik prasowy ministra spraw wewnętrznych major Wojciech Garstka oświadczył, że „dotychczasowe wyniki badań pozwalają na wykluczenie osoby trzeciej, a więc napastnika".

Dzielnie wtórował mu Jerzy Urban. Na pytanie dziennikarki amerykańskiej telewizji ABC, czy istnieje jakaś zmowa przeciwko duchownym katolickim, rzecznik rządu odpowiedział: „Nie ma żadnych podstaw, aby przypuszczać, że ktokolwiek kursuje po

Polsce i sieje śmierć wobec księży, że istnieje jakaś konspiracja przeciwko księżom. (...) Nie ma żadnych poszlak, aby domyślać się tu czy zakładać prowokację polityczną". Kiedy francuskie radio podało, że proboszcz z Powązek znalazł się na liście 150 księży uznanych przez SB za najbardziej radykalnych, gwałtownie zaprzeczał: „(...) sprzeciw budzą rewelacje, jakie przekazało radio francuskie, iż księży zamordowali nieznani sprawcy i że byli oni na liście stu pięćdziesięciu księży uznanych przez władze jako ekstremiści. Nie ma dowodów, że to były morderstwa, a wspomniana lista jest fantazją (...)".

W reakcjach ówczesnej prasy na zamordowanie księdza Niedzielaka, wyraźnie widać cenzorski nadzór. Prawie wszystkie informacje sygnowane były przez Polską Agencję Prasową i powielane kropka w kropkę we wszystkich tytułach. W oczy rzuca się całkowity brak odautorskich i redakcyjnych komentarzy. Jednocześnie media pęczniały od gwałtownych ataków na Kościół i „katolicką nietolerancję". Przodował w tej nagonce periodyk Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa „W służbie narodu". (np. Wywiad z kierownikiem Wydziału Społeczno-Prawnego KC PZPR Andrzejem Gdulą, nr 5/1989, czy A.K. Podgórski Różny wymiar tolerancji, nr 9/1989). W tym samym czasie ksiądz doktor Zdzisław Król otrzymywał anonimowe telefony: „Niedzielak nie jest ostatni".

W dokumencie z dnia 15 lutego 1989 roku skierowanym na ręce podsekretarza stanu w MSW generała Zbigniewa Pudysza, dyrektor Biura Śledczego MSW podpułkownik Wiktor Fonfara przedstawił dokonaną na podstawie dotychczasowych ustaleń opinię prokuratury i KG MO: „Uczestnicząca w naradzie Naczelnik Wydziału Śledczego Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie prokurator Wiesława Bardonowa wyraziła pogląd, iż wersję nieszczęśliwego wypadku należy uznać za mało prawdopodobną. Odmienne zdanie zaprezentowali pozostali uczestnicy spotkania, w tym Komendant Główny MO [Zenon Trzciński]".

6 lutego 1989 roku w Pałacu Namiestnikowskim w Warszawie rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu. Otwarcie obrad

bezpośrednio transmitowała telewizja. Dostaliśmy mit wielkiego porozumienia, gdzie wszyscy się szanują, respektują wysokie standardy moralne i myślą tylko o dobru Polski. Na początku rozmów mecenas Władysław Siła-Nowicki poprosił o uczczenie minutą ciszy zamordowanych kapłanów: Stefana Niedzielaka i Stanisława Suchowolca. Telewizja Polska usunęła ten moment z transmisji. Kiedy podczas konferencji prasowej rzecznika rządu jedna z dziennikarek zapytała go o ten fakt, Jerzy Urban stwierdził: „Tworzenie wrażenia, że to były zbrodnie polityczne, które stanowiły jakąś prowokację, są po prostu nieuzasadnione w tej chwili wynikami śledztwa. I nie należy tworzyć takiego wrażenia, mimo że nastąpiły dwa wypadki gwałtownego zgonu dwóch księży politycznie zaangażowanych".

Opieszałość śledztwa, brak wymiernych efektów, przyjęcie błędnych założeń, liczne nieprawidłowości oraz celowe zatajenie przed opinią publiczną obrażeń księdza i śladów przeszukania jego mieszkania wytykali pełnomocnicy rodziny zamordowanego, adwokaci Jan Olszewski i Andrzej Grabiński. W piśmie z dnia 8 marca 1989 roku zakwestionowali generalnie cały kierunek śledztwa, a przede wszystkim przyjęcie nieszczęśliwego wypadku jako przyczyny śmierci. Na podstawie opinii biegłych adwokaci doszli do wniosku, że „stwierdzone w obrębie twarzy ks. S. Niedzielaka obrażenia (między innymi złamanie nosa), powstały w wyniku działania napastnika, który gwałtownie i z wielką siłą spowodował odgięcie ku tyłowi głowy (...) powodując rozerwanie kręgosłupa szyjnego. W tym samym czasie usztywniono z tyłu kręgosłup ofiary na odcinku piersiowym i unieruchomiono ręce. Przemawiają za tym ślady na obu łokciach i w okolicy lędźwiowej kręgosłupa".

Ważnym dokumentem, na którym się oparli, była notatka urzędowa z 16 marca 1989 roku odnosząca się do eksperymentu śledczego mającego określić okoliczności powstania obrażeń głowy i kręgosłupa księdza. Jednoznacznie wykluczono tam nieszczęśliwy wypadek jako przyczynę śmierci. „Trzeba przyjąć, że śmierć ks. Niedzielaka była następstwem działania obcej osoby lub osób. Eksperyment nie dał jednoznacznej odpowiedzi

w kwestii momentu powstania urazu kręgosłupa, przy czym za najbardziej prawdopodobny należy uznać moment uderzenia w pozycji stojącej powodującego gwałtowne odchylenie głowy do tyłu. (...) Podczas całościowej rekonstrukcji zdarzenia ustalono, iż minimalny czas zadania ciosów, upadku i przemieszczenia się pokrzywdzonego musiał wynieść 52 sekundy".

Adwokaci wytykali liczne błędy i zaniechania, sprzeciwiali się też ostro metodom prowadzenia śledztwa, w szczególności obrzucaniu pamięci ofiary kłamliwymi opiniami, jakoby miał na przykład handlować przywiezioną z Katynia ziemią. Ksiądz Niedzielak cieszył się zasłużoną opinią bogobojnego i uczciwego kapłana.

Tymczasem śledczy z upodobaniem zbierali kuriozalne doniesienia na niego, pochodzące od anonimowych informatorów. A to że w mieszkaniu śp. Stefana Niedzielaka odbywały się regularne libacje alkoholowe, w ich trakcie których dochodziło do awantur i bójek, to znów, że duchowny organizował homoseksualne orgie, czy też miał romans z właścicielką pobliskiego zakładu kamieniarskiego. Jedna z rzekomo przesłuchiwanych osób opisała ofiarę jako „pijaka i łajdaka".

9 czerwca 1989 roku generał Pudysz pisał do szefa SB generała Henryka Dankowskiego i komendanta głównego MO Zenona Trzcińskiego: „W mojej opinii zaistniały impas śledczy jest uwarunkowany przyczynami obiektywnymi, bowiem metodykę dotychczasowych działań wykrywczych należy ocenić jako prawidłową". Ówczesnemu kierownictwu MSW wyraźnie nie zależało na znalezieniu sprawców. Zależało natomiast na specyficznym nagłośnieniu sprawy. Zabójstwo miało być wyraźnym ostrzeżeniem: Uważajcie, mamy długie ręce! Nic też w tym dziwnego, że ostatecznie sprawców nie wykryto, a 2 października 1990 roku śledztwo umorzono, przyjmując wersję o śmiertelnym upadku z fotela.

Kiedy w kwietniu 1992 roku, po objęciu teki premiera przez Jana Olszewskiego, ówczesny minister sprawiedliwości Wiesław Chrzanowski nakazał je wznowić, było już za późno. MSW

pozbyło się szeregu archiwów, które mogłyby naprowadzić śledczych na trop morderców. Zniszczono kompromitujące materiały służb, zniszczono teczkę osobową księdza Niedzielaka. Dalsze prace przerwała „nocna zmiana", czyli odwołanie rządu Jana Olszewskiego 4 czerwca 1992 roku.

Kilka lat po tych wydarzeniach warszawiacy uczcili pamięć księdza jako „ostatniej ofiary Katynia", ustawiając na pomniku Poległych na Wschodzie przy ulicy Muranowskiej poświęcony mu oddzielny krzyż.

*

Od umorzenia sprawy upłynęło szesnaście długich lat, a od samego morderstwa – siedemnaście.

Dopiero w 2006 roku powołany do życia siedem lat wcześniej (19 stycznia 1999 na mocy ustawy z 18 grudnia 1998 r.) Instytut Pamięci Narodowej rozpoczął śledztwo dotyczące „funkcjonowania w okresie od 28 listopada 1956 r. do 31 grudnia 1989 r. w strukturach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych związku, kierowanego przez osoby zajmujące najwyższe stanowiska państwowe, który miał na celu dokonywanie przestępstw, w tym zabójstw działaczy opozycji politycznej i duchowieństwa". Wiele musiało się od tego czasu w Polsce zmienić. Władzę musiał objąć rząd Prawa i Sprawiedliwości, jedynej partii politycznej deklarującej chęć wyjaśnienia wielu afer z przeszłości, które ukształtowały dzisiejszą Rzeczpospolitą, a prezesem IPN Janusz Kurtyka.

Materiałem uzasadniającym wszczęcie tego postępowania były ustalenia tzw. „Komisji posła Rokity". Sejmową Komisję Nadzwyczajną do Zbadania Działalności MSW powołał 17 sierpnia 1989 roku jeszcze sejm kontraktowy. Na jej czele stanął ówczesny poseł Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego Jan Maria Rokita. Działała do września 1991 roku i zajmowała się badaniem przedstawionych przez Komitet Helsiński w Polsce dziewięćdziesięciu trzech wypadków zgonów, co do których istniało uzasadnione podejrzenie, że mogły nastąpić na skutek działań organów bezpieczeństwa PRL. Komisja nie miała

uprawnień śledczych, nie mogła gromadzić dowodów, które potem mogły zostać wykorzystane w procesie karnym, a zeznający przed nią świadkowie nie ponosili odpowiedzialności karnej. Członkowie komisji nie mieli też pełnego dostępu do dokumentów MSW. Pomimo tych trudności 26 września 1991 r. komisja przedłożyła Sejmowi sprawozdanie ze swej działalności, tzw. „Raport Rokity", w którym członkowie komisji uznali, że spośród stu dwudziestu dwóch niewyjaśnionych przypadków zgonów działaczy opozycji aż osiemdziesiąt osiem miało bezpośredni związek z działalnością funkcjonariuszy MSW. Komisja ustaliła też nazwiska około stu funkcjonariuszy MSW i urzędników prokuratury podejrzanych o popełnienie przestępstw związanych z badanymi przypadkami zgonów. Żaden z nich nie został pociągnięty do odpowiedzialności do dnia dzisiejszego.

Część IV tego dokumentu poświęcona jest niewyjaśnionym zgonom księży. W końcowej części raportu skonstatowano, że „zadania specjalne realizowane przez Wydział VI Departamentu IV i jego odpowiedniki w terenie można podzielić w zależności od czasu, w którym były planowane i wykonywane. W pierwszym okresie do 1980 r. były to zadania dezintegracyjne i dezinformacyjne, mające na celu osłabienie Kościoła od wewnątrz. Oprócz tak prowadzonych działań, realizowano także zadania o charakterze przestępczym, których liczba wzrastała od początku lat 80., osiągając apogeum w 1984 r. Po tej dacie nastąpiło wyhamowanie działań komórki «D», a wszelkie plany tego typu przedsięwzięć zostały zniszczone".

Przytoczony dokument nosił tytuł Informacja o działalności komórek „D" pionu IV byłej Służby Bezpieczeństwa. W wersji skróconej został włączony do części IV „Raportu Rokity". Całość raportu utajnił ówczesny minister spraw wewnętrznych Henryk Majewski. Do odtajnienia doszło dopiero w roku 1999.

*

Samodzielna Grupa „D" Departamentu IV MSW była głęboko zakonspirowaną w strukturach peerelowskiego MSW komórką

Służby Bezpieczeństwa. Utworzona została 19 listopada 1973 roku przez ministra spraw wewnętrznych Stanisława Kowalczyka. Podlegała bezpośrednio dyrektorowi Departamentu IV i zajmowała się dezintegracją Kościoła katolickiego w Polsce. Szefem liczącej początkowo pięć osób komórki został ówczesny dyrektor Departamentu IV pułkownik Konrad Straszewski, a jej kierownikiem generał Zenon Płatek[35]. Właśnie z działalnością tej grupy historycy wiążą największe akty terroru wobec Kościoła, włącznie z zabójstwem księdza Jerzego Popiełuszki i innych kapłanów.

Początkowo jej zadaniem było operacyjne zabezpieczanie pielgrzymek, czyli innymi słowy penetracja i dezintegracja środowisk, które organizowały piesze pielgrzymki do miejsc kultu religijnego w Polsce. Szybko jednak działalność rozszerzono o dalsze cele: doprowadzenie do afirmacji przez duchowieństwo i Kościół systemu społeczno-politycznego PRL, sprowadzenie roli Kościoła tylko do zaspokajania potrzeb religijnych ludzi; osłabienie wpływu Kościoła na społeczeństwo, zwłaszcza możliwości działania w sferze społeczno-politycznej. Do zadań grupy należała też stała inwigilacja około stu duchownych rzymskokatolickich, których działalność SB uznała za szczególnie niebezpieczną dla reżimu komunistycznego.

„Katolicki ksiądz, który zgwałcił dziewczynę, jest mniej niebezpieczny niż ksiądz z »ideami« głoszącymi Boga – napisał przed laty Włodzimierz Iljicz Uljanow, ksywa «Lenin» – O ile przepędzić tego pierwszego nie jest niczym trudnym, o tyle, jeżeli chodzi o drugiego, jest to sprawa tysiąc razy trudniejsza i żaden kołtun nie pozwoli go przekląć".

Te słowa pierwszego przywódcy Rosji Sowieckiej stały się podstawą polityki komunistów wobec Kościoła, także i w PRL.

---

35 Kolejnymi: Tadeusz Grunwald, pełniący obowiązki naczelnika do sierpnia 1982 r.; jego następcą został Grzegorz Piotrowski, który pracował na tym stanowisku do lutego 1983 r.; zastąpił go Wiesław Fenicki, lecz z uwagi na stan zdrowia jego obowiązki pełnił często Waldemar Pełka. 10 maja 1984 r. naczelnikiem został mianowany Romuald Będziak, ostatnim szefem Grupy „D" był Robert Szczepański.

„Zgnoić przeciwnika było lepiej niż go zabić – stwierdził po latach jeden z członków grupy. – Zamordowany mógł się stać męczennikiem. Zgnojony był już nieszkodliwy. Jak się nie udawało zgnoić, wtedy się zabijało".

Jednocześnie uznano, że dla osiągnięcia tych celów konieczne jest stosowanie „określonych specyficznych metod i środków, które nie są konieczne i przydatne na innych odcinkach i w realizacji innych zadań". Do tych specyficznych metod i środków należały teczki ewidencji operacyjnej na księdza (TEOK), biskupa (TEOB) i parafię (TEOP), które od 1963 roku obligatoryjnie zakładano na każdego duchownego, bez względu na poglądy i rodzaj działalności. Inwigilacja permanentna, od wstąpienia do seminarium aż do śmierci. Konieczność podjęcia tego rodzaju działań wobec duchownych w peerelowskim MSW uzasadniono tak:

„Zważywszy ponadto, że każdy ksiądz jest nosicielem obcej nam ideologii, że kler stanowi jedyny oficjalny i zorganizowany ośrodek opozycji ideologicznej, że poważny procent jego reprezentantów w różnych okresach wkracza na drogę opozycji politycznej, że niemała grupa stale para się działalnością antysocjalistyczną, że notujemy wystąpienia wręcz wrogie, postanowiono (...) na każdego księdza świeckiego, księdza zakonnego, alumna seminarium świeckiego i zakonnego założyć »teczkę ewidencji operacyjnej na księdza«".

W miarę rozszerzania zakresu działań operacyjnych, zwiększał się także stan liczebny grupy „D". W 1977 roku pułkownik Straszewski wnioskował o zwiększenie dla dwudziestu województw etatów w Wydziałach IV z uwagi „na potrzebę podjęcia na szerszą skalę aktywnych i kompleksowych przedsięwzięć specjalnych mających na celu ograniczenie i likwidację politycznie negatywnych działań kleru w duszpasterstwie akademickim oraz rozwijającym się ruchu oazowym". Wniosek musiał zostać rozpatrzony pozytywnie, bowiem 15 czerwca 1977 roku grupa została przekształcona w osobny Wydział VI Departamentu IV MSW. Jednocześnie utworzono jego terenowe ekspozytury, tworząc sekcje IV w

wydziałach IV Komend Wojewódzkich Milicji Obywatelskiej. W roku 1984, po zabójstwie księdza Jerzego Popiełuszki Wydział VI przemianowano na Wydział Studiów i Analiz, zacierając jego poprzednią strukturę organizacyjną, a kompetencje Wydziału VI przenosząc do Wydziału IV.

„W «pracę» grupy specjalnej angażowane były także służby techniczne i biuro B, czyli «obserwacja» – twierdzi prokurator Andrzej Witkowski. – Jeśli ludzie z komanda śmierci wyruszali w teren, często pomagali im koledzy z Wojewódzkich Urzędów Spraw Wewnętrznych. Bo w każdym z takich urzędów istniał odpowiednik grupy D, który nosił nazwę sekcji D".

Jak wszystkie Departamenty MSW PRL, także grupa „D" podlegała nadzorowi ze strony sowieckich służb specjalnych. W okresie od 1971 do 1987 roku jej funkcjonariusze wyjeżdżali (oficjalnie) do Związku Sowieckiego dwadzieścia pięć razy, zaś pracownicy KGB wizytowali Departament IV co najmniej cztery razy.

„KGB miał wydzielony korytarz w naszym budynku przy Rakowieckiej – wspomina anonimowo jeden z członków grupy. – Najstarszy rangą pracownik był w stopniu generała. Reszta pułkownicy. Codziennie rano dyżurujący oficer radziecki był informowany poza wszelką kolejnością o tym, co się dzieje w kraju. Zwyczajem oficerów radzieckich było przychodzenie „na herbatkę" do naczelników poszczególnych wydziałów. Rosjanie mogli wchodzić wszędzie, a w korytarz KGB wchodziło się tylko na hasło. Dojście do KGB mieli tylko jedynie wyznaczeni polscy wysocy oficerowie".

W listopadzie 1975 roku płk Straszewski podpisał w Moskwie plan wspólnych przedsięwzięć operacyjnych Zarządu V KGB i Departamentu IV MSW w zakresie zwalczania Kościoła rzymskokatolickiego oraz rozpracowywania Watykanu. Wzajemne kontakty nasiliły się jeszcze po wyborze na papieża kardynał Karola Wojtyły 16 października 1978 roku.

Jako grupa głęboko zakonspirowana w strukturze Departamentu IV MSW, grupa „D" nie prowadziła dokumentacji operacyjnej, niszcząc wszystkie dokumenty zaraz po wykonaniu

zadań zleconych bezpośrednio przez dyrektora Departamentu. Jej istnienie zostało objęte tajemnicą dla innych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Działania były nielegalne nawet z punktu widzenia prawa obowiązującego w PRL. Informowano natomiast o nich na bieżąco najwyższe władze partyjno-państwowe, o czym świadczą zachowane dokumenty zaadresowane między innymi do Edwarda Babiucha, Stanisława Kani, Andrzeja Werblana, Jerzego Łukaszewicza, Kazimierza Kąkola i Jerzego Kuberskiego. Polegały między innymi na pogłębianiu różnic w obrębie hierarchii katolickiej, podważaniu autorytetu księży w oczach wiernych, kompromitacji obyczajowej kleru itp. W tym celu wykorzystywano tajnych współpracowników ulokowanych w samych strukturach Kościoła, jak też wśród wiernych.

*

Od połowy lat siedemdziesiątych (aż do maja 1983 r.) grupa „D" wydawała miesięcznik „Ancora", oficjalnie jako organ Polskiego Centrum Odnowy Soborowej, na łamach którego podsycała istniejące różnice wśród kleru rzymskokatolickiego, związane z niechęcią niektórych księży do wprowadzania ustaleń II Soboru Watykańskiego. Wydawaniem „Ancory" zajmował się Bogdan Karlicki, od lipca 1980 roku zastępca naczelnika Wydziału VI Departamentu IV MSW. Czasopismo wyglądało jak bibuła, wydawane było na powielaczu, bądź na sicie. Podobny charakter miały utworzone przez SB pisma „Nowa Droga" „Forum Katolików" i „Samoobrona wiary".

„Nie ulega wątpliwości, że wiele czołowych polskich mediów [III RP] powstało z inspiracji bezpieki – twierdzi Jan Olszewski. – Lojalność wobec «firmy» nadal w nich obowiązuje. Niektóre metody też powracają. Jest dla mnie oczywiste, że jeśli ktoś chce doprowadzić do złamania społeczeństwa, będzie dążył do rozprawienia się z Kościołem. Analogii pomiędzy retoryką bezpieki a dzisiejszymi atakami na Kościół jest wiele. Bezpieka bardzo starannie wychwytywała wszelkie konflikty między biskupami a księżmi, by rozgrywać je przeciwko Kościołowi. (...)

Stałą metodą SB, dziś mającą swoją kontynuację, było rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji o bogaceniu się szczególnie niewygodnych księży. Co ciekawe, dziś te zarzuty przeciwko duchowieństwu wysuwają niemal zawsze ci, którzy sami do żyjących biednie nie należą"...

„Nie da się nikomu wmówić, że byli pedofilami albo kradli, więc nie ma ich na okładkach prorządowych tygodników – pisze w tygodniku «Gazeta Polska» redaktor Piotr Lisiewicz. – W czasach komunizmu bronili zwykłych ludzi, szli z nimi na manifestacje, strajki, do aresztów, do lasu z Żołnierzami Wyklętymi. Byli mordowani przez podwładnych Jaruzelskiego. Dzisiejsze kampanie nienawiści wobec księży i biskupów przypominają retoryką te inspirowane przez SB".

Pedofile, homoseksualiści, ojcowie licznych dzieci, pazerni na kasę, antysemici – tacy księża atakują nas dzisiaj z okładek prorządowych tygodników, szczególnie „Newsweeka" Tomasza Lisa i „Nie" Jerzego Urbana. Historyk, ksiądz doktor Jarosław Wąsowicz SDB, wskazuje na praźródła tej metody:

„Hitler tworzył listy właściwych księży i ich wspierał. W tym czasie innych duchownych wysyłał do obozów. Za Stalina było bardzo podobnie. Sprawa księdza Lemańskiego przypomina ówczesnych księży patriotów, którzy publicznie atakowali prymasa Wyszyńskiego. Władza potrafiła im się za to odwdzięczyć – jeździli na wycieczki po demoludach, dostawali talony na samochody. (...) Kampanie wokół obyczajowych występków księży też mają swój pierwowzór w działaniach bezpieki. Podczas pielgrzymek do Częstochowy esbecy rozrzucali w miejscach, gdzie przyjeżdżała pielgrzymka, prezerwatywy i butelki po alkoholu. A potem rozpowszechniali opinię: patrzcie, czym zajmują się księża".

Z inspiracji grupy „D" powstało wiele ruchów kontestacyjnych, które potem umiejętnie wykorzystano w podsycaniu napięć i prowokowaniu konfrontacji z władzami PRL. Przeprowadzono wiele akcji o charakterze kryminalnym, zagrażających życiu i zdrowiu osób oraz ich mieniu. Tworzono grupy przestępcze, które podejmowały ataki na piesze pielgrzymki na Jasną Górę,

podczas których dochodziło do ataków fizycznych na pielgrzymów, odurzania ich środkami narkotycznymi (1978 r.), przebijano opony samochodów, kradziono dowody osobiste pielgrzymów, zanieczyszczano ich śpiwory i zatruwano pojemniki z napojami. Podrzucano też czasopisma pornograficzne, prezerwatywy i inne kompromitujące materiały.

Poza wysyłaniem anonimów szkalujących osoby ze środowiska kościelnego, podsycaniem antagonizmów za pośrednictwem tajnych współpracowników, wydawaniem specjalnych pism kontrolowanych przez MSW, kolportażem ulotek, plakatów itp., fałszowaniem materiałów pamiętnikarskich w celu oczerniania osób w nich występujących, Służba Bezpieczeństwa stosowała też „metody specjalne", czyli pobicia, uszkodzenia mienia, uprowadzenia, groźby bezprawne, napady na mieszkania, podpalenia, a nawet fizyczne likwidacje.

Oto zaledwie kilka spośród wielu udokumentowanych przypadków obrazujących opisane wyżej metody działania:

– 21 stycznia 1983 roku trzech członków grupy „D" pod dowództwem kapitana Grzegorza Piotrowskiego uprowadziło do Puszczy Kampinoskiej historyka i działacza opozycji demokratycznej Janusza Krupskiego, późniejszego dyrektora wydawnictwa Editions Spotkania. W rejonie wsi Truskaw Krupski został dotkliwie pobity i oblany płynem żrącym, w wyniku czego doznał poparzeń I i II stopnia.

– 2 lutego 1983 r. grupa „D" podjęła próbę skompromitowania Jana Pawła II przed jego II Podróżą Apostolską do Polski, poprzez upublicznienie spreparowanego pamiętnika Ireny Kinaszewskiej, znajomej Karola Wojtyły. W tym celu SB zaplanowała podrzucenie pamiętnika do mieszkania asystenta kościelnego „Tygodnika Powszechnego" księdza Andrzeja Bardeckiego. Później podczas rewizji przeprowadzonej w tym mieszkaniu pamiętnik miał być „znaleziony" i zarekwirowany w celu opublikowania lub innego wykorzystania operacyjnego. Tego dnia do mieszkania księdza Bardeckiego przyszły dwie funkcjonariuszki SB, Barbara Borowiec i Barbara Szydłowska. Przedstawiły się jako działaczki charytatywne i pozostawiły

paczkę żywnościową. Jedna z nich zajęła rozmową gospodynię księdza, a druga podrzuciła spreparowany pamiętnik.

Akcja nie powiodła się z banalnie prozaicznego powodu. Po podrzuceniu pamiętników Grzegorz Piotrowski udał się wraz z obiema funkcjonariuszkami na mocno zakrapianą alkoholem kolację. Po jej spożyciu wsiadł do służbowego samochodu i rozbił się na najbliższym słupie. Wobec rozgłosu, jaki ta sprawa uzyskała, szefostwo Departamentu IV lub kierownictwo MSW zdecydowało o przerwaniu całej akcji.

– W połowie 1983 roku dwudziestu członków grupy „D", podszywając się pod „głosy do redakcji" zamieściło swoje listy z poparciem dla szkalującego księdza Henryka Jankowskiego plugawego artykułu Czerwona rzodkiewka w „Głosie Wybrzeża", organie KW PZPR w Gdańsku. Był to najgłośniejszy w tym czasie przejaw trwającej przez lata akcji nękania księdza Jankowskiego. Esbecy przypomnieli okoliczności śmierci ojca księdza, sugerując, że Jankowscy to rodzina folksdojczów. Artykuł został następnie przedrukowany przez inne wydawnictwa prasowe, między innymi przez „Express Wieczorny".

Tu jednak specjaliści z SB bardzo się przeliczyli. Obrazili nie tylko kapłana, ale przy okazji kilka tysięcy swoich pomorskich czytelników, których członkowie rodziny zginęli na wojnie w ten sam sposób. Oburzenie było powszechne, treść artykułu stała się na Pomorzu tematem „nocnych rodaków rozmów" przez wiele kolejnych miesięcy. Wbrew intencjom oszczerców, wzmocniła tylko zaufanie do księdza i solidarność z nim.

Autorzy „Raportu Rokity" nie znaleźli wprawdzie dowodów na przypadki zabójstw, jednak obecnie historycy zgodnie przypisują Grupie „D" i jej terenowym komórkom morderstwa księży związanych z opozycją demokratyczną w PRL: Sylwestra Zycha, Romana Kotlarza, Stanisława Suchowolca, Antoniego Kija, Stanisława Kowalczyka, Stanisława Palimąki i bohatera tej opowieści Stefana Niedzielaka. 19 października 1984 pracownicy grupy „D": kapitan Grzegorz Piotrowski, porucznik Waldemar Chmielewski oraz porucznik Leszek Pękala uprowadzili, a następnie zamordowali po długotrwałych

torturach księdza Jerzego Popiełuszkę...

„(…) Raz w życiu dotknąłem tego, czego nawet nie mam odwagi nazwać – czytamy w zamieszczonej w artykule Z mroków SB wypowiedzi anonimowego funkcjonariusza resortu. – Był to rok siedemdziesiąty. Uruchomiono system MOB, czyli system mobilizacji w sytuacji zagrożenia państwa. Byłem wówczas na zagadnieniu literackim. Wręczono mi listę figurantów, których należało zatrzymać, aresztować, internować lub zlikwidować. W tej ostatniej grupie były tylko dwa nazwiska: Stefan Kisielewski i Paweł Jasienica. Miałem się ustosunkować do tej listy. Oddałem dokument bez zmian. Nikogo nie dodałem, ale i nikogo nie wyłączyłem".

Metody operacyjne walki z religią w PRL zmieniały się z upływem lat. W późniejszym okresie mniejszą rolę odgrywał bezpośredni terror, coraz większe znaczenie przypisywano natomiast działaniom operacyjnym-profilaktycznym i dezintegrującym. Najdoskonalsze, a zarazem najbardziej dotkliwe stosowano w latach osiemdziesiątych, choć sięgano wówczas również po metody nawiązujące do terroru bezpośredniego z okresu stalinowskiego.

Jednak chociaż przez kilkadziesiąt lat stosowano tak wyrafinowane metody, władzom komunistycznym nie udało się wykorzenić religii z życia narodu ani pozbawić Kościoła wpływu na społeczeństwo.

*

Wspomniane wyżej śledztwo IPN objęło ponad czterdzieści wątków, dotyczących między innymi śmierci księdza Stefana Niedzielaka, księdza Sylwestra Zycha, księdza Stanisława Suchowolca oraz „sprawstwa kierowniczego zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki przez osoby stojące w hierarchii MSW wyżej niż generałowie Władysław Ciastoń [w 1984 r. szef SB] i Zenon Płatek [w 1984 r. dyrektor «wyznaniowego» departamentu MSW]". Dokumenty postępowania wobec księdza Stefana znajdują się dziś w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (sygn. akt IPN BU 1255/839 oraz IPN BU 01049/180). A raczej

to, co z nich zostało...

Kiedy prowadzący śledztwo w tej sprawie IPN zwrócił się w 2008 roku do warszawskiej prokuratury okręgowej o przekazanie dowodów rzeczowych, okazało się, że nie odnaleziono ich ani w prokuraturze, ani w Komendzie Stołecznej MO. W 2009 roku prokuratura przyznała oficjalnie, że z akt sprawy zabójstwa księdza Niedzielaka zniknęły najważniejsze dowody: materiał zabezpieczony podczas sekcji zwłok, ślady zabezpieczone na miejscu zdarzenia (w tym fragment gumowej rękawiczki pozostawionej prawdopodobnie przez jednego ze sprawców i ślady mikrobiologiczne), a nawet karty daktyloskopijne. Te ostatnie mogły zawierać odciski palców osób wytypowanych jako podejrzane o udział w zbrodni.

„Przez lata technika kryminalistyczna znacznie się rozwinęła i planowaliśmy zbadanie dowodów na nowoczesnym sprzęcie – powiedział jeden z prokuratorów IPN. – Teraz jest większa możliwość uzyskania DNA czy dokładnego zbadania innych śladów. Okazało się, że dowody zniknęły. Najgorsze jest to, że nie wiadomo kiedy i kto miał do nich dostęp".

Ostatnim śladem dowodów rzeczowych była datowana na 5 maja 1989 roku ekspertyza biegłych oparta na badaniu niektórych śladów. Od tego momentu los kluczowych dowodów pozostaje nieznany. Zadbali o to skutecznie sami sprawcy lub ich mocodawcy. Nie po to powołano przecież po śmierci księdza Niedzielaka specjalną grupę operacyjno-śledczą z udziałem prześladujących go funkcjonariuszy Departamentu IV, aby odnaleźć zabójców.

„Dopóki żyją «nieznani sprawcy», dopóki żyje generał Czesław Kiszczak czy generał Wojciech Jaruzelski [Już nie żyją, ale wtedy jeszcze żyli], to obecnej władzy nie jest na rękę, by dokonać takich ostatecznych rozliczeń – stwierdził po ogłoszeniu informacji o zaginięciu dowodów ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski. – Bo musiałaby podważyć pewien fundament Okrągłego Stołu, że to właśnie Czesław Kiszczak, który ma krew na rękach, był architektem tworzenia, jak mówił, konstruktywnej opozycji. (...)

W Polsce musiałyby nastąpić bardzo gwałtowne przemiany, żeby przyznać, że Okrągły Stół, mimo dobrych intencji wielu osób, okazał się manipulacją. A jedną ze spraw, które nigdy nie zostały doprowadzone do końca, jest właśnie odpowiedzialność SB i aparatu władzy za zbrodnie. Te, kiedy strzelano wprost do robotników w 1970 roku w Gdańsku i przed kopalnią Wujek w 1981 roku, a także zbrodnie, których dokonano rękami agentów, funkcjonariuszy służb. (...) O ile przesłanki do tego, by doszło do Okrągłego Stołu", były dobre, to w trakcie rozmów, z założenia, nie chciano rozwiązać tych spraw, a odpowiedzialni za tragedie nie poszli do więzienia, bo nie zostali odsunięci od władzy. (...) Byli esbecy trafili do Urzędu Ochrony Państwa, a później do ABW, do WSI, do dyplomacji, do wielu służb mundurowych. To jest dla mnie szok, że można było do tego dopuścić! Dlatego oni kompletnie nie są zainteresowani tym, żeby cokolwiek wyjaśniać. Myślę, że nawet po śmierci «nieznanych sprawców» ich koledzy będą dalej tuszować różne sprawy i nie pozwolą, by cokolwiek zostało ujawnione. Bo to jest prawdziwa puszka Pandory".

Zgodnie z przepisami w sprawach o zabójstwo nie wolno niszczyć śladów co najmniej do czasu przedawnienia sprawy. Prowadzone od 11 września 2008 roku śledztwo w sprawie zniknięcia dowodów rzeczowych z akt sprawy zabójstwa księdza Stefana Niedzielaka zostało w 2009 roku umorzone. Z powodu braku dostatecznych danych uzasadniających podejrzenie popełnienia przestępstwa.

Z przeprowadzonego postępowania wyłonił się jednak prawdopodobny obraz tego, w jakich okolicznościach 20 stycznia 1989 roku doszło do zabójstwa.

Po wyjściu z kurii, gdzie spotkał się z księdzem Królem, ksiądz Niedzielak odwiedził jeszcze jednego z kolegów księży. „Był dziwnie przygaszony" – opowiadał potem ów kolega. Po odprawieniu popołudniowej mszy, ksiądz Niedzielak zjadł obiad na plebanii. Tego dnia nie było gospodyni, jadł najprawdopodobniej sam, na co wskazywał tylko jeden komplet naczyń odstawionych na suszarkę po umyciu. O siedemnastej

rozpoczął lekcję religii. Z kilkorgiem uczniów rozstał się po osiemnastej, w rejonie stacji benzynowej przy ulicy Okopowej. Poszedł w stronę plebanii, odmawiając różaniec. Po dziewiętnastej zamknął kościół i wybrał się na spacer - jak wielu innych przeciwników komunistycznej propagandy, miał zwyczaj wychodzić z domu w porze nadawania Dziennika Telewizyjnego (19.30 – 20.00). W tym czasie sprawcy, zapewne kilku, weszli do mieszkania, używając tzw. uniwersalnego klucza. (Ekspertyza zamka nie wykazała śladów włamania). Prawdopodobnie już wcześniej był obserwowany, także w momencie dokonywania czynu, któryś z członków grupy stał na czatach.

(Kilkanaście minut po godzinie 21.00 ulicą Powązkowską obok plebanii, gdzie mieszkał przejeżdżała wraz z mężem autorka wspomnianej wcześniej anonimowej relacji, wysłanej w 1990 roku do prokuratury).

Do swojego trzypokojowego mieszkania na tyłach Zarządu Cmentarza ksiądz wrócił około godziny 20.00 – później już nikt go nie widział. Zapewne usiadł w ustawionym tyłem do wejścia fotelu i zaczął oglądać telewizję. W dłoni trzymał różaniec. Być może zdrzemnął się przy okazji. W każdym razie sprawcy zaskoczyli go. Możliwe, że usłyszawszy jakiś hałas, wstał z fotela i wówczas został uderzony w twarz. Możliwe również, że został zaatakowany od tyłu i przewrócony wraz z fotelem na ziemię. Następne ciosy były wymierzone głównie w okolice głowy i klatki piersiowej. Bandyci zaczęli wówczas plądrować mieszkanie. Jednak ich działania nie miały charakteru rabunkowego, tylko pozorowały napad.

Być może po kilkunastu minutach ksiądz się ocknął. Jedną ręką sięgnął w kierunku klucza, który tkwił w zamku wbudowanej w ścianę szafy na ubrania. Klucz zgiął się pod wpływem ciężaru. Stefan Niedzielak powoli podnosił się z ziemi. Zauważył to jeden z napastników, stanął nad księdzem, chwycił go za ramiona, kolanem naciskając na kręgosłup, po czym gwałtownym ruchem odgiął głowę ofiary do tyłu, łamiąc jej kark.

Niektórzy przychylają się jednak do wersji, że śmierć księdza nastąpiła w wyniku shuto uchi – ciosu w kark zadanego

krawędzią otwartej dłoni, który spowodował przerwanie rdzenia kręgowego. To jeden z kilkunastu śmiertelnych ciosów karate.

*

W numerze 38 z 2008 roku tygodnik „Wprost" twierdził, że księdza zabił śmiertelnym ciosem karate funkcjonariusz SB, który jeszcze w 2005 roku miał pracować w Komendzie Stołecznej Policji, z której zniknęły dowody rzeczowe (Leszek Szymkowski – Karateka Kiszczaka):

„Taki przebieg wydarzeń można zrekonstruować na podstawie zeznań świadka, którego jesienią 2004 r. przesłuchali prokuratorzy. Stwierdził on, że w zabójstwie ks. Niedzielaka mógł brać udział ówczesny oficer wywiadu SB [Jacek R. – przyp. aut.], który w wolnej Polsce służył w Komendzie Stołecznej Policji (przeszedł na emeryturę w kwietniu 2005 r.). Od tamtego czasu śledztwo IPN stoi w miejscu.

– Materiał dowodowy nie wystarcza do postawienia komukolwiek zarzutów w tej sprawie. Dla dobra śledztwa nie mogę ujawnić żadnych szczegółów – mówi Bogusław Czerwiński, prokurator nadzorujący śledztwo (...)

Według naszych informatorów, już w 2004 r. policjant z grupy śledczej pracującej dla IPN zdobył odciski palców funkcjonariusza wskazanego przez świadka i porównał je z tymi znalezionymi na miejscu zbrodni. Były identyczne. «Wprost» odnalazł domniemanego egzekutora, wiemy, kim jest. Wyróżnia się olbrzymią, umięśnioną sylwetką. W policji pracował w wydziałach zajmujących się najcięższymi przestępstwami. Nie był gwiazdą. – Starał się pozostawać w cieniu – wspomina jeden z policjantów. Prawie nikt go już nie pamięta. Nieliczni zapamiętali przede wszystkim jego potężną posturę. – Nie wiem, nie miałem z tą sprawą nic wspólnego. Spieprzajcie i dajcie mi święty spokój – odpowiada on sam na pytania dziennikarza «Wprost». – To typowe dla byłych esbeków przypartych do muru – mówi Jerzy Morawski, autor licznych filmów o tajemnicach PRL. W trakcie realizacji filmu Spadł, umarł, utonął Morawski

odwiedził w domu byłego wysokiego funkcjonariusza SB. «Spieprzaj, redaktorze» – usłyszał. Podobnie potraktowano realizatorki filmu Trzech kumpli o zabójstwie Stanisława Pyjasa.

(...) Na podstawie materiałów śledztwa i rozmów ze świadkami ustaliliśmy prawdopodobny przebieg zbrodni. Przesłuchiwany przez prokuratorów kierowca autobusu komunikacji miejskiej zapamiętał, że późnym wieczorem 20 stycznia 1989 r. jego jedynymi pasażerami byli dwaj mężczyźni i kobieta, którzy wysiedli na przystanku przy kościele na Powązkach i poszli w stronę plebanii. Świadek zapamiętał ich, bo jeden z mężczyzn w charakterystyczny sposób seplenił. Podobną wadę wymowy ma były funkcjonariusz SB i policji wskazany przez świadka prokuratorom IPN. (...)

Dopiero 15 lat później śledczy IPN ponownie przesłuchali wszystkich świadków, przeanalizowali dowody i szczegółowo odtworzyli przebieg zbrodni. Udało im się też znaleźć człowieka, który wskutek zbiegu okoliczności w dniu zabójstwa widział potencjalnego mordercę. W obawie o własne życie nie składał zeznań. Milczenie przerwał dopiero jesienią 2004 r. za namową bliskiego przyjaciela ks. Niedzielaka. Według naszych informatorów, prowadzący wówczas tę sprawę prokurator Andrzej Witkowski chciał oficjalnie sprawdzić, czy znalezione na miejscu zbrodni odciski palców należą do wskazanego przez świadka policjanta. Nie zdążył, bo został odwołany. – Oddałem akta tej sprawy. Jako prokuratorowi nie wypada mi komentować sprawy, której już nie prowadzę – mówi «Wprost» Witkowski".

„Kobieta o krótkich, jasnych włosach i dwóch mężczyzn, w tym jeden o posturze atlety" – tak określił wspomniane wyżej trzy tajemnicze osoby kierowca miejskiego autobusu. Widziała ich także gospodyni księdza Niedzielaka, Marianna R. „Dwóch mężczyzn, jeden bardzo silnie zbudowany i kobieta z jasnymi krótkimi włosami" – mówił świadek, który rankiem 1 września 1992 roku widział ich wybiegających z willi byłego premiera PRL Piotra Jaroszewicza...

Ale to już zupełnie inna historia.

W zbiorze zastrzeżonym IPN zachowały się akta operacyjne SB,

a w nich pokwitowanie odbioru samochodu i rachunek za hotel delegacji służbowej Jacka R. do Białegostoku w dniach 28-29 stycznia 1989 roku. Tej samej nocy w Dojlidach zamordowany został ksiądz Stanisław Suchowolec... W dokumentach nie ma niestety nazwisk towarzyszących Jackowi R. osób, ale wiadomo, że delegacja zatrzymała się w jednym z białostockich hoteli, w którym bezpieka utrzymywała lokal kontaktowy.

Dlaczego w ogóle zamordowano księdza Stefana? Według powszechnego przekonania za jego zaangażowanie w powstanie Sanktuarium Poległych na Wschodzie i za całą patriotyczną działalność. Ale ksiądz Król przypomina też, że podobno w jednym z kazań miał powiedzieć, że ma listę ponad dwudziestu osób, które mordowały Polaków w stalinowskich więzieniach, szczególnie w Rawiczu. Może szukano tej listy?

Wszystko wskazuje również na to, że do morderstwa nieprzypadkowo doszło tuż przed rozpoczęciem obrad Okrągłego Stołu. Komuniści starali się wtedy podzielić opozycję na tę radykalną, z którą nie można rozmawiać i tę, z którą rozmawiać można. Wśród duchowieństwa Stefan Niedzielak cieszył się ogromnym szacunkiem. Jego śmierć miała zastraszyć najbardziej radykalnych opozycjonistów i jednocześnie stanowić sygnał, że każdy, kto będzie przeszkadzał w prowadzeniu negocjacji z władzą według jej scenariusza, zostanie wyeliminowany.

„Morderstwa dokonane na księżach miały wywołać wśród działaczy Solidarności poczucie lęku" – twierdzi historyk IPN Piotr Łysakowski, autor publikacji o księdzu Niedzielaku.

„Prokuratorskie śledztwa dotyczące spraw sprzed 1989 roku spowalniają, jeżeli zaczynają obejmować osoby wysoko postawione w hierarchii PRL – mówił kilka lat temu poseł PiS Zbigniew Wassermann, były koordynator służb specjalnych. – Tak było na przykład ze śledztwem w sprawie Stanisława Pyjasa, gdy do odpowiedzialności chciano pociągnąć wysokiej rangi generałów".

W 2008 roku, „za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce, za osiągnięcia w pracy

zawodowej i społecznej” ksiądz Stefan Niedzielak został odznaczony pośmiertnie przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

BIBLIOGRAFIA

Aparat bezpieczeństwa wobec kurii biskupich w Polsce (pod red. Adama Dziuroka), Warszawa 2009.

Bata Artur – Bieszczady. Szlakiem Walk z bandami UPA, „Polityka" nr 12/2007.

Bereś Witold, Skoczylas Jerzy – Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1991.

Bestie w ludzkiej skórze: Tuchlin: Skorpion, film dokumentalny, Polsat Crime, 2013.

Bober Sabina (red.) – Komu służył Pax?, Pax, Warszawa 2008.

Branach Zbigniew – Ksiądz Jerzy nie był ostatni, „Nasz Dziennik", Nr 253 28.10.2010.

Branach Zbigniew - Księża niezłomni. Ostatni akord nieznanych sprawców, „Wiara" 6/2007.

Branach Zbigniew – Tajemnica śmierci księdza Zycha, Wydawnictwo ARC, Toruń 1994.

Bruchwald Agata - Ks. Stefan Niedzielak: Boję się, że nie doczekam wolnej Ojczyzny, http://www.fronda.pl

Brytan Tadeusz, Cierlica Elżbieta – Kryptonim „Anna", Książka i Wiedza, Warszawa 1976.

Bs. – Grzegorz Przemyk-śmiertelnie pobity maturzysta, http://www.polskieradio.pl

Buntownicy. Studencki Komitet Solidarności, film dokumentalny z 2007 r. w reżyserii Wojciecha Szumowskiego.

Czerwiński Arkadiusz, Gradoń Kacper - Seryjni mordercy, Muza S.A., Warszawa 2001.

Czy ktoś przebije ten mur? Sprawa Pyjasa (oprac. Florian Pyjas, Adam Roliński, Jarosław Szarek), IPN, Kraków 2001.

Dębski Maciej – Ostatnia ofiara Katynia, „Gazeta Warszawska – Zakazana Historia", styczeń 2016.

Dokumenty SB, http://archidiecezja.lodz.pl

Drożdżak Artur – Skazani na śmierć: Władysław Mazurkiewicz. Elegancki morderca, „Gazeta Krakowska" z 23 listopada 2013.
Dudek Antoni – Nie ujawnić prawdy, niniwa2.cba.pl
Dudek Antoni - Ślady PeeReLu: ludzie, wydarzenia, mechanizmy, Arcana, Kraków 2000.
Dudek Antoni, Pytel Grzegorz – Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej, http://niniwa2.cba.pl/boleslaw_piasecki_biografia.htm
Dyniewski Tadeusz – Zbrodnia-zdrada-kara. Pitaval śląski, KAW, Katowice 1986.
Engelgard Jan – Wielka gra Bolesława Piaseckiego, Wydawnictwo Prasy Lokalnej, Warszawa 2008.
Engelhardt Michał - Mord polityczny w Polsce. Zabójstwo 15-letniego Bohdana Piaseckiego, wiadomosci.gazeta.pl
Filipczak Roman – Marchwicki Zdzisław, http://killer.radom.net
Foros – Prokuratorzy i sędziowie ze sprawy Przemyka w III RP, http://niepoprawni.pl
Fredro Boniecki Tadeusz – Zwycięstwo księdza Jerzego (rozmowy z Grzegorzem Piotrowskim), Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1990.
Gelberg Andrzej – Potem o nich zapomniano, „Tygodnik Solidarność", 1991.
Gerhard Jan - Autopamflet, Czytelnik, Warszawa 1972.
Głębocki Henryk – Jak zamordowano Pyjasa, http://www.krakowskie.nazwa.pl
Gradoń Kacper – Zabójstwo wielokrotne. Profilowanie kryminalne, Wolters Kluwer Polska, Warszawa 2010.
Hagmajer Jerzy – Sprawa Bohdana Piaseckiego, „Słowo Powszechne" 03.05.1957.
Jachowicz Jerzy – Tropy wiodą do MO, „Gazeta Wyborcza" z 3 listopada 1989.
Jachowicz Jerzy – Zagadka śmierci księdza Zycha, „Gazeta Wyborcza" z 16 października 1989.
Jakubowski Szymon – Dlaczego zginął Jan Gerhard-autor „Łun w Bieszczadach"?, http://www.podkarpackahistoria.pl

Jantoń Zbigniew – Śmierć generała Świerczewskiego, http://www.twojebieszczady.net
Jastrzębski Janusz Maciej – Bestie. Zbrodnie i kary, Wydawnictwo Profi, Mysłowice 2006.
Jks – Cel miałem zawsze ten sam-wyżyć się i mordować, http//:ww.nasygnale.pl
Juwenalia w cieniu śmierci, http://wiadomosci.onet.pl
Kania Dorota – Jak III RP tuszowała śmierć strażnika pamięci Katynia, „Gazeta Polska" nr 36 z 03.09.2014.
Kantner Katarzyna – „Piękny Władzio", czyli upiór krakowski, http://wiadomosci.onet.pl
Karaś Romuald – Nasz syn Robert, „Przegląd Tygodniowy" z 4 kwietnia 1982.
Kępiński Andrzej, Filar Zbigniew – Będę rozmawiał z każdym. Wywiad z ministrem Czesławem Kiszczakiem, „Polityka" nr 24 z 14 kwietnia 1986.
Kotarba Antonina – Ks. Issakowicz-Zaleski: To była perfidna prowokacja!, http://nowahistoria.interia.pl
Kotarba Antonina – Zbrodnia i bezkarność. Stanisław Pyjas-długi cień PRL, http://nowahistoria.interia.pl
Kowalik Helena – Z polityką w tle, „Wprost" nr 31/2014.
Król Miasta. Opowieść o Władysławie Mazurkiewiczu, film dokumentalny, https://www.youtube.com
Kruszewska Mirosława – Grzegorz Przemyk-zbrodnia wciąż nie ukarana, „Gazeta-Dziennik Polonii w Kanadzie", 7 October 2013.
Kontrwywiad, film dokumentalny z 1994 r. w reżyserii Krzysztofa Krauze.
Kozubal Marek – Jak bezpieka chroniła swoich, „Życie Warszawy" 08.08.2015.
Kucharczyk Przemysław – Raport o bezkarnych, „Gość Niedzielny" 28 września 2008.
Kuza Jakub – Czy ostatnią akcję zbrojną Armii Krajowej przeprowadzono… w 1982 roku? http://ciekawostkihistoryczne.pl
Kuźnik Grażyna - Bogdan Arnold, czyli wampir z Katowic. Kim był? Dlaczego zabijał?, „Dziennik Zachodni" 22.08.2012.

Lasota Marek - O raporcie Sejmowej Komisji Śledczej poświęconym grupie „D" w MSW, Biuletyn IPN nr 1 z 2003 r.
Legutko Piotr – Prawo do przemocy, „Gość Niedzielny" 19 lutego 2012.
Lewandowski Adam – Warto przypomnieć, http://www.muzeum.srem.pl
Lew-Starowicz Zbigniew - Seks nietypowy, IWZZ, Warszawa 1988.
Ligas Elżbieta, Ligas Radosław – Zdzisław Marchwicki – wampir z Zagłębia, http://blood-luna.org
Lisiewicz Piotr – Nagonki Lisa jak propaganda PRL. Polowanie na księży z ideami, „Gazeta Polska" 04.08.2013.
Łańcucka Katarzyna – Zbrodnia pod kreską, „Kurier Grodziski" nr 10 z 25 listopada 1991.
Łazarewicz Cezary – Elegancki morderca, Wydawnictwo WAB, Warszawa 2015.
Łazarewicz Cezary – Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016.
Łoziński Bogumił – Zbrodnicza działalność grupy „D" w MSW, http://ekai.pl
Łuny śmierci-tajemnice PRL-u, http://prawymsierpowym.pl
Łysakowski Piotr – Księża niezłomni. Ksiądz Stefan Niedzielak-ostatnia ofiara Katynia, „Nasz Dziennik" nr 23 (2736) z dnia 27-28 stycznia 2007.
Majchrzak Grzegorz – Kapelan Wyklętych, „Gazeta Polska" nr 35 z 27.08.2014.
Maleszak Sylwia – Kara śmierci za zabójstwo Jana Gerharda, http://historia.org.pl
Małecki Jan M. – Historia Krakowa dla każdego, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007.
Marek Zdzisław – Głośne zdarzenia w świetle medycyny sądowej, Krakowskie Wydawnictwo Medyczne, Kraków 2009.
Matejczuk Stanisław – Niezłomny do końca: Ks. Sylwester Zych-ostatnia ofiara PRL,
„Polonia Semper Fidelis", nr 53-54 (88-89) 1-15 lipca 2016.
Matejczuk Stanisław – Wspomnienia syna ppłk. Matejczuka,

http://www.atopolskawlasnie.com
Matys Łukasz – Morderstwo Bohdana Piaseckiego, http://www.prawo-karne.wieszjak.pl
Misztal i Smuga znów skazani za głośne porwanie, http://wiadomosci.gazeta.pl
Mizerski Wiesław M. – Radomski Czerwiec 1976-Doniesienie o przestępstwie, Norbertinum, Lublin 1991.
Motyka Grzegorz – Kryptonim Bieszczady, „Polityka" nr 34/2009.
Motyka Grzegorz – Nie było zamachu na Waltera, http://www.polityka.pl
Motyka Grzegorz – W kręgu „Łun w Bieszczadach", http://niniwa22.cba.pl
Musiał Filip, Szarek Jarosław – Przeciw czerwonej dyktaturze, Ośrodek Myśli Politycznej, Instytut Pamięci Narodowej, Kraków 2007.
Niedzielak Piotr – Ostatnia ofiara Katynia: w świetle faktów i dokumentów. Warszawa, 1991.
Oskarżeni. Śmierć sierżanta Karosa – spektakl telewizyjny Sceny Faktu Teatru Telewizji z 2007 r. w reżyserii Stanisława Kuźnika.
Ostałowska Lidia, Smoleński Paweł – Rozbrajanka, „Gazeta Wyborcza" z 23.02.2002.
Paczkiewicz-Jägers Joanna – Mój program na 24 godziny później, MAW, Warszawa 1989.
Panas-Goworska Marta, Goworski Andrzej – Ballada o mordercy z kwiatkiem, http://weekend.gazeta.pl
Pasztelański Rafał – Zniknęły dowody ws. Zabójstwa księdza, http://wiadomosci.wp.pl
Paweł Tuchlin-legendarny Skorpion, http://nasygnale.pl
Piecuch Henryk – Pożoga. W. Jaruzelski tego nigdy nie powie, Agencja Wydawnicza CB, Warszawa 1996.
Piwowarczyk Małgorzata – Kontrowersje wokół seryjnych morderców na przykładzie Zdzisława Marchwickiego, Prometeusz, Zdzieszowice 2010.
Pleskot Patryk – Zabić. Mordy polityczne w PRL, Znak Horyzont

2016.
Podemski Stanisław – Pitaval PRL-u, Iskry, Warszawa 2006.
Podgórski A. K. - Różny wymiar tolerancji, „W służbie narodu" nr 9/1989.
Poppek Anna – Seryjni mordercy XX wieku, Wydawnictwo G+J, Warszawa 2013.
Pruski Michał, Żukowski Zbigniew – Czas Skorpiona, KAW, Gdańsk 1988.
Przetakiewicz Zygmunt – Od ONR-u do PAX-u, Wydawnictwo Książka Polska, Warszawa 1994.
Przybysz Miriam Agnieszka – Śmierć Pyjasa: biegli sędziami we własnej sprawie, http://niewygodne.info.pl
Pudysz Zbigniew – Zabójstwo z premedytacją, Książka i Wiedza, Warszawa 1987.
Pytlakowski Piotr – Republika MSW, Andy Grafik Ltd., Chicago-Toronto-Wapienna 1991.
Raina Peter – Sprawa zabójstwa Bohdana Piaseckiego, PAX, Warszawa 1989.
Rakowski Mieczysław F. - Dziennik polityczny 1963-1966, Iskry, Warszawa 1999.
Rakowski Mieczysław F. - Dziennik polityczny 1969-1971, Iskry, Warszawa 1999.
Rigamonti Magdalena – Esbecja wrobiła go w zabójstwo Przemyka: Miałem powiedzieć, że nadepnąłem mu na brzuch, „Gazeta Prawna" z 13.02. 2016.
Rozmowy autora książki ze Stanisławem Matejczukiem, przeprowadzone w marcu 2016 r.
Sasanka Paweł – Czerwiec 1976. Geneza, przebieg, konsekwencje, IPN Warszawa 2006.
Sądziłem „wampira" - z Władysławem Ochmanem rozmawiał Tadeusz Patan, Mig, Bielsko-Biała 1993.
Seidler Barbara – Schody do raju czy rozpacz?, Czytelnik, Warszawa 1977.
Semczuk Przemysław – Czarna Wołga. Kryminalna historia PRL, Znak, Kraków 2013.
Semik Teresa – Byłem mordercą, pozabijałem, i koniec,

„Dziennik Zachodni” z 30 sierpnia 2013.
Semik Teresa – Jan Marchwicki, brat „Wampira z Zagłębia”, „Dziennik Zachodni” z 9 sierpnia 2013.
Semik Teresa – Jeśli zaspokoił sadystyczny popęd-nie zabijał kobiet, „Dziennik Zachodni” z 23 sierpnia 2013.
Semik Teresa – Marchwicki kiwał głową i szeptał: „wampir, wampir”, „Dziennik Zachodni” z 16 sierpnia 2013.
Semik Teresa – Same poszlaki... ależ skąd, „Dziennik Zachodni” z 22 lutego 2013.
Semik Teresa – Sędziowie o czystych rękach, http://www.naszemiasto pl
Semik Teresa – Zdzisiek ją zabił, mówił Henryk Marchwicki, „Dziennik Zachodni” z 2 sierpnia 2013.
Semka Piotr – Diabelska siłą teczki, „Gość Niedzielny” nr 9, 28 lutego 2016.
Słowiński Przemysław – Słynne porwania, Videograf II, Chorzów 2013.
Słowiński Przemysław – Sprawa Dreyfussa i inne głośne procesy, Videograf II, Chorzów 2014.
Snopkiewicz Andrzej – Trzy wyroki, KAW, Kraków 1982.
Spadł, umarł, utonął, film dokumentalny w reżyserii Krzysztofa Krauzego z 1994 r.
Stalmach Sławomir – Stan wojenny w Polsce-o krok od terroryzmu, http://wiadomosci.onet.pl
Stanisławczyk Barbara, Wilczak Dariusz – Pajęczyna. Syndrom bezpieki, Dom Wydawniczy Rebis, Warszawa 1992.
Starzak Grażyna – Powrót wampira. Zdzisław Marchwicki 20 lat później. Morderca czy ofiara?, Venus sp. z o.o., Kraków 1993.
Staszewski Mieczysław – Skorpion [w;] Celowałem w serce. Pitaval „Detektywa”, PPW „Rzeczpospolita”, Warszawa 1991.
Stukan Jarosław – Polscy seryjni mordercy, Prometeusz, Zdzieszowice 2009.
Subik Piotr – Służba Bezpieczeństwa zabiła Staszka. Niewyjaśniona śmierć Stanisława Pyjasa, „Dziennik Polski” 26 czerwca 2015.
Sygit Bogusław – Kto zabija człowieka... Najgłośniejsze procesy

w powojennej Polsce, Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1989.
Szarek Jarosław – Czarne Juwenalia. Opowieść o Studenckim Komitecie Solidarności, Znak,Kraków 2007.
Szlachcic Franciszek – Gorzki smak władzy, Fakt, Warszawa 1990.
Szymborski Tomasz – Tajemnice Marchwickiego, http://sledczy.focus.pl
Szymkowski Leszek – Karateka Kiszczaka, „Wprost" nr 38/2008.
Świątkiewicz Wojciech – Ostatnia ofiara Katynia, http://www.niedziela.pl
Tajemnica Wampira z Zagłębia, http://facey.wp.pl
Tak w ogóle to przemiły facet, http://www.zw.com.pl
Tochman Wojciech – Przemyk Grzegorz (1964-1983), „Gazeta Wyborcza" z 15.03.1997.
Trzech kumpli, film dokumentalny z 2008 r. w reżyserii Anny Ferens i Ewy Stankiewicz.
Tychmanowicz Marta – Polityczne morderstwo Grzegorza Przemyka na komisariacie policji, http://wiadomosci.wp.pl
Tychmanowicz Marta – Zabili ojca dwójki dzieci-tak chcieli walczyć z komuną, http://wiadomosci.wp.pl
Unicorn – Z mroków SB, http://www.fronda.pl
Wildstein Bronisław – PRL jako wypadek, „Uważam Rze" nr 34/2011.
Winczakiewicz Anna – Wyznania seryjnego mordercy: zabijałem, by poczuć się lepiej, http://nasygnale.pl
Władysław Mazurkiewicz – elegancki morderca, http://nasygnale.pl
Wolanowski Lucjan – Morderca z kwiatkiem, „Świat", sierpień 1956.
Wywiad z kierownikiem Wydziału Społeczno-Prawnego KC PZPR Andrzejem Gdulą, „W służbie narodu" nr 5 (1820)/1989.
X-lecie Stowarzyszenia Generałów Policji RP, Informacyjny Serwis Policyjny, sp.policja.pl
YT – W służbie zbrodni, „Newsweek" z 24.04.2005.
Zabójca ks. Zycha znany i od 20 lat bezkarny, https://fronda.pl

Zabójstwo księdza – „Sztandar Młodych" nr 16/11476 z 1989 r.
Zając Ewa – Stanisław Pyjas, http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl
Zajączkowska Anna – Bestia z Katowic. Horror na poddaszu, http://www.wiadomosci.onet.pl
Zajączkowska Joanna – Szokująca tajemnica „Wampira z Zagłębia", http://www.irenaannakrzysztof2001.pun.pl
Zajączkowska Joanna – Tajemnicza śmierć posła, http://wiadomosci.onet.pl
Zajączkowska Joanna – Zabić księdza, http://wiadomosci.onet.pl
Zdzisław Marchwicki – seryjny morderca, czy niewinna ofiara spisku milicji?, http://wiadomosci.gazeta.pl
Zemsta za sierżanta Karosa?, „Rzeczpospolita" z 19.01.2009.
Zieleniewski Marek – Rozkaz zabić. Tajemnicze zgony księży: S. Niedzielaka, S. Suchowolca i S. Zycha, Oficyna Wydawnicza „Angraf", Piła 1990.
Ziemkiewicz Rafał A. – Kto tu wpuścił ONR?, „Uważam Rze" Nr 44/2011.
Zięba Szymon – Swoje morderstwa Paweł Tuchlin - nazywany Skorpionem - nazywał polowaniami, „Dziennik Bałtycki" 2012.05.02.
Zimmerer Katarzyna – Getto 1941-1943, wyd. CD, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, 2010.
Zimmerman Mateusz – Niepokorny ksiądz, niewyjaśniona zbrodnia, http://wiadomosci.onet.pl
Zimmerman Mateusz – Żeby nie było śladów, żeby ochronić sprawców, http://wiadomosci.onet.pl
Zychowicz Piotr – Mordercy Bohdana uchodzą, „Rzeczpospolita" z 11.12.2007.
Żuraw Magdalena – Ksiądz, który musiał zginąć, http://www.rodaknet.com